

Ostatnia granica

Alistair MacLean



calibre 0.9.43

MacLean Alistair

„Ostatnia Granica”

Rozdział pierwszy

Wiał silny północny wiatr i nocne powietrze przejmowało chłodem do szpiku kości. Na białej, śnieżnej pustyni nie było śladu życia. Pod zimnym światłem gwiazd puste, skute mrozem pole ciągnęło się nieruchome i martwe jak okien sięgnąć, aż po majaczący w dali horyzont. Nad wszystkim wisiała grobowa cisza.

Ale ta pustka, o czym Reynolds wiedział, była pozorna. Podobnie jak brak życia i cisza.

Tylko śnieg istniał naprawdę. śnieg, i ten dojmujący, siarczasty mróz, który spowijał go od stóp do głów lodowym całunem, wywołując gwałtowne niekontrolowane dreszcze, niczym u człowieka chorego na malarię. Również senność, która zaczynała go ogarniać, mogła być pozorna. Reynolds wiedział jednak, że jest prawdziwa i aż za dobrze rozumiał, co oznacza.

Świadomie, determinacją stłumił w sobie myśli o mrozie, śniegu i śnie koncentrując całą uwagę na tym, jak wydobyć się z opresji

Powoli, z wysiłkiem, starając się nie robić żadnego zbędnego ruchu ani hałasu, wsunął skostniałą dłoń po łą płaszcz, wysupłał chusteczkę z kieszonki garniturze zmiął ją w kulkę i włożył w usta. Knebel z chusteczki powinien zmniejszyć widoczną na mrozie kondensację pary z oddechu i stłumić odgłos szczękania zębami, a jedno i drugie mogło go przecież zdradzić. Odwrócił się ostrożnie w głębokim, zasypnym śniegiem rowie przydrożnym, do którego wpadł; i wyciągnął dłoń teraz malowniczo ucentkowaną mrozem w biało-sine plamy - szukając kapelusza. który zgubił, gdy zawadził o niską gałąź stojącego opodal drzewa. Znalazł go i powoli przyciągnął do siebie. Najdokładniej, jak tylko pozwoliły mu na to zziębnięte i niemal bez czucia palce, pokrył wierzch i rondo grubą warstwą śniegu, wepchnął kapelusz głęboko na widoczne z daleka ciemne włosy, i groteskowo wolnym

ruchem uniósł głowę i ramiona, wysuwając najpierw kapelusz a potem oczy nad brzeg rowu. Mimo gwałtownych dreszczy jego ciało było napięte jak struna, kiedy z mdlącym uczuciem strachu czekał na okrzyk rozpoznania, strzał lub głuchy szczęk niosący ze sobą nicość z chwilą, gdy kula sięgnie wystawionej na cel głowy. Ale żaden okrzyk ani strzał nie nastąpiły, co tylko jeszcze wzmogło jego czujność. Dalsza szybka lustracja horyzontu potwierdziła jednak, że w pobliżu nie ma żywej duszy.

Poruszając się nadal wolno i ostrożnie, ale wypuściwszy długo wstrzymywany oddech, Reynolds uniósł się na kolana. Wciąż trząsał się z zimna, lecz już tego nie czuł, a senność przeszła mu jak ręką odjął. Jeszcze raz przeczesał wzrokiem cały widnokrąg, teraz powoli i dokładnie, aby nic nie uszło jego bacznyim oczom, i jeszcze raz odpowiedź była taka sama. Ani śladu żywej duszy. Nie było widać nikogo i niczego oprócz zimnego migotania gwiazd na czarnym nieboskłonie, płaskiego białego pola, kilku rozrzuconych grupiek drzew i krętej drogi obok, zrytej kołami ciężarówek.

Reynolds opuścił się znów do dołu, który upadając zrobił w zasypnym śniegiem rowie. Musiał chwilę odpocząć. Musiał dać sobie chwilę czasu, żeby złapać oddech. pozwolił ściśniętym płucom zaczerpnąć raz i drugi powietrza: zaledwie dziesięć minut minęło odkąd patrol drogowy zatrzymał ciężarówkę, do której się wkradł, i był zmuszony z pistoletem w garści stoczyć krótką, gwałtowną bójkę z dwoma nic nie podejrzewającymi milicjantami, przeszukującymi tył wozu, a potem salwować się ucieczką za opatrnościowy zakręt na drodze i biec, póki starczyło mu sił, aż do *kępy* drzew, gdzie leżał teraz ledwo żywy z wyczerpania. Potrzebował też czasu, żeby zastanowić się, dlaczego milicja tak łatwo zrezygnowała z pościgu - przecież zdawali sobie sprawę, że będzie musiał trzymać się szosy: zejście z niej w dziewiczą biel ciągnącą się po obu stronach skazałoby go nie tylko na powolne brodzenie w głębokim śniegu, ale i na błyskawiczne odkrycie po świeżych śladach

tak dobrze widocznych tej gwiazdzistej nocy. Przede wszystkim jednak potrzebował czasu, żeby obmyślać. co dalej.

Było to typowe dla Michaela Reynoldsa, że nie zaprzętał sobie głowy obwinianiem się czy zastanawianiem, co by było, gdyby wybrał inną drogę działania. Przeszedł twardą szkołę, w której nie było miejsca na takie luksusy jak oskarżanie się o błędne decyzje, na bezużyteczne wyrzuty, daremne żale i inne niekonstruktywne spekulacje i emocje, które mogłyby przyczynić się do osłabienia gotowości bojowej. Poświęcił wszystkiego może pięć sekund na rozpatrywanie ostatnich dwunastu godzin, a potem odsunął to od siebie na zawsze. Po raz drugi postąpiłby tak samo. Miał wszelkie powody wierzyć swojemu informatorowi w Wiedniu, że podróż samolotem do Budapesztu była na razie niemożliwa-w ciągu dni poprzedzających Międzynarodowy Kongres Naukowy na lotnisku podjęto szczególnie rygorystyczne środki ostrożności. To samo dotyczyło wszystkich głównych stacji kolejowych, a dalekobieżne pociągi pasażerskie były przeczesywane przez służbę bezpieczeństwa. Pozostawała więc tylko szosa: najpierw nielegalne przejście przez granicę-niewielki wyczyn, jeśli się miało fachową pomoc, a Reynolds taką miał - a potem jazda na gapę jakąś ciężarówką zmierzającą w kierunku wschodnim. Ten sam informator nadmienił, że na przedmieściach Budapesztu będą z pewnością rozstawione patrole drogowe i Reynolds się z tym liczył, co jednak zaskoczyło go zupełnie i przed czym nikt go nie przestrzegł, to blokada za Komaromem, kilkadziesiąt kilometrów od stolicy. Po prostu jedna z tych rzeczy, która mogła przydarzyć się każdemu, a przydarzyła się właśnie jemu. Reynolds wzruszył ramionami i przeszłość przestała istnieć.

To również było dla niego typowe - a może raczej typowe dla surowych reguł wpajanych mu podczas długiego szkolenia - że jego myśli o przyszłym działaniu były ściśle ukierunkowane, biegnące jednym wytyczonym torem, zmierzającym do osiągnięcia

określonego celu. Przy czym znów odczucia emocjonalne, które normalnie towarzyszą rozważaniom o perspektywach sukcesu lub tragicznych następstwach porażki, nie grały roli w jego błyskawicznych kalkulacjach, kiedy leżał w ściętym mrozem śniegu łamiąc sobie głowę nad tym, co robić i oceniając swoje szanse z chłodnym i bezstronnym obiektywizmem. "Liczy się tylko powierzone zadanie" powtarzał setki razy pułkownik. "Twój sukces lub porażka mogą być niezwykle ważne dla innych, ale dla ciebie nie powinny mieć najmniejszego znaczenia. Dla ciebie. Reynolds, konsekwencje twoich czynów nie istnieją i nigdy nie mogą zaistnieć, a to z dwóch powodów: myślenie o nich burzy równowagę i zakłóca osąd, to raz, a dwa każda sekunda zmarnowana na jałowe rozważania w tych destrukcyjnych kategoriach powinna zamiast tego być zużyta na wypracowanie sposobu, jak się wywiązać z powierzonego zadania."

Powierzone zadanie. To i nic więcej.

Mimo woli Reynolds wykrzywił się z goryczą, leżąc w rowie i czekając, aż oddech wróci mu do normy. Nigdy nie miał więcej niż jedną szansę na sto, a teraz te proporcje przedstawiały się wielokrotnie gorzej. Ale to nic nie zmieniało: musi dotrzeć do Jenningsa i wyciągnąć go stąd wraz z jego bezcenną wiedzą - tylko to było ważne. A jeśli on, Reynolds, wpadnie, to po prostu wpadnie, i tyle. Może nawet wpaść tej nocy, pierwszego dnia swojej misji po półtorarocznym specjalistycznym szkoleniu, surowym i bezwzględnym, ukierunkowanym na osiągnięcie jednego celu - to nie robiło żadnej różnicy.

Reynolds był nadzwyczaj sprawny fizycznie - jak wszyscy ludzie pułkownika, ludzie do specjalnych poruczeń - i jego oddech już się niemal uspokoił. Milicjantów uczestniczących w blokadzie drogowej musiało być co najmniej kilku, gdyż biorąc biegiem zakręt, kątem oka dojrzał parę sylwetek wysypujących się z baraku. Trudno, będzie musiał zaryzykować: nic innego mu nie pozostawało. Może zatrzymywali ciężarówki tylko w poszukiwaniu

kontrabandy i nie obchodził ich przerażony pasażer na gapę umykający w noc - chociaż zapewne ci dwaj, których pozostawił jęczących na śniegu, mogą być zainteresowani pogonią z bardziej osobistych względów. Tak czy owak nie mógł tu leżeć bez końca, czekając aż zamrznie lub zostanie dostrzeżony przez jakiegoś bystrookiego kierowcę.

Zdawał sobie sprawę, że będzie musiał pokonać drogę do Budapesztu pieszo, w każdym razie pierwszy odcinek.

Ostatnia granica

Jakieś pięć, sześć kilometrów przebrnie w śniegu po polach i dopiero potem wyjdzie na szosę - musi oddalić się od blokady, zanim znów spróbuje znaleźć jakiś samochód. Droga na wschód przed blokadą skręcała w lewo i jemu też byłoby łatwiej iść na lewo, na skrót, ścinając zakręt, ale z tamtej strony, czyli na północy, płynął w pobliżu Dunaj i Reynolds nie miał najmniejszej ochoty znaleźć się w potrzasku na wąskim pasie ziemi między rzeką a szosą. Nie było rady, musiał iść w bezpiecznej odległości wzdłuż szosy, a podczas tak jasnej nocy, bezpieczna odległość oznaczała całkiem spory dystans. Ten marsz okrężną drogą mógł zająć mu godziny.

Szczękając gwałtownie zębami -wyjął chusteczkę z ust. żeby wciągnąć głęboko powietrza, którego domagały się jego płuca - przemarznięty do kości, bez czucia w rękach i nogach, wstał niepewnie i zaczął strząsać z siebie zamarznięty śnieg, patrząc na drogę w kierunku blokady. Sekundę później leżał już twarzą do ziemi płasko w rowie, z sercem walącym jak oszalałe, i rozpaczliwie usiłował wyjąć prawą ręką pistolet z kieszeni płaszcza, gdzie wetknął go po bójce z milicjantami.

zrozumiał teraz, dlaczego nie było im śpieszno, mogli sobie pozwolić na stratę czasu. Nie potrafił jednak zrozumieć własnej głupoty, która kazała mu wierzyć, że może go zdradzić jedynie nieostrożny gest lub głośniejszy dźwięk. Zapomniał, że istnieje coś takiego jak

zapach - zapomniał o psach. Mimo nocy nie **było żadnych wątpliwości** co do rasy wężącego pilnie wzdłuż szosy zwierzęcia: ogar daje się łatwo rozpoznać nawet w nikłym świetle.

Usłyszawszy nagły okrzyk jednego z mężczyzn i podniecony gwar głosów, Reynolds zerwał się na nogi i w trzech skokach dopadł kępy drzew: trudno było się spodziewać, że go nie wypatrzą na tej wielkiej białej przestrzeni. On sam kątem oka zdążył jeszcze dojrzeć czterech mężczyzn z psami na smyczy: pozostałe trzy psy były innej rasy, tego był pewien. Schował się za pień drzewa, którego gałęzi zawdzięczał swoje krótkie i zdradzieckie schronienie, wyjął pistolet z kieszeni i przyjrzał mu się uważnie. Zrobiona na specjalne zamówienie, pięknie wykonana belgijka kaliber 6.35, precyzyjna i śmiertelna broń, z której mógł trafić do celu mniejszego niż ludzka dłoń, z odległości dwudziestu kroków, dziesięć razy na dziesięć. Zdawał sobie jednak sprawę, że teraz będzie miał trudności z trafieniem w człowieka z połowy tego dystansu, gdyż jego przemarznięte i trzęsące się ręce nie były w stanie podporządkować się dyrektywom płynącym z mózgu. Wiedziony szóstym zmysłem podniósł pistolet do oczu i usta mu się zacisnęły: nawet w bladym świetle gwiazd widać było, że lufa zatkana jest zamarzniętym śniegiem.

Zdjął kapelusz i trzymając go za rondo na wysokości ramienia wysunął nieco spoza drzewa, poczekał parę sekund, potem przykucną) i wyjrzał ostrożnie z drugiej strony pnia. Czterech mężczyzn było już w odległości najwyżej pięćdziesięciu kroków, szli zwartym szeregiem, ramię w ramię, trzymając na smyczach wrywające się psy. Reynolds wyprostował się, wyjął z wewnętrznej kieszeni długopis i szybko, ale bez paniki, zaczął wydłubywać z lufy pistoletu śnieg. Ale odrętwiałe ręce zawiodły go i kiedy długopis wyslizgnął mu się z zeszywniałych palców, znikając czubkiem w wysokiej zaspie, wiedział, że nie ma go co szukać, że już i tak za późno.

Słyszał skrzypienie podkutych butów na twardo ubitej nawierzchni drogi. -Trzydzieści kroków, może nawet mniej Zaciśną) zsiniały, skostniały palec na spuście, przylegając wnętrzem nadgarstka do twardej, szorstkiej kory, gotów wysunąć lufę z za drzewa - musiał z całej siły przyciskać dłoń do pnia, żeby opanować jej drżenie - a lewą ręką sięgnął) do pasa po nóż sprężynowy. Pistolet był przeznaczony dla mężczyzn, nóż dla psów, szanse były więc wyrównane, gdyż milicjanci zbliżali się do niego idąc ławą przez całą szerokość szosy, z karabinami dyndającymi na ramionach - niewprawni amatorzy, nie mający pojęcia ani o walce, ani o śmierci. Albo raczej szanse byłyby prawie równe, gdyby nie pistolet: pierwszy strzał mógł oczyścić zatkaną lufę, a mógł też urwać Reynoldsowi dłoń. Per saldo więc jego szanse przedstawiały się o niebo gorzej. ale misja taka jak ta w ogóle nie dawała mu wielkich szans.

Niemniej wciąż miał przed sobą określone zadanie i to usprawiedliwiała wszelkie działania oprócz czysto samobójczych.

Nóż sprężynowy szczęknął głośno i wysunęło się długie na dwanaście centymetrów, dwustronne stalowe ostrze, które błysnęło złowrogo w świetle gwiazd, gdy Reynolds wychylił się z za pnia wymierzając pistolet w najbliższego milicjanta. Palec zacisnął mu się na spuście, znieruchomiał, rozluźnił się i w chwilę potem Reynolds cofnął się za drzewo. Jego rękę znów opanowało niepoahamowane drżenie, w ustach poczuł nagłą suchość: dopiero teraz poznał rasę pozostałych trzech psów.

Z niewyszkolonymi wiejskimi milicjantami, choćby i uzbrojonymi, miał szansę sobie poradzić, z ogarem również, ale tylko szalenie mógłby się targnąć na walkę z trzema wytresowanymi dobermanami, najzacieklejszymi i najgroźniejszymi psami na świecie. Szybkie jak wilki. silne jak owczarki alzackie, nieustraszone i bezwzględne, dobermany dawały się zwyciężyć jedynie śmierci. Reynolds nawet się nie zawahał). Ryzyko, które chciał

podjąć, już nie było ryzykiem, ale stuprocentowym samobójstwem. Nadal najważniejsze było zadanie, jakie miał wykonać. Pozostając przy życiu, choćby jako więzień, mógł żywić iskierkę nadziei - jeśli da sobie rozszarpać gardło przez dobermana, ani Jennings, ani jego sekrety nigdy nie wrócą do rodzinnego kraju.

Reynolds oparł czubek noża o drzewo, wcisnął ostrze z powrotem, schował nóż do skórzanej pochwy i położył na głowie pod kapeluszem. Sekundę później rzucił pistolet do stóp zaskoczonych milicjantów i wyszedł na drogę w światło gwiazd z rękami wysoko podniesionymi do góry.

Po dwudziestu minutach doszli do milicyjnego baraku. Zarówno aresztowanie jak i długi marsz na mrozie przebiegły bez żadnych incydentów. Reynolds spodziewał się w najlepszym razie brutalnej szarpaniny, a w najgorszym ciężkiego poturbowania kolbami karabinów i podkutymi butami, ale milicjanci byli spokojni, niemal uprzejmi i nie okazywali gniewu ani wrogości, nawet ten z wielkim siniakiem na twarzy, już podpuchniętej po wcześniej zadanych ciosie pistoletem Reynoldsa. Oprócz pobieżnego przeszukania, czy nie ma przy sobie innej broni, nie napastowali go więcej, nie zadawali żadnych pytań ani nie żądali okazania dokumentów. Ta powściągliwość skonsternowała Reynoldsa: nie tego się spodziewał w państwie policyjnym.

Ciężarówka, do której się wkradł, dalej stała w tym samym miejscu, jej kierowca gwałtownie protestował i gestykulował obiema rękami, przekonując dwóch milicjantów o swojej niewinności - jak się Reynolds domyślił, podejrzewano go zapewne, że wiedział o obecności pasażera na gapę. Zatrzymał się, chcąc w miarę możliwości oczyścić kierowcę z zarzutu, ale nie pozwolono mu dojść do słowa. Dwaj konwojenci z wielką nadgorliwością - teraz, kiedy znaleźli się w obecności dowództwa i swoich bezpośrednich przełożonych - chwycili go pod pachy i wepchnęli do baraku.

Barak był mały, kwadratowy i prowizoryczny, szpary w ścianach poutykano gazetami, a całe wyposażenie stanowiły przenośny piecyk z rurą sterczącą przez dach, telefon, dwa krzesła i zniszczone małe biurko. Za biurkiem siedział oficer, niski tusty człowieczek w średnim wieku, o czerwonej nalanej twarzy bez wyrazu. Zapewne marzył, aby jego świńskie oczka rzucały zimne, przewiercające na wskroś spojrzenie, lecz nie bardzo mu to wychodziło: nadymał się rzekomym autorytetem jak nastroszony indor. Zero, ocenił go Reynolds. Choć w pewnych okolicznościach - takich jak obecne - może okazać się niebezpieczny, przy pierwszym kontakcie z kimś ważniejszym od siebie pęknie jak przekłuty balonik. Mały blef nie zawadzi.

Wyrwał się z rąk trzymających go milicjantów, podszedł dwoma długimi krokami do biurka i wyrznął pięścią z taką siłą, że telefon na chwiejnym blacie podskoczył i jękliwie zadzwieczał.

- Czy pan tu jest dowódcą? - zapytał podniesionym tonem.

Człowieczek za biurkiem zamrugął z przerażeniem, odchylił się szybko w krzesło i zaczął instynktownie osłaniać się jak przed ciosem, lecz zaraz zmitygował się i opuścił ręce. Ale wiedział, że jego ludzie to widzieli i jego czerwony kark i policzki spurpurowiały jeszcze bardziej.

- Oczywiście, że jestem tu dowódcą! -- Zaczął piskliwym dyszkantem, wziął się w garść i głos spadł mu o oktawę. - A co pan myślał?

-Więc co do diabła ma znaczyć ten skandal? -Reynolds wpadł mu w słowa, wyjął z portfela przepustkę i paszport i rzucił je na stół.,- Niech pan to sobie obejrzy. Sprawdzi fotografię i odciski palców, będzie szybko. Już jestem spóźniony i nie mam czasu dyskutować z panem całą noc. No dalej! Niech się pan pospieszy!

Człowieczek za biurkiem musiałby wykazać nadludzką odporność, żeby tak

zdecydowana pewność siebie i święte oburzenie nie zrobiły na nim żadnego wrażenia - jemu było jednak do takiej odporności daleko. Wolno, niechętnie przysunął do siebie dokumenty i wziął je do ręki.

- Johann Buhl -przeczytał. -Urodzony w Linzu w tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim, teraz zamieszkały w Wiedniu, przedsiębiorca, import-eksport-hurt części zamiennej.

- A tu jest wysłane ekspresem zaproszenie waszego Ministerstwa Przemysłu - dodał Reynolds ze złowrogim spokojem.

List, który teraz rzucił na stół, był napisany na firmowym papierze ministerstwa, koperta miała znaczek ostemplowany w Budapeszcie cztery dni temu. Reynolds niedbale przyciągnął krzesło, usiadł i zapalił papierosa. Papieros, papierośnica, zapalniczka wszystko było austriackie, a jego nonszalancka pewność siebie musiała wyglądać na prawdziwą.

- Ciekawe, co powiedzą na to pana przełożeni w Budapeszcie? - mruknął. - Chyba nie zwiększy to pana szans na awans.

- Gorliwość, nawet nadgorliwość nie jest przestępstwem w naszym kraju.

Głos oficera był już opanowany, ale pulchne białe ręce drżały lekko, kiedy wkładał list do koperty i zwracał dokumenty Reynoldsowi. Złożył ręce na biurku, wbił w nie wzrok, a potem z zaszepionym czołem przeniósł spojrzenie na Reynoldsa.

- Dlaczego pan uciekał? - spytał.

- O mój Boże! - Reynolds potrząsnął głową z udaną rozpaczą: to oczywiste pytanie od tak dawna wisiało w powietrzu, że miał mnóstwo czasu, aby przygotować odpowiedź. - A co by pan zrobił, gdyby w środku nocy rzuciło się na pana dwóch zbirów wygrażając bronią? Siedziałby pan spokojnie i dał się zatłuc?

- To byli milicjanci. Mógł pan...

- Teraz widzę, że to byli milicjanci-przerwał Reynolds kwaśno. - Ale w ciężarówce było ciemno jak w- grobie. Wyciągnął się niedbale na krzesło, na pozór spokojny i rozluźniony, myśląc intensywnie, co dalej. Człowieczek za biurkiem był ostatecznie porucznikiem milicji lub kimś równym mu stopniem. Chyba nie jest taki głupi, na jakiego wygląda, pomyślał Reynolds, i może w każdej chwili zadać jakieś niewygodne pytanie. Zdecydował, że największe szanse da mu bezczelność, zarzucił więc postawę wrogości i odezwał się ę przyjaznym tonem:

- Niech pan posłucha, dajmy sobie z tym spokój. Nie sędzę, aby to była pańska wina.

Wykonywał pan tylko swój obowiązek, choć ta nadgorliwość może mieć dla pana przykre konsekwencje. Ubijmy interes: pan zapewni mi środek transportu do Budapesztu, a ja zapomnę o wszystkim. Nie ma powodu, żeby ta sprawa doszła do uszu pańskich przełożonych.

- Dziękuję. Jest pan bardzo uprzejmy. - Propozycja została przyjęta przez oficera z mniejszym entuzjazmem niż się Reynolds spodziewał, a w jego głosie wyczuł nawet jakby cień sarkazmu. -Niech mi pan powie, Buhl, dlaczego był pan w tej ciężarówce? Dość niezwykła forma podróżowania jak na takiego ważnego przedsiębiorcę. I nawet nie zapytał pan kierowcy.

- Zapewne by mi odmówił. Miał wywieszkę, że nie bierze przygodnych pasażerów. - Gdzieś w głębi mózgu zadźwięczał mu ostrzegawczy dzwoneczek. - A ja mam pilne spotkanie.

- Ale dlaczego...

- Dlaczego ciężarówka? - Reynolds uśmiechnął się ponuro. - Wasze drogi są zdradzieckie.

Tu poślizg na lodzie, tam dziura w nawierzchni i mój borgward złamał przednią oś.

- Przyjechał pan samochodem? Przemysłowiec w takim pośpiechu...

- Wiem, wiem! - Reynolds pozwolił sobie na nutę zniecierpliwienia i irytacji. Dlaczego nie samolotem? Miałem ćwierć tony części zamiennych w bagażniku i na tylnych siedzeniach; nie ładuje się takiego ciężaru na samolot. -Ze złością wyciągnął następnego papierosa. -To całe przesłuchanie jest niepoważne. Dowiodłem moich uczciwych zamiarów i bardzo się spieszę. Co z tym transportem?

- Jeszcze tylko dwa małe pytanki i pojedzie pan - przyrzekł oficer.

Opierał się teraz wygodnie w krześle, z rękami skrzyżowanymi na piersiach i Reynolds poczuł, że jego niepokój rośnie.

- Przyjechał pan prosto z Wiednia? Główną szosą? - Oczywiście! - zawołał Reynolds. - Jakby inaczej? - Dziś rano?

- Niech pan nie będzie śmieszny. - Wiedeń był oddalony o niespełna dwieście kilometrów od miejsca, gdzie się znajdowali. - Dziś po południu.

- O czwartej? Piątej?

- Później. Dokładnie dziesięć po szóstej. Pamiętam, że spojrzałem na zegarek podczas odprawy celnej.

- Mógłby pan na to przysiąc? - Jeśli to konieczne.

Szybkie kiwnięcie głową i znak dany oczami przez oficera zaskoczyły Reynoldsa, lecz zanim zdążył uczynić najmniejszy ruch, trzy pary ramion pochwytyły go z tyłu, postawiły na nogi i na wykręconych do przodu rękach szczęknęły błyszczące, stalowe kajdanki.

- Co to do diabła ma znaczyć? - Mimo szoku, zimna furia w głosie Reynoldsa nie mogła być prawdziwsza.

- To znaczy, że umiejętny kłamca nie powinien operować nie sprawdzonymi faktami. -

Milicjant starał się mówić normalnym tonem, ale tryumf w jego głosie i oczach był dla wszystkich widoczny. - Mam dla pana wiadomość. Buhl, jeśli pan się tak nazywa, w co ani przez moment nie wierzyłem. Dziś o trzeciej po południu granica austriacka została zamknięta na dwadzieścia cztery godziny, jak sądzę w celu rutynowej kontroli przejścia. Dziesięć po szóstej, akurat! Nie kryjąc już szerokiego uśmiechu, sięgnął ręką po słuchawkę telefonu. - Dostaniesz od nas środek transportu do Budapesztu, ty bezczelny oszuście, dostaniesz, a jakże, milicyjną więźniarkę. Już od dawna nie mieliśmy w rękach zachodniego szpiega, jestem pewien, że z przyjemnością wyślą specjalnie z tej okazji samochód z samego Budapesztu.

Przerwał nagle, zmarszczył brwi, nacisnął widełki telefonu raz i drugi, posłuchał jeszcze przez chwilę, w końcu mruknął coś pod nosem i gniewnym ruchem odłożył słuchawkę.

- Znowu zepsuty! Ten cholerny grat jest wiecznie zepsuty! - Nie był w stanie ukryć rozczarowania, osobiste złożenie tak ważnego meldunku stanowiłoby jedną z najpiękniejszych chwil jego życia. Skinął na jednego ze swoich ludzi. - Gdzie jest najbliższy telefon?

- W wiosce. Trzy kilometry stąd.

- Biegnij tam jak najszybciej. - Nagryzmolił coś z furją na kartce papieru. - Tu masz numer i wiadomość. Nie zapomnij powiedzieć, że pochodzi ode mnie. Idź już, nie żałuj nóg.

Milicjant złożył kartkę, wsadził do kieszeni, zapiął płaszcz po szyję i wyszedł. Przez otwarte na moment drzwi Reynolds zobaczył, że w tym krótkim okresie, który minął od jego ujęcia, niebo zdążyło się zachmurzyć i na ciemnym tle pokazały się wirujące płatki śniegu.

Mimo woli wstrząsnął się, potem zwrócił wzrok na oficera.

- Obawiam się, że przyjdzie panu gorzko za to zapłacić - powiedział spokojnie. - Robi pan wielki błąd.

- Upieranie się przy swoim jest samo w sobie rzeczą chwalebną, ale trzeba wiedzieć, kiedy dać spokój. - Człowieczek za biurkiem wyraźnie delektował się sytuacją. Jedyne błęd. jaki zrobiłem, to danie choć przez chwilę wiary pańskim słowom. - Spojrzał na zegarek. - Za półtorej

godziny, może za dwie przy tej pogodzie, nadjedzie pański, jak pan to ujął, środek transportu.

Możemy spędzić ten czas bardzo pożytecznie. Garść informacji, poproszę. Zaczniemy od pańskiego nazwiska, tym razem prawdziwego, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

- Zna pan moje nazwisko. Sprawdzał pan dokumenty. Nieproszony, Reynolds usiadł z powrotem, dyskretnie badając swoje kajdanki: były mocne, ciasno zaciśnięte wokół nadgarstków i nie dawały żadnej nadziei. Mimo wszystko, nawet mając skrępowane ręce, mógł pozbyć się oficera: nóż sprężynowy nadal spoczywał pod kapeluszem, ale nie było co o tym marzyć w obecności trzech uzbrojonych milicjantów za plecami.

- Wszystkie te informacje i papiery są prawdziwe - dodał. - Nie mogę kłamać tylko dla pańskiej przyjemności.

- Nikt nie każe panu kłamać, jedynie, powiedzmy, odświeżyć sobie pamięć. Niestety, wymaga to pewnie lekkiej zachęty. - Milicjant odsunął krzesło, podniósł się ciężko na nogi i obszedł biurko; na stojąco był jeszcze niższy i grubszy. - Nazwisko, proszę.

- Powiedziałem już...

Reynolds urwał z sykiem bólu, gdy hojnie upierścieniona ręka uderzyła go dwukrotnie w twarz: wierzchem i spodem dłoni. Potrząsnął głową, podniósł skrępowane ręce i wytarł krew z kącika ust. Jego twarz była bez wyrazu.

- Po przemyśleniu pewnych spraw nabiera się zwykle rozumu. - Oficer promieniał. -

Sądzę, że zaczynam dostrzegać u pana pierwsze oznaki rozsądku. Skończmy więc z tym głupim przekomarzaniem.

Reynolds rzucił mu w twarz niecenzuralne wyzwisko. Nalane oblicze nabiegło krwią jak po smagnięciu szpicrutą, upierścieniona ręka podniosła się - i nagle mężczyzna padł plecami na biurko, wijąc się i skowycząc z bólu po kopniaku, jaki Reynolds w wymierzył mu błyskawicznym ruchem wyrzucając w górę nogę. Na parę sekund oficer znieruchomiał, jęcząc i dysząc na wpół leżąc na wpół klęcząc na własnym biurku, podczas gdy jego ludzie stali jak skamieniali, do głębi wstrząśnięci tą nieoczekiwaną, nieprawdopodobną sytuacją. Właśnie w tym momencie drzwi z trzaskiem otworzyły się i do baraku wpłynął podmuch zimnego powietrza.

Reynolds obrócił się w krześle. Mężczyzna stojący w drzwiach zmierzył zimnym spojrzeniem jasnoniebieskich oczu - bardzo przenikliwych jasnoniebieskich oczu - scenę jaka rozgrywała się wewnątrz. Był szczupły, barczysty i tak wysoki, że jego gęste kasztanowe włosy dotykały niemal górnej framugi; miał na sobie zielonkawą, przyprószony śniegiem, wojskowy płaszcz z wysokim kołnierzem i epoletami, ściągnięty paskiem i tak długi, że zakrywał górę jego wysokich, lśniących oficerek. Reszta fizjonomii pasowała do oczu: gęste brwi, delikatne nozdrza nad przystrzyżonym wąsem, wąskie arystokratyczne usta, wszystko to nadawało zdecydowanej, przystojnej twarzy ten nieokreślony władczy wyraz kogoś nawykłego do natychmiastowego i bezwzględного posłuszeństwa.

Dwie sekundy wystarczyły mu na zorientowanie się w sytuacji - temu mężczyźnie zawsze wystarczą dwie sekundy, pomyślał Reynolds: żadnego zdziwienia, żadnych pytań "Co się tu dzieje?" czy "Co to do diabła ma znaczyć?" Przybysz wszedł prosto do pokoju, wyjął jeden z kciuków zza skórzanego paska, na którym wisiał rewolwer, pochylił się nad biurkiem i podniósł oficera na nogi, nie zwracając uwagi na jego pobielającą twarz i urywane bolesne jęki. - Idiota! - Głos był dopasowany do postaci, zimny, beznamiętny, matowy. - Kiedy następnym razem będziecie, hm... przesłuchiwać kogoś, pamiętajcie trzymać się z daleka od

jego nóg. - Wskazał ruchem głowy na Reynoldsa. Kim jest ten człowiek, o co go pytaliście i dlaczego?

Oficer rzucił wściekłe spojrzenie na więźnia, wciągnął głęboko powietrze do udreńczonych płuc i powiedział chrapliwie przez zaciśnięte gardło:

- Nazywa się rzekomo Johann Buhl i podaje za przemysłowca z Wiednia ale ja w to nie wierzę. To szpieg, śmierdzący faszystowski szpieg! - wyrzucił z furją.

- Naturalnie. - Wysoki mężczyzna uśmiechnął się chłodno. - Wszyscy szpiedzy są śmierdzącymi faszystami. Ale nie pytałem o wasze zdanie, pytałem o fakty. Po pierwsze, skąd wiecie, jak się nazywa?

- Tak powiedział i ma paszport na to nazwisko. Fałszywy, oczywiście.

- Dajcie mi go.

Oficer wskazał na stół, starając się wyprostować. - , jest tutaj - mruknął.

- Dajcie mi go. - Polecenie zostało powtórzone dokładnie tym samym tonem, z tą samą intonacją.

Milicjant wyciągnął szybko rękę, krzywiąc się z bólu przy nagłym ruchu, i podał paszport.

- Doskonale podrobiony. Rzeczywiście doskonale. Przybysz wprawnie przerzucał strony. -

Mógłby nawet być prawdziwy, ale nie jest. Tak, to nasz ptaszek.

Reynolds musiał zrobić spory wysiłek, żeby przestać zaciskać pięści. Ten człowiek był

nieskończenie groźny, stokroć groźniejszy od batalionu głupich cymbałów w rodzaju

tutejszego oficerka. Jakakolwiek próba oszukania go była stratą czasu.

- Wasz ptaszek? Wasz ptaszek? - Milicjant ciężko dyszał, z trudem łapiąc oddech. - Co to znaczy?

- Ja tu zadaję pytania, człowieku. mówicie, że jest szpiegiem. Dlaczego?

- Twierdzi, że przekroczył granicę dziś wieczór. Oficer zorientował się, że należy mówić

związłe. - Granica była zamknięta.

- To prawda.

Przybysz oparł się o ścianę, wyją rosyjskiego papierosa z płaskiej złotej papierośnicy - miedziane czy chromowe nie są dość dobre dla tych na górze, pomyślał Reynolds ponuro - zapalił i popatrzył w zadumie na więźnia. W końcu ciszę przerwał oficer milicji. Dwadzieścia czy trzydzieści sekund dało mu czas, żeby zebrać myśli i zdobyć się na odwagę.

- Dlaczego mam słuchać waszych rozkazów? – wybuchnął - Nigdy was dotąd nie widziałem. Ja tutaj jestem dowódcą. A kim wy jesteście, do diabła?

upłynęło całe dziesięć sekund, podczas których przybysz badał dokładnie wzrokiem twarz i ubranie Reynoldsa, zanim odwrócił się bez pośpiechu i spojrział na milicjanta. Jego oczy były lodowate, nieruchome. choć wyraz twarzy się nie zmienił: oficer zdawał się dziwnie kurczyć w swoim mundurze i cofnął się szybko, wpadając na kant biurka.

- Zdarzają mi się, choć rzadko, momenty wspaniałomyślności. Zapomnimy na razie, co powiedzieliście i jakim tonem. - Przybysz wskazał głową na Reynoldsa i jego głos niemal nieznacznie stwardniał. - Temu człowiekowi leci krew z ust. Stawiał może opór przy aresztowaniu?

- Nie odpowiadał na moje pytania i ...

- Kto dał wam prawo przesłuchiwać czy bić więźniów? - Zabrzmiało to jak smagnięcie bata. - Ty cholerny, skończony idioto, mogłeś wyrządzić nieodwracalną szkodę! Jeszcze raz przekroczysz kompetencje, a osobiście dopilnuję, żebyś odpoczął od swoich męczących obowiązków. Może nad morzem, na przykład w Konstancy

Milicjant próbował oblizać wyschnięte wargi, jego oczy były oszalałe ze strachu.

Konstanca, rejon niewolniczych obozów pracy przy budowie kanału Dunaj-Morze Czarne.

była postrachem całej Europy Środkowej: wielu tam zesłano, ale nikt nigdy nie wrócił.

- Ja tylko... ja tylko myślałem...

- Zostaw myślenie tym, którzy potrafią sprostać temu trudnemu zadaniu. - Wskazał kciukiem na Reynoldsa. Każcie zaprowadzić tego człowieka do mojego samochodu.

Naturalnie, został przeszukany?

- Ależ oczywiście! - Oficer aż trząsał się z gorliwości. Bardzo dokładnie, zapewniam.

- Zapewnienie z waszych ust to najlepszy powód do powtórzenia tej czynności -

skwitował wysoki mężczyzna sucho. Spojrzał na Reynoldsa, unosząc lekko jedną brew. Czy musimy zniżać się do upokarzających nas obu czynności, to znaczy do tego, abym osobiście pana przeszukał?

- Mam nóż pod kapeluszem. - Dziękuję.

Mężczyzna podniósł kapelusz, wziął nóż, uprzejmie wsadził Reynoldsowi kapelusz z powrotem na głowę, nacisnął sprężynę, obejrzał uważnie ostrze, zamknął nóż, wsunął go do kieszeni płaszcza i spojrzał na bladego jak płótno oficera.

- Nie widzę dlaczego nie mielibyście się wznieść na

szczyty swojej profesji - rzekł zerkając na zegarek, najwyraźniej równie złoty jak

papierośnica. - No, muszę już jechać. Widzę, że macie tu telefon. Połączcie mnie z

Andrassy, tylko szybko!

Z ulicą Andrassy! Chociaż Reynolds z każdą chwilą upewniał się co do tożsamości

mężczyzny, potwierdzenie tego podejrzenia wywołało w nim wstrząs i czuł, jak mimo

woli twarz mu tężeje pod baczny wzrokiem przybysza. Przy ulicy Andrassy mieściła się

kwatery główna AVO, Węgierskiego Urzędu Bezpieczeństwa, którego metody po-

wszechnie uchodziły za najbardziej brutalne, bezlitosne i skuteczne za całą żelazną

kurtyną. Było to jedyne miejsce na ziemi, którego za wszelką cenę pragnął uniknąć.

- O! Widzę, że ta nazwa coś panu mówi. - Nieznajomy się uśmiechnął. - To nie świadczy dobrze o panu, panie Buhl, ani o pańskich zamiarach. Zachodni przemysłowcy rzadko interesują się tą ulicą.-Odwrócił się do milicjanta. - O co chodzi, tym razem?

- ... o telefon.-Oficer znów mówił wysokim, piskliwym tonem, mocno się zacinając.

Był przerażony do najwyższych granic. - Nie działa.

- Naturalnie. Niezrównana sprawność pod każdym względem. Niech bogowie mają w opiece nasz nieszczęsny kraj. - Przybysz wyjął z kieszeni portfel z legitymacją i machnął nim przed oczami milicjanta.-Jak widzicie, mam wystarczającą szarżę, żeby przejąć więźnia.

- Oczywiście, towarzyszu pułkowniku, oczywiście. Krztusił się z nadgorliwości. - Cokolwiek każecie, towarzyszu pułkowniku.

- - Dobrze. - Portfel zniknął w kieszeni, nieznajomy zwrócił się do Reynoldsa i uklonił z ironiczną kurtuazją. Pułkownik Szendrő z Węgierskiego Urzędu Bezpieczeństwa. Jestem do usług, panie Buhl, a mój samochód jest do pańskiej dyspozycji. Niezwłocznie wyruszamy do Budapesztu. Moi koledzy i ja oczekiwaliśmy pana już od kilku tygodni i mamy wielką ochotę przedyskutować z panem parę spraw.

Rozdział drugi

Na dworze panowała teraz kompletna ciemność. ale blask z otwartych drzwi i niezastłoniętego okna baraku dawał trochę światła. Wóz pułkownika Szendrő stał po drugiej stronie drogi: czarny mercedes, który zdołała już pokryć gruba warstwa śniegu oprócz maski, gdzie topniał pod wpływem rozgrzanego silnika. Nastąpiła jeszcze chwila opóźnienia. gdy pułkownik kazał im zwolnić kierowcę ciężarówki i sprawdzić, czy Buhl nie zostawił w niej jakiegoś bagażu. Niemal od razu znaleźli tam jego torbę, wsadzili do niej zabrany mu pistolet, po czym Szendrő otworzył przednie drzwi limuzyny, zapraszając gestem więźnia do

środku.

Reynolds mógłby przysiąc, że nikt nie jest w stanie wieźć go na siłę samochodem dłużej niż pięćdziesiąt kilometrów ale jeszcze zanim ruszyli przekonał się, jak bardzo się mylił.

Podczas gdy milicjant z karabinem pilnował go z lewej strony. Szendró nachylił się z drugiej, otworzył schowek na rękawiczki przed Reynoldsem i wyciągnął dwa długie cienkie łańcuchy, zostawiając schowek otwarty.

- Nieco nietypowe auto, drogi panie Buhl - powiedział przepaszająco. - Ale pan rozumie.

Od czasu do czasu uważam, że powinienem zapewnić niektórym moim pasażerom poczucie, hm... bezpieczeństwa.

Rozpiął nagle jeden z kajdanków, przeciągnął przez niego koniec łańcucha, zamknął), przeciągnął łańcuch przez kółko na tylnej ścianie schowka i przypiął, do drugiego kajdanka.

Później owinał drugi łańcuch wokół nóg Reynoldsa, tuż nad kolanami, zamknął drzwi i nachylając się przez otwarte okno zamknął go na kłódkę do podłokietnika. Cofnął się i obejrzał swoje dzieło.

- Chyba wszystko w porządku. Będzie pan miał pewną wygodę i swobodę ruchu, ale nie dostateczną, żeby mnie dosięgnąć, zapewniam, a jednocześnie nie uda się panu

wyskoczyć przez drzwi, których tak czy owak nie można otworzyć: niech pan zauważy, że nie ma przy nich klamki. Ton pułkownika był lekki, nawet żartobliwy, ale Reynolds nie dał się tym zwieść. - Niech pan także nie robi sobie krzywdy badając ukradkiem wytrzymałość łańcuchów i ich zakotwiczenia: łańcuchy wytrzymują ciężar ponad tony, podłokietnik jest specjalnie umocniony, a kółko w schowku przymocowane do ramy... Co tam znowu, do diaska?

- Zapomniałem powiedzieć, towarzyszu pułkowniku. Oficer mówił szybko, nerwowo. -

Przekazałem wiadomość do naszej komendy w Budapeszcie, żeby przysłali samochód po

tego człowieka.

- Ach, tak? - Ton Szendró brzmiał ostro. - Kiedy? - Jakies dziesięć, piętnaście minut temu.

- Kretyn! Trzeba było powiedzieć mi od razu. W każdym razie teraz już za późno. To nic, może nawet dobrze się stało. Jeśli wasi koledzy są równie ciężko myślący jak wy, co doprawdy trudno sobie wyobrazić, długa jazda w zimnym nocnym powietrzu powinna zbawczo rozjaśnić im umysły.

Pułkownik Szendró zatrzasnął drzwiczki, zapalił światło nad przednią szybą, żeby widzieć więźnia, i ruszył do Budapesztu. Mercedes miał szerokie śniegowe opony na wszystkich czterech kołach i mimo zlodowaciałej nawierzchni Szendró jechał z dużą szybkością.

Prowadził ze swobodną biegłością mistrza, raz po raz zwracając zimne niebieskie oczy na prawo.

Reynolds siedział spokojnie, patrząc przed siebie. Sprawdził już łańcuchy mimo przestróg pułkownika - który rzeczywiście nie przesadził. Teraz zmuszał się, aby myśleć zimno, precyzyjnie i konstruktywnie. Jego sytuacja była niemal beznadziejna, a wiedział, że kiedy dotrą do Budapesztu, będzie zupełnie beznadziejna. Cuda się zdarzają, ale tylko w określonych granicach - nikt nigdy nie uciekł z kwatery głównej AVO, z sal tortur na ulicy Stalina. W chwili, gdy się tam znajdzie, będzie zgubiony. Jeśli ma uciec, to tylko podczas jazdy, w ciągu najbliższej godziny.

Na jego drzwiczkach nie było korbki do otwierania okna - pułkownik przemyślnie usunął wszelkie takie pokusy ale nawet przy otwartym oknie nie dosięgnąłby klamki na zewnątrz. Jego ręce nie dosięgały także do kierownicy. Sprawdził także długość łańcucha i wiedział, że zabrakłoby dobrych kilku centymetrów. Mógł wyciągnąć nogi na pewną odległość ale nie mógł podnieść ich na tyle wysoko, żeby kopnąć w przednią szybę, roztrzaskać w bryzgi hartowane szkło być może spowodować wypadek przy dużej prędkości. Mógł oprzeć nogi o

tablicę rozdzielczą i znalazł samochody, w których zrzuciłby w ten sposób przednie siedzenie z szyn. Ale w tym aucie wszystko wyglądało solidnie, a gdyby jego próby spaliły a to było niemal nieuniknione, zostałby stuknięty w głowę i dowieziony nieprzytomny na ulicę Andrassy. Świadomie nie dopuszczał do siebie myśli, co się z nim stanie, kiedy już się tam znajdzie: to prowadziło jedynie do upadku ducha i zguby.

Kieszenie - czy ma coś w kieszeniach, co mogłoby się przydać? Coś na tyle ciężkiego, żeby walnąć Szendrő w głowę i wprawić w szok na czas wystarczająco długi, aby stracił kontrolę nad kierownicą i rozbił samochód. Reynolds zdawał sobie sprawę, że sam może zostać ranny równie ciężko jak pułkownik, chociaż miał tę przewagę, że byłby przygotowany, ale pięćdziesiąt procent szansy było lepsze niż jedna na milion. Wiedział dokładnie, gdzie Szendrő schował kluczyk od kajdanków.

Szybki przegląd w myślach zawartości kieszeni pozbawił go tej nadziei: miał tam tylko garść forintów. Wobec tego buty - może uda mu się zdjąć buta i rąbnąć Szendrő w twarz, zanim ten się zorientuje, co się święci? Zaraz jednak zdał sobie sprawę z daremności tego pomysłu: mając ręce w kajdankach mógłby próbować niepostrzeżenie sięgnąć do butów jedynie między kolanami, a te były ciasno skrępowane... Właśnie przyszedł mu do głowy jeszcze jeden pomysł, desperacki, lecz nie bez szans, kiedy pułkownik się odezwał, po raz pierwszy od piętnastu minut. odkąd wyruszyli w drogę.

- Jest pan niebezpiecznym człowiekiem, panie Buhl zauważył lekkim tonem. - Za dużo pan myśli... jak Kasjusz... Zna pan waszego wielkiego Szekspira, oczywiście. Reynolds nie odpowiedział. Każde słowo tego człowieka było pułapką.

- Zapewne najniebezpieczniejszym, jakiego miałem tu w samochodzie, a paru gotowych na wszystko ludzi siedziało już na tym samym miejscu co pan - ciągnął Szendrő z zadumą. - Wie pan, dokąd pan jedzie, i zdaje się pan nie denerwować. Ale

oczywiście pan się denerwuje.

Reynolds dalej milczał. Ten plan mógł się udać... najmniejsza możliwość sukcesu wystarczała, aby usprawiedliwić ryzyko.

- Jest pan niezbyt towarzyski, mówiąc najogólniej zauważył pułkownik.

Zapalił papierosa i wyrzucił zapałkę przez okno. Reynolds lekko zeszywniał: czekał właśnie na coś takiego.

- Mam nadzieję, że jest panu wygodnie? - spytał Szendró.

- Owszem. - Reynolds przybrał ten sam ton niedbałej rozmowy, co pułkownik. - Ale z chęcią zapaliłbym papierosa, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

- Ależ proszę bardzo. - Szendró był samą uprzejmością. - Należy dbać o swoich gości.

Znajdzie pan kilka leżących luzem w schowku. Tani i pospolity gatunek, niestety, ale wiem z doświadczenia, że ludzie w pańskim... położeniu nie są zbyt wybredni w tych sprawach. Każdy papieros, wszystko jedno jakiego gatunku, pomaga podczas stresu.

- Dziękuję. - Reynolds wskazał głową gałkę na tablicy rozdzielczej po swojej stronie. - Zapalniczka, tak?

- Owszem. Proszę jej użyć.

Reynolds wyciągnął spętane ręce, nacisnął zapalniczkę i wyjął ją po kilku sekundach; rozżarzona spirala zabłysła na czerwono w nikłym świetle znad szyby. Wtem ręce mu zadrżały i wypuścił ją na podłogę. Sięgnął w dół, ale jego ręka podskoczyła w górę na łańcuchu kilkanaście centymetrów nad podłogą. Zaklął cicho pod nosem.

Szendró roześmiał się i Reynolds prostując się, spojrział na niego. W twarzy pułkownika nie było złości, tylko mieszanina rozbawienia i podziwu, z przewagą tego ostatniego.

- Bardzo, bardzo sprytnie, panie Buhl. Powiedziałem, że jest pan niebezpiecznym

człowiekiem i coraz bardziej się w tym upewniam. - Zaciągnął się głęboko papierosem. -

Otwierają się teraz przed nami trzy różne możliwości, prawda? Żadna z nich, muszę przyznać, nie jest dla mnie szczególnie pociągająca.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Wspaniale! - Szendró uśmiechał się szeroko. - Zdumienie w pana głosie nie mogłoby brzmieć prawdziwiej. Jak powiedziałem, mamy przed sobą trzy warianty. Pierwszy: schyliam się usłużnie, żeby ją podnieść, a pan z całej siły wali mnie w tył głowy kajdankami. Z pewnością straciłbym przytomność, zaś pan bardzo uważnie, choć dyskretnie, obserwował, gdzie chowam kluczyki.

Reynolds spojrział na niego pozornie nierozumiejącym wzrokiem, ale w ustach już czuł gorycz porażki.

- Drugi wariant: rzucam panu pudełko zapalek, pan zapala jedną, podpala główki w całym pudełku i ciska mi je w twarz, samochód rozbija się i kto wie, co dalej? Mogę też podać panu ogień, zapalniczką lub papierosem, wtedy chwyt judo za kciuk, parę złamanych palców, przejście na nadgarstek i kluczyki są do pańskiej dyspozycji. Panie Buhl, musi się pan obejść smakiem.

- Mówi pan bzdury-powiedział Reynolds grubiańsko. - Może, może... Mam podejrzliwą naturę i dlatego jeszcze chodzę po tym świecie. - Rzucił coś Reynoldsowi na kolana. - Oto jedna zapałka. Może ją pan zapalić o metalowy zawias schowka.

Reynolds siedział i palił w milczeniu. Nie mógł i nie chciał się poddać, chociaż wiedział w głębi serca, że mężczyzna za kierownicą zna się na wszystkich sztuczkach, nawet takich, o których on sam nie ma pojęcia. Przyszło mu do głowy jeszcze pół tuzina pomysłów, każdy bardziej fantastyczny i niedorzeczny od poprzedniego, i właśnie kończył palić drugiego papierosa odpałił go od pierwszego kiedy pułkownik zredukował bieg, rozejrzał się po pobo-

czu, zahamował nagle i skręcił w wiejską drogę. Pół minuty później, kiedy jechali nią równoległe do szosy, nie. dalej niż dwadzieścia metrów od niej, ale skryci za gęstymi, ośnieżonymi krzakami. Szendró zatrzymał samochód i zgasił silnik, a także światła mijania i pozycyjne; mimo mrozu otworzył do końca okno i wbił wzrok w Reynoldsa. Światło nad szybą nadal paliło się w ciemności.

Teraz się zacznie, pomyślał Reynoldsponuro. Niecałe pięćdziesiąt kilometrów do Budapesztu, ale on już nie może się doczekać. Reynolds nie miał żadnych złudzeń, żadnej nadziei. Miał w swoim czasie dostęp do tajnych akt na temat działalności Węgierskiego Urzędu Bezpieczeństwa w rok po krwawym powstaniu październikowym tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku. Była to przerażająca lektura, trudno wprost uwierzyć, że funkcjonariusze AVO - czy AVH jak się ostatnio nazywali - należą do istot rasy ludzkiej. Gdziekolwiek się pojawili, nieśli ze sobą terror i zagładę, śmierć za życia i śmierć w sensie dosłownym, powolną śmierć ludzi starych w obozach zesłańców i młodych w obozach niewolniczej pracy, szybką śmierć zbiorowych egzekucji i potworną śmierć w męczarniach tych, którzy przechodzili najokrutniejsze tortury, jakie mogli w swych szatańskich umysłach wymyślić wyrafinowani sadyści, zawsze trafiający do policji politycznej państw dyktatorskich na całym świecie. A żadna z nich w tych czasach nie przewyższyła ani nawet nie dorównała węgierskiemu AVO w nieopisanych okropnościach, nieludzkich okrucieństwach i wszechobecnym terrorze, pod jarzmem którego trzymali bezbronnych, zastraszonych do granic ludzi. Nauczyli się wiele od hitlerowskiego Gestapo podczas drugiej wojny światowej i pogłębili tę wiedzę pod kierunkiem NKWD, swoich obecnych radzieckich zwierzchników. Ale teraz uczniowie przerośli mistrzów i wprowadzili jeżące włosy na głowie udoskonalenia i jeszcze skuteczniejsze metody zastraszania, o jakich innym się nawet nie śniło.

Ale pułkownik Szendró był nadal w rozmownym nastroju. Odwrócił się, wziął torbę z tylnego siedzenia i położył ją na spróbował otworzyć. Była zamknięta.

- Klucz - powiedział Szendró. - I proszę mi nie mówić, że pan go nie ma, albo że się zgubił. Obaj, jak sądzę, panie Buhl, wyrosliśmy już z przedszkola.

To prawda, pomyślał Reynolds ponuro.

- Jest w kieszeni mojej marynarki - rzekł. - Proszę go wyjąć. I pana dokumenty także. - Nie mogę do nich dosięgnąć.

- Ja to zrobię.

Reynolds skrzywił się, kiedy poczuł mocny ucisk lufy rewolweru na ustach i rękę pułkownika wyjmującą mu dokumenty z kieszeni na piersiach z wprawą, jakiej nie powstydziliby się zawodowy kieszonkowiec. Po chwili Szendró już siedział na swoim miejscu z otwartą torbą na kolanach; bez namysłu przeciął płócienną podszewkę i wyciągnął z głębi cienki plik papierów, które zaczął porównywać z dokumentami z kieszeni Reynoldsa.

- No, no, no, panie Buhl. Interesujące, bardzo interesujące. zmienia pan tożsamość niczym kameleon barwę. Nazwisko, miejsce urodzenia, zawód, nawet narodowość, wszystko nowe w mgnieniu oka. Nadzwyczajna przemiana. - Oglądał dwa zestawy dokumentów, trzymając każdy w innej ręce. - Któremu z nich, jeśli już, mamy wierzyć?

- Austriackie papiery są fałszywe - burknął Reynolds. Po raz pierwszy przestał mówić po niemiecku i przeszedł na płynny, kolokwialny węgierski. - Dostałem wiadomość, że moja matka, która od wielu lat mieszkała w Wiedniu, jest umierająca. Musiałem je zdobyć.

- Oczywiście. A co z pańską matką?

- Nie żyje.-Reynoldsprzeżegnał się.-Znajdziepanjej nekrolog we wtorkowej gazecie. bteria Rakosi.

- Doszedłem już do tego, że byłbym zdziwiony, gdybym nie znalazł.

"Szendrő" też mówił po węgiersku, ale jego akcent nie był , budapeszteński. Reynolds był tego pewien: spędził wiele katorżniczych miesięcy ucząc się wszystkich budapeszteńskich naleciałości i idiomów od byłego profesora języków środkowoeuropejskich z Uniwersytetu Budapeszteńskiego.

- Co za nieszczęście - ciągnął pułkownik. - Skłaniam

głowę w cichym współczuciu, metaforycznie, rozumie pan. A więc twierdzi pan, że nazywa się Lajos Rakosi? Bardzo powszechne nazwisko.

- Pospolite. I prawdziwe. Znajdzie je pan w ewidencji wraz z datą urodzenia, miejscem zamieszkania i datą ślubu. A także...

- Proszę mi oszczędzić. - Szendrő zaprotestował podniesieniem ręki. - Nie wątpię. Nie wątpię, że może mi pan pokazać ławkę szkolną z wydrapanymi swoimi inicjałami i zaprezentować dawną małą przyjaciółkę, której odniósł pan kiedyś książki do domu. Nie zrobi to na mnie najmniejszego wrażenia. Co natomiast robi na mnie wrażenie, to nadzwyczajna skrupulatność i precyzja działania nie tylko pana, ale i pańskich zwierzchników, którzy tak starannie przygotowali pana do jakichś wyznaczonych przez siebie zadań. Chyba nigdy dotąd nie zetknąłem się z taką perfekcją.

- Mówi pan zagadkami. pułkowniku. Jestem zwykłym. szarym obywatelem. Mogę tego dowieść. To prawda, mam sfalszowane austriackie papiery. Ale moja matka była umierająca i zdecydowałem się iść na całość. Nie popełniłem jednak żadnego przestępstwa przeciwko naszemu państwu, chyba sam pan to przyzna. Gdybym chciał mógłbym zostać na Zachodzie, ale nie chciałem. Mój kraj jest moim krajem, Budapeszt jest moim rodzinnym miastem. Toteż wróciłem.

- Drobną poprawką - mruknął Szendrő. - Nie wrócił pan do Budapesztu, ale pan przyjechał i to zapewne po raz pierwszy. - Patrzył wprost na Reynoldsa i nagle wyraz

jego twarzy się zmienił. - Tam, za panem!

Reynolds odruchowo obejrzał się, zanim sobie uświadomił, że Szendró krzyknął po angielsku, choć w jego oczach ani tonie nie było nic, co by zdradzało jego intencje. Odwrócił się z powrotem z miną niemal znudzoną.

- Dziecinny trik. Znam angielski - mówił teraz po angielsku-co w tym dziwnego.

Drogi pułkowniku, gdyby pan pochodził z Budapesztu, skąd pan nie pochodzi, wiedziałby pan, że zna go co najmniej pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców stolicy.

Dlaczego tak powszechna umiejętność miałaby budzić podejrzenie

- Do licha! -Szendró klepnął się ręką w udo. - Wspaniale, naprawdę wspaniale. Zaczynam odczuwać zawodową zazdrość. Żeby Anglik czy Amerykanin - Anglik, jak sądzę, amerykańska intonacja jest trudna do ukrycia - nauczył się tak dobrze mówić po węgiersku, w dodatku z budapeszteńskim akcentem, to już niemało. Ale żeby Anglik mówił z tym akcentem po angielsku, to doprawdy nadzwyczajne!

- Na miłość boską, nie ma w tym nic nadzwyczajnego! zirytował, się Reynolds. - Przecież jestem Węgrem.

- Obawiam się, że nie. - Szendró potrząsnął głową. Pańscy zwierzchnicy przygotowali pana bardzo dobrze; na marginesie: jest pan wart Fortunę dla każdego kontrwywiadu na świecie, ale jednej rzeczy nie mogli pana nauczyć, ponieważ jej nie znają. Mówię o mentalności ludzkiej. Sądzę, że możemy rozmawiać otwarcie, jak dwaj inteligentni mężczyźni i zostawić na boku dęte patriotyczne banały wygłaszane na użytek tak zwanego proletariatu. Jest to, krótko mówiąc, mentalność ludzi pokonanych, zastraszonych, niepewnych dnia ani godziny.

Reynolds patrzył na niego ze zdumieniem: ten człowiek musiał być niesłychanie pewny siebie.

- Widziałem wielu naszych rodaków, panie Buhl - ciągnął Szendró nie zwracając uwagi na zdziwienie Reynoldsa - idących na straszliwe tortury i śmierć. Większość jest sparaliżowana z przerażenia, niektórzy dygoczą i płaczą, nieliczni trzęsą się z wściekłości. Pan nie pasuje do żadnej z tych kategorii, choć pan powinien. Ale, jak już mówiłem, są rzeczy, o których pańscy mocodawcy nie mogą wiedzieć. Siedzi pan koło mnie i na chłodno, bez emocji cały czas planuje pan i kalkuluje, ani na chwilę nie przestając wypatrywać możliwości ucieczki, ufny w swoje siły i zdolności do skorzystania z pierwszej okazji jaka się nadarzy. Gdyby pan był człowiekiem mniejszego kalibru, panie Buhl, zachowanie nie zdradziłoby pana tak łatwo...

Przerwał nagle i zgasił górne światło, gdy ich uszu dobiegł warkot zbliżającego się samochodu; zamknął okno, szybko wyjął papierosa z ręki Reynoldsa i rozdeptał go butem. Nic już nie powiedział ani się nie poruszył, dopóki przejeżdżające auto, ledwo widoczne zza oślepiających reflektorów, sunące cicho po ośnieżonej nawierzchni, nie zniknęło w ciemności. Kiedy nie było go już widać ani słychać, Szendró zawrócił na szosę i ruszył pełnym gazem, niemal na granicy bezpieczeństwa, po zdradzieckiej drodze pośród cicho padającego śniegu.

Jazda do Budapesztu zajęła im półtorej godziny - była to długa i żmudna podróż, która w normalnych warunkach trwałaby o połowę krócej. Ale zasłona z dużych puszystych płatków wirujących w świetle reflektorów stawała się coraz gęstsza i musieli zwolnić, czasem posuwając się w niemal żółtym tempie. Pracujące ciężko wycieraczki mozolnie odgarniały śnieg, przesuwając się po coraz węższym łuku, aż wreszcie ustały zupełnie. Przynajmniej dziesięć razy Szendró musiał zatrzymać samochód, żeby wyczyścić przednie okno.

A później, kilkanaście kilometrów od granic stolicy, Szendró znów zjechał z głównej drogi zapuszczając się w sieć wąskich, krętych uliczek. Na wielu z nich, pokrytych równą gładką

białą, zdradziecko maskującą dziury w nawierzchni, ich auto było z pewnością pierwszym pojazdem przejeżdżającym tędy od początku śnieżycy. Jednak mimo skupionej i uważnej jazdy Szendrő nie przestawał co kilka sekund zerkać na Reynoldsa: jego niesłabnąca czujność wydawała się niemal nieludzka.

Reynolds nie potrafił odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego pułkownik zjechał z głównej drogi, podobnie jak dlaczego przedtem zatrzymał się w polu. To, że pragnął wtedy uniknąć spotkania z autem milicyjnym jadącym na zachód do Komaromu, a teraz ominąć blokadę na obrzeżach miasta, o której sam słyszał w Wiedniu, było oczywiste, ale przyczyny takiego zachowania były niezrozumiałe. Reynolds nie zastanawiał się dłużej nad tym problemem, miał dość własnych. Zostało mu najwyżej dziesięć minut.

Jechali teraz po dzielnicy willowej, wzdłuż krętych, spadzistych, brukowanych uliczek Budy, zachodniej części miasta, opadającej do Dunaju. śnieg znów trochę się przerzedził i Reynolds obróciwszy się w fotelu mógł dostrzec kamienisty stok Góry Gellerta, jej szare granitowe skały> sterczące ponad nawianym śniegiem: potężną sylwetkę u Gellerta i, gdy zbliżyli się do mostu Franciszka Józefa, w Wierchołek góry, gdzie w dawnych czasach biskulert, który naraził się swoim ziomkom, został wepchnięty do beczki nabitej gwoździami i strącony do Dunaju. Co za amatorska robota, pomyślał Reynolds ponuro. Pozbawiono go w ten sposób życia w ciągu paru minut. Dzisiaj w piwnicach Andrassy zabrano by się do tego znacznie precyzyjniej.

Przejechali już przez Dunaj i skręcili w lewo na Corso. niegdyś modny bulwar pełen kafejek na świeżym powietrzu, leżący w Peszcie, po drugiej stronie rzeki. Teraz był ciemny i wyłudniony, jak niemal wszystkie ulice, i wydawał się staroświecki, anachroniczny-nostalgiczna i żalosna pozostałość z dawnych, szczęśliwszych czasów. Trudno było, niemal nie sposób, przywołać duchy tych, którzy spacerowali tu zaledwie dwie dekady temu,

beztroszy, radosni, pewni, że nie będzie innego jutra, że wszystkie jutra będą takie same jak dzień dzisiejszy. Nie sposób było wyobrazić sobie, choćby mgliście, wczorajszy Budapeszt, najpiękniejsze i najpogodniejsze z miast; miasto, jakim Wiedeń nigdy nie był; miasto, do którego przyjeżdżało na krótko, na dzień lub dwa, tyłu obcokrajowców ze wszystkich stron, po to, aby nigdy już stąd nie wyjechać. Ale to wszystko minęło, nawet pamięć o tym się zatarła.

Reynolds nigdy przedtem tu nie był, ale znał to miasto jak mało który z jego rdzennych mieszkańców. Na zachodnim brzegu Dunaju Zamek Królewski, gotycko-mauretańska Baszta Rybacka i kościół św. Macieja wznosiły się niemal niewidoczne w śnieżnej ciemności. on jednak wiedział, gdzie są i jak wyglądają, jakby mieszkał tu całe życie. Po prawej stronie mijali wspaniałe gmachy Parlamentu z jego tragicznym, naznaczonym krwią dziedzińcem, gdzie podczas powstania październikowego miała miejsce masakra ponad tysiąca Węgrów rozjechanych przez czołgi i skoszonych morderczym ogniem ciężkich karabinów maszynowych ustawionych przez AVO na dachu tegoż Parlamentu.

Wszystko było prawdziwe, każdy budynek, każda ulica były na swoim miejscu, dokładnie tam, gdzie miały być, ale Reynolds nie mógł się pozbyć rosnącego poczucia nierzeczywistości, iluzji, jakby był widzem na spektaklu i oglądał przygody kogoś innego. Jako człowiek o przeciętnej wyobraźni, którą twarde szkolenie starało się całkiem wyeliminować, żeby podporządkować wszystkie emocje i uczucia rygorom intelektu i rozsądku, był świadom dziwnego stanu swojego umysłu i nie wiedział, czemu to przypisać. Może powodowały to przecucie porażki i tego, że stary Jennings nigdy nie wróci do kraju? Albo może zimno, zmęczenie. bezradność i widmowy welon wirującego śniegu spowijający wszystko dokoła? W głębi ducha czuł jednak, że chodzi o jeszcze coś innego.

Zjechali z bulwaru i skręcili w długą, szeroką, wysadzaną drzewami Andrassy - ta ulica

pięknych wspomnień. wiodąca obok Opery Królewskiej do zoo, wesołego miasteczka i parku, była niegdyś nieodłączną częścią szalonych dni i nocy, uosobieniem swobody i radości i najbliższym sercem Węgrów miejscem na ziemi. Teraz wszystko to minęło i nigdy już nie wróci, cokolwiek by się zdarzyło, nawet gdyby znów miały nastać wolność i pokój. Teraz ulica Andrassy oznaczała tylko prześladowania i terror. walenie w drzwi w środku nocy i brunatne budy, które wywoziły ludzi. obozy koncentracyjne i deportacje, tortury i błogosławieństwo śmierci: ulica Andrassy oznaczała tylko siedzibę AVO.

Nadal nie opuszczało go uczucie dystansu, oderwania od rzeczywistości. Wiedział, gdzie jest i wiedział, że jego czas nadszedł; zaczynał rozumieć, co Szendrő miał na myśli mówiąc o mentalności ludzi, którzy tak długo żyli pod terrorem z wiecznie obecnym widmem śmierci i wiedział też, że ktoś, kto przeżył podobną podróż jak on. już nigdy nie będzie taki, jak przedtem. Obojętnie, niemal z zimnym akademickim zainteresowaniem, zastanawiał się, jak długo to potrwa, zanim go zamęczą, jakie najnowsze diabelskie metody wykańczania człowieka czekają tu na niego w podziemiach.

Mercedes zaczął zwalniać, ciężkie opony skrzypiały na zamarzniętej brei i Reynolds wbrew sobie, wbrew chłodnemu stoicyzmowi wykształconemu przez lata i skorupie obojętności, w którą się uzbroił, po raz pierwszy poczuł strach. Zaszło mu w gardle, serce zaczęło walić w piersi jak oszalałe. żołądek ścisnął się boleśnie, ale nie zmieniło to ani na jotę wyrazu jego twarzy. Wiedział, że pułkownik Szendrő przypatruje mu się uważnie, wiedział, że gdyby był tym, za kogo się podaje, niewinnym mieszkańcem Budapesztu. powinien bać się i okazać to, ale nie umiał się do tego zmusić. Nie dlatego, że nie potrafił zrobić przerażonej miny, lecz dlatego, że znał sprzężenie między wyrazem twarzy a stanem umysłu: okazać strach, kiedy go się nie czuje, to nic wielkiego - ale okazać strach, kiedy się go czuje i rozpaczliwie to zwalcza, byłoby fatalne w skutkach... Pułkownik Szendrő jakby

czytał w jego myślach.

- Teraz nie mam już żadnych wątpliwości. panie Buhl. tylko pewność. Wie pan, gdzie jesteśmy, oczywiście?

- Naturalnie. - Głos Reynoldsa był opanowany. - Przechodziłem tędy setki razy.

- Nigdy w życiu pan tędy nie przechodził, ale wątpię. czy nawet główny geodeta miasta potrafiłby narysować tak dokładną mapę Budapesztu jak pan - powiedział Szendrő spokojnie, zatrzymując samochód. - Poznaje pan tu coś?

- Wasza kwatera główna. - Reynolds wskazał budynek leżący pięćdziesiąt metrów dalej, po drugiej stronie ulicy.

- Zgadza się. Teraz powinien pan zemdleć, wpaść w histerię lub najzwyczajniej szczekać zębami z przerażenia. Jak wszyscy. Oprócz pana. Albo jest pan zupełnie pozbawiony uczucia strachu, cecha godna zazdrości, jeśli nie podziwu, ale zapewniam pana, nieistniejąca w tym kraju; albo, co jest cechą godną i zazdrości i podziwu, boi się pan. lecz twarda szkoła nauczyła pana nie okazywać tego po sobie. Tak czy owak, drogi przyjacielu, pana los jest przesądzony. Nie pasuje pan do obrazu naszego społeczeństwa. może nie jest pan, jak powiedział nasz sympatyczny oficer. śmierdzącym faszystowskim szpiegiem, ale szpiegiem jest pan na pewno. - Spojrzał na zegarek, a potem wbił wzrok w Reynoldsa, przewiercając go na wylot. - Tuż po północy. czas, który lubimy najbardziej. A pan ma zapewnioną najskuteczniejszą kurację i najlepsze zakwaterowanie: mały. dźwiękoszczelny pokój głęboko pod piwnicami Budapesztu. Tylko trzech oficerów AVO wie. o jego istnieniu.

Patrzył na Reynoldsa jeszcze przez kilka sekund, potem zapalił samochód. Zamiast jednak zatrzymać się przed budynkiem AVO. skręcił z Andrassy ostro w lewo, przejechał jakieś sto metrów nieoświetloną uliczką. znów się zatrzymał i przewiązał Reynoldsowi szczelnie oczy jedwabną chustką. Dziesięć minut później, po wielu zakrętach i kluczeniu, co zgodnie z

zamierzeniem zupełnie pozbawił Reynoldsa poczucia miejsca i kierunku, samochód podskoczył ostro raz i drugi, zjechał stromo w dół i znalazł się w zamkniętej przestrzeni - Reynolds słyszał głuchy odgłos spalin odbijający się od ścian. Później, kiedy silnik zgasł, dobiegł go szczeł zamykanych z tyłu ciężkich metalowych wrót.

Po paru sekundach drzwi po jego stronie otwarto i para rąk zajęła się uwolnieniem go z krępujących łańcuchów. po czym znów włożyła mu kajdanki. Potem te same ręce wyciągnęły go z samochodu i zdjęły przepaskę.

Reynolds przymrużył oczy i kilkakrotnie zamrugał. Byli w dużym garażu bez okien, z masywnymi drzwiami i białymi ścianami. które odbijały płynące z góry światło, oślepiając go po jeździe w ciemności z przewiązanymi oczami. Po drugiej stronie garażu. niedaleko niego, znajdowały się inne drzwi, na wpół otwarte, prowadzące do jasno oświetlonego, białego korytarza. Biel, pomyślał Reynolds posepnie, zdawała się być nieodłącznym składnikiem wszystkich współczesnych miejsc kaźni.

Pomiędzy nim a drzwiami, nadal trzymając go za ramię, stał mężczyzna, który zdjął mu łańcuchy. Reynolds przypatrywał mu się dłuższą chwilę. Mając tego człowieka AVO nie musi posługiwać się narzędziami tortur, pomyślał: jego ogromne ręce mogą bez trudu rozedrzeć każdego więźnia na sztuki, powoli, kawałek: po kawałku. Był mniej więcej wzrostu Reynoldsa, ale zwalista postura sprawiała. że wyglądał jakby był wręcz zdeformowany w stosunku do wzrostu, a podobnie szerokich barów i potężnej klatki piersiowej nigdy jeszcze nie zdarzyło się Anglikowi widzieć; obcy mężczyzna musiał ważyć przynajmniej sto dwadzieścia kilo. Miał brzydką twarz ze złamanym nosem, ale co dziwne, pozbawioną wyrazu okrucieństwa czy złośliwości, tylko sympatycznie brzydką. Reynolds nie dał się zwieść. W jego profil i wyraz twarzy nic nie znaczył: najbardziej bezwzględny mężczyzna, jakiego znał, niemiecki szpieg, który stracił rachubę zabitych przez siebie ludzi,

niał twarz ministranta.

Pułkownik Szendró zatrzasnął drzwi samochodu i podszedł do nich. Wskazując głową na Reynoldsa, powiedział:

- Mamy gościa, Sandor. Mały kanarek, który jeszcze tej nocy coś niecoś nam wyśpiewa.

Czy szef już śpi?

- Czeka w gabinecie. - Głos siłacza był taki, jak należało oczekiwać: niski, dudniący głęboko w gardle.

- To świetnie. Zaraz wracam. Pilnuj naszego przyjaciela, obserwuj go bacznie. Mam wrażenie, że jest bardzo groźny.

- Nie spuszczę go z oka - przyrzekł Sandor solennie. Zaczekał, aż Szendró wyjdzie z torbą i dokumentami Reynoldsa, i oparł się wygodnie o mur. skrzyżowawszy masywne ramiona na piersi. Zaraz jednak oderwał się od ściany i zrobił krok w kierunku więźnia.

- Nie wygląda pan dobrze.

- Nic mi nie jest. - głos Reynoldsa był ochrypły, oddech szybki i płytki, a on sam chwiał się lekko na nogach. Podniósł skrępowane ręce nad prawym ramieniem i z grymasem bólu pomasaował kark. - To tylko moja głowa, o tu. z tyłu.

Sandor postąpił jeszcze krok, a potem podskoczył zwinnie naprzód, widząc, że oczy Reynoldsa umykają do góry-, ukazując białka, a on sam leci na ziemię, lekko przechylony w lewo. Mógł się poważnie zranić, a nawet zabić, gdyby uderzył głową o betonową posadzkę i Sandor rzucił się z . rozpostartymi ramionami. aby go ubezpieczyć.

Reynolds zadał mu najmocniejszy cios, jaki wymierzył w życiu. Odbiwszy się z nóg, obrócił się jak sprężyna z błyskawiczną szybkością w prawo i rąbnął go z góry rękami w kajdankach z morderczą, gwałtowną, dewastującą siłą, wyteżywszy do granic potężne mięśnie ramion i barków. Kant jego płasko złożonych dłoni dosięgnął szyi Sandora, tuż pod uchem i linią

szczęki. Było to jak walnięcie w pień drzewa i Reynolds zasyczał z bólu: poczuł się, jakby złamał oba małe palce.

Zastosował cios karate, śmiertelny cios, który zabiłby większość ludzi, a wszystkich innych sparaliżował, pozbawiając przytomności na wiele godzin; to znaczy wszystkich innych, których Reynolds dotąd znał Sandor tylko chrząknął, otrząsnął się i odwrócił bokiem, żeby zneutralizować ewentualne próby dosięgnięcia go kolaniem lub stopą: w końcu przycisnął Reynoldsa mocno do drzwi mercedesa.

Reynolds był bezsilny. Nie miał szans się przeciwstawić. Nawet gdyby chciał, ale fakt, iż ktokolwiek może nie tylko wytrzymać podobny cios, lecz go praktycznie zignorować, wprowadził go w takie osłupienie, że nie przyszło mu nawet do głowy by się bronić. Sandor przygniótł go do samochodu całą masą swego ciała, chwycił za nadgarstki i zacisnął palce. W jego oczach patrzących z bliska nie było wrogości ani żadnych zgoła uczuć. Po prostu stał i miażdżył mu kończyny w żelaznym uchwycie.

Reynolds zacisnął zęby i wargi aż do bólu, powstrzymując wyrywający się z gardła krzyk. Miał wrażenie, że jego ręce znalazły się w dwóch olbrzymich, nieubłaganie zaciskających się imadłach. Czuł, jak krew odpływa mu z twarzy, a na czole występuje zimny pot; jego mięśnie i kości za chwilę miały zostać zmiażdżone raz na zawsze. Walilo mu w skroniach, ściany garażu pociemniały mu przed oczami i zaczęły się rozplýwać, kiedy Sandor zwolnił uścisk i cofnął się, delikatnie masując sobie szyję po lewej stronie.

- Następnym razem zacisnę ręce trochę wyżej - powiedział łagodnie. -- tam, gdzie mnie pan uderzył. Więc proszę dać spokój tym głupotom. Chyba nam się dostało i to nie wiadomo po co.

Minęło pięć minut, podczas których palący Reynoldsa żywy ogień przeszedł w ćmiący, pulsujący ból, a Sandor ani na chwilę nie spuścił z niego oka. Wtem drzwi otworzyły się

szeroko i stanął w nich młody człowiek, właściwie jeszcze chłopiec. Był Szczupły i blady. z niesforną czarną czupryną i rozbieganymi, ruchliwymi oczami, niemal tak Ciemnymi jak włosy. Podniósł rękę i wskazał kciukiem za siebie.

- Szef chce go zobaczyć. Zaprowadź go, Sandor, dobrze? Sandor poprowadził Reynoldsa wąskim korytarzem, potem paroma schodami w dół na inny korytarz i pchnął go w pierwsze z szeregu drzwi po obu stronach. Reynolds potknął się, wyprostował i rozejrzał wokół. Był w dużym pokoju z drewnianą boazerią na ścianach i podłogą wyłożoną zniszczonym linoleum, przykrytym tylko niewielkim wytartym dywanikiem przed biurkiem na drugim końcu pokoju. Pomieszczenie było jasno oświetlone lampą średniej mocy u sufitu i bardzo jasną żarówką lampy biurowej o ruchomym ramieniu nad biurkiem. W tym momencie ta ostatnia była skierowana w dół na blat, oświetlając wyraźnie pistolet Reynoldsa, stosik ubrań i inne przedmioty jeszcze niedawno tak porządnie zapakowane w jego torbie. Obok ubrań leżały szczątki samej torby: podszewka była w strzępach, zamek odpruty, skórzana rączka rozerwana, nawet cztery ćwieki spod spodu zostały wyrwane parą obciążek leżących obok. Reynolds musiał przyznać w duchu, że to robota fachowców.

Pułkownik Szendró stał pochylony nad mężczyzną siedzącym za stołem. Twarz tego ostatniego skrywał cieci, ale obie ręce, trzymające któryś z dokumentów Reynoldsa, były wystawione na bezlitosne światło lampy. Widok, jaki sobą przedstawiały, był przerażający: Reynolds nigdy w życiu nie widział nic podobnego i nigdy by nie przypuszczał, że czyjeś dłonie mogą być tak pokiereszowane i okaleczone, a jednak nadal sprawne. Oba kciuki były zmiażdżone. spłaszczone i powykręcane, czubki palców i paznokcie zmienione w bezkształtną masę:.. u lewej ręki brakowało małego palca i połowy serdecznego, a grzbiety obu dłoni były pokryte okropnymi bliznami otaczającymi sino purpurowe znamiona na środku, między ścięgnami środkowych i serdecznych palców. Reynolds nie mógł oderwać od

nich wzroku i mimo woli się wzdrygnął - widział już kiedyś podobne rany: były to ślady po ukrzyżowaniu. Gdyby to były moje ręce, pomyślał z odrazą, kazałbym je amputować.

Zastanawiał się, co to za człowiek, który może nie tylko żyć z takimi dłońmi, ale nawet nie nosić rękawiczek. Poczł nagle nieprzewycięzoną chęć, żeby zobaczyć jego twarz, ale Sandor zatrzymał się z nim kilka kroków od biurka i półmrok skrywał postać po drugiej stronie.

Ręce poruszyły się, przekładając dokumenty Reynoldsa, i mężczyzna przemówił. Głos miał spokojny, opanowany, niemal przyjacielski.

- Te papiery są na swój sposób bardzo interesujące: trzeba przyznać, że podrobiono je po mistrzowsku. A teraz proszę łaskawie podać nam prawdziwe nazwisko. - Przerwał i zwrócił się do Sandora, który ciągle masował sobie kark. - Co ci jest, Sandor?

- Uderzył mnie - wyjaśnił Sandor przeproszającym tonem. - Umie to robić i nie żałuje sił.

- Niebezpieczny człowiek wtrącił Szendró. - Ostrzegałem cię przecież.

- Tak, ale to sprytna bestia - poskarżył się Sandor. Udawał, że mdleje.

- Trzeba być mistrzem, żeby cię zranić, a desperatem, żeby się na to ważyć - zauważył mężczyzna za biurkiem. Ale nie dziw się, Sandor. Kto jest o włos od śmierci, nie liczy się z kosztami... No cóż, panie Buhl. prosimy o nazwisko.

- Podałem je już pułkownikowi Szendró - odparł Reynolds. - Rakosi. Lajos Rakosi.

Mógłbym wymyślić cały szereg nazwisk, każde inne. w nadziei na zaoszczędzenie sobie niepotrzebnych cierpień, ale nie potrafiłbym udowodnić swojego prawa do żadnego z nich.

Potrafię natomiast udowodnić prawo do mojego własnego: Rakosi.

- .Jest pan odważnym człowiekiem, panie Buhl. - Mężczyzna za biurkiem potrząsnął głową. - Ale w tym domu odwaga na nic się nie zda: umiemy szybko zetrzeć ją na proch.

Interesuje nas jedynie prawda. Nazwisko, proszę.

Reynolds zwlekał chwilę z odpowiedzią. Był zdumiony, zaszokowany i niemal już rozluźniony. Ręce tego człowieka hipnotyzowały go, nie mógł oderwać od nich oczu- dojrzał teraz także niewielki tatuaż po wewnętrznej stronie nadgarstka; miał wrażenie, że mignęła mu cyfra dwa, ale z tej odległości nie mógł być pewien. Był zdumiony, ponieważ sytuacja przyjmowała co chwilę inny obrót, zbyt wiele nie pasowało do jego wyobrażeń o funkcjonariuszach AVO i tego, co o nich słyszał. Ci tutaj zachowywali się wobec niego z dziwną rezerwą, a nawet z chłodną kurtuazją. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że może to być igranie kota z myszką, że zapewne po prostu misternie próbują osłabić jego wolę oporu, zmylić go, żeby później tym skuteczniej złamać niespodziewanym ciosem. Nie potrafił więc zrozumieć, dlaczego jego strach maleje, musiało to wynikać z jakichś podświadomych impulsów, bo świadomie nie potrafił sobie tego wytłumaczyć.

- Czekamy, panie Buhl.

Reynolds nie dostrzegł najmniejszego cienia irytacji w wystudiowanym, cierpliwym głosie.

- Mogę tylko powiedzieć prawdę. Już to zrobiłem rzekł.

- Doskonale. Wobec tego proszę się rozebrać. Do naga. - Nie! - Reynolds odwrócił się szybko, ale między nim a drzwiami stał Sandor, a pułkownik Szendró już trzymał w pogotowiu rewolwer. - Nie ma mowy!

- Niech pan nie będzie niemądry. - Głos Szendró był znużony. - Trzymam w ręku broń i Sandor robi to na siłę, jeśli będzie trzeba. Ma niezawodną, choć niezbyt elegancką metodę rozbierania ludzi. Rozdziera im płaszcze i koszule z góry na dół, chwytając od tyłu. O wiele przyjemniej rozebrać się samemu.

Reynolds posłuchał. Zdjęto mu kajdanki i w ciągu minuty jego ubranie leżało w nieładzie na podłodze, a on sam stał trzęsąc się z zimna, demonstrując czerwono-sine pręgi w miejscu,

gdzie żelazne palce Sandora wpiły mu się w nadgarstki.

- Przynies to tutaj. Sandor - polecił mężczyzna za biurkiem. Spojrzał na Reynoldsa.-Na ławce za panem jest koc.

Reynolds obrzucił go zdumionym wzrokiem. Już to, że najwyraźniej chcieli się dobrać do ubrania - zapewne w poszukiwaniu jakichś poszlak-a nie do niego samego, było wystarczająco niewiarygodne, natomiast ta grzeczność i, biorąc pod uwagę zimną noc, troska, aby oferować mu przykrycie wprawiła go w osłupienie. Lecz zaraz wstrzymał oddech i o wszystkim zapomniał, bowiem mężczyzna wstał zza biurka i obszedł je nienaturalnie sztywnym krokiem, żeby obejrzeć z bliska ubranie.

Reynolds był znawcą, wysoce wyszkolonym, ludzkich twarzy, ich wyrazu i charakterów.

Zdarzało mu się popełniać błędy, i to nie raz, ale nie w sprawach zasadniczych i mógł

przysiąc, że tym razem się nie myli. Twarz mężczyzny była teraz w pełnym świetle i

pozostawała w bluźnierczej sprzeczności z jego okropnymi rękami, co wyglądało niemal na

świętokradztwo. Ta pobrużdżona, zmęczona twarz pod grzywą siwych włosów, naznaczona

głębokim piętnem tragedii, smutku i cierpienia, miała wyraz niespotykanej wręcz dobroci,

mądrości i tolerancji. Była to twarz człowieka, który widział wszystko, rozumiał wszystko,

doświadczył wszystkiego i nadal miał serce dziecka.

Reynolds usiadł ciężko na ławce, mechanicznie owijając się wypłowiałym kocem.

Rozpaczliwie usiłował opanować gonitwę sprzecznych myśli, zmusić się do racjonalnego i

chłodnego rozumowania. Ale nie potrafił jeszcze wyjść poza pierwszy nierozwiązywalny

problem, jaki stanowił udział kogoś podobnego w takiej zbrodniczej organizacji jak AVO,

kiedy spotkał go kolejny i ostatni już wstrząs, a potem niemal natychmiast nastąpiło

rozwiązanie wszystkich zagadek.

Drzwi obok otworzyły się i do pokoju weszła dziewczyna. Jak wiedział. AVO miało w

swoich szeregach także kobiety, nierzadko w roli wykwalifikowanych opraw czyn, zadających najbardziej wyrafinowane tortury, ale w najdzikszych snach nie zaliczyłby jej do tej kategorii. Była trochę poniżej średniego wzrostu, jedną ręką ścisnęła dużą, okrywającą ją chustę wokół smukłej talii, a jej twarz, młoda, świeża i niewinna, nie miała w sobie śladu zła. Jasne włosy, koloru dojrzałej pszenicy, spadały jej do ramion, a pięścią drugiej ręki przecierała ze snu oczy barwy głębokiego błękitu. Kiedy się odezwała, jej głos był wciąż lekko zaspany, ale miękki i melodyjny, choć z nutką pewnej chrapliwości.

- Dlaczego jeszcze siedzicie i gadacie? Jest pierwsza w nocy... nie, jest po pierwszej i chętnie trochę bym się przespała.

Nagle jej wzrok padł na stertę ubrań na stole, a potem przeniósł się na Reynoldsa, który siedział goły na ławce. owinięty jedynie w stary koc. Oczy rozszerzyły jej się, mimo woli cofnęła się o krok, jeszcze mocniej ściskając okrycie wokół pasa.

- Kto... kto to na Boga jest, Jansci? – spytała.

Rozdział trzeci

- Jansci!

Michael Reynolds bezwiednie zerwał się na równe nogi. Po raz pierwszy, odkąd wpadł w ręce Negrów, znikł jego wystudiowany spokój i maska pozornej obojętności, oczy mu rozblęskły podnieceniem i nadzieją, którą, jak sądził. już stracił na zawsze. podskoczył w kierunku dziewczyny, chwytając w locie koc, który spadł mu niemal do kostek. - Czy powiedziała pani "Jansci? krzyknął

- O co chodzi? Czego pan chce?

Dziewczyna cofnęła się przed nacierającym Reynoldsem i stanęła dopiero poczuwszy obok bezpieczną obecność Sandora, którego chwyciła za ramię. Strach znikł z jej twarzy, spojrzała badawczo na Reynoldsa i przytaknęła:

- Tak. powiedziałam "Jansci." - Jansci.

Reynolds powtórzył to słowo wolno, z niedowierzaniem, jak człowiek rozkoszujący się każdą sylabą, chcący uwierzyć w to co niemożliwe. Przeszedł przez pokój. w- jego oczach wciąż malowała się nadzieja zmieszana z wątpliwością, i zatrzymał się przed mężczyzną z okaleczonymi dłońmi.

- Czy pan to Jansci - Mówił wolno, nadal wyraźnie niedowierzając.

- Tak mnie nazywają. - Mężczyzna patrzył na niego uważnie i spokojnie.

-- Jeden cztery jeden cztery jeden osiem dwa. - Reynolds patrzył mu bez zmrużenia powiek prosto z oczy, szukając w nich najmniejszego śladu zrozumienia, oddźwięku: - Czy tak?

- Co, czy tak, panie Buhl?

- Jeśli pan jest Janscim. to numer brzmi jeden cztery jeden cztery jeden osiem dwa -- powtórzył Reynolds.

Delikatnie, nie napotykając oporu, ujął okaleczoną lewą dłoń mężczyzny, odsunął mankiet i spojrzał na siny tatuaż. 1414182 - numer był tak wyraźny, tak niezatarty jakby wykonano go tegoż dnia.

Reynolds usiadł na brzegu biurka, dojrzał paczkę papierosów i wytrząsnął jednego.

Szendró podsunął mu ogień co przyjął z wdzięcznością - sam nie mógłby przypalić sobie papierosa, ręce drżały mu jak w febrze. Trzask zapalanej zapałki zabrzmiał jak lmk w nagłej ciszy. w końcu to Jansci przerwał milczenie.

- Pan zdaje się coś o mnie wiedzieć" -- zapytał uprzejmie.

- Wiem więcej, niż pan myśli.

Drżenie rąk powoli ustawało i Reynolds zaczynał przychodzić do siebie, przynajmniej zewnątrz. Rozejrzał się po pokoju, taksując wzrokiem po kolei Szendró, Sandora,

dziewczynę, młodzieńca o niespokojnych, rozbieganych oczach: ich twarze wyrażały zaskoczenie i zarazem oczekiwanie.

- Czy to pańscy przyjaciele? - spytał wreszcie. - Czy ufa im pan bez zastrzeżeń? Wiedzą, kim pan jest? To znaczy, kim pan naprawdę jest?

- Owszem. Może pan mówić otwarcie.

- Jansci to pseudonim człowieka nazwiskiem Iljurrin. Reynolds mówił, jakby recytował z pamięci wyuczoną kwestię, jak też w istocie było. -- Generał brygady Oleksij Iljurin.

Urodzony w Kalinówce, na Ukrainie, osiemnastego października tysiąc dziewięćset czwartego roku. Ożenił się osiemnastego czerwca, tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego roku. Imię żony Katia, imię córki Julia. – zerknął na dziewczynę. - To musi być Julia, jest chyba w odpowiednim wieku. pułkownik Mackintosh kazał powtórzyć, że chciałby odzyskać swoje buty; nie wiem, co to znaczy.

-- To tylko taki żart z dawnych czasów. -.Jansci obszedł biurko i usadowił się z uśmiechem na krześle. -A więc mój stary przyjaciel, Peter Mackintosh, żyje. Nie do zdarcia. zawsze był nie do zdarcia Z tego wniosek, że musi pan dla niego pracować. panie...

Reynolds. Michael Reynolds. Owszem, pracuję dla niego. - Proszę go opisać. - Subtelna różnica w głosie, który stwardniał nie bardziej niż o pół tonu, była jednak wyczuwalna. - Twarz, wygląd, sposób ubierania się, rodzinę, koleje życia, wszystko.

Reynolds zastosował się do tej prośby. Mówił przez pięć minut bez przerwy, w końcu Jansci podniósł rękę.

- Wystarczy. Musi pan go znać, musi pan dla niego pracować i być tym, za kogo się pan podaje. Ale pułkownik podjął ryzyko, wielkie ryzyko, a to niepodobne do mojego przyjaciela.

- Mogli mnie złapać i zmusić do mówienia, a wtedy i pan byłby zgubiony?

- Jest pan bardzo bystry, młody człowieku.

-- Pułkownik Mackintosh niczego nie ryzykował - powiedział Reynolds spokojnie. -

Wszystko, co znałem, to pański pseudonim i numer, nic więcej. Nie miałem pojęcia, gdzie pan mieszka ani jak pan wygląda. Nie wiedziałem nawet o pańskich rękach: to pozwoliłoby mi od razu pana rozpoznać.

- Jak więc miał pan zamiar mnie znaleźć?

- Dostałem adres pewnej kawiarni. - Reynolds wymienił nazwę. - Przystani, jak określił to pułkownik, niepewnego elementu: Miałem tam być co wieczór, przy tym samym stoliku, na tym samym krześle, dopóki ktoś po mnie nie przyjdzie.

- Bez żadnego znaku identyfikacyjnego?

- Naturalnie, że był taki znak. Mój krawat.

Pułkownik Szendró spojrział na jaskrawo-karmazynowy krawat na biurku, skrzywił się z niesmakiem, kiwnął głową i odwrócił wzrok bez słowa. Reynolds poczuł, że wzbiera w nim złość.

- Skoro wiecie, to po co pytacie? - Jego głos zdradzał pierwsze odznaki irytacji.

- Bez urazy. - Jansci odpowiedział za Szendróa. -, Nieustanna podejrzliwość to jedyna gwarancja naszego bezpieczeństwa, panie Reynolds. Podejrzewamy wszystkich. Każdego, kto żyje, każdego, kto się rusza. Przez sześćdziesiąt minut na godzinę. Ale jak pan widzi. dzięki temu udaje nam się przetrwać. Proszono nas, żeby się z panem skontaktować w tej kawiarni - Imre praktycznie z niej nie wychodził przez ostatnie trzy dni - lecz to polecenie napłynęło z nieznanego źródła w Wiedniu. Nie było żadnej wzmianki o pułkowniku Mackintoshu... szczwany lis, jak zawsze. A co miało być potem?

- Powiedziano mi, że zaprowadzą mnie do pana albo do jednego z dwóch innych: Flridasa lub Białej Myszy.

- Szczęśliwie odbyliśmy tę drogę niejako na skróty mruknął Jansci. - Poza tym obawiam się, że nie zdołałby pan się spotkać ani z Hridasem, ani z Białą myszą.

- Wyjechali z Budapesztu?

- Biała Mysz jest na Syberii. Nigdy go już nie zobaczymy. Hridas zmarł trzy tygodnie temu, niespełna dwa kilometry stąd, na stole tortur w kwaterze AVO. Korzystając z chwilowej nieuwagi oprawców, chwycił rewolwer i włożył sobie do ust. Był szczęśliwy, że umiera.

- Ale... skąd pan wie o tym wszystkim?

- Pułkownik Szendrő... człowiek, którego pan zna jako pułkownika Szendrő... był przy tym obecny. To z jego rewolweru Hridas się zastrzelił.

Reynolds powoli rozduśił niedopałek papierosa w popielniczce. Spojrzał na Janskiego, potem na Szendrő i znów na Janskiego. Jego twarz była bez wyrazu.

Szendrő jest członkiem AVO od półtora roku ciągnął Jansci. - Jest jednym z ich najlepszych i najsprawniejszych oficerów, a kiedy coś w dziwny sposób się psuje i poszukiwanym ludziom w ostatniej chwili udaje się uciec, nikt nie wpada w większy gniew niż on, nikt nie pogania swoich ludzi tak okrutnie, że wprost padają z umęczenia. Mowy, jakie wygłasza do nowo zwerbowanych rekrutów i kadetów, już zostały wydane w wersji książkowej. Nazywają go Postrachem. Jego szef, Furmint, nie umie sobie wytłumaczyć patologicznej wręcz nienawiści, jaką Szendrő żywi do swoich współziomków, i twierdzi, że to jedyny niezastąpiony członek służby bezpieczeństwa w Budapeszcie... Ponad stu czy dwustu Węgrów, tu i już na Zachodzie, zawdzięcza życie pułkownikowi Szendrő.

Reynolds spojrzał na pułkownika, badając każdy rys jego twarzy, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu zastanawiał się, co to musi być za człowiek, żeby przeżywać życie w takich niebываłe trudnych i niebezpiecznych warunkach, nigdy nie wiedząc, czy nie jest

śledzony, podejrzewany, zdradzony, nigdy nie wiedząc, czy następnym ramieniem, na jakim spocznie ręka kata nie będzie jego własne. I nagle. bezwiednie zrozumiał. że to wszystko, co mówił o nim Jansci, jest prawdą. Pomijając już wszystko inne. musiało być prawdą, w przeciwnym razie on sam jęczałby teraz i krzyczał na torturach w podziemiach ulicy Stalina...

- Musi być tak, jak pan mówi, generale Iljurin - powiedział cicho. - Ale to straszne ryzyko.

- Jansci, jeśli łaska. Tylko Jansci. Generał Iljurin nie żyje.

- Przepraszam... A dzisiaj, jak to się stało dzisiaj?

- Mówi pan o swoim aresztowaniu przez naszego przyjaciela?

- Tak.

- To proste. Ma dostęp do większości tajnych informacji. Jest również wtajemniczony we wszystkie plany operacyjne w Budapeszcie i w zachodnich Węgrzech. Wiedział o blokadzie drogowej, o zamknięciu granicy... I wiedział, że jest pan w drodze do nas.

- Ale przecież... przecież chyba nie chodziło im o mnie? Skąd mogli...

Niech pan sobie nie pochlebia, drogi panie Reynolds. - Szendró starannie włożył do lufki

kolejnego czarnego rosyjskiego papierosa: jak Reynolds miał się przekonać, nie

wyjmował ich z ust, paląc setkę dziennie, i zapalił zapałkę. - To czysty przypadek. Nie

polowali ani na pana, ani na nikogo innego. Zatrzymywali same ciężarówki w

poszukiwaniu dużych ilości ferro wolframu szmuglowanego do kraju.

- Byłbym przysięgł, że z największą chęcią przyjmą każdą ilość ferro wolframu, na jakiej zdołają położyć łapy mruknął Reynolds.

- I to prawda, drogi chłopcze, to prawda. Niemniej istnieją w tym celu odpowiednie kanały i ustalone zwyczaje. których należy przestrzegać. Nie wdając się w szczegóły, kilku naszych

prominentów partyjnych i wielce szacownych członków rządu zostało pozbawionych swoich stałych udziałów. Skandaliczna sprawa.

- Nie do zniesienia - zgodził się Reynolds. - Szybka akcja była konieczna.

- Właśnie! - Szendró uśmiechnął się po raz pierwszy i nagły błysk białych, równych zębów oraz zmarszczki przy oczach całkiem zmieniły jego chłodną, powściągliwą fizjonomię. -

Niestety, przy takich połowach czasem wpadają do sieci całkiem inne ryby.

- Takie jak ja?

- Takie jak pan. Dlatego mam zwyczaj w niektórych okolicznościach znajdować się w pobliżu takiej lub innej blokady milicyjnej, mimo że to przeważnie bezowocny trud: pan jest dopiero piątą osobą w tym roku, którą udało mi się wyciągnąć z rąk milicji. Niestety, będzie pan również ostatnią. Przy poprzednich okazjach kazałem tym wiejskim gamoniom, którzy obstawiają drogi, zapomnieć, że kiedykolwiek widzieli mnie czy więźnia na oczy. tym razem, jak pan wie, zdążyli zawiadomić swoich przełożonych i wszystkie posterunki zostaną ostrzeżone przed oszustem udającym oficera AVO.

Reynolds spojrział na niego z przerażeniem.

- Ależ człowieku, oni pana widzieli! Przynajmniej pięciu z nich! Pański rysopis będzie w Budapeszcie jeszcze... - Wielkie rzeczy! - Szendró niedbale strzepnął popiół

pstryknięciem palca. - Niewiele to pomoże tym głupcom. Poza tym, nie jestem oszustem.

Jestem jak najbardziej oficerem AVO. Czy pan w to wątpił?

- Ani przez chwilę - zapewnił go Reynolds z całym przekonaniem.

- No widzi pan. - Szendró podniósł nogę w nieskazitelnych spodniach i przysiadł na

biurku. -Przy okazji, panie Reynolds, chciałem przeprosić za moje niezbyt miłe zachowanie podczas jazdy. Aż do Budapesztu zastanawiałem się tylko, czy jest pan naprawdę obcym agentem i człowiekiem, którego szukamy, czy też mam pana wyrzucić na rogu ulicy i kazać

znikać. Ale kiedy dojechaliśmy do centrum miasta, zaświtała mi jeszcze jedna, bardzo niepokojąca myśl.

- Wtedy, gdy zatrzymaliśmy się przy ulicy Andrassy? Rzeczywiście, patrzył pan na mnie w dość szczególny sposób.

- Wiem. Przyszło mi do głowy, że może pan być członkiem AVO, specjalnie na mnie nasłanym, i dlatego nie obawia się pan wizyty na Andrassy: przyznam, że powinienem był pomyśleć o tym wcześniej. Niemniej, po groźbie, że wezmę pana do utajnionej celi, musiałby pan odgadnąć moje podejrzenia i zrozumieć, że nie mogę pozwolić, aby uszedł pan z życiem. Ale pan zamiast zacząć wrzeszczeć co siłą, nadal siedział cicho, więc wiedziałem, że nie jest pan przynajmniej wtyczką... Jansci, czy mogę wyjść na kilka minut? Wiesz, po co.

- Oczywiście, ale się pospiesz. Pan Reynolds nie przebył całej tej drogi z Anglii, żeby stać na moście Małgorzaty i rzucać kamyczki do Dunaju. Ma nam wiele do opowiedzenia.

- Jest to przeznaczone tylko dla pańskich uszu - zaprotestował Reynolds. - Tak mi nakazał pułkownik Mackintosh.

- Pułkownik Szendró jest moją prawą ręką. panie Reynolds. - W porządku. Ale tylko wy° dwaj.

Szendró skłonił się i wyszedł z pokoju. Jansci odwrócił się do córki.

- Przynieś nam butelkę wina, Julio. Mamy jeszcze Villanył Furmint?

- Zaraz sprawdzę.

Odwróciła się do wyjścia, ale Jansci powstrzymał ją:

- Jeszcze chwileczkę, moja droga. Panie Reynolds, kiedy pan jadł po raz ostatni?

- O dziesiątej rano.

- No właśnie. Musi pan umierać z głodu. „Julia? - Zobaczę, co się da zrobić, Jansci.

- Dziękuję ci, ale najpierw przynieś wino. Imre - zwrócił się do młodzieńca, chodzącego

niespokojnie tam i z powrotem - pamiętaj o dachu. I przespaceruj się trochę. Sprawdź, czy wszystko w porządku. Sandor, tablice rejestracyjne Spal je i załóż nowe.

- Spal? - zapytał Reynolds, gdy chłopak i Sandor wyszli. -Jak to możliwe?

- Mamy duży zapas tablic rejestracyjnych uśmiechnął się Jansci. - Wszystkie ze sklejk.

Wspaniale się palą... Aa. widzę, że znalazłaś butelkę Villany?

- Ostatnią. - Jej włosy były teraz przyczesane, uśmiechała się, a w niebieskich oczach patrzących na Reynoldsa malowała się ciekawość. -Może pan poczekać dwadzieścia minut, panie Reynolds?

- Jeśli muszę. - Uśmiechnął się. - Nie przyjdzie mi to łatwo.

- Postaram się pospieszyć - obiecała.

Kiedy drzwi się za nią zamknęły, Jansci otworzył butelkę i rozlał zimne, białe wino do kieliszków.

- Pańskie zdrowie, panie Reynolds. I za .powodzenie pańskiej misji.

- Dziękuję.

Reynolds z przyjemnością pociągnął długi łyk, nie pamiętał, kiedy ostatnio miał tak wysuszone gardło i usta. Wskazał na jedyną ozdobę tego dość ponurego i nieprzytulnego pokoju: oprawną w srebrną ramkę fotografię na biurku.

- Nadzwyczajnie uchwycone podobieństwo pańskiej córki - powiedział. - Macie tu dobrych fotografów na Węgrzech.

- Sam robiłem to zdjęcie - rzekł z uśmiechem Jansci. Sądzi pan, że wiernie ją oddaje?

Niech pan powie szczerze, zawsze interesowała mnie spostrzegawczość innych ludzi.

Reynolds spojrział na niego lekko zdumiony, pociągnął wino i w milczeniu wpatrzył się w fotografię: jasne, falujące włosy, szerokie, gładkie brwi, długie rzęsy, wysoko osadzone kości policzkowe schodzące do śmiejących się ust, krągły podbródek nad delikatną szyją. Piękna

twarz. pomyślał. Twarz pełna wyrazu. charakteru i radości życia. Twarz, której się nie zapomina...

- No i cóż, panie Reynolds - ponaglił go Jansci. - Oddaje ją wiernie - przyznał Reynolds.

ˆZawahał się, nie chcąc być posądzony o arogancję, ale spojrzawszy na Janskiego zrozumiał, że i tak nie da się oszukać tych mądrych, zielonych oczu, i ciągnął dniej:

- Można nawet powiedzieć. że oddaje ją wiernie z pewnym wyprzedzeniem.

- To znaczy?

- Budowa kości, rysy, nawet uśmiech są takie same. Ale na tym zdjęciu widać coś więcej, ta kobieta jest jakby dojrzała, bardziej doświadczona. Może za jakieś dwa, trzy lata pańska córka będzie rzeczywiście tak wyglądać: uchwycił pan coś, co dopiero nadejdzie. Nie wiem, jakim cudem.

- To bardzo proste. Ta fotografia przedstawia moją żonę, a nie Julię.

- Pańską żonę! Mój Boże, cóż za nadzwyczajne podobieństwo! - Reynolds urwał. szybko przebiegł myślami ostatnie zdania, czy nie popełnił jakiejś gafy, i uspokojony spytał: - Czy jest tu teraz?

- Nie, nie ma jej. Jansci kręcił kieliszek między palcami. - Niestety, nie wiemy, gdzie jest.

- Bardzo mi przykro. - Reynolds nie wiedział, co powiedzieć.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć – dodał Jansci spokojnie. - Wiemy, co się z nią stało: zabrali ją w brunatnej budzie. Rozumie pan, o czym mówię.

- Służba bezpieczeństwa.

- Tak. - Jansci ciężko skinął głową. - Te same budy, które wywozły miliony w Polsce, w Rumunii i Bułgarii. na poniewierkę i śmierć. Te same budy, które wymiotły klasę średnią z krajów nadbałtyckich, które zabrały setki tysięcy Węgrów, przyjechały- także po Katię. Co

znaczy jedna osoba wobec tylu milionów, które cierpiały i zginęło?

- To było w lecie pięćdziesiątego pierwszego roku - To wszystko, co Reynolds potrafił powiedzieć: wiedział, że wówczas miały miejsce masowe deportacje z Budapesztu.

- Nie mieszkaliśmy tu wtedy, to zdarzyło się zaledwie dwa i pół roku temu, niespełna miesiąc po naszym przyjeździe. Julia, dzięki Bogu, była na wsi u przyjaciół. mnie też nie było w domu, wyszedłem koło północy: Katia posiła do kuchni zrobić sobie kawę, gaz był wyłączony, lecz ona nie wiedziała, co to znaczy. Więc ją wzięli.

- Gaz? Chyba nie bardzo...

- Nie rozumie pan? Luka w pańskim przygotowaniu. przez którą AVO zaraz by pana rozszyfrowało. wszyscy w Budapeszcie od razu wiedzą, o co chodzi. to zwyczaj AVO. żeby przed dostarczeniem nakazu deportacji odcinać dopływ gazu do objętych nim domów czy bloków mieszkalnych. łatwo jest włożyć głowę do piecyka, i to nie boli. Zabronili sprzedaży wszystkich środków trujących w aptekach, próbowali nawet wstrzymać sprzedaż żyłek. Trudno im było jednak powstrzymać ludzi od skakania z górnych pięter. - A więc to przyszło bez ostrzeżenia?

- Bez ostrzeżenia. Wciśnięty do ręki niebieski świstek papieru, mała walizeczka, brunatna buda a potem zaplombowany wagon bydlęcy.

Może ona jeszcze żyje. Nic pan nie słyszał?

- Nic, zupełnie nic. Pozostaje nam tylko *żyć* nadzieję, że przeżyła. Ale tak wielu ludzi udusiło się lub zamarzło w tych wagonach, a praca na polach, w fabrykach i kopalniach jest niewolnicza, zabójcza nawet dla silnych i zdrowych, podczas gdy ona ledwo wyszła ze szpitala po poważnej operacji. Miała gruźlicę, jej rekonwalescencja jeszcze się nawet nie zaczęła.

Reynolds zaklął pod nosem. Jak często czytało się i słyszało o podobnych sprawach, jak

łatwo, jak obojętnie, niemal bezlitośnie odsuwało się je od siebie- i jak inaczej to wyglądało w zetknięciu z rzeczywistością.

- Czy szukał pan jej... swojej żony^ - zapytał Reynolds szorstko. Nie chciał, aby tak to zabrzmiało, ale samo tak wyszło.

Szukałem jej. I nie znalazłem.

Reynolds poczuł, że budzi się w nim gniew. Jansci zdawał się przyjmować to tak łatwo, był taki spokojny, taki niewzruszony.

- Przecież AVO musi wiedzieć, gdzie ona jest. mają listy, kartoteki. Pułkownik Szendró...

- Nie ma dostępu do ściśle tajnych akt - przerwał mu Jansci i uśmiechnął się. - A poza tym jest w stopniu zaledwie majora. Awans nadał sobie sam tylko na dzisiejszy dzień. podobnie jak nazwisko.. Myślę, że właśnie nadchodzi.

Ale to był tylko ciemnowłosy młodzieniec, który nawet nie tyle wszedł, ile wetknął głowę przez drzwi, zameldował, że wszystko w porządku i znikł, nawet przez ten krótki moment Reynolds zdążył zauważyć wyraźny tik nerwowy lewego policzka i niespokojne ruchy czarnych oczu. Jansci musiał spostrzec wyraz jego twarzy, bo powiedział przepaszającym tonem:

Biedny Imre! Nie zawsze był taki, panie Reynolds, taki niespokojny i nerwowy.

- Niespokojny. Może nie powinienem tego mówić, ale ponieważ w grę wchodzi także moje bezpieczeństwo plany, muszę: on jest stuprocentuwrn neurotykiem. - Reynolds spojrział twardym wzrokiem na Janskiego, ale ten pozostał jak zwykle łagodny i spokojny. - Taki człowiek w podziemiu. Powiedzieć, że stanowi potencjalne niebezpieczeństwo, to doprawdy najłagodniejsze, co mi przychodzi do głowy:

- Iern; niech pan nie myśli, że sobie z tego nie zdaję sprawy. - Jansci westchnął. -

Trzeba go było widzieć dwa lata temu, jak walczył z radzieckimi czołgami na wzgórzu Zamkowym, na północ od Wzgórza Gellerta. miał absolutnie żelazne nerwy. Kiedy przychodziło do rozlewania mydlin na rogach (a strome, niebezpieczne zbocza wzgórza robiły resztę, jeśli chodzi o czołgi), do podważania obluzowanych kamieni brukowych, wypełniania dziur benzyną i podpalania pod przejeżdżającym czołgiem, Imre nie miał sobie równych. Ale stał się zbyt zuchwały i pewnej nocy jeden z wielkich T-54, zsuwając się tyłem ze wzgórza z martwą załogą w środku, przygwoździł go, klęczącego na czworakach, do ściany domu. Tkwił tak przez trzydzieści sześć godzin, zanim go ktoś zauważył; w tym czasie czołg dwukrotnie został trafiony przez rakiety przeciwpancerne z radzieckich myśliwców: nie chcieli, aby używano ich własnych czołgów przeciwko nim.

- Trzydzieści sześć godzin. - Reynolds spojrzał z niedowierzaniem. -I przeżył?

- Nie był nawet draśnięty, do dziś nie ma ani jednej blizny. To Sandor go wydobył, wtedy właśnie się poznali. Wziął łom i wybił dziurę w ścianie budynku od wewnątrz. Widziałem, jak ią robił, odrzucał stukilowe kawały muru jak kamyki. Wzięliśmy chłopca do pobliskiego domu i zostawiliśmy go tam na chwilę, a kiedy wróciliśmy. dom leżał w gruzach: zajęła tu pozycję. grupa bojowników oporu i mongolski dowódca jednego z czołgów tak długo bombardował parter, aż dom się zawalił. Ale znów wydostaliśmy chłopca; znów nie odniósł żadnych obrażeń. Niemniej był bardzo chory przez wiele miesięcy, ale teraz już czuje się lepiej.

- Czy pan i Sandor braliście udział w powstaniu?

- Sandor brał. Był brygadzystą-elektrykiem w stalowni Dtnapentele i dobrze wykorzystał swoje umiejętności. Gdyby pan widział jak manipulował przewodami wysokiego napięcia przy pomocy drewnianych tyczek trzymanyh gołymi rękami, włosy stanęłyby panu dęba,

panie Reynolds.

- Walczył z czołgami?

- Przez porażenie prądem -skinął głową Jansci. -załogi trzech czołgów. Jak słyszałem, w Csepei posiał jeszcze większe zniszczenie Zabił żołnierza piechoty i odebrał mu miotacz ognia. który kierował w wizjer czołgów, po czym gdy załoga unosiła luk. Żeby zaczerpnąć powietrza, wrzucił przez otwór butelki z benzyną zatkane podpaloną szmatą. zatrzasował pokrywę i siadał na niej. a kiedy Sandor siadł na pokrywę luku, żadna siła już je, nie otworzy.

- Wyobrażam sobie-powiedział Reynolds sucho, podświadomie docierając bolące go nadal nadgarstka nagle coś sobie przypomniał. - Powiedział pan, że Sandor brał udział w powstaniu, a pan?

- Ja nie. -Jansci rozłożył okaleczone, zranione dłonie

wewnętrzną stroną do góry i teraz Reynolds zobaczył wyraźnie, że dziury rzeczywiście przechodziły na wylot. Ja nie brałem w nim udziału. Próbowałem, jak mogłem, do niego nie dopuścić.

Reynolds spojrział na niego w milczeniu, starając się rozszyfrować wyraz szarych oczu w gęstwinie zmarszczek. W końcu powiedział:

- Chyba panu nie wierzę.

- Chyba będzie pan musiał mi uwierzyć.

W pokoju zapadła cisza, długa, zimna cisza. Reynolds słyszał z daleka brzęk naczyń w kuchni, gdzie dziewczyna przygotowywała mu posiłek. Spojrział Jansciemu prosto w oczy.

- Pozwolił pan, aby inni walczyli za pana? - Nie krył rozczarowania, niemal wrogości

Dlaczego? dlaczego pan nie pomagał, nie starał się czegoś zrobić?

- Dlaczego? Powiem panu, dlaczego. - Jansci uśmiechnął się smutno i podniósł rękę do siwych **włosów**. - Nie jestem tak stary, jak na to wyglądam, ale za stary na samobójczy, daremny zryw będący jedynie wzniosłym lecz pustym gestem. Zostawiam to fantantom, lekkomyślnym i nierozważnym, romantykom, którzy nie liczą się z kosztami; zostawiam to świętemu oburzeniu, które nie wychodzi poza słuszność sprawy, niepohamowanemu gniewowi, zaślepionemu blaskiem własnej chwały. Zostawiam to poetom i marzycielom, tym, którzy powołują się na chlubną waleczność, nieprzemijającą rycerskość minionego świata; tym, których wyobraźnia przenosi wprost do Złotego Wieku ponad dniem jutrzejszym. Ale ja widzę tylko to, co dzisiaj. - Wzruszył ramionami. - Szarża Lekkiej Brygady, ojciec mojego ojca brał udział w tej bitwie. pamięta pan szarżę Lekkiej Brygady i słynne słowa o niej: "To wspaniałe, ale to nie jest wojna." Tak samo było z naszym Powstaniem Październikowym.

- Piękne słowa - powiedział Reynolds zimno. - Naprawdę piękne. Jestem pewien, że stanowiłyby wielką pociechę dla węgierskiego chłopca z rosyjskim bagnetem w brzuchu.

- Jestem także za stary, żeby się obrażać - rzekł Jansci ze smutkiem. - I za stary, aby wierzyć w przemoc, chyba że jest to ostatnia deska ratunku, akt rozpaczki w braku wszelkiej nadziei, ale nawet wtedy to tylko ucieczka w bezradność. Poza tym, panie Reynolds, pomijając bezużyteczność przemocy i zabijania, jakie mamy prawo odbierać życie innym ludziom. Wszyscy jesteśmy dziećmi jednego Ojca i, jak sądzę, bratobójstwo nie może być Mu miłe.

- Mówi pan jak pacyfista - powiedział Reynolds szorstko. - Jak pacyfista zanim wgniecie go w ziemię, wraz z żoną i dziećmi, podkuty but najeżdźcy.

- Nie całkiem, panie Reynolds, nie całkiem - zaprzeczył cicho Jansci. - Nie jestem do końca taki, jaki pragnąłbym być. Człowiek, który tknie palcem moją Julię, umrze, nim

mrużnię okiem.

Przez moment Reynolds ujrzał ledwo uchwytny błysk ognia w tych przygasłych oczach, przypomniał sobie wszystko, co pułkownik Mackintosh mówił mu o tym niezwykłym mężczyźnie, i poczuł się jeszcze bardziej zbity z tropu. - Ale powiedział pan... powiedział pan, że...

- Mówiłem tylko, dlaczego nie brałem udziału w powstaniu. - Jansci znów był swoim zwykłym łagodnym sobą. - Nie jestem zwolennikiem przemocy, jeśli można się bez niej obejść. Poza tym trudno było wybrać gorszy czas. I nie żywię nienawiści do Rosjan, nawet ich lubię. Proszę nie zapominać, panie Reynolds, że sam jestem Rosjaninem. Ukraińcem, ale nadal Rosjaninem, wbrew temu, co powiedziałyby wielu moich rodaków.

- Pan lubi Rosjan. Nawet Rosjanin jest pańskim bratem? - Mimo iż starał się mówić jak najuprzejmiej, Reynolds nie mógł ukryć niedowierzania w głosie. - Po tym co panu zrobili. i pańskiej rodzinie?

- Pożałowania godny ze mnie dziwoląg, prawda? Miłość do nieprzyjaciół powinna zostać tam, gdzie przynależy: na kartach Biblii, i tylko wariat może się zdobyć na tyle odwagi, arogancji czy głupoty, żeby otworzyć jej stronicę i wcielać te przykazania w życie. Tylko szaleniec może się na to ważyć, lecz bez tych szaleńców nastąpiłby koniec świata. Ton Janskiego się zmienił. Lubię Rosjan, panie Reynolds.

Są mili, weseli i pogodni, kiedy się ich bliżej pozna, i trudno znaleźć bardziej przyjacielskich ludzi. Ale są młodzi, są bardzo młodzi, jak dzieci. I jak dzieci są pełni humorów, samowolni i prymitywni, a także trochę okrutni, niefrasobliwi i niezbyt czuli na cierpienie. Jednak przy całej ich młodości, niech pan pamięta, że są wielkimi miłośnikami poezji, muzyki i tańca, kochają śpiew, folklor, balet i operę, co w porównaniu z nimi czyni przeciętnego mieszkańca Zachodu kulturalnym troglodytą.

- Są także brutalni, barbarzyńscy i życie ludzkie nic dla nich nie znaczy - wtrącił Reynolds.

- Kto może zaprzeczyć. Ale niech pan nie zapomina, że taki był i świat Zachodu, gdy znajdował się jeszcze w powijakach jak teraz narody Rosji. Są zacofane, prymitywne i łatwowierne. Boją się i nienawidzą Zachodu, bo każą im się go bać i nienawidzić. Ale wasze demokracje także potrafią działać w podobny sposób.

- Na miłość boską. - Reynolds zdusił papierosa gestem irytacji. - Czy chce pan powiedzieć...

- Niech pan nie będzie naiwny, młody człowieku, i posłucha. - Uśmiech odarł te słowa z obrazy. - Usiłuję tylko wyjaśnić, że nierozsądne, podszyte emocjami postawy są równie możliwe na Zachodzie jak na Wschodzie. Niech pan weźmie na przykład stosunek pańskiego kraju do Związku Radzieckiego w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Na początku drugiej wojny cieszył się wysoką popularnością. Później przyszedł pakt Ribbentrop-Mołotow i byliście gotowi wysłać pięćdziesięcioletnią armię przeciwko Rosjanom w Finlandii. Potem nastąpiła porażka Hitlera na Wschodzie, wasze gazety pełne były peanów na cześć "Dobrego wujka Stalina" i cały świat pokochał "muzyków". Teraz koło wykonało kolejny obrót i do wywołania Apokalipsy wystarczy jeden nierozważny, spowodowany paniką ruch. Kto wie, może za pięć lat wszyscy znów będą się do siebie uśmiechać. Jesteście jak kurki na dachu, zupełnie jak Rosjanie. ale nie winię ani jednych, ani drugich: to nie wina kurka, że się kręci lecz wiatru, który nim obraca.

- To znaczy, naszych rządów?

- Waszych rządów - przytaknął Jansci. - I oczywiście, prasy, która manipuluje opinią publiczną. Ale przede wszystkim rządów.

- Miewamy na Zachodzie złe rządy, czasem nawet bardzo złe - powiedział Reynolds wolno. - Błądzą, myślą się. podejmują głupie decyzje, mają nawet w swoich szeregach

oportunistów, karierowiczów i zwykłych tuzinkowych polityków żądnych władzy. Ale tak się dzieje, ponieważ wszyscy jesteśmy ludźmi. Mają dobre intencje, chcą jak najlepiej i nawet dziecko się ich nie boi. - Spojrzał w zamyśleniu na rozmówcę. - Sam pan powiedział, że radzieccy przywódcy wysłali w ciągu ostatnich lat całe miliony na śmierć, do więzień i obozów. Jeśli ludzie są tacy sami, dlaczego rządy są takie różne? Winę ponosi komunizm. Jansci potrzęsają głową.

- Komunizm się skończył i to na zawsze. Dzisiaj to tylko mit, pusty frazes, którym posługują się cyniczni, bezwzględni realiści na Kremlu, aby uzasadnić i usprawiedliwić każde barbarzyństwo, jakiego wymaga ich polityka. Może nieliczni ze starej gwardii wciąż pielęgnują marzenie o światowym komunizmie, ale to tylko garstka: swój cel mogliby osiągnąć teraz jedynie poprzez wojnę totalną, a twardogłowi realiści na Kremlu nie widzą powodu, sensu ani przyszłości, żeby prowadzić politykę niosącą z sobą ziarno samozagłady. Ci ludzie są w głównej mierze przemysłowcami. panie Reynolds, a podkładanie bomby zegarowej pod własną fabrykę to żaden interes.

- Ich okrucieństwa, ich niewolenie narodów i masowe mordy nie wynikają z chęci zdominowania świata? - Lekkie uniesienie brwi znamionowało sceptycyzm Reynoldsa. - To mi pan chce powiedzieć?

- Tak.

- Więc z czego, na miłość boską...

- Ze strachu, panie Reynolds. Z paraliżującego strachu, jakiego nie zna żaden ze współczesnych rządów. Boją się. Ponieważ grunt raz stracony jest nie do odzyskania: ustępstwa Malenkowa w pięćdziesiątym trzecim roku, sławy referat Chruszczowa z pięćdziesiątego szóstego demaskujący Stalina i przymusowa decentralizacja przemysłu stały w sprzeczności ze wszystkimi hołubionymi ideałami niezwycięzonego komunizmu i z

centralnym zarządzaniem, ale musiały nastąpić w interesie wydajności produkcji, wskutek czego ludzie posmakowali wolności. Boją się też, ponieważ ich służba bezpieczeństwa podupadła i to mocno: Beria nie żyje, a NKWD budzi mniejszy postrach niż tutaj AVO, więc i wiara we wszechmoc władzy, w nieuchronność kary, też osłabia.

Tego się boją. jeśli chodzi o własny naród. Ale to jeszcze nic w porównaniu do strachu przed światem zewnętrznym. Przed śmiercią Stalin powiedział: "Co się stanie beze mnie? Jesteście ślepi, jak nowonarodzone kocięta, i Związek Radziecki zginie, bo nie umiecie rozpoznać naszych wrogów." Stalin sam nie wiedział, jak prorocze okażą się jego słowa. Nie potrafią rozpoznać wrogów i mogą czuć się bezpieczni jedynie uważając za takich wszystkich dokoła. zwłaszcza Zachód. Boją się was, i z ich punktu widzenia nie bez powodu. Obawiają się zachodniego świata, który, jak sądzą, jest im wrogi, nieprzyjazny i tylko czyha na swoją szansę. Czy nie bylibyście przerażeni, panie Reynolds, gdyby otaczały was, jak Związek Radziecki, bazy z bombami nuklearnymi w Anglii, Europie. Afryce Północnej, na Środkowym Wschodzie i w Japonii? Czy nie balibyście się, gdyby za każdym razem, kiedy napięcie w świecie rośnie, na krawędzi waszych dalekosiężnych ekranów radarowych pojawiały się w tajemniczy sposób eskadry obcych bombowców gdybyście wiedzieli, ponad wszelką wątpliwość, że w czasie takich napięć w każdej sekundzie dnia i nocy wysoko w stratosferze krąży od pięciuset do tysiąca bombowców Strategicznego Dowództwa Sił Powietrznych USA, uzbrojonych w w bomby wodorowe i tylko czekających na sygnał do ataku? Trzeba mieć ogromne ilości rakiet, panie Reynolds, i nadludzką wiarę w ich skuteczność, żeby zapomnieć o tych bombowcach, a wystarczy, aby tylko pięć procent z nich dotarło nad cel. Jak by się czuli Anglicy, gdyby Związek Radziecki słał broń do Irlandii, albo Amerykanie. gdyby radzieckie lotniskowce z bombami wodorowymi na pokładzie krążyły bez końca po Zatoce Meksykańskiej? Niech pan spróbuje to sobie wyobrazić, panie

Reynolds, a wtedy może zacznie pan rozumieć, tylko zacznie, gdyż wyobraźnia jest jedynie cieniem rzeczywistości, jak się czują Rosjanie.

Ich strach się na tym nie kończy. Boją się też tych, którzy próbują interpretować wszystko w ograniczonym świetle swojej własnej kultury, którzy wierzą, że wszyscy ludzie na całym świecie są w gruncie rzeczy tacy sami. Jest to powszechne przekonanie, głupie i niebezpieczne. Rozdźwięk między zachodnią a słowiańską mentalnością i sposobem myślenia, różnica między modelami kultury jest wielka i niestety na ogół nie rozumiana. _
W końcu, ale może nade wszystko, boją się przenikania zachodnich wartości do swojego kraju. Dlatego właśnie kraje satelickie są dla nich tak cenne jako kordon sanitarny, odizolowanie od niebezpiecznych wpływów kapitalistycznych. I oto dlaczego bunt w jednym z tych krajów, jak tutaj dwa lata temu w październiku, wydobywa z przywódców radzieckich wszystko co najgorsze. Zareagowali z taką nieprawdopodobną gwałtownością, ponieważ zobaczyli w tym budapeszteńskim powstaniu kulminację i uosobienie wszystkich trzech dręczących ich koszmarów: że całe satelickie imperium się rozpadnie i kordon sanitarny zniknie na zawsze, że nawet najmniejszy sukces może zachęcić do podobnej rewolty w Związku Radzieckim, i, co najgorsze. że pożar na dużą skalę, od Bałtyku do Morza Czarnego, da Amerykanom powód lub pretekst do zapalenia zielonego światła przed Strategicznym Dowództwem i lotniskowcami Szóstej Floty. Pan wie i ja wiem, że to absurdalny pomysł. ale nie mówimy o faktach, tylko o tym, co radzieccy przywódcy uważają za fakty.

Jansci opróżnił kieliszek i spojrzał na Reynoldsa.

- Mam nadzieję, że zaczyna pan rozumieć, dlaczego nie byłem ani zwolennikiem. ani uczestnikiem powstania. Zaczyna pan też może rozumieć, dlaczego bunt musiał zostać stłumiony, a im byłby większy i poważniejszy. tym bardziej krwawe musiałyby nastąpić

represje, aby zachować kordon i odstręczyć inne kraje satelickie czy też „własnych obywateli od podobnych pomysłów. Zaczyna pan rozumieć.

że było to beznadziejne przedsięwzięcie, z góry skazane na przegraną, całkowicie daremne i fatalne w skutkach. Jedyne co przyniosło, to umocnienie pozycji Związku Radzieckiego, zabicie i okaleczenie rzeszy Węgrów. zniszczenie i zrównanie z ziemią ponad dwudziestu tysięcy domów. inflację, brak żywności i niemal śmiertelny cios dla miejscowej gospodarki. To powstanie nigdy nie powinno się było zdarzyć. Ale, jak mówiłem. gniew wywołany rozpaczą jest ślepy; szlachetny gniew może być rzeczą wzniosłą, gdy niesie zniszczenie ma to swoje wady.

Reynolds milczał, nie wiedząc, co powiedzieć. W pokoju zapadła długa cisza, długa, lecz już nie tak chłodna jak przedtem. Jedynym odgłosem było szuranie butów Reynoldsa, kiedy zawiązywał sznurowadła - podczas mowy Janskiego zdążył się ubrać. W końcu Jansci wstał, zgasił światło, odchylił zasłonę przy oknie, wyrzał i znów zapalił światło. Reynolds widział, że był to nic nie znaczący, czysto automatyczny gest, rutynowa czujność człowieka, który tylko dlatego jeszcze żył, że nigdy nie zaniedbał żadnego środka ostrożności. Reynolds włożył swoje dokumenty do portfela, a pistolet umieścił z powrotem w kaburze pod pachą. Rozległo się ciche pukanie do drzwi i weszła Julia. twarz miała zarumienioną od ognia, niosła na tacy miskę zupy, parujący talerz mięsa z jarzynami i butelkę wina Postawiła to na stole.

- Proszę, panie Reynolds. Dwa nasze narodowe dania. Zupa gulaszowa i tokany. Obawiam się, że w zupie może być zbyt dużo papryki a w tokany czosnku na pański smak, ale my to tak przyrządzamy Uśmiechnęła się przepraszająco. -To resztki, nic innego nie mogłam w pośpiechu przygotować.

- Pachnie wspaniale - zapewnił ją Reynolds. - Przykro mi, że sprawiam pani tyle kłopotu

w środku nocy.

- Jestem do tego przyzwyczajona - powiedziała z kolejnym uśmiechem. - zwykle mam do nakarmienia pół tuzina osób około czwartej nad ranem. Goście ojca przychodzą o najróżniejszych porach.

- To prawda -- przyznał Jansci. - A teraz zmykaj do łóżka. Kochanie. Jest bardzo późno.

- Chciałabym jeszcze trochę zostać, Jansci.

- Nie wątpię. - w szarych oczach Janskiego zapaliły się wesołe iskierki. - W porównaniu z naszymi innymi gośćmi pan Reynolds „jest całkiem przystojny. Jak się trochę umyje, uczesze i ogoli, może prezentować się zupełnie nieźle. - To nie fair, tato.

Nie daje się łatwo zbić z tropu, pomyślał Reynolds, chociaż zauważył jej policzki nieco pociemniały.

- Nie powinienes tak mówić - dodała.

- Fakt, nie powinienem - zgodził się Jansci. Spojrzał na Reynoldsa. – Wymarzony świat .Julii leży na zachód od granicy Austrii i chętnie godzinami słuchałaby opowieści o nim. Ale są pewne rzeczy, a których nie może wiedzieć, rzeczy, których nie powinna się nawet domyślać. Uciekaj spać, moja mała. – Dobrze.

Podniosła się posłusznie. choć niechętnie, pocałowała ojca w policzek, uśmiechnęła się do Reynoldsa i wyszła. Reynolds spojrzął na Janskiego. Który sięgnął po drugą butelkę i zaczął ją otwierać.

- Czy przez cały czas nie zamartwia się pan o nią na śmierć?

- Bóg jeden wie, jak bardzo się martwię - odparł Jansci po prostu. - To nie jest życie dla niej ani dla żadnej dziewczyny, a jeśli mnie złapią, z całą pewnością wezmą i ją.

- Nie można jej stąd wywieźć?

- Niech pan spróbuje! mógłbym bez najmniejszej trudności czy niebezpieczeństwa

przerzucić ją do Austrii choćby jutro, pan wie, że to moja specjalność, ale ona się nie zgadza.

Jest posłuszną, pełną szacunku córką, jak pan widział; ale tylko do wyznaczonej przez siebie granicy. Poza nią, jest uparta jak kozioł. Zna ryzyko. ale zostaje. Mówi, że nie wyjedzie, dopóki nie odnajdziemy jej matki i wtedy pojedą razem. ale nawet i wtedy...

Urwał nagle, gdyż drzwi się otworzyły i stanął w nich nieznajomy mężczyzna. Reynolds obrócił się zwinnie jak kot, jednocześnie zrywając na równe nogi: ponad odgłosem szurania krzesła po linoleum dał się słyszeć szcęk odbezpieczanego pistoletu. wymierzonego w przybysza, zanim ten zdążył zrobić choć krok. Reynolds ogarnął go bacznym spojrzeniem, studiując każdy szczegół. Gładkie ciemne włosy. zaczesane do tyłu, szczupła orla twarz z cienkimi. delikatnymi nozdrzami, wysokie czoło - wszystko to składało się na dobrze mu znany typ polskiego arystokraty. Drgnął, kiedy Jansci wyciągnął rękę i delikatnie skierował w dół lufę pistoletu.

- Szendró miał rację - mruknął pod nosem. - Jest pan niebezpieczny, bardzo niebezpieczny. Jak wąż. który uderza. Ale ten człowiek to przyjaciel, dobry przyjaciel. Panie Reynolds, proszę poznać Hrabiego.

Reynolds odłożył pistolet, przeszedł przez pokój i wyciągnął rękę,

- Bardzo mi miło - mruknął. - Hrabia....? - Po prostu Hrabia odparł przybysz.

Reynolds wbił w niego zdumiony wzrok. Ten głos rozpoznałby wszędzie.

- Pułkownik Szendró! zawołał.

- Nie inaczej - przyznał Hrabia i z tymi słowami jego głos zmienił się tak samo subtelnie choć zasadniczo jak wygląd. - Z całą skromnością ale zgodnie z prawdą muszę stwierdzić, że niewielu mam równych jeśli chodzi o przebranie i mimikrę. Osoba, którą pan teraz widzi przed sobą. panie Reynolds, to mniej lub bardziej ja. mała blizna tu i tam. i w takiej postaci zna mnie AVO. Rozumie pan teraz, dlaczego zbytnio się nie przejąłem groźbą rozpoznania?

Reynolds wolno skinął głową.

- Rzeczywiście. I mieszka pan tutaj? Z Janscim? Czy to nie niebezpieczne?

- mieszkam w jednym z najlepszych hoteli w Budapeszcie, jak przystało na oficera AVO - zapewnił go Hrabia. Ale jako kawaler muszę, oczywiście, mieć swoje... nazwijmy to, rozrywki. Moja krótsza czy dłuższa nieobecność nie wymaga komentarza... Przepraszam, że nie było mnie tak długo, Jansci.

- Nie ma za co - uspokoił go Jansci. - Wiedliśmy tu bardzo interesującą dyskusję.

- Oczywiście na temat Rosjan? - Oczywiście.

- I pan Reynolds okazał się zwolennikiem tezy, że jedyny dobry Rosjanin to martwy Rosjanin?

- mniej więcej. -Jansci uśmiechnął się. - Nie tak dawno sam byłeś tego zdania.

- Wszyscy mądrzejemy z wiekiem. -Hrabia podszedł do szafy, wyjął ciemną butelkę, nalał sobie z niej pół kubka i spojrzał na Reynoldsa.-Barack palinka, wódka morelowa. Zabójcza. Niech pan jej unika jak zarazy. Tutejsza specjalność.

Reynolds patrzył ze zdumieniem, jak Hrabia wypija jednym haustem zawartość kubka i napełnia go ponownie.

- Nie przeszliście jeszcze do sedna? - spytał Hrabia.

- Właśnie przechodzimy. - Reynolds odsunął talerz i wziął kieliszek z winem. -

Słyszeliście panowie zapewne o profesorze Haroldzie Jenningsie?

Oczy Janskiego zwężyły się.

- Owszem. Któżby o nim nie słyszał?

- Właśnie. Wiecie więc, jaki jest: sympatyczny, krótkowzroczny staruszek dobrze po siedemdziesiątce, przypomina pod każdym względem typowego roztargnionego profesora, oprócz jednej rzeczy. Ma umysł jak komputer i jest największym światowym ekspertem i

autorytetem w dziedzinie matematycznej teorii balistyki i rakiet balistycznych.

- Dlatego właśnie skaptowali go Rosjanie - mruknął Hrabia.

- Nic podobnego-zaprzeczył Reynolds. - Cały świat tak myśli, ale się myli.

- Jest pan tego pewien? -Jansci wychylił się w krześle mocno do przodu.

- Najzupełniej. Posłuchajcie. W czasie, gdy przechodzili na tamtą stronę inni brytyjscy naukowcy, stary Jennings wystąpił ostro, choć nie najmądrzej, w ich obronie. Potępił zdecydowanie tak zwany przestarzały nacjonalizm i stwierdził, że każdy człowiek ma prawo postępować zgodnie ze swoimi przekonaniem i sumieniem. Niemal natychmiast, jak należało się spodziewać, zgłosili się do niego Rosjanie. Odesłał ich z kwitkiem, każąc im iść do diabła i powiedział, że ich rodzaj nacjonalizmu o wiele mniej mu odpowiada, niż ten, z jakim ma do czynienia we własnym kraju. Mówił przedtem tylko w kategoriach ogólnych, wyjaśnił.

- Skąd możecie to wiedzieć?

- Wiemy; mamy taśmę z tą rozmową, cały jego dom był na podsłuchu. Ale nigdy nie ujawniliśmy tego nagrania, a potem kiedy wyjechał do Związku Radzieckiego, było już za późno, i tak nikt by nam nie uwierzył.

- Oczywiście - mruknął Jansci. - Ale jak tylko podsłuchaliście tę rozmowę, przestaliście go pilnować?

- Tak - przyznał Reynolds: - Choć nie zrobiłoby to żadnej różnicy, bo przecież mieliśmy na oku tylko profesora, , a nie jego rodzinę. Tymczasem mniej więcej dwa miesiące po jego rozmowie z radzieckimi agentami, pani Jennings i ich szesnastoletni syn Brian - profesor późno się ożenił pojechali do Szwajcarii na wakacje. Jennings miał jechać z nimi, ale w ostatniej chwili zatrzymały go jakieś ważne sprawy. Kiedy w dwa dni później dotarł do ich hotelu w Zurychu, nie znalazł tam żony ani syna.

- Uprawdowano ich, naturalnie - powiedział Jansci wolno. - Granica szwajcarsko-austriacka nie jest żadną przeszkodą dla paru zdecydowanych facetów, ale najpewniej przeprawili się łódką, w nocy.

- My też tak przypuszczamy. Przez Jezioro Bodeńskie. W każdym razie jest pewne, że w ciągu paru minut p byciu do hotelu nawiązano z Jenningsem kontakt, powiadomiono go, co zaszło i nie zostawiono mu wątpliwości, co czeka jego żonę i syna, jeśli natychmiast nie podąży za nimi za żelazną kurtynę. Jennings może być roztargnionym staruszkiem, ale nie jest głupcem: wiedział, że ci ludzie nie żartują i natychmiast posłuchał.

- A teraz chcecie go odzyskać?

- Chcemy go odzyskać. Dlatego tu jestem. Jansci uśmiechnął się kątem ust.

- Ciekawe, w jaki sposób zamierza pan go odbić, panie Reynolds, oraz oczywiście jego żonę i syna, bo bez nich nic pan nie wskóra. Troje ludzi: starego człowieka, kobietę i chłopca, oddalonych o tysiąc mil pokrytych grubą warstwą śniegu.

- Nie troje ludzi, tylko jedną osobę: profesora. I nie muszę jechać po niego do Moskwy. Jest niespełna trzy kilometry stąd, tu w Budapeszcie.

Jansci nie krył zdumienia.

- Tutaj? Jest pan pewien, panie Reynolds? - Pułkownik Mackintosh był pewien.

- Wobec tego to musi być prawda. - Jansci odwrócił się i spojrzał na Hrabiego. - Słyszałeś coś o tym?

- Ani słowa. Nikt w naszym urzędzie nic o tym nie wie, mogę przysiąc.

- Cały świat dowie się w przyszłym tygodniu. - Głos Reynoldsa był spokojny, ale pewny. -

Kiedy w poniedziałek nastąpi otwarcie Międzynarodowego Kongresu Naukowego, pierwszy referat odczyta profesor Jennings. Chcą zrobić z niego gwiazdę numer jeden w tym przedstawieniu. Ma to być największy triumf propagandy komunistycznej od lat.

- Rozumiem. - Jansci w zamyśleniu bębnił palcami po stole, nagle spojrzął ostro na

Reynoldsa. - Powiedział pan, że chce pan porwać tylko profesora?

Reynolds przytaknął.

- Tylko profesora! - Jansci patrzył na niego z niedowierzaniem. - Dobry Boże, człowieku, czy nie zdaje pan sobie sprawy, co się stanie z jego żoną i synem? Zapewniam pana, że jeśli oczekuje pan naszej pomocy...

- Pani Jennings jest już w Londynie. - Reynolds uniósł rękę, uprzedzając pytania. - Dwa tygodnie temu ciężko zachorowała i Jennings uparł się, żeby pojechała do Anglii na leczenie. Zmusił komunistów, aby przystali na to żądanie; człowieka jego kalibru nie można skłonić do niczego siłą, praniem mózgu ani torturami nie niszcząc jego zdolności twórczych, a on zdecydowanie odmówił współpracy, dopóki nie spełnią jego życzeń.

- Musi mieć nie lada charakter - Hrabia potrząsnął głową z podziwem.

- Potrafi dobrze dać się we znaki, kiedy się przy czymś uprze - uśmiechnął się Reynolds. -

Ale to nie było takie znowu wielkie osiągnięcie. Rosjanie mieli wszystko do zyskania, czyli dalsze usługi największego żyjącego współcześnie eksperta balistyki, i nic do stracenia.

Wciąż trzymali w rękach dwa atuty: Jenningsa i jego syna i wiedzieli, że pani Jennings wróci, a zapewnili sobie, żeby wszystko odbyło się w największej tajemnicy. Prawie nikt nie wiedział, że pani Jennings jest w Anglii, nawet chirurg, który zrobił jej dwie poważne operacje.

- Wyzdrowiała?

- Była śmiertelnie zagrożona, ale wyciągnęła się z tego i teraz szybko odzyskuje siły.

- Staruszek ma się z czego cieszyć - zauważył Jansci. Kiedy jego żona wróci?

- Jego żona już nie wróci do Związku Radzieckiego powiedział Reynolds bez ogródek. - A Jennings nie ma żadnych powodów do radości. Myśli, że nadal jest śmiertelnie chora i z dnia na dzień lekarzom ubywa nadziei. Taką wiadomość mu przekazaliśmy.

- Co? Co? - Jansci zerwał się na równe nogi, jego szare oczy rzuciły zimne, stalowe błyski.

- Boże wielki cóż to za nieludzkie postępowanie? Powiedzieliście temu staremu człowiekowi, że jego żona jest umierająca?

- Jest nam potrzebny, i to bardzo. Nasi naukowcy utknęli przy ostatnim projekcie i od dziesięciu tygodni nie potrafią ruszyć z miejsca, są przekonani, że tylko Jennings może im pomóc przełamać ten impas.

- Więc uciekliście się do tak nikczemnego podstępu... - To kwestia życia lub śmierci,

Jansci - przerwał Reynolds sucho. - Życia lub śmierci milionów ludzi. Jennings musi wrócić i użyjemy w tym celu każdego środka.

- Czy myślisz, że to jest etyczne, Reynolds? Myślisz, że cokolwiek usprawiedliwia...

- To, co ja myślę, nie ma najmniejszego znaczenia rzucił chłodno Reynolds. - Nie ja podejmuję decyzje. Ja dostałem jedynie określone zadanie do wykonania i zrobię wszystko, żeby je wykonać.

- Bezwzględny i niebezpieczny człowiek - mruknął Hrabia. - Mówiłem ci. Zabójca, ale działa po stronie prawa.

- Tak. - Reynolds był nieporuszony. - Jest jeszcze coś. Jak wielu geniuszy, Jennings jest naiwny i prostoduszny, jeśli chodzi o sprawy nie związane z jego specjalnością. Pani Jennings mówiła nam, że Rosjanie zapewniali męża, iż projekt, nad którym pracuje, będzie wykorzystany wyłącznie w celach pokojowych. Jennings w to wierzy. Z przekonania jest pacyfistą. Więc...

- Wszyscy przyzwoici naukowcy są pacyfistami. - Jansci usiadł, ale jego wzrok dalej był wrogi. - Wszyscy przyzwoici ludzie są pacyfistami.

- Nie przeczę. Mówię tylko, że Jennings jest teraz w takim stadium, że prędzej będzie pracował dla Rosjan myśląc, że robi to w interesie pokoju, niż dla własnego narodu wiedząc,

że to w interesie wojny. Czyli tym trudniej będzie go stąd wyrwać i tym bardziej musimy użyć wszelkich dostępnych środków.

- Los jego syna jest oczywiście nieistotny. Hrabia machnął lekceważąco ręką. - Kiedy gra idzie o tak wysoką stawkę...

- Brian, jego syn, spędził cały wczorajszy dzień w Poznaniu - przerwał mu Reynolds. -

Była tam jakaś wystawa, połączona ze zjazdem organizacji młodzieżowych. Dwaj nasi ludzie nie opuszczali go od momentu, kiedy wstał z łóżka. Jutro w południe... to znaczy dzisiaj, będzie w Szczecinie. Dwadzieścia cztery godziny później w Szwecji.

- Ach tak. Ale jest pan zbyt pewny siebie, Reynolds, nie docenia pan czujności Rosjan. - Hrabia patrzył na niego uważnie ponad kubka z wódką. - Agenci czasem zawodzą.

- Tych dwóch agentów nigdy nie zawiodło. Należą do najlepszych w Europie. Brian Jennings będzie jutro w Szwecji. Potwierdzenie przyjdzie z Londynu w trakcie codziennego serwisu informacyjnego BBC. Dopiero wtedy, nie wcześniej, zwrócimy się do Jenningsa.

- No tak. - Hrabia kiwnął głową. - Może ma pan jednak jakieś ludzkie cechy.

- Ludzkie cechy! - Głos Janskiego był nadal zimny, niemal pogardliwy. - To tylko jeszcze jeden środek przeciwko biednemu staruszkowi; ludzie Reynoldsa wiedzą bardzo dobrze, że gdyby zostawili chłopca w Związku Radzieckim,

gdzie pewnie by go zlikwidowano. Jennings nigdy już by dla nich nie pracował.

Hrabia zapalił kolejnego nieodłącznego brązowego papierosa.

- Może jesteśmy zbyt surowi. Może w tym przypadku interes Reynoldsa i humanitarność idą w parze. Jak powiedziałem, może... A co, jeśli Jennings mimo wszystko odmówi wyjazdu?

- Będzie musiał jechać czy mu się to podoba, czy nie.

- Wspaniale! Po prostu wspaniale! - Hrabia uśmiechnął się z przekąsem. - Co za zdjęcie

dla "Prawdy". Nasz przyjaciel ciągnący Jenningsa za nogi przez granicę i podpis: "Brytyjski tajny agent uwalnia zachodniego naukowca." Co pan na to, panie Reynolds?

Reynolds wzruszył ramionami i nie odpowiedział. Doskonale wyczuwał zmianę atmosfery, wrogość, jaka zapanowała w ciągu ostatnich kilku minut. Ale musiał powiedzieć Jansciemu wszystko - pułkownik Mackintosh zdecydowanie na to nalegał, a poza tym i tak było to nieuniknione, jeśli miał liczyć na ich pomoc. Oferta pomocy właśnie się ważyła, a bez niej mógł sobie darować całą wyprawę tutaj. Dwie minuty, minęły w milczeniu, potem Jansci i Hrabia popatrzyli na siebie i wymienili niemal niewidoczne skinienie. Jansci spojrzał Reynoldsowi prosto w oczy.

- Gdyby pańscy rodacy byli tacy jak pan, panie Reynolds, nie kiwnąłbym palcem, aby wam pomóc. Zimnokrwisci ludzie bez serca, dla których ludzkie cierpienie, dobro czy zło, sprawiedliwość czy niesprawiedliwość to tylko kwestie drugorzędne, są przez swoje ciche przyzwolenie równie winni, jak barbarzyńscy mordercy, o których tak niedawno pan mówił. Ale wiem, że nie wszyscy są tacy jak pan. Nie pomógłbym także, gdyby to miało tylko umożliwić waszym naukowcom produkcję nowych maszyn wojennych. Ale pułkownik Mackintosh był... jest... moim przyjacielem, a poza tym uważam to za nieludzkie, żeby stary człowiek miał umierać na obcej ziemi, pośród obojętnych ludzi, z dala od rodziny i od tych, których kocha. Toteż zrobimy wszystko co w naszej mocy, aby, z Bożą pomocą, wrócił bezpiecznie do domu.

Rozdział czwarty.

Z nieodłączną lufką w zębach i nieodłącznym rosyjskim papierosem Hrabia nacisnął łokciem dzwonek i trzymał dopóki z klitki za recepcją nie wysunął się, przecierając zaspane oczy, niski nieogolony mężczyzna w rozchełstanej koszuli. Hrabia spojrzał na niego z dezaprobatą.

- Nocni portierzy powinni spać w dzień - powiedział zimno. - Zawołajcie mi tu dyrektora, i to szybko.

- Dyrektora? O tej porze portier wymownie podniósł oczy na zegar nad głową, następnie przeniósł wzrok na Hrabiego, ubranego teraz niewinnie w szary garnitur i szary nieprzemakalny płaszcz, i z nieskrywanym lekceważeniem dodał: - Dyrektor śpi. Przyjdźcie rano.

Rozległ się nagły dźwięk dartej tkaniny i okrzyk bólu, gdy Hrabia zgarnawszy mu koszulę pod gardłem, przeciągnął go niemal przez kontuar, podsuwając mu drugą ręką swój portfel tuż pod przekrwione, zaspane oczy, rozszerzone najpierw ze zdumienia, a potem ze strachu. Przez sekundę trwali tak bez ruchu, w końcu Hrabia odepchnął go pogardliwie pod przegródki na klucze, których portier uchwycił się kurczowo, usiłując zachować równowagę.

- Przepraszam, towarzyszu, bardzo przepraszam! - Portier oblizywał wargi, nagle suche i sztywne. - Nie sądziłem... nie wiedziałem...

- A kogóż innego spodziewacie się o tej porze? - zapytał Hrabia łagodnie.

- Nikogo, towarzyszu, nikogo! Absolutnie nikogo. Tylko jedno, że byliście tu zaledwie dwadzieścia minut temu... - Ja tu byłem? - Uniesiona brew podobnie jak ton głosu ucięły przestraszone jękanie.

- Nie, nie, oczywiście, że nie. To znaczy, nie pan, ale pańscy ludzie. Przyszli...

- Wiem, człowieku. Sam ich wysłałem.

Hrabia machnął ręką, znudzonym gestem każąc mu odejść i portier pędem ruszył po dyrektora. Reynolds podniósł się z ławki przy ścianie i podszedł do Hrabiego.

- Całkiem niezłe przedstawienie - mruknął. - Sam byłem przestraszony.

- Praktyka czyni cuda odparł Hrabia skromnie. - Podtrzymuje moją reputację i na dłuższą metę nie wyrządza nikomu krzywdy, choć to przykre być nazywanym "towarzyszem" przez

takich cymbałów... Słyszał pan, co powiedział? - Tak. Nie tracą czasu, prawda?

- Są dość sprawni na swój własny ograniczony sposób zgodził się Hrabia. - Do rana sprawdzą wszystkie hotele w mieście. To niewielka szansa, ale nie mogą jej zaniedbać. Jest pan teraz podwójnie bezpieczny, o wiele bardziej niż u Janskiego.

Reynolds skinął głową w milczeniu. Zaledwie pół godziny minęło, odkąd Jansci zgodził się mu pomóc. Obaj z Hrabią zdecydowali, że musi natychmiast opuścić ten dom jako zbyt niewygodny i zbyt niebezpieczny. Niewygodny nie z powodu ciasnoty, ale dlatego, że stoi samotnie i na uboczu: wszelkie ruchy, jakie Reynolds będzie zmuszony podjąć, ściągają na dom czy to w dzień, czy w nocy niepożądaną uwagę. Znajdował się zbyt daleko od centrum, od dużych hoteli Pesz tu, gdzie zapewne zatrzymał się Jennings i, co najważniejsze, nie miał telefonu.

Był niebezpieczny, ponieważ w Janscim narastało przekonanie, że dom jest pod obserwacją: w ciągu ostatnich dwóch dni zarówno Sandor jak Imre widzieli dwóch ludzi, zawsze osobno i o różnych porach spacerujących wolno po drugiej stronie ulicy. mało prawdopodobne, aby chodziło o niewinnych przechodniów, chyba nie byli to też milicjanci ani agenci, ale jak każde miasto pod rządami policyjnymi Budapeszt miał setki płatnych informatorów; zapewne to właśnie dwaj z nich utwierdzali się w podejrzeniach i zbierali fakty przed udaniem się na milicję po swoje judaszowe pieniądze. Reynolds był zdumiony spokojem i obojętnością, z jakimi Jansci mówił o tym niebezpieczeństwie. ale podczas jazdy przez zaśnieżone ulice do hotelu Hrabia wszystko mu wyjaśnił. Tak często musieli zmieniać kryjówki z powodu podejrzliwości sąsiadów, że niemal weszło im to w krew, a Jansci miał szósty zmysł, dzięki któremuu dotychczas zawsze udawało im się ująć w porę. Było to wszystko naturalnie denerwujące, mówił Hrabia, ale możliwe do pokonania: mieli jeszcze kilka równie dobrych melin, a ich główna kwatera była na wsi, w miejscu znanym tylko

jemu, Jansciemu i Julii.

Myśli Reynoldsa przerwał dźwięk otwieranych drzwi na końcu holu. Z komicznym pośpiechem, stukając nerwowo po parkiecie podkutymi butami, szedł ku nim mężczyzna w okularach, wciskając w biegu marynarkę na pognieciona koszulę; jego szczupła twarz wyrażała strach i niepokój.

- Stokrotnie przepraszam, towarzyszu, stokrotnie przepraszam! wykręcając ze zdenerwowania pobielełał palce. spojrział z wściekłością na podążającego za nim portiera. Ten idiota...

- Wy tu jesteście dyrektorem? - przerwał mu szorstko Hrabia.

- Tak, tak, naturalnie. ,

- Oddalcie tego kretyna. Chcę porozmawiać z wami na osobności.

Począł, aż portier odejdzie, wyjął złotą papierośnicę, pieczołowicie wybrał papierosa, przyjrzał mu się, włożył starannie do lufki, bez pośpiechu poszukał zapalek i w końcu wyjąwszy jedną, zapalił. Piękny spektakl, przyznał w duchu Reynolds. Dyrektor, już dostatecznie wystraszony, był teraz na granicy hysterii.

- Co się stało, towarzyszu, czy coś nie w porządku? Starając się opanować drżenie głosu. przemówił głośniejszym niż zamierzał, zaraz więc zniżył głos niemal do szeptu. Jeśli mogę w czymkolwiek pomóc AVO, to zapewniam...

- Odzywajcie się tylko, kiedy was zapytam. - Hrabia nawet nie podniósł głosu, ale dyrektor skurczył się o połowę, a jego usta zacisnęły się w białą kreskę strachu. widzieliście się dzisiaj z moimi ludźmi?

- Tak, tak, całkiem niedawno. Jeszcze nawet nie spałem...

- Oczekuję tylko odpowiedzi na pytanie - powtórzył Hrabia łagodnie.-Mam nadzieję, że nie będę już musiał o tym przypominać... Pytali, czy macie tu jakiegoś nowego gościa albo

świeże rezerwacje, sprawdzili książkę hotelową i pokoje. Zostawili oczywiście rysopis człowieka, którego poszukiwali?

- Mam go tutaj, towarzyszu. - Dyrektor poklepał się po kieszeni na piersi.

- I kazali wam natychmiast telefonować, jeśli ktoś taki się pojawi?

Dyrektor skinął głową. - Zapomnijcie o tym wszystkim - rozkazał Hrabia. Sprawa szybko posuwa się naprzód. Mamy podstawy sądzić, że ten człowiek tu przyjedzie, a jego łącznik albo już tu mieszka, albo zjawi się w ciągu dwudziestu czterech

godzin. . - Hrabia wydmuchał długą, cienką strużkę dymu i spojrzał przeciągle na dyrektora. - Z tego co nam wiadomo,

To już po raz czwarty w ciągu ostatnich trzech miesięcy udzielacie w swoim hotelu schronienia wrogowi naszego państwa.

- Co? My. W naszym hotelu? - Dyrektor wyraźnie pobladł. - Przysięgam na Boga, towarzyszu...

- Na Boga? - Hrabia zmarszczył brwi. - Jakiego Boga? Czyjzego Boga?

Twarz dyrektora już nie była blada, ale szara: prawdziwi komuniści nigdy nie popełniają tego rodzaju gaf. Reynoldsowi było go niemal żal, wiedział jednak, co Hrabia chce osiągnąć: poprzez zastraszenie absolutne podporządkowanie się jego życzeniom, ślepe i bezwolne posłuszeństwo. I już to sobie zapewnił.

- Przejęczyłem się, towarzyszu. - Dyrektor zaczął się jękać w panice, ręce i nogi mu się trzęsły. - Zapewniam was, towarzyszu...

- Nie. Nie, to ja was zapewniam, towarzyszu. - Hrabia mówił niemal szeptem. - Jeszcze jeden niewłaściwy krok, a będziemy musieli zadbać o pewną reedukację, o wyeliminowanie tych żalosnych burżuazyjnych ciągót, tej gotowości udzielania schronienia ludziom, którzy tylko patrzą. żeby wbić naszej ojczyźnie nóż w plecy.

Dyrektor otworzył usta w niemym proteście, jego wargi ruszały się bezgłośnie.

- Moje instrukcje mają być wykonane bezzwłocznie i dokładnie, a wy osobiście odpowiecie za jakiegokolwiek, choćby najmniejsze, niedopatrzenie - ciągnął Hrabia, wypowiadając każde słowo dobitnie i zimno. - Chyba, że wolisz Kanał Czarnomorski, przyjacielu?

- Zrobię wszystko, wszystko! - Dyrektor mówił błagalnym tonem, dygotał żałośnie z przerażenia i musiał uchwycić się kontuaru recepcji dla zachowania równowagi. Wszystko, towarzyszu, przysięgam!

- Dam wam ostatnią szansę. - Hrabia wskazał ruchem głowy Reynoldsa. - To jeden z moich ludzi. Dostatecznie podobny z wyglądu i budowy do poszukiwanego szpiega, no i trochę go ucharakteryzowaliśmy. Ciemny kąk holu lub restauracji, łącznik zmylony podchodzi i już jest nasz. Wyśpiewa nam, co trzeba, jak wszyscy przesłuchiwanym przez AVO, i sam szpieg też będzie nasz.

Reynolds wlepił wzrok w Hrabiego, tylko wieloletniej zawodowej wprawie zawdzięczał, że udało mu się zachować kamienną twarz. Zastanawiał się, czy brawura tego człowieka nie ma granic. Ale właśnie to bezprzykładne zuchwalstwo stwarzało największe szanse bezpieczeństwa. i

- Tak czy owak, to nie wasza sprawa - ciągnął Hrabia. Wy macie dać mojemu przyjacielowi, nazwijmy go dla wygody panem Rakosi, najlepszy pokój, jaki macie, z łazienką, wyjściem przeciwpożarowym, radiem, telefonem i budzikiem oraz klucze-matki do wszystkich pokoi hotelowych, i zapewnić mu absolutny spokój. Telefonistce nie wolno podsłuchiwać jego rozmów; jak pan zapewne wie, drogi dyrektorze, mamy urządzenia, które natychmiast sygnalizują nam, kiedy linia jest na podsłuchu. Nie chcemy też żadnych pokojówek, kelnerów, elektryków, hydraulików czy innych rzemieślników w pobliżu jego

pokoju. Wszystkie posiłki macie przynosić sami. Dopóki pan Rakosi nie zechce się pokazać, dla nikogo nie istnieje. Nikt nie może nic o nim wiedzieć, nawet wy nigdy nie widzieliście go na oczy, podobnie jak mnie. Czy wszystko jasne?

- Oczywiście, oczywiście. - Dyrektor chwycił się rozpaczliwie ostatniej deski ratunku. -

Wszystko będzie dokładnie, jak sobie życzycie, towarzyszu. Daję na to słowo.- Może ostatecznie uda się wam utrzymać w tym hotelu i naciąć na rachunkach jeszcze kilka tysięcy gości - powiedział Hrabia pogardliwie. - Ostrzeżcie tego idiotę, portiera, żeby trzymał język za zębami, a teraz chodźmy już do pokoju.

W pięć minut później zostali sami. Pokój Reynoldsa nie był duży, ale przyjemnie urządzone, z radiem, telefonem i wyjściem przeciwpożarowym dogodnie usytuowanym za przyległą łazienką. Hrabia rozejrzał się z aprobatą.

- Będzie tu panu wygodnie przez parę dni, w każdym razie dwa lub trzy. Nie dłużej, to zbyt niebezpieczne. Dyrektor nie piśnie słowa, ale zawsze znajdzie się jakiś przestraszony głupiec albo płatny informator, który doniesie. - A co po tych paru dniach?

-

Będzie pan musiał przeobrazić się w kogoś innego. Prześpię się kilka godzin i pójdę do mojego przyjaciela. który specjalizuje się w takich rzeczach. - Hrabia w zamyśleniu potarł siny, szpeciniasty podbródek. - Sądzę, że najodpowiedniejsze będzie przebranie za Niemca, najlepiej z Zagłębia Ruhry, z Dortmundu, Essen czy tamtych okolic. Zapewniam pana, że będzie to bardziej przekonujące niż pańska Austria.

Szmugiel między Wschodem a Zachodem osiągnął takie rozmiary, że interesy prowadzą teraz sami szefowie, a szwajcarscy i austriaccy pośrednicy, którzy zawierali te transakcje, przeżywają chude dni. Rzadkie z nich tu teraz ptaszki, a przez to bardziej podejrzane. Zrobimy z pana, powiedzmy, dostawcę miedzi albo aluminium.

Załatwię odpowiednie papiery.

- Są to, oczywiście, towary pod embargiem?

- Naturalnie. Są setki takich towarów, objętych absolutnym zakazem wywozu przez rządy zachodnie, co nie przeszkadza, że płyną one za żelazną kurtynę szeroką rzeką wartości co najmniej stu, dwustu milionów funtów rocznie: kto się tego doliczy.

- Dobry Boże! - Reynolds był zdumiony, ale szybko się otrząsnął. - I ja mam dołożyć swój udział do tej rzeki?

- Najłatwiejsza rzecz pod słońcem, mój chłopcze. Wysyła pan towar do Hamburga albo jakiegoś innego wolnocłowego portu pod fałszywymi oznaczeniami i manifestami okrętowymi; tam się je zmienia i ładuje towar na frachtowiec radziecki. Lub jeszcze prościej, wysyła się towar do Francji, rozplombowuje, przepakowuje i wysyła do Czechosłowacji; zgodnie z umową tranzytową z dwudziestego pierwszego roku towary mogą być wysyłane z kraju A do C przez kraj B bez kontroli celnej. Idealnie proste, prawda?

- Rzeczywiście - przyznał Reynolds. - Zainteresowane rządy muszą być w kłopotcie.

- Rządy! - Hrabia się roześmiał. - Drogi panie Reynolds, kiedy w grę wchodzi korzyści ekonomiczne, rządowi dziwnie psuje się wzrok. Jakiś czas temu pewien rozsierdzony obywatel niemiecki, przywódca socjalistów o nazwisku...chyba Wehner. tak, Herbert Wehner, wysłał do rządu w Bonn listę sześciuset firm, sześciuset, drogi panie., aktywnie trudniących się kontrabandą.

- Z jakim rezultatem

- Z sześciuset fabryk wyrzucono sześciuset informatorów - odparł krótko Hrabia. - W każdym razie tak twierdzi Wehner, i chyba wiedział, co mówi. Jak świat światem, interes jest interesem, a zysk zyskiem. Komuniści powitają pana z otwartymi ramionami pod warunkiem, że będzie pan miał poszukiwany towar. Wszystkiego dopilnuję. Zostanie pan

przedstawicielem, współnikiem, dużej firmy metalowej w Zagłębiu Ruhry.

- Istniejącej?

- Ależ naturalnie. Żadnego ryzyka, a to czego ta firma nie będzie wiedziała, nie wyrządzi jej krzywdy. - Hrabia wyciągnął z kieszeni piersiówkę z nierdzewnej stali. - Może kropelkę?

- Dziękuję, nie.

Z obserwacji Reynoldsa wynikało, że Hrabia wypił już tej nocy co najmniej trzy czwarte butelki, ale efekt tego, przynajmniej na zewnątrz, był niezauważalny; odporność tego człowieka na alkohol była fenomenalna. W gruncie rzeczy, on sam też był swojego rodzaju fenomenem i stanowił prawdziwą zagadkę. Choć zwykle cechował go chłodny cynizm i sarkastyczne poczucie humoru, w rzadkich chwilach zapomnienia na jego twarzy malował się nieobecny wyraz i głęboki smutek, pozostający w ostrym kontraście do jego normalnej osobowości. Ale może właśnie tamta strona jego natury była prawdziwa...

- Jak pan chce. - Hrabia wziął szklankę z łazienki, napełnił do połowy i opróżnił jednym haustem. - Czysto profilaktyczny środek medyczny, pan rozumie; im mniej pan wypije, tym więcej zostanie dla mnie i tym samym lepiej ochroni moje zdrowie... Jak mówiłem, z samego rana załatwię panu nową tożsamość. Potem pójdę na ulicę Andrassy i sprawdzę, gdzie się zatrzymali radzieccy- delegaci na tę konferencję. Zapewne w "trzech koronach", gdzie cały personel stanowią nasi ludzie, ale być może gdzie indziej.

- Wyjął kartkę papieru i pióro i szybko coś napisał. - Tu są nazwy i adresy ośmiu hoteli: muszą być w jednym z nich. Oznaczyłem je od A do H, jak pan widzi. Kiedy zatelefonuję, przekręcę pańskie nazwisko. Pierwsza litera będzie odpowiadała danemu hotelowi. Rozumie pan?

Reynolds skinął głową

- Spróbuję się także dowiedzieć numeru pokoju Jenningsa. To będzie trudniejsze. Podam

go panu w formie ustaleń finansowych w związku z transakcją, przedstawiając cyfry na odwrót. - Hrabia odstawił piersiówkę i wstał. - I to wszystko, niestety, co mogę zrobić.

Reszta należy do pana. Nie mogę udać się do hotelu, w którym mieszka Jennings, ponieważ będzie pod obserwacją i ponieważ mam służbę dziś wieczorem przynajmniej do dziesiątej. Nawet gdybym zdołał się do niego przebić, nic by to nie dało. Od razu by poznał, że jestem cudzoziemcem i nabrał podejrzeń, a poza tym pan jest jedyną osobą, która widziała jego żonę i może przedstawić mu wszystkie fakty i argumenty.

- Zrobił pan i tak bardzo wiele - zapewnił go Reynolds. - Najważniejsze, że wciąż żyję, prawda? Mam nie opuszczać tego pokoju, dopóki nie dostanę od pana wiadomości?

- Nawet na krok. Mnie czeka teraz trochę snu, a potem mundur i codzienna porcja terroru dla wszystkich razem i każdego z osobna. - Hrabia uśmiechnął się kwaśno. - Nie może pan sobie wyobrazić, panie Reynolds. jak to miło czuć się przez wszystkich kochanym. Au revoir.

Reynolds nie tracił czasu po jego wyjściu. Czuł się straszliwie zmęczony. Zamknął drzwi pokoju, przekręcając klucz tak, żeby nie można go było wypchnąć z zewnątrz. podstawił krzesło pod klamkę dla dodatkowego zabezpieczenia, zamknął okna w pokoju i łazience, położył na parapetach szereg szklanych i łatwo tłukących się przedmiotów - najlepszy środek przeciw włamywaczom, jak wiedział z doświadczenia - wsunął pistolet pod poduszkę, rozebrał się i z rozkoszą rzucił do łóżka.

Przez chwilę jego myśli błądziły wokół zajść z ostatnich paru godzin. Myślał o cierpliwym i łagodnym Janscim, Janscim, którego wyraz twarzy i poglądy były w tak wielkiej sprzeczności z niemal niewiarygodnym okrucieństwem przeżytych doświadczeń; o enigmatycznym Hrabim; o córce Janskiego, która na razie była dla niego parą niebieskich oczu pod jasnymi włosami; o Sandorze, na swój sposób równie łagodnym jak jego szef; o

Imre z nerwowymi, rozbieganymi oczami.

Próbował też pomyśleć o dniu jutrzejszym - to znaczy już dzisiejszym - o tym, jak spotkać się ze starym profesorem, jak najlepiej przeprowadzić z nim rozmowę, ale był zbyt zmęczony, myśli zlewały mu się w ciąg zamazanych obrazów, w końcu i te obrazy rozplynęły się i umknęły w nicość, a on sam zapadł w ciężki, głęboki sen.

Zaledwie cztery godziny później zerwał go ostry, wysoki dźwięk budzika. Obudził się z owym kołowym odurzeniem człowieka jeszcze na wpół śpiącego, niemniej obudził się natychmiast, wyłączając brzęczyk po paru sekundach. Zadzwoił na dół po kawę, włożył szlafrok, zapalił papierosa, odebrał kawę przy drzwiach, zamknął je ponownie i usiadł z słuchawkami radiowymi na uszach.

Hasło potwierdzające przybycie Briana do Szwecji miało polegać na umyślnym przejęczeniu spikera; uzgodniono, że powie: dziś wieczorem... przepraszam bardzo, jutro wieczorem... Ale tego ranka w europejskim serwisie informacyjnym BBC na falach krótkich żadne potknięcie językowe nie nastąpiło i Reynolds zdjął słuchawki, nie czując przy tym wielkiego zawodu. Nie spodziewał się właściwie tej wiadomości tak wcześnie, ale nawet nikłej szansy nie należało lekceważyć. Skończył kawę i po paru minutach znów spał.

Tym razem obudził się sam z siebie, wypoczęty i odświeżony. Było po pierwszej. Umył się, ogolił, zadzwonił po obiad i rozchylił zasłony. Na dworze panował taki mróz, że okna były całe oszronione i musiał je otworzyć, żeby zobaczyć jaka jest pogoda. Wiał lekki wiatr, ale tak przenikliwy, że przeszył go pod cienką koszulą na wskroś. Idealne warunki działania dla tajnego agenta, o ile oczywiście nie zamarznę na śmierć, pomyślał ponuro. W powietrzu wirowały ogromne pierzaste płatki śniegu padające wolno z ciemnego, ołowianego nieba. Reynolds wstrząsnął się i czym prędzej zamknął okno; w tej samej chwili zapukano do drzwi. Otworzył i wpuścił dyrektora niosącego tacę z przykrytym posiłkiem. Jeśli dyrektor czuł

się w duchu urażony przymuszeniem do pracy posługacza, to w żadnym razie tego po sobie nie okazywał. Przeciwnie, był niezwykle unżony, a obecność na tacy butelki Imperial Aszu, łagodnego, złocistego tokaju, równie rzadkiego jak złoto, miała dowodzić jego niemal fanatycznej chęci dogodzenia AVO w każdy możliwy sposób. Reynolds powstrzymał się od podziękowania - AVO, jak rozumiał, nie bawiło się w takie grzeczności - machnął tylko ręką, odprawiając dyrektora. Ten jednak sięgnął do kieszeni, wyjmując czystą kopertę.

- Powiedziano mi, żebym to wam doręczył, towarzyszu Rakosi.

- Mnie? - Głos Reynoldsa był ostry, ale bez strachu. Tylko Hrabia i jego przyjaciele znali jego nowe nazwisko. - Kiedy to dostaliście?

- Zaledwie pięć minut temu.

- Pięć minut temu! - Reynolds wbił zimny wzrok w dyrektora i zniżył głos o oktawę; melodramatyczne gesty i społeczeństwie, były przyjmowane z całą powagą. - Więc dlaczego nie przyniesiono mi tego pięć minut temu?

- Przepraszam, towarzyszu. - Drżenie wróciło do głosu dyrektora. - Wasz obiad był niemal gotowy i myślałem...

- Nikt wam nie kazał myśleć. Następnym razem, kiedy przyjdzie do mnie wiadomość, ma być dostarczona natychmiast. Kto to przyniósł?

- Dziewczyna... młoda kobieta. - Opiszcie ją.

- To trudne. Nie znam się na tym. - Zawahał się. - Miała płaszcz z paskiem i dużym kapturem. Nie była wysoka, raczej niska, ale dobrze zbudowana. Jej buty...

- Twarz, idioto! Włosy.

- Zakrywał je kaptur. Miała niebieskie oczy, bardzo niebieskie... - Dyrektor uchwycił się z nadzieją tego punktu, ale zaraz się skonsternował. - Obawiam się, towarzyszu...

Reynolds kazał mu się wynosić. Dowiedział się już, czego chciał: opis dostatecznie

pasował do córki Janskiego. Jego pierwszą reakcją, zdumiewającą dla niego samego, był gniew, że można ją tak narażać, ale zaraz przyszło opamiętanie. Jansci, z twarzą znaną setkom ludzi, nie mógł bezpiecznie poruszać się po ulicach; Sandor i Imre, głośni bohaterowie powstania, też pozostali w pamięci tysięcy. ale młoda dziewczyna nie powinna wzbudzić żadnego podejrzenia ani zdziwienia, a nawet gdyby później o nią wypytywano, opis dyrektora pasował do wielu innych.

Otworzył kopertę. Wiadomość była krótka, napisana drukowanymi literami: Proszę nie przychodzić dziś do domu. Spotkamy się w kawiarni Pod białym aniołem między ósmą a dziewiątą. J. Julia oczywiście, nie Jansci, jeśli nie chciał się pokazywać na ulicach, tym bardziej nie poszedłby do zatłoczonej kawiarni. Powód zmiany planu miał zameldować się u Janskiego po spotkaniu z Jenningsem - był mu nieznany. Równie dobrze mogła to być obserwacja milicji lub informatorów jak tuzin innych przyczyn. Z typowym dla siebie rozsądkiem nie tracił czasu na zastanawianie się nad tym; wiedział, że zgadywanie nic nie da. sam dowie się wszystkiego od dziewczyny w swoim czasie. Spalił kopertę w umywalce, spuścił popiół w klozecie i usiadł do wyborczego obiadu.

Godziny mijały. Druga, trzecia, czwarta i nadal ani słowa od Hrabiego. Albo miał trudności ze zdobyciem informacji, albo, co bardziej prawdopodobne, nie znajdował okazji, aby ją przekazać. Reynolds, przerywając chodzenie od ściany do ściany tylko dla rzucenia okiem przez okno na coraz gęstszy śnieg pokrywający bezgłośnie domy i ulice miasta, zaczynał się niecierpliwić. Jeśli ma znaleźć profesora, porozmawiać z nim, przekonać do ucieczki przez granicę austriacką i sam przed dziewiątą zdążyć "Pod białego anioła" - znalazł adres w książce telefonicznej - to rzeczywiście robiło się późno. Minęła piąta, wpół do szóstej. W końcu za dwadzieścia szósta w ciszy pokoju rozległ się ostry dzwonek telefonu. Reynolds znalazł się przy aparacie w dwóch skokach i

podniósł słuchawkę.

- Pan Buhl? Pan Johann Buhl? - Hrabia mówił cicho i , pospiesznie, ale był to niewątpliwie jego głos.

- Przy telefonie.

- Doskonale. Mam dla pana dobre wiadomości, panie Buhl. Byłem dziś po południu w ministerstwie i są bardzo zainteresowani pańską ofertą, zwłaszcza jeśli chodzi o blachę aluminiową. Chcieliby od razu to z panem przedyskutować, pod warunkiem, że godzi się pan na ich cenę: dziewięćdziesiąt pięć.

- Sądzę, że moja firma zaakceptuje to.

- Wobec tego przystępujemy do interesów. Możemy porozmawiać przy kolacji. Czy wpół do siódmej nie będzie dla pana za wcześnie?

- Nie, przyjdę z pewnością. Trzecie piętro, tak?

- Drugie. Wobec tego o wpół do siódmej. Do zobaczenia. Szczęknęła odłożona słuchawka.

Hrabia brzmiał, jakby mu się spieszyło i bał się, że ktoś go może podsłuchać, ale zdołał przekazać wszystkie informacje. Buhl, czyli litera B to rzeczywiście hotel "Trzy Korony", ten obsadzony przez AVO i ich donosicieli. Szkoda, to zwielokrotniało niebezpieczeństwo, ale przynajmniej wiedział, na czym stoi: każdy będzie tam przeciwko niemu. Numer pięćdziesiąt dziewięć, drugie piętro, a profesor ma kolację o szóstej trzydzieści i wtedy jego pokój będzie zapewne pusty. Reynolds spojrzął na zegarek i już nie tracił czasu. Zapiął pasek trenca, wcisnął na oczy kapelusz, przykręcił specjalny tłumik do swojego belgijskiego pistoletu, wsadził go do prawej kieszeni, do lewej zaś wodoszczelną latarkę, a ponadto jeszcze dwa zapasowe magazynki do wewnętrznej kieszeni marynarki. Później zadzwonił do dyrektora, powiedział mu, że przez następne cztery godziny nie życzy sobie absolutnie żadnych gości, telefonów, listów czy posiłków; zablokował klucz w zamku, zostawił pałace

się światło dla zmylenia kogoś na tyle ciekawskiego, że chciałby zajrzeć przez dziurkę, otworzył okno łazienki i opuścił hotel zejściem przeciwpożarowym.

Noc była przejmująco zimna, gruba, miękka warstwa śniegu sięgała do kostek i zanim przebył dwieście metrów, jego płaszcz i kapelusz były niemal równie białe jak ziemia pod stopami. Ale zarówno zimna jak i śnieg były mu na rękę: mróz zniechęci najbardziej sumiennych pracowników milicji czy służby bezpieczeństwa do przeczesywania ulic ze zwykłą czujnością, a śnieg, oprócz pokrycia go ochronnym, białym kokonem anonimowości, tłumił także wszelkie odgłosy, wyciszając niemal zupełnie jego kroki. Idealna noc dla szpiega, pomyślał z satysfakcją Reynolds.

Dotarł pod "Trzy korony" w niecałe trzy minuty- nawet w śnieżycy poruszał się po ulicach równie pewnie, jakby mieszkał w Budapeszcie całe życie - i przystąpił do pierwszych ostrożnych oględzin terenu, trzymając się drugiej strony ulicy.

Był to duży hotel, zajmujący cały kwartał. Wejście, podwójne szklane drzwi z drugimi obrotowymi przedsionku, tonęło w ostrym świetle jarzeniówek. Strzegło go dwóch odźwiernych w liberjach, przytupując od czasu do czasu i poklepując się skrzyżowanymi rękami dla rozgrzewki. Obaj, jak Reynolds widział, byli uzbrojeni w rewolwery w zapiętych kaburach i patki. Bez trudu się domyślił, że są nie bardziej odźwiernymi niż on sam, lecz funkcjonariuszami AVO. Jedno było pewne: jakkolwiek by zamierzał dostać się do hotelu, to nie przez frontowe wejście. Wszystko to Reynolds dostrzegł kątem oka, idąc spieszenie po drugiej stronie ulicy, z głową spuszczoną przed nawałnicą śnieżną, jak człowiek zmierzający czym prędzej do ciepła domowego ogniska. Gdy tylko zniknął im z oczu, przyspieszył kroku i obejrzał szybko boczne ściany hotelu. Nie dawały więcej nadziei niż front: wszystkie okna na parterze były zakratowane, a te na piętrze mogły równie dobrze znajdować się na księżycu, jeśli chodzi o łatwość dostępu. To zostawiało tylko tył budynku.

Wejście dla dostawców i personelu prowadziło przez łukową bramę pośrodku muru, na tyle szeroką i wysoką, żeby pomieścić dużą ciężarówkę. Dalej widać było pokryty śniegiem dziedziniec - hotel był zbudowany w formie otwartego czworoboku - wejście po drugiej stronie, naprzeciwko drzwi głównych, i jeden czy dwa zaparkowane samochody. Nad wejściem do głównego bloku paliła się jasna elektryczna latarnia, z okien na parterze i na piętrze też dobiegało nieco światła. Pozwalało to dostrzec kanciaste kształty trzech drabinek przeciwpożarowych biegnących zygzakiem w górę, gdzie ginęły w śniegu i ciemności.

Reynolds doszedł do rogu ulicy, rozejrzał się szybko wokół, przebiegł przez jezdnię i trzymając się jak najbliżej muru, zaczął iść z powrotem do tylnego wejścia. Przy łuku bramy zwolnił, zatrzymał się, naciągnął kapelusz jeszcze bardziej na oczy i zajrzał ostrożnie w głąb. W tej samej sekundzie uderzył go prosto w oczy przeraźliwy, jaskrawy błysk światła, całkowicie go oślepiając po tak długim przebywaniu w ciemności - i przez jedną straszną chwilę myślał, że jest zgubiony. Trzymając palec na spuście, wyjmował już pistolet z kieszeni, kiedy nagle światło zeszło z jego twarzy i powędrowało po dziedzińcu.

Gdy źrenice powoli mu się rozszerzały. Reynolds zrozumiał, co się stało. Oświetliła go na moment latarka niedbale niesiona przez żołnierza, który - z karabinem przewieszonym przez ramię - krążył po obwodzie dziedzińca, lecz najwyraźniej patrzył w inną stronę i nic nie zauważył.

Reynolds wszedł do bramy, podkradł się cicho naprzód i stanął. Żołnierz oddalał się teraz od niego, idąc w stronę głównego bloku i stało się jasne, na czym polega jego zadanie. Obchodził drabinki przeciwpożarowe, oświetlając dolne, pokryte śniegiem szczeble.

Reynolds zastanawiał się z ironią, czy pilnuje, aby nikt nie wszedł do hotelu. czy też aby nikt z niego nie uciekł. Zapewne to ostatnie sądząc z tego, co mówił Hrabia, niejeden z gości chętnie zrezygnowałby z udziału w konferencji w zamian za wizę na Zachód. Dość głupi

środek zapobiegawczy, pomyślał Reynolds, zwłaszcza stosowany tak ostentacyjnie: każdy jako tako wysportowany osobnik, ostrzeżony promieniem latarki, może podciągnąć się na pierwszy podest lub z niego spuścić, nie zostawiając żadnych śladów na stopniach.

Teraz, zdecydował. Żołnierz przechodził właśnie daleko pod latarnią na drugim końcu i nie było sensu czekać, aż zrobi następne okrążenie. Bezszelestnie, jak duch w białej poświacie nocy, Reynolds przemknął po wybrukowanym przejściu - i ledwo udało mu się powstrzymać okrzyk, stając w pół kroku i przylegając do ściany. Stał spłaszczony, nieruchomy, z rozpostartymi rękami i nogami, wczepiając się zeszywniałymi palcami w zimne, wilgotne kamienie muru za plecami, wciskając głowę w zmięte rondo kapelusza. Serce waliło mu w piersiach jak oszalałe.

Ty głupcze, powiedział do siebie z wściekłością, ty przeklęty skończony idioto. Niemal dałeś się na to złapać gdyby nie łaska pańska i ten żarzący się niedopałek papierosa, rzucony ci niedbale przed nosem i teraz dogasający w śniegu niemal tuż pod twoimi stopami, wpadłbyś jak nic. Powinieneś był to przewidzieć, powinieneś był oddać inteligencji AVO elementarną sprawiedliwość i domyślić się, że dostęp do hotelu nie może być tak dziecinnie łatwy.

Budka strażnicza na dziedzińcu stała tuż za rogiem przejścia, a sam strażnik, na wpół wychylony ze środka, opierał się ramionami o jej boki nie dalej niż na wyciągnięcie ręki. Reynolds słyszał jego ciężki, wyraźny oddech, a szuranie stóp po drewnianej podłodze dudniło mu w uszach jak grzmot.

Zostało zaledwie parę sekund. Wystarczy, aby strażnik się poruszył, odwrócił lekko głowę w lewo, i już po nim. A niechby się nawet nie ruszył, to żołnierz, oddalony już tylko o kilka kroków, pochwyti Reynoldsa światłem latarki przechodząc koło bramy. Myśli Anglika biegły jak oszalałe. Ma trzy wyjścia. Może odwrócić się i uciec, licząc, że uda mu się zbiec w

śniegu i ciemności, ale straż zostanie odtąd tak wzmocniona, że nie będzie miał już szans spotkać się z Jenningsem. Może zabić obu mężczyzn - nie wątpił, że jest do tego zdolny i w razie konieczności zrobiłby to bez wahania - ale pozostawał nierozwiązywalny problem pozbycia się ciała. Gdyby- znaleziono je i podniesiono alarm jeszcze w trakcie jego pobytu w hotelu, nie zdołałby ująć z życiem. Zostawała tylko trzecia droga, rokująca jakikolwiek sukces, i nie było już czasu na dalsze spekulacje.

wyjął pistolet, chwytając kolbę pewnie w obie ręce i oparł prawy nadgarstek mocno o mur dla większej stabilności. Tłumik utrudniał celowanie, wirujący śnieg tym bardziej, ale należało spróbować. Żołnierz z latarką był już o krok, strażnik w budce odchrząknął, żeby coś do niego powiedzieć, kiedy Reynolds wolno nacisnął spust.

Cichy plask tłumika zagłuszający wystrzał zlał się z nagłym hukiem latarni nad głównym wejściem, rozpryskującej się na tysiąc kawałków; strzaskane odłamki zadźwięczały o mur, spadając w puchatą ciszę śniegu. Do uszu mężczyzny w budce głuchy odgłos tłumika musiał dojść na ułamek sekundy przed brzękiem szkła, ale ucho ludzkie nie jest w stanie uchwycić tak subtelnej różnicy w czasie i mogło zarejestrować tylko o wiele głośniejszy dźwięk.

Strażnik już pędził co sił przez dziedziniec na drugą stronę, żołnierz z latarką tuż za nim.

Reynolds nie zwlekał. Minał budkę strażniczą, skręcił ostro na prawo, pobiegł cicho po

śladach, które żołnierz wydeptał w świeżym śniegu, minął pierwsze schodki prze-

ciwpożarowe, odwrócił się, podskoczył i wyciągając ramiona na całą długość pochwycił

słupek podtrzymujący poręcz na pierwszym podeście. Przez jedną straszną chwilę czuł, jak

dłonie ześlizgują mu się po gładkiej, zimnej stali; rozpacziwie wzmocnił uścisk, utrzymał

się, a potem podciągnął aż do poręczy. Moment później stał już bezpiecznie na podeście, a

śnieg u podnóża oraz na stopniach pozostał nienaruszony.

Pięć sekund później, biorąc po dwa schodki naraz i stawiając stopy bokiem na środku

stopni, żeby nie zostawiać widocznych z dołu śladów, dotarł na drugi podest na poziomie pierwszego piętra. Tu przywarł na kolanach do podłogi, żeby być jak najmniej widocznym, gdyż dwaj wartownicy, nie spiesząc się i rozmawiając, wracali w kierunku bramy. Byli przekonani, jak Reynolds dosłyszał, że rozgrzany klosz pękł z powodu mrozu na zewnątrz, i nie zamierzali przywiązywać do tego większej wagi. Nie zdziwiło go to, wystrzelona kula, odbita od twardego jak granit muru, prawie nie zostawiła śladu i może teraz leżeć niepostrzeżenie pod grubą warstwą śniegu przez dłuższy czas. Na ich miejscu doszedłby do takiego samego wniosku. Dla zachowania pozorów obaj mężczyźni obeszlą zaparkowane samochody, przejechali światłem latarek po niższych kondygnacjach schodów przeciwpożarowych i zanim skończyli swoją pobieżną lustrację, Reynolds stał już na podeście drugiego piętra naprzeciwko podwójnych szklanych drzwi.

Cicho nacisnął kłamkę. Były zamknięte. Niczego innego się nie spodziewał. Wolno, z największą ostrożnością miał ręce zeszywniałe z zimna, a każda niezdarność mogła prowadzić do zguby - wyjął nóż, bezszelestnie wysunął ostrze, włożył je między szparę w drzwiach i szarpnął do góry. Sekundę później był już w środku.

w pomieszczeniu było ciemno jak w grobie, ale wyciągnięte, badawcze ręce zaraz powiedziały mu, gdzie jest. Twarda gładkość naokoło, glazurowane kafelki na ścianach, marmurowe umywalki, chromowane wieszaki, wszystko to dowodziło, że jest w łazience. Zaciągnął niedbale zasłony przy oszklonych drzwiach - z punktu widzenia strażników na dole, światło mogło zapalić się w tym oknie równie dobrze jak w każdym innym przeszedł na oślepek do drzwi wejściowych i przekręcił kontakt.

Była to duża łazienka ze staroświecką wanną, trzema wykafelkowanymi ścianami i czwartą zajęta przez podwójną szafę na bieliznę, ale Reynolds nie tracił czasu, żeby się tu bliżej rozglądać. Podeszedł do umywalki, napuścił do pełna gorącej wody i zanurzył w niej

dłonie. Ta drastyczna metoda przywracania krążenia krwi w skostniałych, przemarzniętych rękach była bardzo bolesna, ale czego jej nie dostawało w finezji, z nawiązką rekompensowała w szybkości działania, a o to tylko mu chodziło. Wysuszył mrowiące palce, wyjął pistolet, zgasił światło, ostrożnie otworzył drzwi i wyjrzał jednym okiem za futrynę. Znajdował się na końcu długiego korytarza wyłożonego wspaniałym dywanem, jak należało się spodziewać po hotelu prowadzonym przez AVO. Po obu stronach ciągnęły się rzędy drzwi, te naprzeciwko niego nosiły numer pięćdziesiąt sześć, a następne pięćdziesiąt siedem - szczęście nareszcie zaczynało mu dopisywać i doprowadziło go prosto do skrzydła, w którym umieszczono Jenningsa i zapewne grupę innych czołowych naukowców. Gdy jednak powędrował wzrokiem do końca korytarza, usta mu się zacisnęły i cofnął się szybko, bezszelestnie za drzwi, zamykając je cicho za sobą. Radość była nieco przedwczesna, pomyślał ponuro. Trudno było nie poznać, kim jest mężczyzna w uniformie, z rękami założonymi do tyłu, patrzący przez oszronione okno: funkcjonariusza AVO poznawało się wszędzie.

Reynolds usiadł na brzegu wanny, zapalił papierosa i zaczął obmyślać następne posunięcie. Czas naglił, ale nie aż tak, żeby działać pochopnie. Jeden nieprzemyślany krok na tym etapie mógł zepsuć sprawę.

Wszystko wskazywało na to, że strażnik stoi na posterunku, z którego nie zamierza się ruszać. Wszystko również wskazywało na to, że dopóki tam zostanie, Reynolds może pożegnać się z zamiarem sforsowania drzwi pokoju pięćdziesiąt dziewięć. Należało usunąć strażnika. Ale nie miał co próbować podbiec do niego czy podkraść się długim na czterdzieści metrów, jasno oświetlonym korytarzem - istniały różne sposoby popełniania samobójstwa, ale niewiele znalazłoby się głębszych. Strażnik musiał podejść do niego i to nie nie podejrzewając. Nagle Reynolds uśmiechnął się, zgasił papierosa i szybko wstał. Hrabia,

pomyślał, byłby ze mnie dumny.

Zdjął płaszcz, kapelusz, marynarkę, krawat i koszulę, wrzucając je do wanny; nalał gorącej wody do umywalki. wziął mydło i pieczęłowicie pokrył sobie białą warstwą piany całą twarz aż po oczy - z tego, co wiedział, jego rysopis rozdano wszystkim milicjantom i pracownikom AVO w mieście. Później dokładnie wytarł ręce, do lewej wziął pistolet, owinał go ręcznikiem i otworzył drzwi. Zawołał cichym głosem, ale na tyle donośnym, że wyraźnie było go słyszeć przez całą długość korytarza.

Strażnik odwrócił się natychmiast, odruchowo sięgając po broń, ale zreflektował się, widząc nieszkodliwego osobnika w podkoszulku, gestykulującego żywo na końcu korytarza. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Reynolds szybko go uciszył przykładając powszechnie rozumianym gestem palec wskazujący do warg. Przez sekundę strażnik się wahał, w końcu widząc, że Reynolds rozpaczliwie go przyzywa, puścił się biegiem po korytarzu - jego gumowe podeszwy nie czyniły żadnego hałasu na grubym dywanie.

Podchodząc do Reynoldsa trzymał już rewolwer w ręce.

- Tam, na schodach przeciwpożarowych, jest jakiś mężczyzna - szepnął Reynolds.

Nerwowo międląc ręcznik przełożył niepostrzeżenie pistolet do prawej ręki, chwytając go mocno za lufę. - Próbował sforsować drzwi.

- Jesteście tego pewni? - Głos wydobywał się strażnikowi z gardła chrapliwym gulgotem. -

Widzieliście go?

- Widziałem. - Szept Reynoldsa wibrował nerwowym podnieceniem. - Ale on nie widzi, co jest środkiem. Zastłony są zaciągnięte.

Ciemne oczy strażnika zwęziły się, a wydatne wargi rozciągnął uśmiech krwiożerczego oczekiwania. Kto wie, jakie szaleńcze marzenia o chwale i awansie przemknęły mu przez głowę. W każdym razie nie było w nich miejsca na podejrzliwość czy ostrożność. Odsunął

Reynoldsa szorstko na bok i otworzył oszklone drzwi, a Reynolds, wyjmując prawą rękę spod ręcznika, cicho zbliżył się do strażnika od tyłu.

Pochwycił jego osuwające się po ciosie ciało i położył delikatnie na podłodze. Otwarcie szafy, podarcie dwóch prześcieradeł, Związanie i zakneblowanie nieprzytomnego mężczyzny, a następnie zamknięcie go w szafie zajęło mu niecałe dwie minuty.

Chwilę później, z kapeluszem w rękę i płaszczem przewieszonym przez ramię, jak każdy gość hotelowy wracający z miasta, stał przed drzwiami pokoju numer pięćdziesiąt dziewięć. Miał szereg wytrychów wraz z czterema uniwersalnymi kluczami-matkami, które dostał od dyrektora swojego hotelu - i żaden z nich nie pasował.

Reynolds stał jak wryty. To była ostatnia rzecz, jakiej się spodziewał - mógłby dać głowę, że z ich pomocą otworzy każde drzwi hotelowe. Nie mógł ryzykować włamywania się:

Forsowanie ich siłą nie wchodziło w rachubę, zwłaszcza że raz podważony zamek nie daje się zamknąć. Gdyby profesora odprowadzał do pokoju strażnik, czego nie można wykluczyć, i zobaczył, że drzwi, które zostawił zamknięte, są teraz otwarte, natychmiast nabrałby podejrzeń i wszedł przeszukać wnętrze.

Reynolds podszedł do następnych drzwi. Po obu stronach tego korytarza tylko co drugie drzwi były numerowane i można było bezpiecznie założyć, że te nienumerowane prowadzą do łazienek przy pokojach - Rosjanie przydzielali swoim najlepszym naukowcom apartamenty, które w innych krajach rezerwowano zwykle dla gwiazd filmowych, arystokracji i czołowych osobistości życia publicznego.

Te drzwi były naturalnie też zamknięte. Tak długi korytarz w wypełnionym hotelu nie mógł bez końca pozostawać pusty, toteż Reynolds wkładał i wyjmował klucze z zamka z szybkością i precyzją sztukmistrza. Szczęście znów się od niego odwróciło. Wyjął latarkę, przyklęknął i zajrzał w szparę między drzwiami a futryną. Tym razem szczęście mu dopisało.

Zazwyczaj drzwi w Europie wpuszczane są w futrynę, co uniemożliwia dostęp do rygla; te jednak przylegały na styk. Reynolds wyjął szybko z portfela podłużny kawałek sztywnego celuloиду - w niektórych krajach samo znalezienie takiego przedmiotu u notowanego włamywacza wystarcza, by go postawić przed sądem pod zarzutem posiadania przestępczych narzędzi - i wsunął go w szparę. Chwycił za klamkę, ciągnąc drzwi jednocześnie do siebie i w kierunku zawiasów, wepchnął pasek za rygiel, puścił klamkę i ponownie szarpnął. Rygiel cofnął się z głośnym szczękiem i w ułamek sekundy później Reynolds był w środku.

Łazienka przypominała w każdym szczególe tę, którą właśnie opuścił, oprócz usytuowania szafy - znajdowała się w rogu, między drzwiami na korytarz i do pokoju. Otworzył ją, po jednej stronie miała półki, a druga, z pełnej długości lustrem na drzwiach, była pusta.

Wygodna kryjówka, miał jednak nadzieję, że nie będzie zmuszony z niej skorzystać.

Podszedł do drzwi wiodących do pokoju i zajrzał przez dziurkę od klucza. Wnętrze pogrążone było w ciemności. Drzwi ustąpiły pod naciskiem klamki i Reynolds wszedł do środka, omiatając promieniem latarki pokój. Był pusty. Podszedł do okna, zobaczył, że żaden błysk światła nie przecięnie się przez żaluzje i grube zasłony, odszukał kontakt przy drzwiach wejściowych i powiesił kapelusz na klamce zasłaniając dziurkę od klucza.

Reynolds znał się na tym, jak, gdzie i czego szukać. Już po minucie skrupulatnego badania ścian, obrazów i sufitu wiedział, że nie ma tu ukrytego wizjera, a w dwadzieścia sekund później znalazł nieunikniony mikrofon schowany za kratką wywietrznika nad oknem.

Przeniósł się do łazienki. Tu przeszukanie zajęło tylko parę sekund. Wanna była wbudowana, więc nic nie mogło się tu kryć. Nie było też nic za umywalką ani za klozetem, a plastikowa zasłona prysznicowa kryła tylko mosiężny uchwyt i staroświeckie sitko natrysku pod sufitem.

Właśnie zasuwał ją z powrotem, kiedy usłyszał kroki na korytarzu, już bardzo blisko, gruby dywan tłumił w wcześniej ich odgłos. Pobiegł do sypialni i zgasił światło - nadchodziło

dwóch ludzi, słyszał jak rozmawiają i miał nadzieję, że ich głosy zagłuszą pstryk wyłącznika - chwycił kapelusz, wrócił szybko do łazienki, przymknął drzwi i stanął z okiem przy szparze, kiedy szczęknął klucz w zamku i Jennings wszedł do pokoju. A tuż za nim, deptając mu po piętach, wysoki, tęgi mężczyzna, w brązowym garniturze. Trudno było stwierdzić, czy to ktoś wyznaczony przez AVO do pilnowania profesora, czy jego kolega. Jedno było pewne: niósł butelkę i dwie szklanki z wyraźnym zamiarem pozostania.

Rozdział piąty

Reynolds niemal instynktownie wydobył pistolet. Wiedział, że jeśli towarzysz Jenningsa zechce przeprowadzić inspekcję łazienki, nie starczy już czasu na schronienie się w szafie. A gdy zostanie odkryty, nie będzie miał wyboru. Jednakże zabijając lub ogłuszając strażnika, należało założyć, że to strażnik-spali za sobą mosty. Nie będzie miał szansy na ponowne skontaktowanie się z Jenningsem, toteż stary profesor będzie musiał od razu z nim pójść, czy mu się to spodoba, czy nie, choć Reynolds nie widział właściwie możliwości dyskretnego opuszczenia "Trzech Koron" z więźniem pod lufą, nie mówiąc już o marszu przez wrogą ciemność Budapesztu.

Ale towarzysz Jenningsa nie zrobił żadnego ruchu w kierunku łazienki i wkrótce okazało się, że nie jest strażnikiem. Jennings był z nim w przyjaznych stosunkach, zwracał się do niego per "Jozef i omawiali, po angielsku, jakieś wysoce skomplikowane techniczne problemy, których Reynolds nawet nie usiłował zrozumieć. Kolega z branży, bez wątpienia. Przez moment nie mógł otrząsnąć się ze zdumienia, że Rosjanie pozwalają dwóm naukowcom, z których jeden jest na dokładkę cudzoziemcem, rozmawiać tak swobodnie na osobności; potem przypomniał sobie ukryty mikrofon i zdumienie mu przeszło. Głównie mówił mężczyzna w brązowym garniturze, co było dziwne. gdyż Jennings miał opinię człowieka bezpośredniego i gadatliwego aż do przesady. Ale

Reynolds, zerkając przez szparę w drzwiach, ujrzał, że to teraz zupełnie inny człowiek niż ten, którego twarz i sylwetkę znał z setek fotografii. Przez dwa lata na obczyźnie postarzał się o ponad dziesięć lat. Był jakby mniejszy, dziwnie skurczony, a w miejscu wspaniałej niegdyś białej grzywy włosów sterczało na łysej czaszce kilka żalonych kosmyków; jego cera miała niezdrowy szary odcień i tylko oczy, ciemne, głęboko osadzone w pobrużdżonej, wyostrej twarzy, nie straciły nic z dawnego ognia i wyrazu. Reynolds uśmiechnął się do siebie w ciemności. Cokolwiek Rosjanie zrobili, nie byli w stanie złamać jego ducha - to było niemożliwe.

Spojrzał na fosforyzującą tarczę zegarka i uśmiech znikł mu z ust. Czas naglił Musi porozmawiać z Jenningsem sam na sam i to szybko. Przez chwilę rozważał jeszcze inną możliwość, ale ją odrzucił jako niepraktyczną i zbyt niebezpieczną. Nie mógł ryzykować. Mimo wyraźnie przyjaznej postawy mężczyzny w brązowym garniturze, był to Rosjanin i należało go traktować jak wroga.

W końcu przyszedł mu do głowy pomysł, który miał niejakię szansę powodzenia. Trudno go było uznać za doskonały, mógł równie dobrze zawieść jak się udać, ale trzeba było spróbować. Przeszedł bezszelestnie przez łazienkę, wziął mydło, wrócił równie cicho do szafy, otworzył drzwi z długim lustrem wewnątrz i zaczął pisać na szkle.

Nic z tego. Suche mydło ślizgało się po gładkiej powierzchni, nie zostawiając śladu.

Reynolds zaklął pod nosem, wrócił do umywalki, z największą ostrożnością odkręcił lekko kurek, puścił cieniutką stróżkę wody i dokładnie zmoczył mydło. Tym razem próba na lustrze wypadła pomyślnie i Reynolds napisał wyraźnie dużymi literami: JESTEM Z ANGLII, PROSZĘ SIĘ GO POZBYĆ.

Później delikatnie, pilnując się, aby nie dopuścić do najmniejszego szczęku kłamki ani skrzypnięcia zawiasów, uchylił drzwi na korytarz i wyjrzał. Było pusto. Dwoma skokami

znalazł się przy drzwiach do pokoju i cichutko zapukał, natychmiast wracając bez szmeru do łazienki.

Mężczyzna w brązowym garniturze był już w drodze do drzwi, kiedy Reynolds wysunął głowę przez szparę, kładąc palec na ustach, a drugą ręką posyłając Jenningsowi w twarz krótki błysk latarki. Trwało to ułamek sekundy, ale wystarczyło. Jennings gwałtownie podniósł głowę, zobaczył twarz w drzwiach łazienki, przeraził się i nawet ostrzegawczy gest Reynoldsa nie powstrzymał go od wydania cichego okrzyku. Jego towarzysz, tury otworzywszy drzwi, rozglądał się niepewnie po korytarzu. natychmiast się odwrócił.

- Czy coś się stało, profesorze?

- To ta moja nieszczęsna głowa, wiesz, jak mnie męczą migreny... Kto to był?

-- Nikt, nikogo nie było. Mógłbym przysiąc... Wydaje mi się, że pan zbladł, panie profesorze.

- Tak, przepraszam na chwilę. - Jennings uśmiechnął się słabo i wstał. - Muszę w wziąć trochę wody i zażyć tabletki od bólu głowy.

Reynolds stał w szafie, za przymkniętymi drzwiami. Kiedy zobaczył, że Jennings wchodzi do łazienki, otworzył je na całą szerokość. Profesor nie mógł nie dostrzec napisu: kiwnął ledwo dostrzegalnie głową, przesłał Reynoldsowi ostrzegawcze spojrzenie i nie zwalniając kroku podszedł do umywalki. Jak na człowieka nienawykłego do tego typu wydarzeń, wszedł w rolę wprost nadzwyczajnie.

Reynolds dobrze zrozumiał ostrzegawcze spojrzenie i ledwo zdążył zamknąć drzwi szafy, kiedy do łazienki wkroczył za profesorem jego gość.

- Może powinienem wezwać lekarza hotelowego - powiedział z troską. - Przyjdzie natychmiast.

- Nie, nie. - Jennings wziął tabletkę i popił ją dużym łykiem wody. - Sam wiem najlepiej,

jak sobie radzić z tymi przeklętymi migrenami. Trzy takie pastylki i trzy godziny leżenia w całkowitej ciemności. Bardzo mi przykro, Jazef, nasza dyskusja rozwijała się tak interesująco, ale musisz mi wybaczyć...

- Oczywiście, oczywiście. - Głos tamtego wyrażał najwyższą serdeczność i zrozumienie. - Najważniejsze, żeby był pan cały i zdrowy na referat inauguracyjny w poniedziałek.

Jeszcze kilka słów współczucia, krótkie pożegnanie i mężczyzna w brązowym garniturze wyszedł.

Reynolds usłyszał trzask drzwi wyjściowych i cichy odgłos oddalających się kroków.

Jennings, na którego twarzy oburzenie, lęk i oczekiwanie szły o lepsze, otworzył już usta, ale

Reynolds uciszył go podniesieniem ręki, podszedł do drzwi wyjściowych i zamknął je na

klucz. Następnie, dając profesorowi znak, żeby ruszył za nim, udał się do łazienki, gdzie włożył klucz do drzwi wiodących na korytarz i przekręcił, odkrywszy z ulgą, że pasuje.

Potem zamknął jeszcze drzwi z łazienki do pokoju. Wyjął papierosnicę i poczęstował profesora, lecz ten odsunął ją gestem dłoni.

- Kim pan jest? Co pan tu robi? - Mówił cicho, ale w jego głosie pobrzmiewała ostra nuta, lekko zabarwiona strachem.

- Nazywam się Michael Reynolds. - Reynolds zapalił papierosa, czuł, że mu to dobrze zrobi. - Wyjechałem z Londynu zaledwie czterdzieści osiem godzin temu po to, aby z panem porozmawiać.

- Więc dlaczego, do diabła, nie możemy porozmawiać wygodnie w pokoju?

Jennings odwrócił się do drzwi, ale Reynolds zatrzymał go, chwytając za ramię.

- To niemożliwe, panie profesorze. - Potrząsnął łagodnie głową. - W wywietrzniku nad oknem jest ukryty mikrofon.

- Co... co takiego? Skąd pan to wie, młody człowieku? - Rozejrzałem się trochę, zanim

pan wszedł - powiedział Reynolds przepraszająco. - Byłem tu zaledwie minutę przed panem.

- I już zdążył pan znaleźć mikrofon?

Jennings najwyraźniej mu nie wierzył i nawet nie starał się tego ukryć. _

- Znalazłem go od razu. Na tym polega moja praca, żeby wiedzieć, gdzie szukać.

- Oczywiście, oczywiście! Kim innym mógłby pan być. Agent wywiadu czy kontrwywiadu, to dla mnie wszystko jedno. W każdym razie pracownik British Secret Service.- Popularne choć mylne...

- Tak czy owak pięknie to pachnie!

Jeśli nawet staruszek się bał, pomyślał Reynolds trzeźwo, to z pewnością nie o siebie. Ogień, o którym tyle słyszał, nadal się w nim palił.

- Czego pan sobie życzy, do diaska, czego pan chce? zafurczał.

- Pana - odparł Reynolds z całym spokojem. - Czy też raczej rząd brytyjski pana chce. Jestem upoważniony, żeby przekazać panu w jego imieniu najserdeczniejsze zaproszenie...

- Niesłuchanie to uprzejme ze strony rządu, muszę przyznać. Tak, spodziewałem się tego, spodziewałem się tego już od dłuższego czasu - powiedział gniewnie.

Gdyby Jennings był smokiem, stwierdził w duchu Reynolds, w promieniu paru metrów od niego wszystko stanęłoby w płomieniach.

- Proszę przekazać ode mnie członkom rządu brytyjskiego wyrazy uszanowania i powiedzieć, żeby poszli do wszystkich diabłów! Może kiedy się tam znajdą, trafi się ktoś, kto im pomoże budować ich piekielne maszyny wojenne, ale to nie będę ja.

- Ojczyzna jest w potrzebie, panie profesorze, i to w wielkiej potrzebie.

- Ostateczny, najbardziej wzruszający argument. - Profesor mówił teraz z jawną pogardą.

- Przeszarżale hasła przebrzmiałego nacjonalizmu, wytarte slogany pustogłowych krzykaczy wymachujących flagami i głoszących fałszywie pojęty patriotyzm są dobre dla maluczkich, dla samolubów i podżegaczy wojennych. Ja mam zamiar pracować wyłącznie na rzecz pokoju.

- Jak pan uważa, panie profesorze - rzekł Reynolds. Nasi ludzie, pomyślał z goryczą, wyraźnie nie docenili łatwowierności staruszka albo też skuteczności radzieckiej propagandy. Mimo wszystko w jego słowach pobrzmiwało dalekie echo tego, co mówił Jansci. Spojrzał na Jenningsa.

- Decyzja należy oczywiście wyłącznie do pana.

- Co?! -Jennings był zdumiony i nie potrafił tego ukryć. - I tak łatwo pan się z tym godzi? Po przebyciu całej tej drogi?

Reynolds wzruszył ramionami.

- Jestem tylko pośrednikiem, panie profesorze.

- Pośrednikiem? A co by było, gdybym się zgodził na pańską absurdalną propozycję?

- Wtedy, naturalnie, wziąłbym pana z powrotem do Wielkiej Brytanii.

- Wziąłby mnie pan... Czy zdaje pan sobie sprawę z tego. co mówi? Czy zdaje pan sobie sprawę, że... że musiałby mnie pan wydostać z Budapesztu, wieźć przez całe Węgry, przerzucić przez granicę....-Mówił coraz ciszej, aż w końcu umilkł; kiedy po chwili spojrział na Reynoldsa, strach wyzierał mu z oczu. - Nie jest pan zwykłym posłańcem, panie Reynolds - szepnął. - Tacy jak pan nigdy nie są zwykłymi posłańcami. -Nagle w jego oczach pojawiła się pewność, a kąciki ust wyraźnie zbladły. - Nie otrzymał pan polecenia, żeby zaprosić mnie do Anglii, lecz żeby sprowadzić z powrotem! Szybko, sprawnie i bez dyskusji, zgadza się?

- Pańskie podejrzenia są nedorzeczne, profesorze oświadczył spokojnie Reynolds.- Nawet gdybym mógł użyć wobec pana siły, a sam pan wie, że to nierealne, kompletnie mijałoby się

to z celem! Nawet gdyby udało mi się zaciągnąć pana do Anglii związanego jak baleron, nie mielibyśmy jak zatrzymać pana na miejscu, ani zmusić do pracy. Patrioci wymachujący flagami to jednak nie to samo co służba bezpieczeństwa satelity Moskwy!

- Wcale nie myślałem, że porwie mnie pan na siłę. - W oczach starszego mężczyzny wciąż czaił się strach, strach i głęboki smutek. - Panie Reynolds, czy moja żona... Czy ona jeszcze żyje?

- Widziałem ją dwie godziny przed odlotem z Londynu. - słowa Reynoldsa przepojone były szczerością, choć pani Jennings nigdy nie widział na oczy. - To dzielna kobieta.

- Czy... czy według pana, jej stan jest nadal krytyczny? Reynolds wzruszył ramionami.

- Musiałby pan spytać jej lekarzy.

- Na miłość boską, niech mnie pan nie dręczy! Co mówią lekarze?

- Twierdzą, że znajduje się w stanie zawieszenia. Nie jest to określenie medyczne, oczywiście, ale tak mówi doktor Bathurst, chirurg, który ją operował. Jest przytomna i nie cierpi, ale organizm ma bardzo osłabiony: zabrzmi to brutalnie, ale może umrzeć w każdej chwili. Zdaniem doktora Bathursta, straciła wszelką ochotę do życia.

O Boże, o Boże! - Jennings odwrócił głowę i przez moment patrzył nie widzącymi oczami w zaszronione okno.

Kiedy znów spojrzał na Reynoldsa, jego twarz wykrzywiona była grymasem, a ciemne oczy szklily się od łez. - Nie wierzę! Wprost nie mogę w to uwierzyć. To niemożliwe! moja Catherine nie należy do ludzi, którzy się poddają. Zawsze...

- Pan po prostu nie chce w to wierzyć, profesorze . przerwał mu brutalnie Reynolds głosem zimnym jak lód. woli się pan oszukiwać i nie przyjmować prawdy do wiadomości, byleby tylko mieć czyste sumienie, podobnie jak tymi bajkami o pokojowym w współistnieniu próbuje usprawiedliwić to, że wypiął się pan na własny kraj! Do cholery,

przecież dobrze pan wie, że pańska żona nie ma po co żyć! Nie chce już dłużej żyć bez męża i syna, oddzielonych od niej na zawsze żelazną kurtyną.

- Jak pan śmie...

- Rzygać mi się chce, kiedy pana słucham! - Reynolds przez moment czuł niesmak do siebie za to, co robił temu staremu bezbronnemu człowiekowi, ale szybko go zdławił. -

Wygłasza pan napuszone mowy o swoich szlachetnych zasadach, a tymczasem pańska żona umiera w londyńskim szpitalu. Umiera, profesorze Jennings! Umiera przez pana.

Równie dobrze mógłby ją pan trzymać za gardło i dusić!

- Dość! Dość! Na miłość boską, niech pan przestanie! Jennings zakrył uszy i

potrząsnął głową, jakby dłużej nie mógł znieść bólu; potem przesunął dłońmi po twarzy

Tak, ma pan rację, panie Reynolds, Bóg mi świadkiem, że ma pan rację. Pojechałbym do

niej choćby jutro, ale tu chodzi o coś więcej! - Był wyraźnie zrozpaczony. - Nie może

pan żądać, żebym wybierał między życiem żony a życiem syna! Jej stan jest

beznadziejny, a Brian to moje jedyne dziecko. Jak więc mogę jechać? Mam przecież

syna!

- Wiemy o tym, profesorze. Nie jesteśmy pozbawieni ludzkich uczuć. - Głos

Reynoldsa przeszedł w łagodny, perswazyjny szept. - Wczoraj Brian był w Poznaniu.

Dziś wieczorem dotrze do Szczecina, a jutro rano do Szwecji. Jak tylko drogą radiową

otrzymam potwierdzenie z Londynu, możemy ruszać. Powinienem je mieć w ciągu

dwudziestu czterech godzin.

- Nie wierzę, nie wierzę! - Stara, pomarszczona twarz drgała żałośnie; nadzieja i

niedowierzenie walczyły na niej o lepsze. -Jak pan...

- Nie mogę tego udowodnić, ale chyba też nie muszę -powiedział ze znużeniem Reynolds.

- Do licha, niech pan włączy na moment te swoje sławne szare komórki! Jak się pan zapewne

domyśla, naszemu rządowi zależy na tym, żeby znów pan dla nich pracował. Ale znają pana i wiedzą, że jeśli wróci pan do Anglii i przekona się, że syn wciąż jest więziony w Rosji, to do końca życia nie weźmie pan udziału w żadnym rządowym projekcie. A przecież nie o to im chodzi!

Ten argument do reszty przekonał opornego starca. Widząc, jak twarz profesora rozjaśnia się i nabiera życia, jak smutek i lęk ustępują miejsca determinacji, Reynolds poczuł taką ulgę, że o mało się nie roześmiał; nawet nie zdawał sobie sprawy z tego jak bardzo sam również był spięty. Jeszcze pięć minut, jeszcze seria bezładnych pytań i profesor, podekscytowany tym, że za kilka dni znów ujrzy żonę oraz syna, gotów był ruszać od razu tego wieczoru, najlepiej w tej chwili, i Reynolds aż musiał go hamować. Wyjaśnił łagodnie, że trzeba wszystko dokładnie zaplanować i, co ważniejsze, otrzymać najpierw potwierdzenie z Londynu o ucieczce Briana. Jennings natychmiast powrócił na ziemię i zgodził się czekać na dalsze instrukcje. Reynolds podał mu adres Janskiego - który profesor powtórzył kilka razy na głos, żeby lepiej utrwalić sobie w pamięci - i wymógł na nim obietnicę, że uda się tam tylko wtedy, gdyby zaszedł jakiś nagły niespodziewany wypadek; bał się bowiem, że służba bezpieczeństwa może być na tropie węgierskich opozycjonistów i nie chciał, żeby profesor wpadł razem z innymi. Na razie profesor miał się zachowywać tak samo jak dotąd.

Nastawienie Jenningsa do Reynoldsa zmieniło się radykalnie: nawet zaproponował, żeby się czegoś napili, ale Reynolds grzecznie odmówił. Wprawdzie było dopiero wpół do ósmej i miał jeszcze sporo czasu przed spotkaniem "Pod białym aniołem", ale wolał nie kusić losu: skrępowany strażnik zamknięty w szafie mógł lada chwila odzyskać przytomność i zacząć kopać w drzwi, albo jego szef, robiąc obchód, mógł zorientować się, że brakuje jednego człowieka i podnieść alarm. Reynolds czym prędzej więc opuścił pokój profesora, spuszczając się z okna po związanych prześcieradłach. Przytrzymał się kraty na parterze, po

czym zeskoczył na ziemię i zanim Jennings zdążył wciągnąć z powrotem prześcieradła, rozplynał się jak zjawa w gęstym od śniegu mroku.

Kawiarnia "Pod białym aniołem" znajdowała się w Peszcie, niedaleko od brzegu Dunaju, na wprost

Wyspy Małgorzaty; Reynolds pchnął oszronione drzwi wahadłowe akurat w chwili, gdy od strony pobliskiego kościoła rozległ się przytłumiony gęsto padającym śniegiem dźwięk dzwonów, które biły godzinę ósmą.

Kontrast pomiędzy światem na zewnątrz a wewnątrz kawiarni był niesamowity.

Wystarczyło przekroczyć próg, żeby jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zapomnieć o śniegu, mrozie, mroku i wyludnionych ulicach-w środku było ciepło, jasno i wesoło; ciasne, zadymione pomieszczenie rozbrzmiewało gwarem rozmów i śmiechem.

pozwalając z natury towarzyskim mieszkańcom miasta uciec choć na parę chwil od smętnych realiów dnia codziennego. Pierwszą reakcją Reynoldsa było zdziwienie graniczące z szokiem; nie spodziewa) się znaleźć takiej oazy barw i światła pośród ponurej szarzyzny będącej normą w każdym) totalitarnym państwie, po chwili jednak zrozumiał o co chodzi - otóż komuniści, wcale nieźli znawcy psychiki ludzkiej, mieli powody, aby nie tylko tolerować podobne lokale, ale nawet zachęcać do ich otwierania. Skoro wiadomo, że ludzie będą się spotykać ze sobą bez względu na zakazy, bo po prostu leży to w ich naturze, to lepiej, żeby spotykali się jawnie i pili kawę, wino czy piwo pod czujnym, acz wyrozumiałym okiem zaufanych pracowników służby bezpieczeństwa, niż gdyby zbierali się gdzieś po kryjomu i spiskowali przeciwko reżimowi. Takie miejsca to znakomite wentyle bezpieczeństwa, pomyślał z ironią Reynolds.

Na moment zatrzymał się przy drzwiach, potem nieśpiesznie ruszył przed siebie. Przy dwóch stolikach

najbliższej wejścia siedziała gromada rosyjskich żołnierzy; śmiali się i śpiewali; w przypiływie dobrego humoru waląc raz po raz kufkami o blat. Całkiem niegroźni, uznał Reynolds. Pewnie dlatego tę kawiarnię wyznaczono mu na miejsce spotkania, bo kto by się spodziewał, że szpieg z Zachodu pójdzie do knajpy uczęszczanej przez sowieckich wojskowych? Ponieważ jednak po raz pierwszy w życiu widział Rosjan, wolał szybko się od nich oddalić.

Dotarłszy na koniec pomieszczenia, od razu ją zobaczył: siedziała samotnie przy maleńkim dwuosobowym stoliku. Ubrana była w palto z kapturem, które Reynolds znał z opisu kierownika hotelu, ale teraz kaptur miała zsunięty z głowy, a palto rozpięte pod szyją.

Kiedy się zbliżył, spojrzała na niego bez cienia rozpoznania w oczach. Zrozumiał.

Przy każdym z sąsiednich stolików było jedno lub dwa wolne krzesła; przez chwilę stał, udając, że się waha gdzie usiąść; wreszcie podszedł do dziewczyny.

- Przepraszam, czy mogę się dosiąść? - zapytał. Podniosła wzrok, po czym skierowała spojrzenie w stronę pustego stolika w rogu, następnie jeszcze raz zerknęła na mężczyznę i odwróciła się bokiem, jakby dawała intruzowi znać, że nie ma ochoty na jego towarzystwo.

Nic jednak nie powiedziała, więc Reynolds przysiadł się ignorując chichot osób, które przyglądały się całej scenie. Przysunął bliżej krzesło.

- Kłopoty? - spytał szeptem. - Ktoś mnie śledzi.

Z wyniosłą i gniewną miną odwróciła się w jego stronę. Wie co robić, pomyślał Reynolds, a w• dodatku gra świetnie. - Jest tutaj?

Ledwo dostrzegalnym ruchem skinęła głową. - Gdzie?

- Na ławie przy drzwiach. Obok żołnierzy. Reynolds nie zamierzał się oglądać:

- Jak wygląda? - spytał.

- Średniego wzrostu, brązowy płaszcz, głowa odkryta, twarz chuda, czarne wąsy. - W

zestawieniu z rzeczowością jej słów, wyniosłość, która wciąż malowała się na jej twarzy, dawała wręcz komiczny efekt.

- Trzeba się go pozbyć. Wychodzimy. Pani pierwsza, ja chwilę później. - Wyciągnął rękę, chwycił ją za przedramię, schylił się i uśmiechnął oblesnie. - Usiłowałem panią poderwać. Właśnie zrobiłem pani niedwuznaczną propozycję. Jak pani zareaguje?

- Tak.

Zamachnęła się wolną ręką i uderzyła go w twarz; odgłos policzka był tak donośny, że wszyscy umilkli i spojrzeli w ich stronę. Julia zerwała się na nogi, chwyciła torebkę, rękawiczki, i z wysoko uniesioną głową dumnym krokiem ruszyła do wyjścia. Jakby na znak, goście znów zaczęli rozmawiać i śmiać się; Reynolds nie wątpił, że śmieją się z niego.

Delikatnie potarł ręką piekący policzek. Ta młoda dama zbyt przesadnie dba o realizm, pomyślał. Z gniewnym grymasem na twarzy obrócił się i zobaczył, jak z ławy przy rozkołysanych przez Julię drzwiach

niepostrzeżenie podnosi się mężczyzna w brązowym palcie, rzuca na stół kilka monet i wychodzi za dziewczyną.

Reynolds wstał szybko z krzesła - upokorzony podrywacz pragnący czym prędzej opuścić miejsce swojej klęski. Wiedział, że wszyscy na niego patrzą. a kiedy postawił kołnierz płaszcza i naciągnął

kapelusz na oczy, znów rozległy się chichoty. Był już przy drzwiach, kiedy tęgi rosyjski żołnierz o twarzy czerwonej od śmiechu i wypitych trunków coś do niego zagadał, po czym klepnął go w plecy tak mocno. że Reynolds musiał się przytrzymać baru, żeby nie stracić równowagi. Żołnierz zgiął się wpół, zaśmiewając się z własnego dowcipu. Nie znając Rosjan i ich zwyczajów, Reynolds nie wiedział, czy w takiej sytuacji

lepiej jest okazać gniew czy strach; w końcu zdecydował się na minę będącą ni to grymasem niechęci ni to zakłopotanym uśmiechem, zwinnie wyminał Rosjanina i znikł za drzwiami, zanim żartowniś zdążył ponowić atak.

Ponieważ śnieg padał coraz słabiej, Reynolds bez trudu dostrzegł dziewczynę i idącego za nią mężczyznę; byli na lewo od kawiarni. Ruszy wolno za nimi, starając się trzymać na odległość, a zarazem nie stracić z oczu sylwetki mężczyzny. Dwieście metrów, potem czterysta metrów, dwa zakręty i wreszcie Julia stanęła pod daszkiem na przystanku tramwajowym znajdującym się przed rzędem sklepów. Mężczyzna wsunął się cicho w bramę najbliższego domu; Reynolds minął go i również wszedł pod oszklony daszek.

- Jest za nami, w bramie - szepnął. - Czy mogłaby pani jak lwica zacząć bronić swojej cnoty?

- Bronić... - Urwała i zerknęła niespokojnie przez ramię. - Musimy być ostrożni. To na pewno AVO, a oni są niebezpieczni.

- Bzdura! - zachnął się Reynolds. - Nie ma co tracić czasu. - Przyjrzał się jej uważnie, po czym podniósł ręce i złapał ją za klapy. - Duszenie. To tłumaczy, dlaczego nie wzywa pani pomocy; nie chcemy przecież robić zbiegowiska!

Avok dał się nabrać, zresztą nic dziwnego. Kiedy ujrzał, że kobieta pod daszkiem szamocze się z mężczyzną rozpaczliwie usiłując oderwać jego ręce od swojego gardła, nie wahał się ani chwili. Wypadł z bramy i ruszył bezgłośnie po ubitym śniegu, w prawej ręce ściskając krótką pałkę wzniesioną do ciosu, a moment później leżał na ziemi, nie zdążywszy nawet jęknąć - Reynolds, uprzedzony cichym krzykiem dziewczyny, odwrócił się bowiem i wyrzucił go łokciem w splot słoneczny, a potem kantem dłoni rąbnął w szyję. Błyskawicznie schował do kieszeni pałkę napastnika - była to rurka z materiału wypełniona śrutem - jego samego zaś posadził na ławce pod daszkiem przystanku. Ujął dziewczynę pod ramię i

oddalili się pospiesznie.

Dziewczyna zadrżała gwałtownie; Reynolds popatrzył na nią zdziwiony, usiłując przebić wzrokiem mrok panujący w stróżówce. Mimo ciasnoty siedzieli obok siebie w miarę wygodnie, a co najważniejsze, byli osłonięci od śniegu i ostrego wiatru. Czuł przez płaszcz ciepły dotyk ramienia Julii. Wziął ją za rękę - kiedy dziesięć minut temu weszli do stróżówki, zdjęła rękawiczki, żeby rozmasować zgrabiące dłonie - ale wyszarpnęła ją, jakby jego dotyk parzył.

- Co się stało? - spytał zaskoczony. - Wciąż pani zimno? - Nie wiem, nie... nie, to nie dlatego. Nie jest mi zimno. -Znów zadrżała.-Chodzi o pana. Pan jest... nieludzki. Boję się takich ludzi.

- Pani się mnie boi? - Reynolds nie potrafił ukryć zdumienia. - Dziecino, nawet by mi się nie śniło, żeby panią skrzywdzić!

- Niech mnie pan nie nazywa "dzieciną"! - zawołała gniewnie, a po chwili dodała cichutko:

- Wiem.

- Więc co ja, u licha, takiego zrobiłem?

- Nic. Nie chodzi o to, co pan robi, czy czego nie robi, ale o to, że nic pan po sobie nie okazuje! Żadnych uczuć, żadnych emocji, nic pana nie obchodzi, niczym się pan nie przejmuje. To znaczy przejmuje się pan zadaniem, które ma wykonać, ale to jak je pan wykona i jakim kosztem, jest panu zupełnie obojętne; ważne, żeby zostało wykonane. Hrabia powiedział, że pan jest po prostu maszyną, maszyną zaprojektowaną do wykonania konkretnej roboty, ale jaku człowiek w ogóle pan nie istnieje, nie ma osobowości, jest zupełnie pusty w środku. Powiedział, że jest pan jedyną osobą, jaką zna, która nie umie odczuwać strachu, i że takich ludzi należy się bać. To, że Hrabia może się kogoś bać, nie mieści się w głowie!

- Faktycznie się nie mieści - przyznał Reynolds.

- Jansci mówi to samo. Jego zdaniem jest pan człowiekiem bez zasad moralnych, którym kierują wyłącznie pewne probrytyjskie i antykomunistyczne odruchy, same w sobie pozbawione wszelkiej wartości. Podejmując decyzję czy kogoś zabić czy nie, całkiem pomija pan kategorie dobra i zła; liczy się tylko to, co się panu bardziej kalkuluje. Mówi, że jest pan dokładnie taki sam jak setki młodych mężczyzn, z którymi się zetknął, należących do NKWD. Waffen SS i podobnych organizacji, mężczyzn, którzy ślepo wypełniają rozkazy i zabijają nie stawiając sobie pytania, czy postępują słusznie. Jedyna różnica między panem a nimi, według mojego ojca, to że zabijanie nie sprawia panu przyjemności. Ale to jedyna różnica.

- Mam sporo przyjaciół-mruknął Reynolds.

-

I co z tego? Pańska odpowiedź świadczy o tym, że moje słowa w ogóle do pana nie dotarły.

-

Proszę sobie przypomnieć co pan zrobił dzisiaj. Najpierw, w hotelu, zamknął pan w szafie związanego i zakneblowanego strażnika;

pewnie się udusił. A potem pozbawił pan przytomności agenta, który za mną szedł, i zostawił go na mrozie:

w taką pogodę wystarczy dwadzieścia minut, żeby zamarznął na śmierć. Wcale...

-

Tego w hotelu mogłem zastrzelić - przerwał jej spokojnie Reynolds. - Mam przecież pistolet tłumikiem

-

A co się tyczy avoka na przystanku, myśli pani, że gdyby rąbnął mnie pierwszy, martwiłby się o to, czy zamarzną czy nie?

-

Wykręca się pan. Ale najgorsze jest to, co pan robi z tym biednym profesorem. Nie cofnie się pan

-

przed niczym, byleby tylko wrócił z panem do Anglii, prawda? Dręczy go pan, a on z bólu odchodzi

-

od zmysłów, sądząc, że jego żona umiera. Sugeruje mu pan, że jeśli ona umrze, to przez niego,

-

że będzie jej mordercą. Dlaczego, panie Reynolds? Dlaczego?

- Dobrze pani wie dlaczego. Bo jestem bezduszną maszyną, zbirem bez żadnych zasad moralnych, który robi to, co mu każą. Pani słowa.

- Niepotrzebnie tracę czas, tak, panie Reynolds? - spytała ponuro.

- Nic podobnego. - Reynolds uśmiechnął się w mroku. - Całą noc jestem gotów słuchać pani głosu. Zresztą nie przekonywałaby mnie pani tak gorliwie, gdyby nie miała nadziei, że można mnie nawrócić.

- Śmieje się pan ze mnie?

- Tak. W dodatku z wyższością. Wiem, że to nieładnie, ale... - Nagle złapał ją za rękę i zniżył głos do szeptu. Cicho! Ani słowa!

- Co...

Tylko to jedno słowo zdążyło się wyrwać Julii z ust, gdyż w następnej chwili Reynolds

zatkął je dłonią. Dziewczyna zaczęła się szamotać i nagle zeszywniała - również usłyszała kroki i chrzęst śniegu. Siedzieli bez ruchu, wstrzymując oddech, podczas gdy trzech milicjantów wolnym krokiem przeszło krętą ścieżką obok stróżówki, minęło opustoszały taras restauracji i znikło za rzędem gołych, pokrytych śniegiem buków, platanów i dębów porastających skraj dużego placu.

- Mówiła pani, że nikogo tu nie będzie! - mruknął gniewnie Reynolds. - Że nikt tu zimą nie zagłada!

- Bo to prawda - szepnęła. - Wiedziałam, że milicjanci robią obchód wyspy, ale nie myślałam, że przechodzą tędy. W każdy razie przez najbliższą godzinę na pewno nie wrócą. Margitsiget jest dosyć spora, zanim ją obejdą minie trochę czasu.

To właśnie Julia, dzwoniąc zębami z Zimna, zaproponowała, żeby udali się na Wyspę Małgorzaty: po prostu nie byli w stanie znaleźć jakiegoś miejsca, gdzie mogliby spokojnie porozmawiać, bo w okolicy oprócz "Pod białym aniołem" nie było czynnych lokali.

Powiedziała Reynoldsowi, że w godzinach wieczornych obowiązuje zakaz poruszania się po wyspie, ale że nie jest zbyt surowo przestrzegany. Teren bowiem podlega milicji, a nie służbie bezpieczeństwa, a avoków i milicjantów dzieliła prawdziwa przepaść. Reynolds, równie zziębnięty jak dziewczyna, zgodził się ochoczo, a stróżówka, otoczona beczkami smoły i stertami kamieni brukowych używanych do naprawiania dróg przez robotników, którzy znikli wraz z nastaniem mrozów, wydała mu się idealnym miejscem.

Tam, w stróżówce, Julia opowiedziała mu o najnowszych wydarzeniach w domu Janskiego. Dwaj ludzie, którzy tak pilnie obserwowali dom, w końcu popełnili błąd tylko jeden, ale zarazem ostatni. Stali się zbyt pewni siebie i zamiast przechadzać się jak dotychczas po przeciwnej stronie ulicy, zaczęli spacerować obok domu, a raz - widząc, że drzwi garażu są otwarte - ulegli ciekawości i zajrzeli do środka, gdzie czekał już na nich

Sandor. Nie wiadomo jeszcze, czy byli to zwykli donosiciele, czy agenci AVO, Sandor bowiem stuknął ich głowami o siebie troszeczkę mocniej niż zamierzał; w każdym razie siedzieli pod kluczem, więc Reynolds mógł bezpiecznie wpaść do Janskiego, żeby omówić plany związane z porwaniem profesora. Janski nalegał jedynie, żeby nie przychodził przed północą.

Reynolds z kolei opowiedział dziewczynie o swoich przygodach. Ale to było przedtem. Teraz, po odejściu milicjantów, przyjrzał się jej uważnie w ponurym mroku stróżówki. Wciąż trzymał ją za rękę, a ona jakby tego nie czuła: jej dłoń była sztywna, mięśnie napięte.

- Nie jest pani stworzona do takich rzeczy, panno Iljurin-powiedział cicho.-Mało kto jest. Chyba nie prowadzi pani tego rodzaju życia dlatego, że się pani podoba?

- Podoba?! Boże, komu może się to podobać?! Nic tylko strach, głód, prześladowania, ciągłe przeprowadzki, ciągłe oglądanie się za siebie... Czasami boję się obejrzeć, boję się tego, co zobaczę! Trzeba uważać na każde słowo, na każdy uśmiech...

- Gdyby pani mogła, natychmiast wyjechałaby pani na Zachód, prawda?

- Tak. Nie, nie. Nie mogę. Nie mogę. Chodzi o to... - O pani matkę, tak?

- O moją matkę?

Poczuł, jak odwraca się i patrzy na niego w mroku. - Moja matka nie żyje, panie Reynolds.

- Nie żyje spytał ze zdziwieniem.-Pani ojciec mówił co innego.

- Wiem.-Jej głos złagodniał.-Biedny, kochany Janski, nie chce uwierzyć w to, że mama nie żyje. Była konająca, kiedy ją zabierali, jedno płuco miała dziurawe jak sito; jestem pewna, że umarła już po kilku dniach. Ale Janski w to nie wierzy. Straci nadzieję dopiero wtedy, kiedy sam przestanie oddychać.

- Jednak przed nim udaje pani, że też nie wierzy w śmierć matki?

- Tak. Nie mogę go zostawić, bo oprócz mnie nie ma nikogo na świecie. Gdybym mu

jednak powiedziała prawdę, natychmiast przerzuciłby mnie przez granicę do Austrii; nie pozwoliłby, żebym dla niego ryzykowała życie. Więc mówię mu, że chcę czekać na mamę.

- Rozumiem.

Nie wiedział, co więcej powiedzieć; nie wiedział też, czy na miejscu dziewczyny potrafiłby się zdobyć na to co ona. A potem przypomniał sobie wrażenie, jakie wcześniej odniósł, mianowicie że Jansci z pewną obojętnością traktuje los żony.

- Czy... czy pani ojciec jej szukał? Czy dobrze szukał? zapytał.

- Myśli pan, że nie? Rzeczywiście sprawia wrażenie, jakby nie poświęcał temu wiele czasu, sama nie wiem dlaczego. - Na moment zamilkła. - Pewnie pan nie uwierzy, nikt w to nie wierzy, ale naprawdę nie kłamię: na Węgrzech znajduje się dziewięć obozów koncentracyjnych, i w ciągu ostatniego półtora roku Jansci, szukając mamy, zdołał się dostać do pięciu z nich. Dostać i wydostać. Wydawałoby się niemożliwe, co?

- Całkiem niemożliwie - przyznał cicho Reynolds.

- Przeszukał tysiąc, właściwie ponad tysiąc wielkich gospodarstw rolnych powstałych jeszcze przed pięćdziesiątym szóstym na modłę kolchozów. Nie znalazł jej i nigdy nie znajdzie. Ale szuka bez przerwy i nigdy szukać nie przestanie.

Reynolds zwrócił uwagę na drobną zmianę w głosie dziewczyny. Wyciągnął rękę i łagodnie pogłaskał ją po twarzy: policzki miała mokre, ale nie odsunęła się, nie wzdrygnęła na jego dotyk.

- To nie jest życie dla pani, panno Iljurin - powtórzył. - Niech pan nie wymawia tego nazwiska, nawet w myślach. Lepiej mówmy sobie po imieniu. Boże, co mnie naszło, że tak nagle zaczęłam ci się zwierzać?

- Kto wie? Ale powiedz mi coś jeszcze o Janscim, Julio. Trochę słyszałem, ale bardzo niewiele.

- Co mogę powiedzieć? Sama też mało wiem o swoim ojcu. Nigdy nie chce rozmawiać o przeszłości, nie chce mi nawet powiedzieć dlaczego. Jedynym celem jego życia jest obecnie pokój, szerzenie idei pokoju i pomaganie wszystkim, którzy tego potrzebują. Tak kiedyś powiedział... Wydaje mi się, że wspomnienia go gnębią. Tak wiele stracił, tylu ludzi zabił. Reynolds nie odezwał się, więc po chwili ciągnęła dalej: - Ojciec Janskiego był na Ukrainie przywódcą komunistycznym. Był dobrym komunistą, ale również dobrym człowiekiem; można być jednym i drugim panie Reynolds. W trzydziestym ósmym, tak jak inni znani ukraińscy komuniści, został zamęczony na śmierć w więzieniu służby bezpieczeństwa w Kijowie. wtedy wszystko się zaczęło. Janski zgładził oprawców i kilku sędziów, ale miał przeciwko sobie zbyt liczne siły. Zesłano go na Syberię; przez pół roku siedział w podziemnej celi w obozie przejściowym we Władywostoku czekając aż stopnieją lody i przyplynie parowiec, który miał zabrać więźniów. Przez pół roku nie widział światła dziennego, nie widział drugiego człowieka; posiłki, zwykłe pomyje, spuszczano mu przez otwór w suficie. Strażnicy wiedzieli, co to za jeden, i że ma umierać długo i powoli. Nie miał kocy, nie miał pryczy, a temperatura w celi była poniżej zera. Przez ostatni miesiąc nie podawali mu w ogóle wody, ale przeżył zlizując szron z żelaznych drzwi celi. Strażnicy zrozumieli, że jest niezniszczalny.

- I co? I co? - Reynolds nadal ścisnął kurczowo dłoń dziewczyny, ale żadne z nich nie było tego świadome. - Co dalej?

W końcu nadpłynął parowiec i zabrał więźniów na Kołymę. Z Kołymy się nie wraca, Janski jednak wrócił. Choć musiała powtarzać tę opowieść co najmniej z tysiąc razy, jeśli nie innym, to sobie w myślach, w głosie dziewczyny brzmiała duma i podziw. - Były to najgorsze miesiące jego życia. Nie wiem, co się wtedy z nim działo, wątpię, aby żył ktokolwiek, kto by wiedział. Wiem tylko, że czasem Janski budzi się zlanym potem, szepcząc,

"Dawaj, dawaj!" Albo "Bystrej, bystrej jakby ciągnął czy poganiał sanie. Po dziś dzień blednie na dźwięk dzwonka u sań. Zauważyłeś, że nie ma dwóch palców? Enkawudziści lubili dla zabawy przywiązywać więźnia do liny- i wlec go po śniegu za saniami, takimi z silnikiem, ze śmigłem z tyłu. Często łapali linę i podciągali swoją ofiarę tuż pod łopatki śmigła... Jeśli szarpnęli za mocno, to z twarzy więźnia... - L. urwała; po chwili wznowiła opowieść, ale głos nadal jej drżał. można powiedzieć, że Jansci miał szczęście. Stracił tylko palce, tylko dwa palce... A te blizny na rękach... Wiesz skąd się wzięły?

Reynolds potrząsnął w mroku głową; dziewczyna wyczuła ten ruch.

- Wilki. Oszalałe z głodu wilki. Strażnicy łapali je we wnyki, głodzili, a potem wrzucali do jednego dołu wilka i więźnia. Więzień gołymi rękami musiał walczyć z wygłodzoną bestią.

No i Jansci walczył. Dziesiątki blizn pokrywają jego ramiona i całe ciało.

- To niemożliwe. To koszmar - szepnął zduszonym głosem Reynolds; wprost nie mógł uwierzyć. że to co słyszy, jest prawdą.

- Na Kołymie wszystko jest możliwe. Zresztą wilki to nic takiego, to drobnostka w porównaniu z innymi rzeczami, które Jansci tam przeżył. Niektóre były tak potworne, tak poniżające, że nigdy mi o nich nie wspominał.

- Ukrzyżowano go? Te ślady na jego dłoniach...

- To nie są ślady po ukrzyżowaniu; artyści, którzy malowali Chrystusa na krzyżu, popełniali błąd. Starożytni nie wbijali gwoździ w dłonie, tylko w nadgarstki... Jansci zrobił coś, co się bardzo nie spodobało strażnikom, więc wywlekli go w tajgę, w trzaskający mróz, rozebrali do naga i przybili mu dłonie do dwóch rosnących obok siebie drzew. Sądził, że wkrótce będzie po nim, że albo zamarznie na śmierć, albo dopadną go wilki. Ale Jansci uwolnił się, sam nie wie jakim cudem, wziął z ziemi swoje łachy i uciekł z gór. W drodze odmroził sobie palce u rąk, stracił paznokcie, odpadły mu palce u nóg... Zauważyłeś, jak

chodzi?

- Tak. - Reynolds miał przed oczami dziwny, sztywny chód Janskiego, a także wyraz jego twarzy, łagodny i dobrotliwy, tak nie do pogodzenia z tym wszystkim, co ten człowiek przeszedł. - Nie do wiary, że ktoś mógł tyle przeżyć, tyle wytrzymać... Chyba rzeczywiście jest niezniszczalny.

-Też tak myślę... W każdym razie po czterech miesiącach dotarł do miejsca, gdzie kolej transsyberyjska przecina rzekę Lenę, i udało mu się zatrzymać pociąg. W czasie wędrówki oszalał; długo trwało, zanim odzyskał zmysły, ale w końcu wrócił na Ukrainę. Był rok czterdziesty pierwszy; Jansci wstąpił do wojska i w ciągu niespełna roku awansował na majora. Wstąpił z tego samego powodu, co większość Ukraińców: liczył na to, że pojawi się szansa, aby obrócić się przeciwko Armii Czerwonej. Tego pragnęli i wtedy, i teraz. Wkrótce nadarzyła się okazja, bo Niemcy uderzyły na Rosję. - Milczała przez dłuższą chwilę. - Teraz wiemy, a wtedy nie wiedzieliśmy, co Rosjanie mówili światu. Mówili o długich, krwawych bitwach, o tym jak Niemcy spychali nas w stronę Dniepru, o spalonej ziemi, o rozpaczliwej obronie Kijowa. To wszystko kłamstwa, jeden wielki stek kłamstw; świat nadal nie zna prawdy. Witaliśmy Niemców z otwartymi ramionami. Żadne wojsko nie było witane z taką radością. Częstowaliśmy ich jadłem i winem, stroiliśmy ulice, zarzucali żołnierzom girlandy na szyje. W obronie Kijowa nie padł ani jeden strzał. Ukraińskie pułki i dywizje masowo przechodziły na stronę Niemców; Jansci mówi, że historia nie znała czegoś podobnego. Wkrótce po stronie Niemców walczyła armia złożona z miliona obywateli rosyjskich pod dowództwem radzieckiego generała Andrieja Własowa. Jansci był wśród nich; doszedł do rangi generała brygady, znalazł się wśród najbliższych współpracowników Własowa i walczył po stronie Niemców, dopóki w czterdziestym trzecim nie wycofali się pod Winnicę, jego rodzinne miasto. Urwała i dopiero po dłuższej chwili ciągnęła dalej.- Po Winnicy

Jansci się zmienił. Przysiągł, że nigdy więcej nie będzie walczył, nigdy więcej zabijał.

Dotrzymał słowa.

- Po Winnicy? - zaciekawił się Reynolds. - Co się tam zdarzyło?

- Mój Boże! Nie słyszałeś o Winnicy? - Nie.

- Boże! - szepnęła.-- Myślałam, że słyszał o tym cały świat!

- Niestety. Co się tam stało?

- Nie pytaj, nie pytaj mnie o to! - Westchnęła boleśnie. - Niech ci opowie ktoś inny. Ja nie chcę, nie mogę!

- Dobrze, w porządku - rzekł pospiesznie, zaskoczony, i poczuł, że ciałem dziewczyny wstrząsa bezgłośny szloch; poklepał ją po ramieniu. - Nic nie mów. Nie trzeba.

- Dziękuję - powiedziała stłumionym głosem. - I na tym właściwie koniec mojej opowieści. Jansci poszedł odwiedzić swój dom w Winnicy, a tam czekali na niego Rosjanie; czekali od dawna. Postawiono go na czele pułku w całości złożonego z Ukraińców, którzy wcześniej zdezerterowali do Niemców, a potem wpadli w ręce Rosjan; nie dano im nawet mundurów, tylko przestarzałą broń, i zmuszono do samobójczego ataku na niemieckie pozycje. W ten sposób zginęły dziesiątki tysięcy Ukraińców. Jansci po prostu rzucił broń, doszedł do niemieckich pozycji i poddał się; rozpoznano go i resztę wojny spędził z generałem Własowem. Po wojnie Ukraińska Powstańcza Armia rozpadła się na niewielkie oddziały; pewnie trudno ci w to uwierzyć, ale niektóre z nich działają do dziś. W jednym z nich Jansci poznał Hrabiego. Stali się nierozłączni.

- To Polak? Mam na myśli Hrabiego. - Tak. Spotkali się w Polsce.

- Kim jest naprawdę? Wiesz?

Bardziej wyczuł niż zobaczył, że dziewczyna potrząsa w ciemności głową.

- Jedynie Jansci to wie. Ja wiem tylko tyle, że poza moim ojcem to najwspanialszy

człowiek, jakiego kiedykolwiek poznałam. Łączy ich jakaś dziwna więź. Chyba chodzi o to, że obaj tak długo nurzali ręce we krwi, a potem postanowili więcej nie zabijać. Są bardzo oddani temu, co robią.

- Czy on naprawdę jest hrabią?

- Z całą pewnością. To akurat wiem. Posiadał ogromny majątek obejmujący lasy, jeziora i łąki w okolicy Augustowa, niedaleko granicy z Prusami Wschodnimi i z Litwą; mówię o dawnej granicy. oczywiście. W trzydziestym dziewiątym walczył z Niemcami, potem przyłączył się do podziemia. Długo wymykał się Niemcom, lecz w końcu wpadł. A oni uznali, że to będzie strasznie zabawne, jeśli polski arystokrata zostanie zmuszony do ciężkiej pracy fizycznej. Wiesz jakiej? Wraz z innymi więźniami musiał uprzętać tysiące zwłok z warszawskiego getta, kiedy zburzyły je sztukasy i czołgi. Ale jemu i garstce innych udało się zabić strażników i zbiec; wstąpił do Armii Krajowej walczącej pod dowództwem generała Bora. wiesz, co stało się później: marszałek Rokossowski zatrzymał wojska rosyjskie pod Warszawą i spokojnie czekał, aż powstańcy wykrwawią się na śmierć.

- Pamiętam. Polacy **mówią**, że najzacieklejsze boje z całej wojny toczono właśnie na ulicach Warszawy. Powstańców wyrznięto w pień.

- Prawie wszystkich. Niedobitki, wśród nich Hrabia, zostały zabrane do Oświęcimia, gdzie miały zginąć w komorach gazowych. Z jakichś nieznanых powodów niemieccy strażnicy puścili większość wolno. Pozostały im jednak tatuaże: Hrabia ma numer na wewnętrznej stronie przedramienia, niemal od nadgarstka po łokieć: ohydne, guzowate piętno. -

Wzdrygnęła się. - Straszne.

- A potem spotkał twojego ojca?

- Tak. Zetknęli się w jednym z oddziałów Własowa. Ale obaj mieli już dość wiecznego, bezcelowego zabijania. Ludzie z oddziału przebierali się na przykład za Rosjan,

zatrzymywali polskie pociągi i wchodzili do wagonów: kazali wysiadać wszystkim pasażerom, a tych, którzy mieli legitymacje partyjne, rozstrzeliwali. Nie przejmowali się tym, że niektórzy wstępowali do partii, bo po prostu nie mieli wyboru, jeśli chcieli jakoś przetrwać i wyżywić rodziny. Albo oddział wkraczał do miasteczka; łapano przedstawicieli władzy ludowej i ciskano pośród kry do zamarznętej Wisły. Jansci i Hrabia mieli dość: przekradli się przez granicę i przyłączyli do słowackiej partyzantki walczącej w Wysokich Tatrach.

- Słyszałem w Anglii o tych Słowakach. Że to najbardziej zawzięci i nieposkromieni bojownicy w całej Europie Środkowej.

- Jansci i Hrabia zgodziliby się z tą opinią-stwierdziła z przekonaniem. - Wkrótce jednak rozstali się z nimi, bo Słowakom nie chodziło o to, żeby walczyć o jakąś sprawę; po prostu chcieli walczyć i kiedy nie mieli z kim, bili się między sobą. **Tak** więc Jansci z Hrabią przybyli na Węgry; są tu już ponad siedem lat, większość czasu spędzając w Budapeszcie lub w okolicach Budapesztu.

- A ty kiedy przyjechałaś?

- Niewiele później. Jansci i Hrabia wrócili po mnie i mamę na Ukrainę; przeprowadzili nas przez Tatry i Góry Bukowe. Wiem, że to zabrzmiało dziwnie, ale to była cudowna podróż. Sam środek lata, wspaniała pogoda, po drodze wszędzie mieli przyjaciół. Mama nigdy nie czuła się taka szczęśliwa.

- Resztę już znam - rzekł Reynolds, starając się skierować rozmowę na inne tory.-

Hrabia dowiaduje się, na czyją głowę ma spaść topór. daje cynk Jansciemu, a ten przerzuca zagrożonych na Zachód. W samej Anglii rozmawiałem z dziesiątkami osób, które Jansci uratował od śmierci. Najdziwniejsze było to, że żadna z nich nie nienawidzi Rosjan. Wszyscy pragną pokoju; Jansci wszystkich nawrócił. Mnie również usiłował!

- Mówiłam ci - szepnęła. - Ojciec naprawdę jest wspaniały.

Przez minutę lub dwie siedzieli w ciszy, po czym nagle Julia spytała:

- Nie jesteś żonaty, prawda?

- Słucham? Odwrócił się, zaskoczony niespodziewaną zmianą tematu.

- Nie masz żony, narzeczonej, ani dziewczyny, prawda? Tylko proszę cię, nie mów "Nie, ale i tak nie masz szans". bo byłoby to przykre, okrutne i w złym guście, a nie mam o tobie aż tak niskiej opinii.

- Przecież nie otworzyłem ust! - oburzył się. - Jeśli chodzi o odpowiedź, słusznie się domyśliłaś. Zresztą, nie trudno to zgadnąć. Kobiety i moja praca nie idą w parze To chyba jasne.

- Wiem-powiedziała cicho. Wiem również, że dwa lub trzy razy specjalnie tak pokierowałaś rozmową, żebym nie musiała mówić o sprawach dla mnie bolesnych. Bezдушne potwory nie dbają o uczucia innych. Przepraszam za to, co wcześniej mówiłam, ale przynajmniej dowiedziałam się jeszcze przed Jansci i Hrabią, że mylą się co do ciebie Nie wiesz, ile to dla mnie znaczy; ci dwaj nigdy się nie mylą, a ja bez przerwy. Tym razem poznałam prawdę przed nimi.

- Pewnie wiesz o czym mówisz, ale... - zaczął Reynolds - `Wyobrażam sobie, jakie będą mieli miny, kiedy im powiem, że przez dziesięć minut siedziałam przytulona do ciebie. - Starła się zachować powagę, ale była wyraźnie rozbawiona. - Przytuliłeś mnie, bo myślałeś, że płaczę. I faktycznie płakałam. Ale twoja wilcza skóra jest bardzo przetarta!

- O mój Boże!

Był autentycznie zdumiony. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że obejmuje Julię i poczuł delikatny dotyk jej włosów na swojej zdrętwiałej dłoni. Zmieszany, wymamrotał przeprosiny i zaczął cofać rękę, kiedy nagle zamarł w bezruchu. Wolno opuścił ją z powrotem, przytulił

dziewczynę i przysunął usta do jej ucha.

- Mamy towarzystwo - szepnął.

Spojrzał kątem oka na zewnątrz; jego wzrok potwierdził to, co przed chwilą uchwycił niezwykle wyostrzony słuch. Śnieg przestał padać, więc trzy zbliżające się w stronę stróżówki sylwetki było widać jak na dłoni. Gdyby Reynoldsa nie zawiodła czujność, zauważyłby je znacznie wcześniej. Po raz drugi tego wieczoru Julia pomyliła się do milicjantów; co gorsza, nie było jak przed nimi uciec. Fakt, że zbliżali się tak ostrożnie, świadczył o tym, że wiedzą, iż w stróżówce ktoś przebywa.

Reynolds błyskawicznie podjął decyzję. Prawą ręką objął dziewczynę w talii, przycisnął ją do siebie i wpił się w jej usta. W pierwszej chwili Julia zeszywniała, zaczęła się wyrywać, odwracać twarz. Potem nagle poddała się i zmiękła; zrozumiała o co chodzi. Nieodrodna córka swojego ojca, umiała spiskować. Podniosła ręce i zarzuciła Reynoldsowi na szyję. Minęło dziesięć sekund, dwadzieścia. Anglikowi coraz trudniej przychodziło myślenie o milicjantach, którzy jakoś nie śpieszyli się z ujawnieniem swojej obecności, czego zresztą bynajmniej nie miał im za złe; gotów był też przysiąc, że obejmujące go ramiona zacieśniają się coraz mocniej, kiedy nagle snop światła z silnej latarki przebił mrok i głęboki męski głos powiedział wesoło:

- Wiesz, Stefan, bez względu na to, co ludzie gadają, młode pokolenie jest zupełnie w porządku. Na termometrze dwadzieścia stopni poniżej zera, a tych dwoje zachowuje się tak, jakby leżeli sobie na słońku na plaży nad Balatonem. Spokojnie, spokojnie, młody człowieku.

- Zza światła latarki wysunęła się potężna męska dłoń i powstrzymała Reynoldsa, który zamierzał poderwać się na nogi. - Co wy tu robicie? Nie wiecie, że na wyspie nie wolno przebywać po zmroku?

- Wiem - wymamrotał Reynolds; na jego twarzy malowały się, we właściwych

proporcjach, strach i zażenowanie. - Przepraszam. Nie mieliśmy dokąd iść.

- Bzdura! - zadudnił głos. - Kiedy ja byłem w waszym wieku, młody człowieku, to zimą najbardziej sobie ceniłem zasłonięte alkowy "Pod białym aniołem". To zaledwie kilkaset metrów stąd.

Reynolds nieco się odprężył. Tego gościa nie mieli się co obawiać.

- Byliśmy "Pod białym aniołem"... - zaczął.

- Pokażcie dokumenty. - Do rozmowy wtrącił się inny głos, zimny, surowy, małoduszny. -

Macie je przy sobie?

-Oczywiście .

Właściciel drugiego głosu był człowiekiem całkiem innego kalibru. Reynolds sięgnął do kieszeni palta i akurat gdy zacisnął palce na kolbie pistoletu, ponownie odezwał się pierwszy milicjant.

- Nie wygłupiaj się, Stefan. Te sensacyjne szmiry, które czytasz, padły ci na mózg.

Myślisz, że to szpieg z Zachodu, który przyjechał się dowiedzieć, czy jego kumple mogą liczyć na współpracę budapeszteńskich dziewczyn, jeśli znów wybuchnie powstanie?

Parsknął śmiechem; rechotał głośno, trzymając się za boki i raz po raz waląc dłonią w udo; trochę to trwało zanim się uspokoił.

- Poza tym chyba słyszysz, że to rodowity budapeszteńczyk, taki sam jak ja - dodał, po czym nagle zwrócił się do Reynoldsa. - Mówiliście coś o "Pod białym aniołem"? Podejdźcie no oboje bliżej.

Reynolds i Julia wstali i zanim jeszcze zdążyli postąpić krok do przodu, milicjant zaświecił Reynoldsowi prosto w twarz; Anglik odruchowo zamknął oczy.

- Tak, to on - oznajmił radośnie milicjant. - Ten, o którym nam mówili. Patrz, na policzku wciąż widać ślady wszystkich palców. Nic dziwnego, że nie chciał się tam znów pokazać.

Miał szczęście, że nie złamała mu szczęki. Skierował latarkę na Julię: zamrugła oczami.

- A mogła; zbudowana jak bokser!

Nie zważając na jej cichy okrzyk oburzenia, ponownie zwrócił się do Reynoldsa i wygrażając mu palcem, zaczął przemawiać srogim głosem; cała sytuacja bardzo go bawiła.

- Ostrzegam was, młody człowieku Piękna, to prawda, ale... Sam widzisz. Jeśli jest taka pulchniutka mając dwadzieścia kilka lat, pomyśl jaka będzie, kiedy stuknie jej czterdziestka. Szkoda, że nie widziałeś mojej żony. - Trzęsąc się ze śmiechu machnął ręką. - Zjeżdżajcie, dzieciaki. Ale jak was znów złapię, zamknę was do lochów!

Pięć minut później, kiedy przeszli już przez most na lewy brzeg, zaczęli się żegnać. Znow prószył śnieg. Reynolds spojrzął na fosforyzujące wskazówki swojego zegarka.

- Dopiero kilka minut po dziewiątej. Zjawię się za trzy godziny.

- Będziemy cię oczekiwać. Akurat starczy mi czasu, żeby dokładnie, ze wszystkimi szczegółami, opowiedzieć ojcu i Hrabiemu o tym, jak najpierw o mało nie złamałam ci szczęki, a potem jak ty, ta wstrętna zimna maszyna, objąłeś mnie czule i całowałeś przez pełną minutę, nawet nie robiąc przerwy, żeby zaczerpnąć powietrza.

- Tylko przez pół minuty! – poprawił ją Reynolds.

- Co najmniej przez półtorej. I nie. powiem im dlaczego. Ciekawe, jakie będą mieli miny!

- Masz mnie w ręku. - Reynolds uśmiechnął się. - Ale nie zapomnij powiedzieć im również, jak będziesz wyglądać, kiedy stuknie ci czwarty krzyżyk.

- Nie zapomnę - odparła.

Stali blisko siebie; widział w jej oczach figlarne chochliki.

- Po tamtym pocałunku, ten znaczy tyle co uścisk dłoni - powiedziała z powagą.

Wspięła się na palce, musnęła ustami jego policzek i szybko odeszła w mrok. Reynolds długo stał w miejscu odprowadzając ją wzrokiem i w zamyśleniu pocierając policzek;

wreszcie zaklął pod nosem i ruszył w przeciwną stronę. Naciągając kapelusz. głęboko na oczy i schylając głowę dla osłony twarzy przed śniegiem.

Biedy znalazł się z powrotem w pokoju hotelowym - nie zauważony przez nikogo wszedł do środka po schodach przeciwpożarowych -- była już za dwadzieścia dziesiąta. Głodny i zmarznięty, włączył ogrzewanie, upewnił się, czy w czasie jego nieobecności nikt nie buszował po pokoju, po czym zadzwonił do-kierownika hotelu: usłyszał, że nie było do niego żadnych telefonów i nikt nie zostawił żadnych wiadomości; usłyszał też, że choć pora jest późna i kucharz właśnie zamierzał położyć się spać, będą poczytywać sobie za zaszczyt, jeśli Reynolds pozwoli im pokazać, jakie frykasy potrafią przyrządzić na chybcika. Reynolds odparł ł dość nieuprzejmie, że chodzi mu wyłącznie o tempo; Frykasów skosztuje kiedy indziej.

Kilka minut po jedenastej skończył jeść bardzo smaczną kolację, do której wypił prawie całą butelkę soprońi, i powoli zaczął zbierać się do wyjścia. Wprawdzie spotkanie było za godzinę, ale wiedział, że odległość między hotelem a domem Janskiego, którą pokonali mercedesem Hrabiego w ciągu zaledwie sześciu czy siedmiu minut, na piechotę zajmie mu znacznie dłużej, zwłaszcza że wolał kluczyć na wypadek, gdyby ktoś go śledził. Zrzucił wilgotną koszulę, krawat i skarpetki, złożył je starannie, nie wiedział bowiem, że nie dane mu będzie tam wrócić, zablokował klucz w drzwiach, ubrał się ciepło i wyszedł na schody przeciwpożarowe. Był już niemal na chodniku. Kiedy usłyszał odległe, lecz natarczywe dzwonienie telefonu; zignorował je. Równie dobrze mogło dochodzić z jego pokoju, jak i z co najmniej setki innych.

Kilka minut po północy dotarł do ulicy, na której mieszkał Jansci. Mimo szybkiego marszu. Był przemarznięty, ale też i zadowolony, bo nikt go nie śledził. Gdyby jednak Hrabia zechciał poczęstować go kieliszkiem palinki...

Ulica była opustoszała, drzwi garażu zaś otwarte, zupełnie jakby na jego powitanie. Nie zwalniając, skręcił do ciemnego wnętrza i ruszył w stronę drzwi na końcu; ledwo jednak zrobił cztery kroki, kiedy ktoś przekręcił kontakt garaż zalało światło, a żelazne drzwi zatrzasnęły się z łomotem.

Reynolds stanął bez ruchu, trzymając ręce z dala od kieszeni palta, i wolno rozejrzał się wokół siebie. We wszystkich czterech rogach stali czujni, uśmiechający się z zadowoleniem avocy, każdy w długim płaszczu ściągniętym wojskowym pasem, w wysokiej czapce z daszkiem, oraz z pistoletem maszynowym w rękę. Trudno nie zgadnąć co to za jedni, pomyślał ponuro Reynolds na widok ich prostackich, brutalnych twarzy, chełpliwych uśmieszków i sadystycznych min; typowe zbiry z marginesu społecznego, z których składają się służby bezpieczeństwa wszystkich krajów komunistycznych.

Piąty mężczyzna wyraźnie odstawał od reszty: miał szczupłą, śniadą, inteligentną twarz o semickich rysach, która od razu przykuła uwagę Reynoldsa. Widząc to, mężczyzna schował rewolwer do kabury, zbliżył się o dwa kroki i z uśmiechem na ustach złożył mu ironiczny ukłon.

- Kapitan Michael Reynolds z wywiadu brytyjskiego. prawda? Jest pan punktualny; w pełni to doceniamy. AVO nie lubi czekać.

Reynolds stał na środku garażu bez słowa. bez ruchu. Najpierw po wejściu przeżył szok, po chwili dotarła do niego gorzka prawda, że zamiast na przyjaciół trafił na avoków, i wreszcie zaczął gorączkowo myśleć, jak do tego mogło dojść. Zdawało mu się, że tkwi tak całą wieczność. podczas gdy w rzeczywistości minęło nie więcej niż piętnaście sekund; szczęka opadała mu coraz niżej, a oczy rozszerzały się ze strachu.

- Reynolds? - powtórzył szeptem, trochę niewprawnie, tak jak uczyniłby to Węgier. -

Michael Reynolds? Nie... nie wiem o co wam chodzi, towarzyszu. Co... co się stało? Te... te...

pistolety... Dlaczego? Przysięgam, nie zrobiłem nic złego, towarzyszu! Przysięgam!

Złączył ręce i począł wyłamywać sobie zbieleiałe palce; głos drżał mu z przerażenia. Dwaj awocy znajdujący się w zasięgu jego wzroku zmarszczyli brwi i popatrzyli po sobie niepewnie, lecz w ciemnych, rozbawionych oczach drobnego żyda nie było cienia wątpliwości.

- Amnezja - powiedział łagodnie. - Wstrząs sprawił, że zapomniał pan własnego nazwiska, przyjacielu. Bardzo ładnie zagrane, przyznaję. Gdyby nie to, że wiem doskonale, kim pan jest, może też miałbym wątpliwości, tak jak moi ludzie, którzy jeszcze nic o panu nie wiedzą. To komplement ze strony brytyjskiego wywiadu, że przysyła do nas tylko najlepszych agentów. Chociaż trudno, żeby przysyłano było kogo. kiedy stawką jest... hm, powiedzmy, że odzyskanie... profesora Harolda Jenningsa.

Reynolds poczuł klucie w trzewiach i gorzki smak kłęski podszedł mu do gardła. Boże, było gorzej niż myślał; jeśli wiedzieli tyle, to znaczy, że wiedzieli wszystko. Ale głupawy, przerażony wyraz nie opuszczał jego twarzy, zupełnie jakby został przytwierdzony do niej na stałe. Nagle Reynolds otrząsnął się jak ktoś, kto usiłuje się wyrwać z koszmarnego snu, i potoczył wkoło dzikim, nieprzytomnym wzrokiem.

- Puśćcie mnie! Puśćcie! -Jego głos przeszedł niemal w skowyt. - Przecież nie zrobiłem nic złego, przysięgam! Jestem komunistą, członkiem partii! - Wargi mu drżały, cała twarz chodziła nerwowo.-Mieszkam w Budapeszcie, wszystkie papiery mam w porządku! Zaraz wam pokażę, zaraz wam pokażę!

Sięgnął do kieszeni płaszcza, lecz przed wsunięciem ręki do kieszeni powstrzymało go jedno słowo rzucone przez oficera AVO, jedno krótkie słowo, ostre jak smagnięcie bicia:

- Stać!

Reynolds zatrzymał dłoń na wysokości kłap, po czym wolno opuścił ją wzdłuż ciała.

Drobny Żyd uśmiechnął się. - Szkoda, że nie będzie miał pan okazji wycofać się z pracy w wywiadzie, kapitanie Reynolds. Szkoda, że w ogóle wstąpił pan do wywiadu. Byłby z pana wspaniały aktor, i teatralny i filmowy. - Spojrzał na podwładnego, który czekał przy drzwiach garażu za plecami Reynoldsa. - Koko, kapitan Reynolds właśnie zamierzał wyciągnąć pistolet albo inne śmiertelne narzędzie. Zrób coś, żeby więcej nie miał podobnych pokus.

Reynolds usłyszał ciężkie kroki na betonie, po czym aż jęknął z bólu, kiedy osobnik zwany Koko wyrzucił go w plecy kolbą automatu, tuż nad prawą nerką. Zachwiał się i świat zawirował mu w oczach; jak przez mgłę czuł, że obszukują go czyjeś wprawne dłonie, a potem jakby gdzieś z daleka doleciał go przepaszający głos oficera.

- Musi pan wybaczyć Koko jego zachowanie, kapitanie Reynolds. W pewnych sprawach lubi iść na skróty. Doświadczenie nauczyło go, że kiedy ma się do czynienia z więźniem, drobny przedsmak tego, co go może czekać, jest znacznie bardziej skuteczny od wszelkich wyrafinowanych gróźb. - Jego ton zmienił się nieco. - No i co my tu mamy? Ciekawy eksponat! Belgijski pistolet kalibru 6.35. w dodatku z tłumikiem, nieosiągalny na Węgrzech. Na pewno znalazł go pan na ulicy... A to co?

Reynolds z trudem skupił wzrok na przedmiocie, który oficer AVO podrzucał teraz w ręce; była to krótka pałka, którą Reynolds zabrał napastnikowi na przystanku.

- Chyba poznaję, pułkowniku.

Avok zwany Koko podszedł do oficera i nagle znalazł się w polu widzenia Reynoldsa; był to olbrzym mierzący metr dziewięćdziesiąt z okładem, szeroki w barach, o złamanym nosie i pokiereszowanej, pokrytej bliznami twarzy. Kiedy wziął pałkę do ręki, niemal znikła w jego wielkiej, owłosionej łapie.

- To pałka Herpeda. pułkowniku. Nie ma dwóch zdań .O, tu są jego inicjały. Herped to

mój kumpel. Skąd to masz? -warknął, zwracając się do Reynoldsa.

- Znalazłem razem z pistoletem - odparł ponuro Reynolds. - W paczce, na rogu Brodego Sandora i...

Za późno dostrzegł ruch pałki, żeby się uchylić. Cios rzucił go na ścianę; osunął się po niej na ziemię i z najwyższym trudem podniósł na nogi. W ciszy słyszał jak krew ciekąca mu z rozbitych ust kapie na beton, językiem zaś wyczuł, że ruszają mu się przednie zęby.

- No, no, Koko - powiedział jakby z lekkim wyrzutem pułkownik. - Oddaj mi to. Dziękuję.

Kapitanie Reynolds, jest pan sam sobie winien: nie wiemy jeszcze, czy Herped nadal jest przyjacielem Koko; znaleźliśmy go na przystanku tam, gdzie go pan zostawił, ale jego życie wciąż wisi na włosku. - Podniósł rękę i poklepał po ramieniu gniewnie wykrzywionego olbrzyma. - Niech pan tylko nie wyrobi sobie o Koko fałszywej opinii, panie Reynolds. Nie zawsze zachowuje się w ten sposób, o czym świadczy najlepiej jego przezwisko; Koko to imię głośnego kłowna i komika, o którym zapewne pan słyszał. Nasz Koko też potrafi być bardzo zabawny, niech mi pan wierzy; nieraz widziałem, jak w piwnicach na ulicy Stalina różnymi sztuczkami rozśmieszał kolegów do łez.

Reynolds nic nie odpowiedział. Ani ta wzmianka o kazamatach AVO, gdzie torturowano więźniów na śmierć, ani fakt, że pułkownik Hidas pozwalał olbrzymiemu sadyście wyzywać się na nim w ten sposób, nie były przypadkowe. Hidas po prostu go badał, obserwował i oceniał jego reakcje na taką a nie inną linię postępowania. Obchodziły go tylko wyniki i chciał je otrzymać jak najszybciej; Reynolds wiedział, że jeśli pułkownik dojdzie do przekonania, że przemoc i okrucieństwo to strata czasu, bo nic nimi nie wskóra, to zmieni taktykę i spróbuje bardziej subtelnych metod. Hidas był niewątpliwie bardzo niebezpiecznym człowiekiem, chytrym i zgorzkniałym, ale w jego śniadawej, szczupłej twarzy nie widać było zamięłowania do okrucieństwa. Pułkownik skinął na jednego z podwładnych.

- Na końcu ulicy stoi budka telefoniczna. Idź tam, zadzwoń i powiedz, żeby natychmiast przysłali ciężarówkę. Wiedzą, gdzie jesteśmy. - Uśmiechnął się do Reynoldsa. Nie mogliśmy zjechać tu ciężarówką i zaparkować przed domem, prawda, kapitanie Reynolds? Na pewno wzbudziłaby pańskie podejrzenia. - Spojrzał na zegarek. - Ciężarówka zjawi się za dziesięć minut, może szybciej, ale tych dziesięciu minut też szkoda tracić. Może je pan zechce zużytkować na spisanie zeznań o swojej działalności na terenie Węgier? Tylko bez żadnych bzdur, kapitanie. Wprowadźcie go do środka.

Podwładni pułkownika wprowadzili Reynoldsa do tego samego pomieszczenia, w którym poznał Janskiego; znów znalazł się przed biurkiem. Hidas ustawił lampę tak, że świeciła Reynoldsowi prosto w twarz z odległości zaledwie pół metra, po czym usiadł za biurkiem na wprost niego.

- Będziemy śpiewać, kapitanie Reynolds, potem spisujemy słowa naszej pieśni dla wdzięcznej potomności. a przynajmniej dla sądu ludowego. Czeka pana sprawiedliwy proces. Wykręty, kłamstwa i gra na zwłokę nie zdadzą się na nic. Jeśli szybko potwierdzi pan to, co i tak już wiemy, może uniknie pan kary śmierci; w końcu nam też nie zależy na tym, żeby robić z tej sprawy międzynarodowy incydent. Wiemy wszystko, kapitanie Reynolds, absolutnie wszystko. - Potrząsnął głową, jakby przypomniał sobie coś i wciąż nie mógł wyjść ze zdumienia. - Kto by się spodziewał, że ten pański przyjaciel... - zawiesił głos i strzelił palcami-krępy, szeroki w barach jak stodoła, no, jak on się nazywa? Nieważne, w każdym razie śpiewał jak ta lala! Wydobył z szuflady jakiś papier gęsto pokryty pismem.

Trochę mu drżała ręka, nic dziwnego w tych okolicznościach, ale sędziowie nie powinni mieć trudności z odczytaniem jego gryzmołów.

Mimo rwącego bólu w krzyżu i obolałych, spuchniętych warg rozbitych ciosem pałki, Reynolds poczuł taką falę radości, że czym prędzej schylił głowę i splunął krwią pod nogi,

aby tylko pułkownik nie wyczytał nic z jego twarzy. Właśnie się dowiedział, że avocy nie dysponowali żadnymi zeznaniami, że nawet nie złapali Janskiego i jego ludzi. Jedyne, co mieli, to rysopis Sandora, którego donosiciele AVO widzieli, kiedy kręcił się po garażu. Bo w tym, co powiedział Hidas, zbyt wiele nie trzymało się kupy.

Po pierwsze, Sandor nie wiedział wszystkiego - tego Reynolds był pewien - a więc nie mógł też zdradzić wszystkiego. Po drugie, gdyby wpadła cała grupa, avocy nie zaczęliby przesłuchań od Sandora, tylko od Julii lub Imrego. Po trzecie, Hidas nie należał do ludzi, którzy zapominają czyjeś nazwisko, zwłaszcza takie, które dopiero poznali. Zresztą sam pomyślał, żeby biciem udało im się zmusić Sandora do sypania - na bardziej wyrafinowane tortury nie mieli przecież jeszcze czasu - był wręcz absurdalny. Po prostu Hidas nigdy nie znalazł się w uścisku mocarnych ramion Sandora, nie patrzył w jego łagodne, niewzruszone oczy z odległości piętnastu centymetrów. Reynolds zerknął na papier leżący na stole i wolno rozejrzał się po pokoju. Gdyby avocy próbowali torturować tu Sandora, pomyślał, to mała szansa, żeby ściany nadal stały.

- Niech pan zacznie od tego, jak dostał się do naszego kraju - zaproponował Hidas. - Czy kanały były zamrożone, panie Reynolds?

- Jak się dostałem? Kanały? - Reynolds mówił z trudem, a głos wydobywający się z jego opuchniętych warg był przytłumiony i niewyraźny. W końcu pokręcił głową. - Niestety, nie wiem...

Urwał i skoczył w bok, uchylając się w locie; gwałtowny skręt sprawił, że nowa fala bólu przeszła go po krzyżu. Chociaż Hidas znajdował się w półcieniu, Reynolds zdążył zauważyć nagły ruch oczu i ledwo dostrzegalne skinienie znak dany olbrzymiemu oprawcy; dopiero kiedy było po wszystkim zrozumiał, że miał ten znak zobaczyć. Pięść Koko minęła się z celem, jedynie ostro zakończony sygnet na palcu avoka pozostawił na twarzy Reynolds

cienką piekącą krechę od skroni po szczękę; ten jednak, widząc że olbrzym traci równowagę, postanowił to szybko wykorzystać.

W następnej sekundzie Hidas poderwał się z krzesła i wycelował bron. Powiódł spojrzeniem po żywym obrazie, jaki miał przed sobą: dwaj avocy stali z automatami gotowymi do strzału, Reynolds też stał - całym ciężarem wsparty na jednej nodze, gdyż drugą zadał cios tak silny, że nie wiedział, czy mu nie poszła kość - a Koko tarzał się z bólu po podłodze, niezdolny nawet do krzyku. Na ustach pułkownika pojawił się cienki uśmiech.

- Właśnie dostarczył pan dowód przeciwko sobie, kapitanie Reynolds. Gdyby był pan niewinnym mieszkańcem Budapesztu, to pan a nie Koko leżałby teraz na podłodze; niewinni ludzie nie mają za sobą szkolenia komandosa.

Reynoldsa przeszedł zimny dreszcz, kiedy zdał sobie sprawę, że Hidas specjalnie sprowokował całe zajście, zupełnie się nie licząc z cierpieniem podwładnego.

- Wiem już to, czego chciałem się dowiedzieć. I widzę może pan to potraktować jak komplement - że łamanie panu po kolei wszystkich kości byłoby stratą czasu. Pojedziemy na ulicę Stalina i tam sięgniemy po bardziej wyrafinowane metody.

Trzy minuty później wsiedli do skrzyni ciężarówki, która zajechała pod garaż. Koko, wciąż szary na twarzy i oddychający z trudem, został ułożony na jednej z bocznych ław, pułkownik Hidas i dwaj avocy ulokowali się na ławie naprzeciwko olbrzymu, a Reynoldsowi kazali usiąść na podłodze, tyłem do szoferki; czwarty podwładny Hidas zajął miejsce w szoferce obok kierowcy.

Wypadek, który sprawił, że wszyscy avocy pospadali z ławek, a jeden wylądował na Reynoldsie jak wystrzelony z katapulty, nastąpił dwadzieścia sekund po wyjechaniu z garażu, akurat kiedy ciężarówka skręcała za najbliższy róg. Nie było żadnego ostrzeżenia, które pozwoliłoby się jakoś przygotować, czegoś uchwycić: usłyszeli pisk hamulców, chrobot

miazdzonej blachy i ciężarówka, ślizgając się po ubitym śniegu, zatrzymała się uderzając kołami o krawężnik po drugiej stronie ulicy.

Leżeli jak popadło na podłodze, jeszcze nie zdążyli pojąć co się stało, jeszcze nie zaczęli się zbierać, kiedy nagle ktoś otworzył tylne drzwi i zgasił światło; po chwili wewnątrz ciężarówki przeciął oślepiający blask dwóch potężnych latarek. Długie, szczupłe ryjki luf dwóch automatów zamigotały gniewnie przy początku snopów światła i głęboki, ochrypliwy głos polecił wszystkim założyć ręce na głowy. W odpowiedzi na stłumione polecenie wydane przez kogoś na ulicy, latarki i lufy odsunęły się na bok i do środka wpadł jakiś mężczyzna-w blasku latarek. Reynolds rozpoznał czwartego avoka; za nim rzucono bezceremonialnie do środka nieprzytomnego kierowcę i zatrzaśnięto drzwi. Silnik zaskoczył, zawył wściekle, kiedy nowy kierowca wrzucił wsteczny bieg i nacisnął na gaz, po czym rozległ się świdrujący zgrzyt, jakby maska ciężarówki uwalniała się z jakiejś blaszanej przeszkody. Po chwili znów byli w drodze. Cała akcja od początku do końca nie trwała dłużej niż dwadzieścia sekund; Reynolds był pełen uznania dla szybkości i sprawnej organizacji fachowców, którzy dokonali napadu.

Ich tożsamość ani przez chwilę nie stanowiła dla niego zagadki, ale dopiero kiedy w świetle latarki ujrzał zaciśniętą na automacie rękę, zdeformowaną, pokrytą bliznami, z dziwnym sinym znamieniem po środku, która natychmiast cofnęła się z powrotem w mrok, dopiero wtedy nabrał pewności i zalała go ciepła fala ulgi; również dopiero wtedy zdał sobie sprawę. Jak bardzo był napięty i skupiony na jednym - każdy nerw i każda myśl przygotowane na nieznane potworności, które czekały go w kazamatach na ulicy Stalina, które czekały wszystkich przesłuchiwanym tam nieszczęśników.

Teraz, kiedy minął lęk przed przyszłością, kiedy znów mógł myśleć o chwili obecnej, ból w krzyżu i ustach powrócił ze zdwojoną siłą. Ogarnęły go mdłości, czuł jak krew wali mu w

skroniach, a świat wiruje przed oczyma; wiedział, że gdyby tylko się rozluźnił, przestał walczyć ze słabością, natychmiast zwałiłby się nieprzytomny. Ale jeszcze nie nadszedł czas na odpoczynek.

Z twarzą poszarzałą z bólu, zaciskając zęby, żeby powstrzymać jęk cisnący mu się na usta, zrzucił z siebie avoka, wziął jego automat, położył na pustej ławie po lewej stronie ciężarówki i lekko pchnął w kierunku drzwi: niewidoczna w mroku ręka ujęła broń i pociągnęła w swoją stronę. W ten sam sposób wyekspediował dwa dalsze automaty i rewolwer Hidasą; własny pistolet, który wy dobył z kieszeni pułkownika, schował do płaszcza, po czym usiadł na ławie na wprost Koko.

Po kilku minutach usłyszeli, że kierowca redukuje biegi i ciężarówka zaczyna hamować.

Lufy z tyłu budy wysunęły się groźnie do przodu i ochryply głos polecił wszystkim milczeć.

Reynolds wy dobył pistolet, założył tłumik i przycisnął broń Hidasowi do karku; kiedy ciężarówka się zatrzymała tyłu dobiegł go cichy pomruk uznania.

Postój trwał krótko. Czyjeś krótkie pytanie, na które z szoferki padła sucha, zwięzła odpowiedź udzielona władcym tonem - do siedzących w budzie docierał tylko szum głosów, nie byli w stanie wyłapać poszczególnych słów po czym rozległ się syk powietrza ze zwalnianych hamulców i ciężarówka ruszyła w dalszą drogę: Reynolds z długim, cichym westchnieniem oparł się z powrotem o ścianę i schował pistolet do kieszeni. Na szył Hidasą wyraźnie odcisnął się wylot tłumika, pozostawiając głęboki, czerwony ślad; chwila była wyjątkowo napięta.

Znów się zatrzymali i znów pistolet Reynoldsa wcisnął się w to samo miejsce na karku pułkownika, ale tym razem postój trwał jeszcze krócej. Więcej już się nie zatrzymywali. Po tym jak droga skręcała leniwie to w lewo, to w prawo, a także po tym, że warkot silnika nie odbijał się od żadnych murów i budynków, Reynolds domyślił się, że opuścili przedmieścia

Budapesztu i znajdowali się teraz na otwartej przestrzeni. Żeby nie zasnąć i nie zemdleć, nie pozwolić, by pękła cienka nić świadomości, bez przerwy rozglądał się po wnętrzu ciężarówki. Z czasem oczy przywykły mu do mroku i w bladym świetle sączącym się przez szpary w drzwiach widział skulone sylwetki dwóch mężczyzn w kapeluszach nasuniętych nisko na czoło i chustach na twarzach. Siedzieli nieruchomo na końcu budy, z automatami i latarkami skierowanymi wprost na avoków. Ich czujność i napięta koncentracja miały w sobie coś wręcz nieludzkiego i powoli Reynolds zaczął rozumieć, jak to było możliwe, że Jansciemu i garstce jego ludzi udało się przetrwać tak długo. Co pewien czas przenosił wzrok na avoków leżących na podłodze - widział szok i strach malujący się na ich obliczach, widział że trzymane w górze ręce drżą im ze zmęczenia, jedynie twarz Hidasa była kamienna. pozbawiona wszelkiego wyrazu. Mimo lodowatej obojętności, z jaką Hidas odnosił się do cierpienia innych, Reynolds musiał przyznać, że pułkownik miał w sobie coś godnego podziwu: klęskę przyjmował bez śladu lęku, bez nerwów: w chwili porażki cechował go ten sam chłód co w chwili tryumfu.

Jeden z mężczyzn z tyłu ciężarówki skierował latarkę na nadgarstek - zapewne patrzył na zegarek, chociaż z odległości Reynolds nie był tego pewien - po czym przemówił do więźniów. Jego głos, głęboki, chropowaty, dochodzący zza chusty, był nie do poznania.

- Ściągnąć buty, wszyscy po kolei, i ustawić je na ławie po prawej.

Przez moment Reynoldsowi wydawało się, że pułkownik Hidas odmówi wykonania rozkazu - a odwagi mu do tego nie brakowało - ale ponaglące szturchnięcie lufą przekonało go, że jakikolwiek opór jest pozbawiony sensu. Nawet Koko, który na tyle odzyskał siły, żeby podnieść się na łokciu, ściągnął buty w niecałe trzydzieści sekund.

- W porządku - stwierdził opanowany głos z tyłu pojazdu. - A teraz płaszcze. -.Umilkł, dając avokom czas na spełnienie polecenia. - Dziękuję. Słuchajcie uważnie. Znajdujemy się

na cichej, opuszczonej drodze i zaraz dojedziemy do stojącej przy niej pustej chaty.

Najbliższe siedziby ludzkie oddalone są o pięć kilometrów. Nie powiem wam w jakim kierunku. Jeśli będziecie starali się do nich dotrzeć, w mroku i na bosaka, prędzej zamarzniecie niż osiągniecie cel, a na pewno będzie was czekać amputacja stóp. To nie melodramatyczna groźba, a zwykłe ostrzeżenie. Jeśli mi nie wierzycie, proszę bardzo, przekonajcie się sami. Chata natomiast jest sucha, stanowi dobrą osłonę od wiatru, a drwa na opał jest pod dostatkiem. Będziecie mogli doczekać w cieple do rana, kiedy to na drodze powinna pojawić się jakaś chłopska furmanka albo ciężarówka.

- Dlaczego to robicie? - spytał Hidas obojętnym, niemal znudzonym tonem. .

- Dlaczego wysadzamy was na pustkowiu, czy dlaczego darujemy wam wasze marne życie?

- Jedno i drugie.

- Powinieneś się domyślić. Nikt nie wie, że mamy ciężarówkę AVO, i nie dowie się, dopóki nie dotrzecie do telefonu, zanim to się jednak stanie. będziemy już przy granicy austriackiej: ta ciężarówka to gwarancja, że dotrzemy tam bez przeszkód. Jeśli chodzi o wasze życie, pytanie jest całkiem naturalne: kto mieczem wojuje, od miecza ginie. Ale my nie jesteśmy mordercami.

Ledwo skończył mówić, ciężarówka zatrzymała się. Kilka sekund upłynęło w zupełnej ciszy, po czym rozległ się chrzęst kroków na śniegu i drzwi budy otworzyły się na oścież. Reynolds ujrzał dwie postacie na drodze, a w tle za nimi przysypany śniegiem dach małej chatki. Po chwili padła ostra komenda: Hidas i jego ludzie wyszli gęsiego na zewnątrz, jeden z nich podtrzymując kulejącego Koko. Z cichym trzaskiem uniosła się klapa zasłaniająca okienko między szoferką i budą i czyjaś twarz zbliżyła się do szybki; Reynolds jednak nie potrafił rozróżnić w mroku rysów patrzącego-widział tylko ciemną plamę. Skierował wzrok

w drugą stronę i zobaczył, jak ostatni avok wchodzi do chaty i drzwi się za nim zamykają, potem usłyszał za sobą zgrzyt opuszczanej klapy i w tej samej chwili do budy wskoczyły trzy postaci, zatrzasnęły drzwi i pojazd ruszył w dalszą drogę.

Zapalono światło i przybysze zaczęli ściągać z twarzy chusty, gdy wtem damski głos wydał okrzyk przerażenia. Jeśli wyglądam tak jak się czuję, pomyślał kwaśno Reynolds, to nic dziwnego, że budzę przerażenie. Pierwszy jednak przemówił Hrabia.

- Coś mi się zdaje, że zderzył się pan z autobusem, panie Reynolds. Albo spędził trochę czasu w towarzystwie mojego sympatycznego przyjaciela Koko.

- Pan go zna? - spytał Reynolds, ochrypłym, niewyraźnym głosem.

- Znają go wszyscy pracownicy AVO. I połowa mieszkańców Budapesztu, chociaż pewnie woleliby nie mieć tej przyjemności. Można rzec, że to bardzo popularny człowiek. A przy okazji, nie wie pan przypadkiem, co mu się stało? Wydaje się, że nie był w najlepszej formie.

- Rąbnąłem go.

- No, no, no! - Hrabia uniósł jedną brew, co u niego oznaczało wyraz totalnego zdumienia. - Jeśli ktoś dotknie go palcem wbrew jego woli, to już duże osiągnięcie, ale żeby uczynić go niezdolnym do walki...

- Och, przestań gadać! - zawołała Julia z gniewem i przestraczem. - Spójrz tylko na jego twarz! Musimy coś zrobić!

- Fakt, nie wygląda ładnie - przyznał Hrabia, sięgając po piersiówkę. - Uniwersalny lek.

- Każ Imre się zatrzymać - rozkazał cichym, lecz stanowczym tonem Jansci.

Popatrzył uważnie na Reynoldsa, który zakrztusił się i zaczął kasłać zaciskając z bólu powieki, gdyż ognisty trunek palił go w usta i przełyk.

- Jest pan mocno poturbowany, panie Reynolds. Co się stało?

Kiedy Reynolds skończył opowiadać, Hrabia zaklął.

- Przepraszam, młodzieńcze - rzekł. - Powinienem być odgadnąć. Ten łajdak Koko...

Może jeszcze trochę palinki? Piecze, ale pomaga.

Ciężarówka zatrzymała się i Jansci wyskoczył na zewnątrz. Wrócił po chwili,

trzymając w ręce wypełniony śniegiem płaszcz jednego z avoków.

- Do roboty, kochanie - rzekł do Julii, podając jej płaszcz i chustkę. - Może uda ci się choć trochę poprawić wygląd naszego przyjaciela.

Dziewczyna wzięła chustkę i odwróciła się do Reynoldsa. Przejęta, starała się dotykać go jak najdelikatniej, ale mimo to śnieg piekł okrutnie, kiedy zmywała nim zakrzepłą krew z ran na policzkach i ustach; kilka razy Reynolds skrzywił się z bólu. W pewnym momencie Hrabia chrząknął.

- Może -powinnaś zastosować bardziej bezpośrednią metodę kuracji. Julio - rzekł. -

Podobną jak na Margitsziget, kiedy przyłapali was milicjanci. Mówiła nam, panie Reynolds, że przez pełne trzy minuty...

- Ale kłamliwa bestia! - Reynolds próbował się uśmiechnąć, ale za bardzo go to bolało. -

Całowaliśmy się zaledwie trzydzieści sekund i to dla ratowania skóry... - Spojrzał na

Jansiego. - Co się stało? Jakim cudem avocy znaleźli się w garażu?

- Co się stało? - powtórzył cicho Jansci. - Spapraliśmy sprawę. Wszystko poszło nie tak. I wszyscy popełniliśmy jakieś błędy; my, pan, avocy też. Pierwszy błąd był nasz.

Wiedzieliśmy oczywiście, że dom jest obserwowany, ale myśleliśmy, że interesują się nim zwykli donosiciele. Niestety, byli do agenci AVO; Hrabia rozpoznał tych dwóch schwytanych przez Sandora, kiedy przyszedł do nas po skończonej służbie. Julia tymczasem wyruszyła już na spotkanie z panem i nie mieliśmy jak jej zawiadomić, a potem

postanowiliśmy nie zawracać panu głowy: nikt nie zna metod AVO równie dobrze jak

Hrabia, a on był przekonany, że jeśli zrobią nalot, to dopiero o świcie... To ich ulubiona pora.

A nas już miało wtedy tu nie być.

- Więc ten gość, który doszedł za Julią "Pod białego anioła", śledził ją od samego domu?

- Tak. Sprawnie się go pan pozbył, gratuluję, choć teraz wiem, że była to dla pana drobnotka... Największy jednak błąd został popełniony wcześniej, podczas pańskiej rozmowy z profesorem Jenningsem.

- Podczas... Nie rozumiem.

- Ja jestem bardziej winien od pana - wtrącił posępnie Hrabia. - Wiedziałem i powinienem był pana uprzedzić.

- O czym? - spytał Reynolds.

- Zaraz panu wyjaśnię. - Jansci popatrzył na swoje dłonie, po czym wolno podniósł wzrok.

- Sprawdził pan, czy w pokoju profesora nie ma podsłuchu?

- Oczywiście. Znalazłem pluskwę za kratą wentylacyjną. - A w łazience?

- Nic nie znalazłem.

- Niestety, tam również był podsłuch. W prysznicu. Hrabia mówi, że w każdej łazience w hotelu "Trzy korony" jest podsłuch w prysznicu. Dlatego prysznice nie działają. Trzeba było odkręcić wodę.

- W prysznicu! - Nie zważając na nagły ból. Reynolds wyprostował się gwałtownie, odsuwając zaskoczoną dziewczynę. - Mikrofon! O Boże!

- Właśnie - powiedział posępnie Jansci.

- A więc każde słowo. wszystko co mówiłem do profesora...

trwał i oparł się o ścianę skrzyni, przybity ogromem popełnionej przez siebie pomyłki i jej fatalnymi następstwami. Nic dziwnego, że Hidas wiedział, **kim** jest i po co przybył na

Węgry. Wszystko wiedział! Teraz już nie było szansy na uratowanie profesora; równie dobrze on. Reynolds, mógłby w ogóle nie wyjeżdżać z Londynu. Wtedy, w garażu, kiedy okazało się, że pułkownik zna jego tożsamość, przez moment obawiał się, że coś takiego mogło się zdarzyć, ale wiadomość, którą przed chwilą przekazał mu Jansci - o tym skąd i jak Hidas dowiedział się o celu jego przyjazdu na Węgry - przesądziła ostatecznie sprawę. Misja była skończona-zakończona klęską.

- To dla pana przykry cios - powiedział współczująco Jansci.

- Zrobiłeś, co mogłeś - szepnęła Julia. Przekręciła mu głowę, żeby dokończyć przemywania ran: nie opierał się. To nie twoja wina.

Zapadło milczenie. Ciężarówka chybotąca się i podskakiwała na wertepach ośnieżonej drogi. Ból krzyża i twarzy powoli ustępował, przechodząc w tępe, uporczywe klucie: po raz pierwszy, odkąd uderzył go Koko, Reynolds był w stanie jasno myśleć.

- Służba bezpieczeństwa już się zajęła Jenningsem; pewnie jest w drodze powrotnej do Rosji - powiedział do Janskiego.- Wspomniałem profesorowi, że chcemy porwać jego syna; przypuszczalnie zawiadomili już Szczecin. Skopałem zadanie. - urwał i dotknął językiem przednich dolnych zębów; dwa ledwo się trzymały. - Skopałem powierzone zadanie, ale chyba nie wyrządziłem innych szkód. Nie wymieniałem nazwisk, ani zajęć żadnej z osób z pańskiego domu, choć podałem profesorowi adres. Ale avocy i tak go znali. Jeśli natomiast chodzi o pana ludzi, nie wiedzą o ich istnieniu. Parę spraw jednak nadal mnie niepokoi.

- Tak?

- Tak. Po pierwsze, dlaczego nie złapali mnie od razu w hotelu, skoro podsłuchali moją rozmowę z profesorem?

- To proste. Nie podsłuchują rozmów bezpośrednio, lecz nagrywają je na taśmy magnetofonowe i odtwarzają później. - Hrabia uśmiechnął się szeroko. - Żałuję, że nie

widziałem ich min, kiedy siedzieli nad pańską!

- Dlaczego nie zadzwoniliście, żeby mnie zatrzymać. Przecież z tego, co powiedziała wam Julia, musieliście się zorientować, że AVO zjawi się lada moment.

- Faktycznie, zjawili się prawie natychmiast. Dziesięć minut po naszym wyjściu.

Dzwoniliśmy do pana do hotelu, ale nikt nie odpowiadał.

- Wyszedłem wcześniej. - Reynolds przypomniał sobie dzwonienie telefonu, które słyszał, gdy był na samym dole schodków przeciwpożarowych. - Ale mogliście mnie zatrzymać na ulicy.

- Mogliśmy - przyznał Jansci. - Hrabio, może ty wyjaśnisz, dla czegośmy tego nie zrobili.

- Dobrze - odparł Hrabia.

Ku zdumieniu Reynoldsa, na jego twarzy malowało się zmieszanie; przez moment Anglik myślał, że się myli. Ale Hrabia w istocie był zmieszany.

- Poznał pan dzisiaj mojego przyjaciela pułkownika Hidasas - zaczął dość okrężnie. - To zastępca komendanta AVO, najbardziej niebezpieczny i przebiegły człowiek w całym Budapeszcie. W dodatku inteligentny, więc nic dziwnego, że osiąga sukcesy, o jakich inni mogą tylko marzyć. Błyskotliwie inteligentny, pomysłowy, energiczny i zupełnie pozbawiony uczuć. Nigdy się nie poddaje. Nie będę ukrywał, że wzbudza we mnie respekt; dlatego właśnie tak

bardzo starałem się, żeby mnie nie zobaczył, chociaż miałem zasłoniętą twarz.

- Niech pan przejdzie do sedna - powiedział niecierpliwie Reynolds.

- Już przechodzę. Od kilku lat nasza działalność była prawdziwym cierniem w oku Hidasas; ostatnio nabrałem lekkiego podejrzenia, że Hidasas coś ciut za bardzo interesuje się moją osobą. - machnął niedbale ręką. - Oczywiście, my, oficerowie AVO, spodziewamy się tego, że raz na jakiś czas jesteśmy dokładnie sprawdzani, nawet śledzeni, więc może przejmuję się

nadmiernie. Ale pomyślałem sobie, że moje wizyty na blokadach drogowych nie przeszły tak niezauważenie, jakbym sobie tego życzył; powziąłem podejrzenie, że jest pan człowiekiem podstawionym przez Hidasę, któremu bardzo zależy na tym, żeby nas rozpracować. -

Uśmiechnął się lekko na widok zdumienia rysującego się na twarzach Julii i Reynoldsa. - tylko dlatego udaje nam się przetrwać, panie Reynolds, że staramy się minimalizować ryzyko. To, że wyratowałem z opresji autentycznego szpiega z Zachodu, wydawało nam się zbyt ładne, żeby było prawdziwe. Sądziliśmy więc, że jest pan wtyczką Hidasę. Fakt, że wiedział pan - rzekomo od pułkownika Mackintosha iż Jennings jest w Budapeszcie, choć my nie mieliśmy n tym pojęcia, był kolejnym argumentem przeciwko panu; to że tak szczegółowo wypytywał pan Julię o nas i o naszą organizację, mogło oznaczać przyjazną ciekawość, ale równie dobrze mógł pan mieć inne, znacznie bardziej groźne dla nas pobudki; no i jeszcze ci milicjanci na wyspie - może wcale nie dali się nabrać na wasze zdolności aktorskie, może po prostu wiedzieli, kim pan jest.

- Nic mi o tym nie mówiliście! - zawołała Julia; jej twarz była czerwona, a błękitne oczy lodowate z wściekłości.

- Chcieliśmy ukryć przed tobą ciemne strony życia rzekł z galanterią Hrabia. - A potem, panie Reynolds, kiedy nie odebrał pan telefonu, przyszło nam na myśl, że może właśnie spotyka się pan ze swoimi zwierzchnikami na Andrassy. Były to tylko podejrzenia, oczywiście, ale nie mogliśmy ryzykować. więc pozwoliliśmy panu wejść prosto w zasadzkę. Głupio się przyznać, ale widzieliśmy, jak pan szedł. Byliśmy niespełna sto metrów dalej, przyczajeni w samochodzie-na szczęście nie moim którym później Imre staranował ciężarówkę. - Popatrzył z żalem na twarz Reynoldsa. - Nie spodziewaliśmy się, że od razu dadzą panu taki wycisk.

- Mam nadzieję, że pozbyliście się wątpliwości. - Reynolds ujął w dwa palce obłuzowany

zęb, wyrwał go krzywiąc się, i rzucił na podłogę. - Bo wolałbym nie przechodzić tego po raz drugi.

- To wszystko, co masz do powiedzenia? - zawołała Julia, spoglądając gniewnie na ojca i Hrabiego jej wzrok złagodniał dopiero wtedy, gdy skierowała oczy na pokiereszowaną twarz Reynoldsa. - Mimo że tyle się przez nich wycierpiałeś?

- A co mam zrobić? - spytał cierpliwie Reynolds. Rzucić się na Hrabiego i wybić mu parę zębów? Na jego miejscu postąpiłbym tak samo.

- Zawodowcy rozumieją się w takich sprawach, moja droga - powiedział cicho Jansci. -

Ale jest nam naprawdę bardzo przykro. I co teraz, panie Reynolds? Taśma z pańską rozmową rozpęta największą obławę, jaką mieliśmy od miesiący. Myślę, że czym prędzej powinien pan dotrzeć do granicy austriackiej.

- Oczywiście, powinienem i dotrę. Ale wcale nie prędko.

Patrząc na siedzących obok mężczyzn, Reynolds przypomniał sobie niesamowite historie, które opowiedziała mu o nich Julia; wiedział, że na pytanie Janskiego może dać tylko jedną odpowiedź. Szarpnął kolejny zęb i westchnął z ulgą, kiedy udało mu się go wyrwać, po czym spojrzął na generała i rzekł:

- Wszystko zależy od tego, jak szybko zdołam odnaleźć profesora Jenningsa.

Minęło dziesięć sekund, dwadzieścia, trzydzieści; siedzieli w ciszy wypełnionej chrzęstem śniegu pod kołami i szmerem głosów Sandora i Imrego dochodzących ponad warkotem silnika; w końcu Julia ujęła w dłonie pokiereszowaną i spuchniętą twarz Reynoldsa i obróciła ku sobie, dotykając jej łagodnie czubkami palców.

- Zwariowałeś - oświadczyła, w wpatrując się w niego z niedowierzaniem. - Zupełnie zwariowałeś.

- Nie ma dwóch zdań. - Hrabia otworzył piersiówkę, pociągnął łyk i zamknął ją z

powrotem. - To, przez co dziś przeszedł, padło mu na mózg.

- Szaleństwo - powiedział cicho Jansci, spoglądając w dół na swoje zdeformowane ręce. -

Nie ma choroby równie zaraźliwej.

- I atakuje błyskawicznie. - Hrabia zerknął ponuro na flaszkę. - Nawet moje lekarstwo nie

zdało się na nic. Przez długą chwilę dziewczyna patrzyła na trzech mężczyzn całkiem

zdezorientowana; nagle odgadła prawdę, która wydała jej się tak przerażająca, że krew

odpłynęła jej z twarzy, a oczy, niebieskie jak bławatki, pociemniały i zaszyły łzami. Nie

protestowała, nie usiłowała ich od niczego odwozić, rozumiejąc, że byłoby to zupełnie

daremne, i tylko odwróciła głowę, żeby nie widzieli jak łzy spływają jej po policzkach.

Reynolds wyciągnął dłoń, chcąc Julię pocieszyć, ale zawahał się. Wtedy Jansci

uśmiechnął się do niego smutno i potrząsnął wolno siwą głową; Anglik zrozumiał i cofnął

dłoń.

Wydobył paczkę papierosów, wetknął jednego między rozbite wargi i zapalił. Papieros

miął smak palonych gazet.

Rozdział siódmy

Kiedy Reynolds się zbudził, wciąż panował mrok, lecz niebo widoczne przez niewielkie

okno wychodzące na wschód powoli zaczynało się rozjaśniać. Wiedział, że w pokoju jest

okno, ale do tej pory nie miał pojęcia, na której znajduje się ścianie; kiedy po pokonaniu

półtorakilometrowego odcinka drogi dotarli o drugiej nad ranem do samotnej wiejskiej chaty,

zniębnięci i utrudzeni mozolnym przedzieraniem się przez zasypany śnieg. Jansci zarządził, że

światło wolno palić tylko w pomieszczeniach z zamkniętymi okiennicami, a pokój

przydzielony Reynoldsowi akurat ich nie miał.

Nie ruszając głową widział całe wnętrze pokoju - nic dziwnego, skoro powierzchnia

podłogi była zaledwie dwa razy większa od powierzchni wąskiego brezentowego łóżka, na

którym leżał. Na resztę umeblowania składało się krzesło, miednica stojąca pod oknem i zmatowiałe lustro: nic więcej by się nie zmieściło.

Za pojedynczą szybą okienną robiło się coraz jaśniej i w oddali, prawie pół kilometra od chaty, Reynolds dostrzegł pokryte grubą warstwą śniegu gałęzie sosen - drzewa musiały rosnać na zboczu poniżej domostwa, gdyż ich białe, pierzaste czubki znajdowały się na poziomie jego oczu. Powietrze było tak czyste, że widział niemal każdy szczegół gałęzi. Szare niebo powoli stawało się jasnoniebieskie, bez ani jednej chmury: po raz pierwszy, odkąd przybył na Węgry, zdarzyło mu się zobaczyć tak czysty błękit w górze. Dzień zapowiadał się pogodnie; może był to szczęśliwy omen? W tej chwili każdy dobry znak był na wagę złota. Wiatr uspokoił się, nawet najłżejszy powiew nie zakłócał bezruchu wielkiej równiny i głuchoj, lodowatej ciszy, jaka możliwa jest tylko w mroźny poranek, gdy całą ziemię skrywa puszysta warstwa śniegu.

Ciszę przerwał - ale tylko na moment; później zdawała się jeszcze głębsza niż poprzednio - krótki głośny trzask, jakby w oddali ktoś strzelił z karabinu; Reynolds zdał sobie sprawę, że taki sam hałas zbudził go przed chwilą. Znieruchomiał, nasłuchując: mniej więcej po minucie dźwięk się powtórzył, ale jakby trochę bliżej. A potem znów go usłyszał, tym razem po niecałej minucie, i postanowił sprawdzić, co się dzieje. Zrzucił z siebie kołdrę, spuścił nogi na podłogę...

I natychmiast zmienił zdanie; ból, jaki go przeszył, gdy tylko usiadł na łożku. tak potężny jakby ktoś wbił mu w plecy żelazny hak i szarpnął nim z całej siły.- uświadomił mu, że nie może wykonywać żadnych gwałtownych ruchów. Ostrożnie, powoli podciągnął nogi i z westchnieniem ułożył _się z powrotem na pościeli. Czuł się tak, jakby od nasady pleców po łopatki miał jedną wielką ranę; pozostałe mięśnie też miał zeszywniałe i każdy szybszy ruch wprawiał go w agonię. Hałas na zewnątrz mógł

poczekać, zwłaszcza że nikogo innego najwyraźniej nie martwił; również krótkotrwały kontakt z zimnym powietrzem przekonał Reynoldsa, który spał tylko w pożyczonych spodniach od pizamy, że im później będzie musiał się zwlec z pośłania. tym lepiej, gdyż w pokoju nie było ogrzewania i temperatura wynosiła poniżej zera.

Wyciągnął się na plecach, z wzrokiem utkwionym w suficie, i zaczął się zastanawiać, czy Hrabia i Imre dotarli bezpiecznie do Budapesztu. Zamierzali porzucić ciężarówkę w stolicy, żeby wróg nie miał żadnych wskazówek, dokąd się wszyscy udali. Gdyby zostawili pojazd gdzieś na drodze w pobliżu chaty, mogłoby to się źle dla nich skończyć. Jansci spodziewał się, że od rana w całych zachodnich Węgrzech rozpoczną się poszukiwania ciężarówki; dlatego najlepiej było się jej pozbyć w jakimś pustym miejskim zaułku.

Poza tym ważne było, żeby Hrabia wrócił do stolicy. Miał prawie stuprocentową pewność, że dotąd nie wzbudził jeszcze niczyich podejrzeń, a jeśli chcieli dowiedzieć się dokąd zabrano profesora Jenningsa - bo Rosjanie nie zostawiliby go w hotelu, nawet pod wzmocnioną strażą musiał zajrzeć do siedziby AVO, gdzie wczesnym popołudniem miał pełnić dyżur. To był jedyny sposób, żeby zdobyć informacje o profesorze, sposób oczywiście dość ryzykowny, ale Hrabia od dawna żył na krawędzi ryzyka.

Reynolds trzeźwo oceniał swoje szanse. Nawet z pomocą najlepszych fachowców na świecie, a za takich uważał Janskiego i Hrabiego, miał mizerne szanse na wykonanie zadania. Czynił sobie wyrzuty, że nie sprawdził przysznica jeden błąd i avocy wiedzieli o wszystkim, a to dawało im absolutną przewagę. Mogli zablokować drogi, kontrolować pojazdy na rogatkach miasta, mogli przenieść profesora do najbardziej niedostępnego, najlepiej strzeżonego więzienia lub obozu na terenie Węgier, a nawet odesłać go z powrotem do Rosji. Najbardziej jednak dręczyło Reynoldsa jedno pytanie, jedna sprawa, na której od początku

bazował jego plan porwania Jenningsa do Anglii: co się dzieje w Szczecinie, co się dzieje z Brianem, synem profesora? Miał ponurą świadomość, że port jest przeczesywany tak dokładnie jak nigdy dotąd i że wystarczy drobny błąd, żeby wszystko przepadło, jedna chwila nieuwagi dwóch agentów odpowiedzialnych za bezpieczeństwo chłopca, którzy oczywiście nie wiedzieli - bo skąd mieli wiedzieć? że ogłoszono alarm i że setki ubeków cał po calu przeszukują miasto. Było to strasznie frustrujące leżeć tak i czekać bezradnie, podczas gdy kilkaset kilometrów na północ zaciskały się sieci.

Palenie w krzyżu stopniowo malało, aż w końcu całkiem ustąpiło; ostre, nagłe klucia też już się więcej nie powtarzały. Czego nie można było powiedzieć o trzaskach za oknem: rozlegały się coraz częściej i coraz bliżej. Reynolds nie potrafił dłużej poskromić ciekawości; zresztą musiał wstać, żeby się umyć, ponieważ kiedy w nocy dotarli wreszcie na miejsce, był tak zmęczony, że po prostu zwalił się na posłanie i natychmiast zasnął. Powoli, ostrożnie, spuścił nogi na podłogę i siedząc na brzegu łóżka wciągnął spodnie od szarego garnituru, który w niczym nie przypominał nieskazitelnego stroju, w jakim przed trzema dniami opuszczał Londyn, po czym wstał, wciąż trochę niepewnie, i poczłapał do okna nad miednicą.

uderzył go w oczy dziwny widok, bo też dziwnie wyglądał osobnik, którego ujrzał za oknem. Mężczyzna, właściwie jeszcze wyrostek, ubrany był tak, jakby miał grać rolę księcia w widowisku dla dzieci - na głowie aksamitny kapelusz z pękiem barwnych piór, na ramionach żółty płaszcz spływający swobodnie do ziemi, na nogach bogato haftowane wysokie buty z lśniącymi, srebrnymi ostrogami. Na tle olśniewająco białego śniegu prezentował się wspaniale. W szarym, ponurym, komunistycznym kraju, był niespodziewanym wręcz szokującym zjawiskiem.

Zajęcie, któremu się oddawał, było równie niezwykle jakiego strój. W odzianej w

rękawicę dłoni trzymał obciągnięty skórą trzonek długiego, cienkiego bicia: nagle poruszył lekko nadgarstkiem i leżący na śniegu pięć metrów dalej korek skoczył trzy metry w bok. Po kolejnym drgnięciu nadgarstka wrócił na dawną pozycję. Młodzieniec powtórzył tę czynność kilkakrotnie, lecz Reynolds ani razu nie zauważył, żeby koniec bicia uderzył w korek, czy choćby się do niego zbliżył - po prostu smagnięcia następowały tak szybko, że oczy nie nadążały za ruchem rzemienia. To co młodzieniec robił wymagało maksymalnego skupienia i niebywałej wręcz precyzji.

Reynolds obserwował wyrostka z zafascynowaniem; był tak pochłonięty osobliwym widowiskiem, że nie usłyszał, kiedy otworzyły się drzwi do pokoju. Dopiero nagły okrzyk zdumienia za jego plecami sprawił, że odwrócił się gwałtownie od okna, jednocześnie wykrzywiając twarz z bólu, gdyż znów poczuł ostre klucie.

- Przepraszam. - Julia była wyraźnie speszona. - nie spodziewałam się...

Reynolds uśmiechnął się szeroko.

- Wchodź, wchodź. Jestem już prawie ubrany. A zresztą my, tajni agenci, jesteśmy przyzwyczajeni do przyjmowania dam w naszych sypialniach.

Dostrzegł tacę, którą postawiła na łóżku.

- Śniadanie dla chorego? Bardzo to miło z twojej strony

Ubrana była w niebieską wełnianą sukienkę z białym kołnierzykiem i białymi mankietami, przewiązaną w talii paskiem. Zauważył, że włosy ma lśniące, wyszczotkowane, oczy błyszczące, cerę świeżą, jakby przed chwilą umyła twarz śniegiem. Dotyk jej palców, kiedy zbliżyła je do jego obolałych pleców, był kojący i chłodny. Raptem, zaskoczona, wciągnęła gwałtownie powietrze.

- Musimy• koniecznie znaleźć lekarza. Przecież to jedna wielka rana we wszystkich kolorach tęczy: czerwonym, niebieskim, fioletowym. Nie można tego tak zostawić. Wygląda

okropnie. - Obróciła go łagodnie twarzą do siebie i popatrzyła na jego nie ogoloną twarz. -

Proszę wracać do łóżka. Bardzo boli, co?

- Tylko wtedy, gdy się śmieję, jak powiedział facet przebity harpunem. - Odsunął się od miednicy i skinął głową w stronę okna. - Co to za artysta cyrkowy?

- Wiem bez patrzenia. - Parsknęła śmiechem. - Na odległość słyhać jak strzela z bicza. To Kozak, jeden z ludzi ojca.

- Kozak?

- Tak każe się nazywać. Naprawdę nazywa się Aleksander Moritz, choć wydaje mu się, że tego nie wiemy-. Ojciec jednak wie o nim wszystko, tak jak o każdym ze swoich współpracowników. Chłopak ma dopiero osiemnaście lat i uważa, że Aleksander to imię dobre dla maminsynka.

- A dlaczego ubrał się w taki komiczny strój?

- Ignorant! - Zaśmiała się. - Ten strój wcale nie jest komiczny. Kozak to autentyczny dzikus, odpowiednik waszego kowboja, z puszy, czyli stepu, który rozciąga się na wschodnich terenach kraju, w okolicach Debreczyna. Właśnie tak się tam noszą, a bicz jest częścią stroju. Kozak pomaga ojcu w działalności, o której dotąd nie rozmawialiśmy, a która polega na zaopatrywaniu w żywność głodujących - wyjaśniła z powagą. - Kiedy nadchodzi zima, na Węgrzech głoduje wielu ludzi. Rząd każe chłopom dostarczać tak ogromne kontyngenty kartofli i mięsa, że dla nich samych prawie nic nie zostaje; najgorzej jest z pszenicą, bo muszą oddawać całe zbiory. Któregoś roku było tak źle, że mieszkańcy Budapesztu musieli zaopatrywać chłopów w chleb. Jansci pomaga tym głodującym. Organizuje akcje porywania bydła z gospodarstw państwowych, zarówno tu jak i w Czechosłowacji. a Kozak pędzi je na wyznaczone miejsce. Zaledwie zeszłej nocy był po drugiej stronie granicy.

- I wrócił z bydłem, ot tak?

Dla niego to nic trudnego, ma swoje metody. Najczęściej porywa zwierzęta właśnie w Czechosłowacji. granica jest tylko dwadzieścia kilometrów stąd; albo oszalał ją chloroformem, albo upija podając im otręby polaną gorzałką, i najspokojniej w świecie przeprowadza przez granicę; robi to z równą łatwością, z jaką inni przechodzą przez jezdnię.

- Szkoda, że z ludźmi nie można sobie radzić w ten sposób - powiedział z uśmiechem Reynolds.

- Chce zacząć robić to samo z ludźmi. Nie oszalać ich czy upijać, oczywiście, ale przeprowadzać przez granicę. I wkrótce pewnie zacnie. -Przez chwilę patrzyła przez okno myśląc o czymś innym, po czym spojrzała na Reynoldsa. Jej błękitne oczy były poważne, nieruchome. - Panie Reynolds, chciałam...

Domyślał się, co zamierza powiedzieć. Nie wymagało to specjalnej przenikliwości, żeby wiedzieć, iż wczoraj bardzo niechętnie i wbrew sobie zaakceptowała podjętą przez niego decyzję o kontynuowaniu poszukiwań Jenningsa; spodziewał się, że prędzej czy później przyjdzie go błagać, żeby zmienił zdanie. Od chwili, kiedy weszła do pokoju, czuł, że to jedno leży jej na sercu.

- Przecież już byliśmy na ty, sama to zaproponowałaś przerwał jej szybko. - Trudno się bawić w konwenanse, kiedy stoję przed tobą bez koszuli. Od tej pory nie ma pana Reynoldsa, jest tylko Michael.

- Michael.- Wypowiedziała wolno jego imię, wymawiając je "Mikel". - A może "Mike"?

- Bo cię zamorduje - zagroził. - No dobrze. Michael.

- Mikel - powtórzył naśladowując jej wymowę i. parsknął śmiechem. - Niech będzie. Co

chciałaś mi powiedzieć.

Przez moment dwie pary oczu, jedne piwne, drugie błękitne, wpatrywały się w siebie, porozumiewając się bez słów. Julia otrzymała odpowiedź na swoje pytanie: nie musiała go zadawać. Jej szczupłe ramiona ugięły się lekko pod ciężarem przegranej.

- Nic - odparła pośepnie, kierując się do drzwi. - Dowiem się, czy gdzieś w pobliżu jest lekarz. Jansci prosi, żebyś zszedł za dwadzieścia minut.

- A prawda! - zawołał Reynolds. - Wiadomości. Na śmierć o tym zapomniałem.

- To już coś. - Julia uśmiechnęła się blado i zamknęła za sobą drzwi.

Jansci wstał wolno z krzesła, wyłączył radio i popatrzył na Reynoldsa.

- Myśli pan, że im nie wyszło?

- Obawiam się, że tak. - Obrócił się zmieniając nieco pozycję, żeby ulżyć obolałym plecom: mycie, ubieranie się i zejście po schodach kosztowało go więcej wysiłku niż dawał po sobie poznać i teraz czuł w krzyżu niemal ustawiczne klucie. - Dzisiejszy serwis informacyjny powinien być zawierać hasło.

- Może dotarli do Szwecji, ale nie zdążyli jeszcze skontaktować się z kim trzeba?

- Nie, to niemożliwe. - Reynolds głęboko wierzył, że właśnie tego ranka usłyszy umówione hasło; zawód był bolesny. - Wszystko jest zapięte na ostatni guzik; łącznik z naszego konsulatu w Helsingborgu cały czas na nich czeka.

- Hm... Ale jeśli ci dwaj agenci wysłani po chłopca są naprawdę tacy świetni, może zorientowali się, że są poszukiwani i postanowili przyczaić się na dzień lub dwa w Szczecinie. Aż zrobi się mniej gorąco.

- Oby. Boże, dlaczego nie pomyślałem o prysznicu! zawołał z goryczą. - I co robić?

- Nic. Jedyne, co nam pozostaje, to uzbroić się w cierpliwość - oświadczył Jansci. - A pan niech wraca do łóżka. Bez żadnych protestów. Zbyt wielu chorych i rannych widziałem w

swoim życiu, aby nie wiedzieć, że potrzebny jest panu odpoczynek. Posłaliśmy już po lekarza. To mój stary przyjaciel - dodał z uśmiechem na widok niepewnej miny Reynoldsa. - Można mu całkowicie zaufać.

Dwadzieścia minut później lekarz, w towarzystwie Janskiego, zjawił się w pokoju Reynoldsa. Był to rosły, tęgi mężczyzna o czerwonej twarzy, z krótko przystrzyżonym wąsem, odznaczający się ogromną pewnością siebie i wesołym, pogodnym głosem, tak pogodnym, że każdy pacjent od razu podejrzewał najgorsze - w sumie więc nie różnił się niczym od swoich kolegów po fachu, z jakimi Reynolds dotąd się stykał. Tak jak większość lekarzy, miał zdecydowane poglądy i nie wahał się ich wygłaszać: od samego wejścia do pokoju zaczął przeklinać komunistów.

- Jak się panu udaje przeżyć? - spytał z uśmiechem Reynolds. - Skoro wyraża pan swoje poglądy...

- Co tam. Wszyscy wiedzą, co myślę o tych bydlakach. Ale nas, medyków, nie śmia tknąć. Zwłaszcza tych lepszych. Potrzebują nas. - Założył na uszy słuchawki. - Nie żebym ja był taki dobry. Ale cała sztuka polega na mówieniu im, że się jest niezastąpionym.

Lekarz był trochę niesprawiedliwy wobec siebie. Zbadał Reynoldsa szybko, dokładnie i bardzo fachowo.

- Wylizę się pan - oznajmił. - Nastąpiło krwawienie wewnętrzne, ale dość znikome.

Stan zapalny na znacznej powierzchni oraz imponujące sińce. Potrzebna mi powłoczka.

Janski. Skuteczność tego środka jest wprost proporcjonalna do bólu, jaki sprawia pacjentowi. Będzie miał pan ochotę wyć na całe gardło, ale jutro poczuje się pan o niebo lepiej.

Położył na powłoczce sporą grudę szarej pasty, którą następnie rozprowadził

równomiernie po całej powierzchni.

- To końska maść wyjaśnił sporządzona według przepisu liczącego kilkaset lat. Ciągłe jej używam. Po pierwsze, pacjenci bardziej ufają lekarzowi, który stosuje stare, sprawdzone środki, a po drugie, zwalnia mnie to z konieczności pilnego śledzenia wszystkich nowinek medycznych. A zresztą przez tych cholernych komunistów i tak nie ma żadnych leków!

Reynolds skrzywił się z bólu, gdyż maść niemal natychmiast zaczęła palić go w plecy; czuł, że na czole wystąpił mu pot. Lekarz nie krył zadowolenia.

- I co, nie mówiłem? Ale jutro będzie pan zdrów jak ryba. Proszę połknąć te dwie białe tabletki, powstrzymają krwawienie wewnętrzne. A ta niebieska to środek nasenny; radzę go wziąć od razu, bo jeśli szybko pan nie uśnie, za dziesięć minut będzie pan chciał zrywać opatrunek. Na szczęście środek ten działa szybko.

Nie było w tym żadnej przesady - ostatnia rzecz, jaka dotarła do świadomości Reynoldsa, to odgłos kroków medyka, kiedy schodził po schodach, przeklinając komunistów na czym świat stoi. Przez dwanaście kolejnych godzin Anglik nie słyszał nic.

Kiedy się obudził, na zewnątrz panował mrok; okno było jednak zasłonięte, a przy łóżku paliła się lampa naftowa. Tak jak się tego nauczył, nie wykonując żadnego ruchu i nie zmieniając regularności oddechu szybko otrząsnął się ze snu i przez dłuższą chwilę obserwował Julię, która stała pochylona nad nim z takim wyrazem twarzy, jakiego jeszcze u niej nie widział. Kiedy dziewczyna zorientowała się, że nie śpi i się jej przygląda, wolno cofnęła dłoń, którą najwyraźniej potrzasała go za ramię, i oblała się delikatnym rumieńcem.

Reynolds podniósł rękę do oczu i spojrzął na zegarek, nie dając po sobie poznać, że zauważył speszenie Julii.

- Ósma!

Usiadł gwałtownie na łóżku i dopiero kiedy to uczynił, przypomniał sobie straszliwy ból, jaki jeszcze niedawno towarzyszył jego nagłym ruchom. Nie umiał ukryć zdumienia.

- Jak się czujesz? - spytała Julia z uśmiechem. - Lepiej, prawda?

-

Znakomicie! To istny cud! - Plecy paliły go, jakby przypiekano je ogniem, ale klucie całkiem znikło. - Ósma - powtórzył z niedowierzaniem. - Spałem dwanaście godzin?

-

Tak. Nawet twoja twarz wygląda znacznie lepiej

Jej ton stał się bardziej rzeczowy. - Kolacja gotowa. Przynieść ci na górę?

- Nie, zejść. Będę za kilka minut - obiecał.

I był. W otwartym piecu wesoło płonął ogień, a na stole czekało pięć nakryć. Sandor i Jansci powitali go z radością, pytając, jak się czuje, po czym przedstawili go Kozakowi. Kozak uścisnął mu szybko dłoń, skinął głową, usiadł przy stole i zaczął zajadać zupę z grzankami.

Do końca kolacji nie powiedział ani słowa i ani razu nie podniósł głowy nad talerza.

Reynolds widział tylko jego gęste, sztywne włosy zaczesane do tyłu: dopiero kiedy młodzieniec wstał

od stołu i mruknąwszy coś do Janskiego skierował się do drzwi, Anglik zobaczył jego twarz, przystojną, choć bardzo jeszcze chłopięcą, z gniewnym wyrazem, którego wyrostek nawet nie próbował ukryć. Reynolds nie miał wątpliwości, że gniew młodzieńca skierowany był przeciw niemu. Ledwo drzwi wejściowe trzasnęły, rozległ się głośny warkot potężnego motocykla, który przejechał obok chaty; po chwili dźwięk przycichł i wreszcie skończył w oddali. Reynolds spojrzął na współbiedniaków.

- Może ktoś mi powie, co ja takiego zrobiłem? Ten młody człowiek gotów był zabić mnie wzrokiem.

Jansci udał, że jest zbyt zajęty zapalaniem fajki, aby móc odpowiedzieć. Sandor, pogrążony w zadumie, wpatrywał się w ogień; sprawiał wrażenie, jakby nie słyszał Reynoldsa. W końcu wyjaśnień udzieliła Julia - z taką irytacją i rozdrażnieniem, że Reynolds aż się zdumiał.

- Niech będzie; skoro ci dwaj tchórze nie chcą ci nic powiedzieć, to ja powiem.

Jedynie, co w tobie drażni Kozaka, to fakt, że w ogóle tu jesteś. Widzisz, on... no, wydaje mu się, że się we mnie zakochał. To bzdura, przecież jestem od niego sześć lat starsza!

- Co to jest sześć lat? - spytał Reynolds. - Jeśli się...

- Och, przestań! Pewnego wieczoru dorwał się do butelki śliwownicy, której Hrabia nie opróżnił do końca i powiedział mi o wszystkim. Byłam zdziwiona i zaskoczona, ale to taki miły chłopiec, więc nie chciałam mu robić przykrości i jak idiotka zaczęłam mu tłumaczyć, że jest jeszcze za młody, że musi poczekać parę lat. Był wściekły...

Reynolds zmarszczył brwi. - Ale co to ma...

- Nie udawaj tępego! Myśli, że ma w tobie... no, rywala, jeśli chodzi o moje względy!

- Oby zwyciężył ten, który bardziej zasługuje - powiedział z powagą Reynolds.

Jansci prychnął śmiechem, o mało nie gubiąc fajki, a Sandor zakrył ręką usta; przy stole zaległa ta# grobowa cisza, że Reynolds uznał, że lepiej zrobi nie patrząc w stronę Julii.

Ponieważ jednak cisza przedłużała się, w końcu zerknął na dziewczynę. Ku jego zdziwieniu, nie była ani zła. ani speszona; siedziała opanowana, z brodą wspartą na dłoni, przypatrując mu się z zadumą i jakby lekkim szyderstwem, które trochę zbiło go z tropu. Nie po raz pierwszy pomyślał sobie, że niedocenywanie córki Janskiego może być poważnym błędem.

Kiedy wreszcie wstała, żeby zebrać talerze, zwrócił się do jej ojca.

- To Kozak odjechał przed chwilą, prawda

- Tak. Do Budapesztu. Ma się spotkać z .Hrabią. Na obrzeżach miasta.

- Jak to?. Na tym potężnym motorze, który słyhać wkoło na kilka kilometrów, i w tym stroju, który widać na nie mniejszą odległość?

- To tylko motorower... Kozak zdjął z niego tłumik, żeby wszyscy wiedzieli, kiedy przejeżdża... Ot, młodzieńcza próżność. Ale ten potworny hałas i krzykliwy strój to jego najlepsza gwarancja bezpieczeństwa. Chłopak tak bardzo rzuca się w oczy, że nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby go o cokolwiek podejrzewać.

- Jak długo mu to zajmie?

- W dobrych warunkach potrafi dojechać tam i z powrotem w ciągu trzydziestu minut; jesteśmy tylko piętnaście kilometrów od stolicy. Ale dzisiejszej nocy? -Jansci zamyślił się. - Nie sądzę, by wrócił wcześniej niż za półtorej godziny.

Wrócił dopiero po dwóch - a były to dwie najbardziej niezapomniane godziny, jakie Reynolds w życiu spędził.

Jansci mówił niemal bez przerwy, on zaś słuchał z napięciem, świadom, że dostępuje zaszczytu i że taka chwila może nigdy się nie powtórzyć. Z tego, co się orientował, rozmowność nie była typową cechą Janskiego, najbardziej niezwykłego człowieka, jakiego poznał, człowieka, którego wyjątkowy życiorys obfitował w tyle zwycięstw, klęsk i niebezpieczeństw, człowieka, który, może z wyjątkiem Hrabiego jego alter ego. nie miał sobie równych. I przez dwie bite godziny Julia siedziała obok na poduszce. Wesołe iskierki, które rzadko opuszczały jej oczy, teraz nie zapaliły się ani razu; dziewczyna siedziała poważna, skupiona, wpatrzona w twarz ojca, a jeśli odrywała od niej wzrok, to tylko po to. by spojrzeć na jego zniszczone, zdeformowane ręce. Reynolds odnosił wrażenie, że w jakiś irracjonalny sposób Julia podziela jego przekonanie. że ta chwila nigdy się nie powtórzy, że specjalnie tak pilnie wpatruje się w rysy ojca. w jego dłonie, aby dobrze zapamiętać każdy ich szczegół:

przypomniawszy sobie dziwny strach, jaki ją ogarnął wczoraj wieczorem, kiedy znajdowali się jeszcze w ciężarówce i poczuł, że ciarki przechodzą mu po plecach. Z trudem otrząsnął się i odsunął od siebie złe, niczym nie usprawiedliwione przeczucia i myśli.

Jansci nie mówił o sobie, a o swojej organizacji jej sposobach działania wspominał tylko wówczas, kiedy było to niezbędne: jedyna nowa rzecz, jakiej Reynolds dowiedział się w trakcie wieczoru, to że kwatera główna Janskiego nie mieści się tu, gdzie się teraz znajdują, lecz w chacie położonej pośród wzgórz ciągnących się między Szombathely i Neusiedler See, niedaleko granicy austriackiej - jedynej granicy, przez którą można było uciec na Zachód. Jansci opowiadał o ludziach, o setkach osób, którym we trójkę, on, Hrabia i Sandor, umożliwili ucieczkę, o ich pragnieniach i lękach. Mówił o pokoju, o swojej nadziei na lepszy świat, o swoim przekonaniu, że pokój zwycięży, jeśli choć jeden człowiek na każdy tysiąc ludzi będzie o to zabiegał, że bzdurą jest myślenie, iż może być jakikolwiek ważniejszy cel. Nie chodziło mu o pokój w odległej przyszłości, lecz natychmiast, teraz. Mówił o komunistach i niekomunistach i o różnicach między nimi istniejących tylko w małych umysłach ludzi, mówił o nietolerancji i niewyobrażalnej ciasnocie umysłowej tych wszystkich, którzy twierdzą, że ludzie nieuchronnie różnią się od siebie urodzeniem i przekonaniem, religią i wiarą, i myślą, że Bóg mylił się głosząc, że wszyscy jesteśmy braćmi. Mówił o tragedii wyznawców rozmaitych religii, święcie wierzących, że ich droga jest jedynie słuszna, o sektach uzurpujących sobie wyłączny dostęp do bram raju, oraz o tragedii obywateli Związku Radzieckiego, którzy bez protestu pozwalają na to, bo sami nie wierzą w istnienie takowych.

Jansci nie zaperzał się, nie starał się Reynoldsowi do niczego przekonać, po prostu opowiadał. Wkrótce po tym, gdy wspomniawszy Rosję, zaczął mówić o swojej młodości. W pierwszej chwili Reynoldsowi wydawało się, że ten nowy temat nie ma nic wspólnego z

poprzednim, ot nagły przeskok myślowy, lecz Jansci bynajmniej nie paplał od rzeczy: niemal wszystko co robił, mówił czy myślał służyło wzmocnieniu i potęgowaniu - zarówno w nim samym jak i w jego słuchaczach - jego wręcz fanatycznej wiary w jednorodność ludzkiego gatunku. Kiedy mówił o dzieciństwie i latach młodzieńczych przeżytych w swojej ojczyźnie, brzmiał tak jak każdy normalny człowiek, wyznawca dowolnej religii, który z tęsknotą wspomina najszcześniejsze chwile spędzone na szczęśliwej ziemi. Obraz Ukrainy, jaki powstawał z jego słów, nie był wolny od pewnej ckliwości, jaką żywimy dla rzeczy utraconych na zawsze, lecz mimo to Reynolds czuł, że jest to obraz wierny - w zmęczonych, łagodnych oczach Janskiego pojawiał się blask, którego by nie było, gdyby wszystko przedstawiał w fałszywym świetle, nawet gdyby nieświadomie okłamywał sam siebie. Jansci nie negowali trudów wiejskiego życia, długich godzin w polu, okresów głodu, straszliwych upałów w lecie oraz przejmujących mrozów, kiedy nad stepem hulały syberyjskie wiatry. , ale w sumie obraz, jaki tworzył, był obrazem ziemi szczęśliwej. złotej, bez strachu i represji, ziemi rozległej, o złocistych łanach pszenicy widocznych aż po horyzont, które zlewały się w wielkie, czerwieniejące w promieniach słońca morze. W jego opowieści cały kraj śmiał się, śpiewał, tańczył: w zimie dźwięczały dzwonki trojek ciągną sanie w zimnym blasku gwiazd, a w ciepłe letnie wieczory parowce leniwie płynące w dół Dniepru rozbrzmiewały rzewną muzyką, która niosła się daleko po wodzie. To właśnie wtedy, kiedy Jansci opowiadał z tęsknotą o nocach pachnących kapryfolium, pszenicą, jaśminem i świeżym sianem, Julia poderwała się nagle na nogi. mówiąc, że musi poszukać kawy, i wybiegła z kuchni. Jej twarz tylko mignęła Reynoldsowi: zobaczył jednak, że dziewczyna ma oczy mokre od łez. Czar prysł, ale coś z magii jakby pozostało. Reynolds wiedział, że ulega jej wbrew sobie. Choć Jansci sprawiał wrażenie, że tylko snuje niewinne wspomnienia, w rzeczywistości każde słowo było skierowane właśnie do niego, przybysza z zewnątrz: generał chciał

podważyć jego przekonania i uprzedzenia, sprawić, by zobaczył, jak wielki jest kontrast między szczęśliwym ludem, którego portret nakreślił, a groźnymi apostołami światowej rewolucji, za których on, Reynolds, tych samych ludzi - obywateli Związku Radzieckiego - uważał chciał go nakłonić do zastanowienia się, czy dwa tak skrajnie przeciwne wyobrażenia mogą być prawdziwe, czy nie wykluczają się nawzajem; nie bez powodu mówił na wstępie o braku tolerancji i rozmyślnej ślepotie cechującej ludzkość. Świadomie dążył do tego, aby Reynolds zobaczył siebie jako typowego przedstawiciela tej ludzkości, i Reynolds z pewnym skrępowaniem przyznał w duchu, że generał osiągnął swój cel. Zaczęły go bowiem dręczyć różne wątpliwości i niepokojące pytania: z najwyższym wysiłkiem odsunął je na bok. Mimo przyjaźni, jaką pułkownik Mackintosh darzył Janskiego, na pewno nie pochwalałby jego dzisiejszej przemowy: pułkownik nie lubił, kiedy ktoś zbijał z tropu jego agentów mieli myśleć o misji, o wykonaniu powierzonego im zadania, a nie zaprzętać sobie głowę jakimiś głupstwami. Tylko że to nie są żadne głupstwa, pomyślał Reynolds; postanowił jednak nie poświęcać im więcej uwagi.

Jansci rozmawiał z Sandorem, a jego cichy, zażyły ton uzmysłowił Reynoldsowi jak bardzo się mylił w ocenie wzajemnego stosunku obu mężczyzn. Nie odnosili się do siebie jak przełożony i podwładny, pan i sługa, lecz jak dwaj przyjaciele: Jansci równie pilnie i z zainteresowaniem słuchał Sandora, co Sandor jego. łączyła ich więź, niewidoczna, ale silna, wynikająca z poświęcenia się wspólnej sprawie. Sandor jednak całym sercem oddany był nie tylko sprawie, lecz również człowiekowi, który ją ucieleśniał. Jansci, jak powoli zaczynał rozumieć Reynolds, miał instynktowny dar wzbudzania lojalności graniczącej niemal z uwielbieniem i nawet on. Reynolds, z natury skrajny indywidualista, którego indywidualizm został dodatkowo wzmocniony odpowiednim szkoleniem, odczuwał jego magnetyzm.

Była punkt jedenasta, kiedy drzwi otworzyły się na oścież i do środka, w chmurze

mroźnego powietrza, wmaszerował Kozak; rzucił w kął sporą pakę owiniętą papierem, ściągnął rękawice i otrzepał o udo. Twarz i ręce miał sine z zimna, ale udawał, że wcale nie jest zmarznięty; nawet nie podszedł do pieca, żeby się ogrzać. Zamiast tego usiadł przy stole i zapalił papierosa, po czym przesunął go w sam kącik ust. Reynolds zauważył z rozbawieniem, że choć dym z papierosa wpada chłopakowi do oka i oko zaczyna łzawić, ten ani myśli wyjąć papierosa z ust. Tam, gdzie go wetknął, tam ma tkwić. I basta.

Sprawozdanie Kozaka było zwięzłe i na temat. Spotkał się z Hrabią tak jak się umówili.

.Jenningsa nie było w hotelu, krążyły pogłoski, że nie najlepiej się czuje. Hrabia nie wiedział, dokąd go zabrano, w każdym razie nie było go ani w głównej siedzibie AVO, ani w żadnym z jej gmachów na terenie Budapesztu; Hrabia uważał, że albo wywieziono profesora z powrotem do Związku Radzieckiego, albo umieszczono w jakimś bezpiecznym miejscu poza miastem; obiecał, że postara się o to dowiedzieć, choć nie bardzo wierzył, że mu się uda.

Podjeżdżał jednak, że .Jennings nadal przebywa na Węgrzech, bo jego udział w konferencji był niezwykle ważny. Najprawdopodobniej trzymano go gdzieś w ukryciu, strzegąc jak oka w głowie, i czekali na wieści ze Szczecina; jeśli okaże się, że Brian nie wyjechał, Rosjanie dadzą profesorowi porozmawiać z synem przez telefon i pozwolą mu uczestniczyć w konferencji, jeśli zaś Brayanowi udało się zbiec, czym prędzej zabiorą profesora do Moskwy.

Budapeszt leżał zbyt blisko granicy, nie mogli ryzykować - gdyby Jennings się wy mknął, ich prestiż ucierpiałby niepomrotnie. Kozak przekazał jeszcze jedną bardzo niepokojącą informację. Imre zniknął i Hrabia nigdzie nie mógł go znaleźć.

Wydarzenia, jakie miały miejsce następnego dnia - cudownej, nie kończącej się niedzieli, kiedy to oślepiająco jasne słońce wędrujące po czystym, bezwietrznym błękitnie nieba sprawiało, że pagórkowaty krajobraz i otulone śniegiem sosny wyglądały jak z najpiękniejszej karty bożonarodzeniowej - nie były do końca jasne w umyśle Reynoldsa;

tworzyły obraz niewyraźny, zamazany, jak ze snu. który słabo się pamięta po przebudzeniu; ilekroć później mężczyzna starał się przywołać wypadki tego dnia w pamięci, były tak odległe, tak oderwane od rzeczywistości, jakby przytrafiły się komuś innemu.

Powodem nie był stan jego zdrowia, czy odniesione rany, maść bowiem okazała się tak skuteczna. jak lekarz obiecywał -wprawdzie plecy nadal miał nieco sztywne, ale ból znikł jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, wargi i jama ustna też się szybko goiły, i jedynie nagłe pulsowanie w dziąsłach przypominało mu z rzadka o tym, że spotkanie z olbrzymim Koko kosztowało go kilka zębów. Wiedział, i nie krył tego przed sobą, że dziwny nastrój, jaki go ogarnął, wynikał z rwącego. gorączkowego niepokoju. który sprawiał, że nie potrafił usiedzieć w miejscu, tylko kręcił się po chacie albo przechadzał tam i z powrotem po ubitym śniegu na zewnątrz. aż wreszcie flegmatyczny Sandor zaczął go błagać, by przestał.

Tego ranka, o siódmej, ponownie wysłuchali serwisu informacyjnego BBC, ale nadal nie padły słowa, na które czekał, co oznaczało, że Brian Jennings nie dotarł do Szwecji.

Reynolds właściwie stracił nadzieję, że synowi profesora udało się uciec. Jednakże wcześniej też brał udział w misjach, które kończyły się niepowodzeniem i jakoś nigdy nie przeżywał porażki aż tak głęboko. tym razem ciążyła mu głównie z powodu Janskiego, wiedział bowiem, że skoro ten łagodny człowiek obiecał mu pomóc, to zamierza zaangażować się w sprawę bez względu na koszty, bez względu na cenę, jaką być może przyjdzie mu zapłacić za ratowanie najpilniej strzeżonego człowieka w komunistycznych Węgrzech. Martwił się więc o generała, którego cenił i podziwiał, ale również, a nawet bardziej, martwić się o jego córkę: dziewczyna wręcz uwielbiała ojca i byłaby zupełnie załamana i niepokieszona, gdyby utraciła jedyną osobę z całej rodziny, jaka jeszcze pozostała przy życiu. Poza tym uważałaby jego, Reynoldsa, za sprawcę śmierci ojca, a to na zawsze wprowadziłoby między nich przepaść. Patrząc po raz setny na uśmiechnięte usta dziewczyny i na jej poważne, smutne oczy,

zadające kłam temu uśmiechowi, ze zdumieniem i nagłym wstrząsem zdał sobie sprawę, że właśnie tego, rozpaczy Julii, lęka się najbardziej. Spędzili z sobą prawie cały dzień; czuł niekłamaną radość. ilekroć uśmiechała się do niego albo wymawiała po swojemu jego imię, jednakże w pewnym momencie kiedy zawołała "Mikel" i nie tylko jej usta, ale i oczy zaśmiały się do niego, odburknął coś szorstko, niegrzecznie; uśmiech na twarzy Julii zgasł, a w oczach odmalowało się zdziwienie i ból - zrobiło mu się głupio, przykro i potwornie się zmieszał. Mógł tylko dziękować bogom, że pułkownik Mackintosh nie był przy tym obecny i nie widział miny człowieka, którego szykował na swojego następcę; po prostu nie uwierzyłby własnym oczom.

Ciągnący się w nieskończoność dzień powoli dobiegał końca; zachodzące za odległymi wzgórzami słońce pokryło ośnieżone szczyty sosen warstwą czerwieniejącego złota, a wkrótce potem zapadł mrok i nad zamarzniętym krajobrazem wyłoniły się białe gwiazdy. Po kolacji, która odbyła się prawie w zupełnej ciszy. Jansci i Reynolds dokładnie obejrzeni zawartość paczki przywiezionej poprzedniego dnia przez Kozaka; znajdowały się w niej dwa mundury funkcjonariuszy AVO, które - po drobnych przeróbkach dokonanych przez Julię - pasowały na nich jak ulał. Hrabia miał rację: bez względu na to, gdzie przetrzymywano profesora, mundury mogły się przydać - na ich widok, jak na hasło "Otwórz się. Sezamie", otwierały się na Węgrzech każde drzwi. Zabrakło, niestety, munduru dla Sandora: jego szerokie bary rozsadziłyby każdą avocką kurtkę.

Wkrótce po dziewiątej Kozak odjechał na motorowerze. ubrany jak zwykle w swój barwny strój; za każdym uchem miał wetknięty papieros, trzeci, też nie zapalony, trzymał w kąciku ust. Chłopak był w szampańskim humorze i uśmiechał się szeroko, bo podczas kolacji nie uszło jego uwagi, że coś się popsuło między Reynoldsem i Julią.

Miał wrócić o jedenastej, najpóźniej o północy. Ale północ minęła, a on wciąż nie

wracał. Zegar wybił pierwszą, potem wpół do drugiej: niepokój i napięcie zebranych rosło, już myśleli, że coś mu się przytrafiło, ale tuż przed drugą Kozak jednak się pojawił. Wrócił nie na motorowerze, lecz za kółkiem szarego opla kapitana. Zatrzymał wóz na podwórzu, zgasił silnik i wyszedł z wozu z tak obojętną i znudzoną miną, jakby robił to codziennie od lat. Dopiero

I później dowiedzieli się, że po raz pierwszy w życiu prowadził samochód i dlatego droga powrotna zajęła mu tyle czasu.

Chłopak przywiózł dobrą i złą wiadomość, papiery i instrukcje. Dobra wiadomość była następująca: Hrabiemu wręcz z dziecinną łatwością udało się wykryć, dokąd zabrano profesora Jenningsa; po prostu Furmint, główny komendant AVO, wspomniał mu o tym w trakcie rozmowy. Zła wiadomość polegała na tym, że profesora umieszczono w sławetnym więzieniu Szarhazy położonym sto kilometrów na południe od Budapesztu; więzienie to uchodziło za najbardziej niedostępną twierdzę w całych Węgrzech, trzymano tam głównie wrogów stanu, którzy już nigdy nie mieli wyjść na wolność. Co gorsza, Hrabia nie mógł pomóc Reynoldsowi w dostaniu się do środka, gdyż pułkownik Hidas osobiście powierzył mu prowadzenie dochodzenia w mieście Gtidólló, gdzie od pewnego czasu elementy antysocjalistyczne sprawiły władzom trudności. Niepokojąca była także wiadomość, że Imre dotąd się nie pokazał; Hrabia obawiał się, że puściły mu nerwy i postanowił porzucić towarzyszy.

Hrabia żałował. ciągnął dalej Kozak, że nie może dostarczyć im praktycznie żadnych informacji o więzieniu Szarhazy, po prostu nigdy tam nie był, gdyż jego własne działania ograniczały się do Budapesztu i północno-zachodnich Węgier. Zresztą takie rzeczy jak plan więzienia. Godziny obchodu i zwyczaje strażników na niewiele by się zdały: jedyne, co może poskutkować, to bezczelny blef. Dlatego właśnie przysyłał im papiery.

Były to prawdziwe arcydzieła. Dwie legitymacje AVQ dla Janskiego i Reynoldsa. oraz rozkaz wypisany na autentycznym, niepodrabialnym druku Allam Vcdelmi Hatosag. zaopatrzone w podpisy Furminty i samego ministra, a także we wszystkie niezbędne pieczęcie, polecający naczelnikowi więzienia Szarhazy wydanie profesora Harolda Jenningsa.

Zdaniem Hrabiego, jeśli nadal zamierzali uwolnić profesora, to istniała spora szansa powodzenia: dokument, który im przesyłał, był urzędowym pismem najwyższej rangi. a pomyślał, że ktoś z własnej nieprzymuszonej woli wchodziłby na teren tego strasznego więzienia był tak szalony, że nikt przy zdrowych zmysłach nie powinien mieć wobec Reynoldsa i Janskiego żadnych podejrzeń.

Hrabia proponował, żeby Kozak i Sandor towarzyszyli im do Petoli, niewielkiej wioski położonej osiem kilometrów na północ od więzienia, i tam czekali w karczmie przy telefonie; w ten sposób będą ze sobą w kontakcie. Jakby dla przypieczętowania wszystkich swoich osiągnięć, Hrabia dostarczył im także niezbędny środek transportu. Nie powiedział jedynie, skąd wytrzasnął opla.

Reynolds z podziwem pokręcił głową.

wspaniały facet! Bóg raczy wiedzieć, jakim cudem zdobył to wszystko w ciągu jednego dnia; zupełnie jakby^o dostał urlop na zajęcie się naszymi sprawami. - Spojrzał na Janskiego, starając się nic mu nie sugerować swoim wyrazem twarzy. - Więc co pan decyduje? _

- Zrealizujemy pomysł Hrabiego - odparł cicho generał: choć patrzył na Reynoldsa. ten wiedział, że słowa skierowane są głównie do Julii. - Jeśli ze Szwecji nadejdą pomyślne wieści, to skoro Hrabia twierdzi, że mamy szansę. natychmiast przystępujemy do działania.

To nieludzkie, żeby ten stary człowiek musiał umierać z dala od żony

i ojczyzny. Gdybyśmy zrezygnowali... - urwał i uśmiechnął się. - Wiecie, co by wtedy

powiedział Pan Bóg na mój widok, a raczej Święty Piotr? Powiedziałyby, "Jansci, nie ma tu dla ciebie miejsca. Nie możesz oczekiwać od nas litości i miłosierdzia, skoro nie okazałeś ich profesorowi Jenningsowi".

Reynolds popatrzył na Janskiego; przypomniał sobie jego wczorajszy monolog i obraz, jaki się wtedy wyłonił, obraz człowieka, który miłuje bliźnich i wierzy, że powszechne miłosierdzie jest jedyną siłą, na której opiera się byt ludzkości. Zrozumiał, że teraz, w tym momencie, generał kłamie. Przeniósł wzrok na Julię i zobaczył, że uśmiecha się do ojca ze zrozumieniem, kiedy jednak przyjrzał się jej uważniej, w jej pociemniałych oczach dostrzegł ból i strach, i pojął, że ona też nie dała się zwieść argumentowi, który przed chwilą usłyszała.

...konferencja w Paryżu zakończy się dziś wieczorem i zostanie ogłoszony oficjalny komunikat. Oczekuje się, że minister spraw zagranicznych powróci do kraju dziś wieczorem - przepraszam bardzo, jutro wieczorem - i zda sprawozdanie na posiedzeniu rady ministrów.

Dotąd nie wiadomo...

Głos spikera ucichł, po czym całkiem zamilkł wyłączyli radio i siedzieli w milczeniu nie patrząc na siebie. W końcu Julia przerwała ciszę, głosem aż nienaturalnie opanowanym i rzeczowym.

- No więc wyjaśniło się, prawda? Padło hasło, na które tak długo czekaliście: "dziś wieczorem - przepraszam bardzo, jutro wieczorem". Chłopak jest wolny, bezpiecznie dotarł do Szwecji. Lepiej od razu ruszajcie.

- Słusznie-powiedział Reynolds wstając.

Ku własnemu zdumieniu, teraz, gdy mieli zielone światło, nie czuł ani ulgi, ani podniecenia, lecz przygnębienie i taki sam smutek, jaki wcześniej widział w oczach Julii.

- Jeśli my wiemy, że Brian wydostał się ze Szczecina, tym bardziej wiedzą o tym komuniści - rzekł. - Lada moment mogą wywieźć profesora do Rosji. Nie ma chwili do

stracenia.

- Racja - powiedział Jansci, sięgając po ciężki płaszcz i rękawice wojskowe: podobnie jak Reynolds, mundur miał już na sobie.-Nie martw się o nas. Kochanie. I pamiętaj, że za dwadzieścia cztery godziny masz być w naszej głównej kwaterze. Tylko przypadkiem nie jedź przez Budapeszt.

Pocałował Julię, po czym wyszedł na zewnątrz: było jeszcze ciemno i szczypał mróz.

Reynolds zawahał się: chciał podejść do dziewczyny. ale odwróciła głowę i utkwiała wzrok w ogień; w końcu wyszedł bez słowa. Kiedy wsiadał z tyłu do opla, zobaczył twarz Kozaka, który szedł tuż za nim: chłopak uśmiechał się od ucha do ucha.

Trzy godziny później, kiedy wysadzali Sandora i Kozaka pod karczmą "Kotek", niebo wciąż było ciemne i ciężkie od chmur śniegowych. Podróż minęła bez przeszkód; choć spodziewali się blokady dróg, nie trafili na żadną. Widocznie komuniści czuli się bardzo pewni siebie; zresztą nie mieli powodów, żeby czuć się inaczej.

Po dziesięciu minutach ukazała im się szara, posępna bryła więzienia Szarhazy. Starą, niedostępną budowlę otaczały trzy ogrodzenia z drutu kolczastego przedzielone pasami zaoranej ziemi; druty, jak podejrzewali, były pod napięciem, a ziemia pełna min rozpryskowych. Wzdłuż wewnętrznego i zewnętrznego ogrodzenia stały w równych odstępach wysokie drewniane wieże strażnicze, na których mieściły się stanowiska karabinów maszynowych. Na widok tych wszystkich zabezpieczeń, Reynoldsa przeszły ciarki i zrozumiał, że to, na co się porywają, to istne szaleństwo.

Jansci chyba wyczuł jego nastrój, bo nie odezwał się słowem, tylko dodał gazu. Pół kilometra dalej zahamował ostro przed potężną bramą. Jeden ze strażników, z bronią gotową do strzału, natychmiast podbiegł do opla, pytając kim są i żądając okazania dokumentów: z miejsca spokorniał, kiedy Jansci, odziany w mundur AVO. wysiadł z wozu. spojrzął na niego

z zimną pogardą i zażądał widzenia. z naczelnikiem. O tym, jak wielki strach wzbudzał mundur AVO nawet w osobach, które nie miały się czego obawiać. najlepiej świadczył fakt, że nim minęło pięć minut Jansci

i Reynolds byli już w gabinecie naczelnika. Sam naczelnik wyglądał zupełnie inaczej niż Reynolds wyobrażał sobie człowieka piastującego takie stanowisko. Był to wysoki, nieco przygarbiony mężczyzna o szczupłej twarzy intelektualisty, wysokim czole i wąskich, zgrabnych dłoniach W binoklach na nosie, ubrany w dobrze skrojony ciemny garnitur wyglądał bardziej na wybitnego lekarza lub naukowca niż pracownika więzienia. W istocie był jednym i drugim: uchodził za największego eksperta od psychicznego i fizycznego łamania więźniów mieszkającego poza granicami Związku Radzieckiego.

Reynoldsa ucieszyło, że naczelnik najwyraźniej dał się zwieść i naprawdę wziął ich za avoków. zaproponował im po kieliszku alkoholu i uśmiechnął się, kiedy odmówili, po czym poprosił, żeby usiedli i jeszcze raz przeczytał dokument wręczony mu przez Janskiego.

- Hm. Nie ma wątpliwości, że to autentyczne pismo, prawda, Panonie? Reynolds zauważył, że zwrócił się do nich "panowie".

Tylko człowiek bardzo pewien siebie i swojej pozycji mógł sobie pozwolić na użycie tego zwrotu w miejsce wszechobecnego "towarzysze".

- Spodziewałem się, że mój przyjaciel Furmint zechce zabrać profesora - ciągnął naczelnik. - Przecież konferencja zaczyna się dzisiaj, prawda? Nie możemy dopuścić, żeby profesor Jennings był nieobecny. To najjaśniejszy klejnot w naszej koronie, że posłużę się tym... no, dość nieaktualnym zwrotem. Macie. panowie, przy sobie dokumenty?

- Oczywiście - odparł Jansci, wyciągając swoją legitymację AVO.

Reynolds uczynił to samo; naczelnik obejrzał je i najwyraźniej usatysfakcjonowany skinął głową. Popatrzył na Janskiego, po czym wskazał na telefon.

- Mam gorącą linię na Andrasy. W przypadku więźnia tej wagi co Jennings, nie wolno mi ryzykować. Nie obrazicie się, panowie, jeśli zadzwonię sprawdzić, czy rozkaz i. wasze dokumenty są w porządku?

Reynolds poczuł, że serce podchodzi mu do gardła, a skóra na twarzy robi się napięta jak pergamin. Jak mogli nie pomyśleć o tym, że wszystkie pisemne rozkazy muszą być potwierdzane telefonicznie? Jedyna szansa jaką mieli. to wydobyć **broń** tak jest. wydobyć broń, wziąć naczelnika jako zakładnika i... Już sięgał do kabury, kiedy dobiegł go spokojny głos Janskiego: generał był wspaniale opanowany, na jego twarzy nie było cienia zdenerwowania.

- Skądże znowu, towarzyszu naczelniku! W przypadku tak ważnego więźnia jak profesor bezwzględnie należy przestrzegać procedury. Proszę dzwonić.

- W takim razie nie ma potrzeby.

Naczelnik uśmiechnął się, położył na biurku legitymacje i lekko pchnął w ich stronę.

Reynolds rozluźnił napięte do bólu mięśnie; zalała go ogromna fala ulgi. Powoli, bardzo powoli, zaczynał rozumieć jakiego formatu człowiekiem jest Jansci; wiedział, że jeszcze wiele musi się na uczyć. żeby mu dorównać.

Naczelnik sięgnął po kartkę papieru, coś na niej napisał i przystawił pieczętą. Następnie zadzwonił na strażnika i wręczył mu kartkę. Strażnik wyszedł.

- Trzy minuty. panowie, nie dłużej. Profesor trzymany jest tuż obok.

Naczelnik pomylił się. Minęły nie trzy minuty, lecz niespełna trzydzieści sekund, kiedy drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wpadł nie profesor Jennings, lecz sześciu uzbrojonych po zęby strażników, którzy chwycili Janskiego oraz Reynoldsa i przygwoździli ich do krzeseł. zanim ci ich czujność była uśpiona - zorientowali się w czym rzecz Naczelnik potrząsnął głową i uśmiechnął się smutno.

- Wybaczcie, panowie. Przykro mi, ale to był podstęp. Niemiły, lecz konieczny.

Dokument, który podpisałem. to nie rozkaz zwolnienia profesora, lecz nakaz aresztowania was. - Zdjął binokle, przetarł je i westchnął. - Kapitanie Reynolds, strasznie uparty z pana młody człowiek.

Rozdział ósmy

Reynolds przeżył tak silny szok, że przez kilka sekund świadom był tylko tego, że nie czuje nic, żadnego strachu, żadnych emocji, zupełnie jakby dotyk stalowych kajdanków, które założono mu na ręce i nogi. pozbawił go zdolności reagowania. Dopiero po chwili ogarnęło go najpierw zdumienie, potem niedowierzanie i wstyd, że coś takiego znów mu się przydarza, a następnie uzmysłowił sobie gorzką prawdę, że dali się naiwnie schwytać w zasadzkę, że naczelnik bawił się z nimi, odkąd się tylko pojawili w jego gabinecie, że totalnie uśpił ich czujność: byli teraz więźniami Szarhazy, tej groźnej, budzącej powszechne przerażenie twierdzy, i jeśli kiedykolwiek mieli opuścić jej mury, to jako kaleki, złamane ,puste skorupy ludzi. którymi byli niegdyś.

Spojrzał na Janskiego, żeby zobaczyć jak stary generał przyjmuje ten straszliwy cios kładący kres ich planom i praktycznie równoznaczny z wyrokiem śmierci na nich obu. Po generale nie było widać żadnej reakcji. Siedział spokojnie, wpatrując się w naczelnika zamyślonym, szacującym wzrokiem - dziwnie podobnym do tego, pomyślał Reynolds, jakim naczelnik wpatrywał się w Janskiego.

Kiedy ostatnia metalowa obręcz zatrzasnęła się wokół nogi krzesła, dowódca grupy strażników zerknął pytająco na naczelnika. Ten dał mu znak ręką, że chce zostać sam na sam z więźniami.

- Są solidnie przykuci?

- Tak jest, towarzyszu naczelniku. - W porządku. Możecie odejść. Strażnik zawahał się.

- To niebezpieczni ludzie... - zaczął.

- Wiem. - powiedział cierpliwie naczelnik. - Dlatego wezwałem was tylko, żeby ich obezwładnić. Ale teraz są przykuci do krzeseł, a krzesła umocowane do podłogi stalowymi bolcami. Nie sądzę, żeby nagle stąd wyparowali.

Począł, aż drzwi za strażnikami się zamkną, po czym złożył razem dłonie i starannie dobierając słowa zwrócił się do więźniów.

- Oto chwila, panowie, żeby chełpić się i napawać sukcesem; schwytywanie za jednym zamachem brytyjskiego szpiega, w dodatku takiego, który przyznał się do swojej działalności-to nagranie, panie Reynolds, wywoła sensację na skalę światową, kiedy zostanie zaprezentowane przed sądem ludowym - oraz groźnego przywódcy antykomunistycznej bandy, organizatora licznych przerzutów na Zachód, to naprawdę nie lada wyczyn. A jednak obejdziemy się bez chełpienia, bo to zwykła strata czasu i nie ma z tego żadnego pożytku; rozrywka godna kretynów i durni. - Uśmiechnął się nieznacznie. -A skoro już mowa o jednostkach upośledzonych umysłowo, pragnę zaznaczyć, iż jest dla mnie prawdziwą przyjemnością rozmawiać z inteligentnymi ludźmi, którzy potrafią pogodzić się z faktem dokonanym i są na tyle realistami, że nie próbują histeryzować, bić się w pierś i z udanym oburzeniem przysięgać, że są niewinni. Teatralne gesty, wybuchy, złorzeczenia i buńczuczne stwierdzenia, że nie powie się ani słowa, nie interesują mnie. Czas jest najcenniejszą rzeczą, jaką mamy; marnowanie go jest niewybaczalną zbrodnią. Na pewno dręczy was pytanie... Panie Reynolds. bardzo proszę, niech pan weźmie przykład ze swojego przyjaciela i nie sprawdza wytrzymałości kajdanków, bo jeszcze zrobi pan sobie niepotrzebnie krzywdę. A więc na pewno dręczy was pytanie, jak to się stało, że znaleźliście się w tak nieszczególnej sytuacji. Nie ma powodu, żeby od razu nie zaspokoić waszej ciekawości. - Spojrzał na Janskiego. - Z przykrością muszę pana poinformować, że pański wybitnie uzdolniony

przyjaciel, w dodatku człowiek obdarzony niezwykłą odwagą, któremu tak długo i z takim powodzeniem udawało się uchodzić za majora w Allam Vedelmi Hatosag, wprowadził was prosto w pułapkę.

Nastąpiła dłuższa cisza. Reynolds z kamienną twarzą popatrzył na naczelnika, a potem na Janskiego. Generał nadal siedział z niewzruszoną miną.

- Możliwe - rzekł. - Ale uczynił to niechcący. Tylko i wyłącznie niechcący.

- To prawda - przyznał naczelnik. - Pułkownik Josef Hidas, którego kapitan Reynolds zdążył już poznać, od jakiegoś czasu miał dziwne przeczucie co do majora Howartha; nawet nie podejrzenie, co właśnie przeczucie.

Reynolds po raz pierwszy usłyszał nazwisko, pod którym Hrabia występował jako major AVO.

- Wczoraj - kontynuował naczelnik - przeczucie zamieniło się w podejrzenie, a podejrzenie w pewność, więc pułkownik Hidas i mój przyjaciel Furmint postanowili zastawić na niego pułapkę; przynętę stanowiła nazwa tego więzienia, rzucona przez Furmintą w rozmowie, oraz łatwy dostęp do jego gabinetu, żeby major mógł się zaopatrzyć w stosowne dokumenty i skorzystać z pieczęci; to właśnie te dokumenty leżą teraz na moim biurku. Aczkolwiek pański przyjaciel jest niewątpliwie genialny, pułapka okazała się skuteczna. Wszyscy jesteśmy tylko ludźmi.

żyje?

- Żyje. W dodatku w błogiej niewiedzy tego, że znamy o nim prawdę. W najlepszym humorze i zdrowiu wyruszył wykonać zadanie, które zlecono mu tylko po to, żeby przypadkiem nam nie przeszkodził; o ile wiem, pułkownik Hidas zamierza go później osobiście aresztować. Spodziewam się, że pułkownik przybędzie tu za kilka godzin Howarth zostanie schwytany, o północy postawiony przed sądem wojskowym na Andrassy i skazany na śmierć.

Ale nie umrze od razu, choć pewnie by wolał.

- Rozumiem. - Jansci skinął ciężko głową. - Będzie umierał wolno i po kawałeczku na oczach wszystkich oficerów i funkcjonariuszy AVO z całego miasta, żeby przypadkiem nikomu nie przyszło do głowy go naśladować. Idioci, ślepi, ograniczeni idioci! Czy nie pomyśleli o tym, że nikt nie jest w stanie go naśladować, bo nikt się z nim nie może równać?

- Zgadzam się z panem. Ale to nie moja sprawa. Jak się pan nazywa, przyjacielu?

= Wystarczy Jansci.

- Na razie wystarczy. - Naczelnik zdjął binokle i postukał nimi w zamyśleniu o blat biurka.-Niech mi pan powie. Jansci, co panu wiadomo o nas, pracownikach służby bezpieczeństwa? Jacy ludzie do niej należą?

- Niech pan sam powie. Najwyraźniej ma pan ochotę. - Tak, powiem, choć zapewne nie będzie to dla was nic nowego. Większość naszych pracowników, poza nielicznymi wyjątkami, to ludzie spragnieni władzy, debile, dla których taka służba nie jest zbyt uciążliwym zadaniem intelektualnym, sadyści, którzy ze względu na swoje usposobienie nie mają szansy na znalezienie normalnej pracy, starzy zawodowcy - ci sami, którzy w nocy wyciągali krzyczących obywateli z łóżek pracując dla gestapo, a teraz wykonują dokładnie te same czynności dla nas - oraz ludzie, którzy mają wielki, gryzący żal do społeczeństwa: jeśli chodzi o tę ostatnią kategorię typowym jej przykładem jest: pułkownik Hidas. Żyd, którego naród przeszedł w Europie Wschodniej niewyobrażalne katusze. Są w naszych szeregach również i tacy, którzy wierzą w komunizm; stanowią zaledwie garstkę, ale to właśnie oni, automaty o umysłach przesiąkniętych propagandą, są najbardziej niebezpieczni i wywołują największy lęk. Ich zasady moralne albo w ogóle zanikły, albo są w stanie trwałego zawieszenia. Do tej grupy należy Furmint. W pewnym stopniu, choć to bardzo dziwne, także Hidas.

- Wydaje się pan być bardzo pewny swojej pozycji powiedział wolno Reynolds, odzywając się po raz pierwszy. - Jest naczelnikiem więzienia Szarhazy - rzekł Jansci,

jakby to wyjaśniało sprawę. - Ale dlaczego pan nam to wszystko mówi? Przed chwilą twierdził pan, że nie znosi tracenia czasu.

- To prawda. Nie znoszę. Proszę jednak pozwolić skończyć. Jeśli chodzi o tak delikatną sprawę jak zdobycie zaufania drugiego człowieka, przedstawiciele wszystkich kategorii pracowników AVO łączy jedno: z wyjątkiem Hidasu są ofiarami pewnej idee fixe, ciasnego i konserwatywnego poglądu, powiedziałbym nawet, stronniczego dogmatyzmu, że jedyna słuszna droga do serca człowieka wiedzie...

- Daj pan spokój z tą kwiecistą gadką - warknął Reynolds. - Chodzi o to, że jeśli chcą wydobyć z kogoś zeznania, tłuką go, aż zacznie śpiewać, tak?

- Dość prymitywnie powiedziane, ale trzeba przyznać, że zwięźle - odparł naczelnik. -

Cenna lekcja w oszczędzaniu czasu. Postaram się zatem mówić równie zwięźle: powierzono mi, panowie, zadanie zdobycia waszego zaufania, inaczej mówiąc chcę mieć pańskie pełne zeznania, kapitanie Reynolds, a co się tyczy pana. panie Jansci, oprócz zeznań chcę także znać pańskie prawdziwe nazwisko oraz zasięg i sposób. działania pańskiej organizacji. Znają panowie metody używane niezmiennie przez moich... kolegów po fachu, o których przed chwilą mówiłem; białe ściany, jaskrawe światło, te same pytania powtarzane bez końca. co jakiś czas przerwa na bicie po nerkach, wrywanie paznokci i zębów, zakładanie na kciuki śrub i stosowanie równie obrzydliwych metod i narzędzi rodem ze średniowiecznej sali tortur.

- Obrzydliwych? - spytał cicho Jansci.

- Dla mnie tak. Jako były wykładowca neurochirurgii na budapeszteńskim uniwersytecie, fachowiec z długoletnią praktyką w najlepszych szpitalach, uważam średniowieczne

podejście do przesłuchań za niesmaczne. Jeśli mam być szczery, wszystkie przesłuchania jako takie są wielce niesmaczne, ale tu w więzieniu mam naprawdę wyjątkową okazję, żeby prowadzić obserwacje różnych zaburzeń nerwowych i badać znacznie głębiej, niż to kiedykolwiek było możliwe, złożoność ludzkiego układu nerwowego. Bywam obrzucany obelgami, lecz przyszłe pokolenia z pewnością docenią moje dzieło... Możecie mi panowie wверить, nie jestem jedynym lekarzem piastującym stanowisko naczelnika więzienia lub obozu. Jesteśmy bardzo przydatni władzy. A ona nam.

Przerwał i uśmiechnął się niemal ze skrzepowaniem.

- Proszę mi wybaczyć. mój entuzjazm dla tego co robię czasem mnie ponosi. Wracając do rzeczy, posiadacie informacje, które chcę uzyskać, ale nie zamierzam tego czynić średniowiecznymi metodami. Wiem od pułkownika Hidas, że kapitan Reynolds reaguje agresją na zadawany mu ból i pewnie będzie trochę opornym obiektem badań. A jeśli chodzi o pana... - Popatrzył wolno na Janskiego. Chyba jeszcze na twarzy żadnego człowieka nie widziałem tylu cieni, jakie pozostawia cierpienie; podejrzewam, że dla pana samo cierpienie też jest tylko cieniem. Nie chcę panu schlebiać, ale przyznam się, że nie wyobrażam sobie tortur fizycznych, które potrafiłyby pana choć w części złamać.

Odchylił się do tyłu w fotelu, zapalił długiego, cienkiego papierosa i popatrzył z uwagą na więźniów. Po upływie dwóch minut pochylił się znów do przodu.

- No więc jak, panowie, mam wezwać stenografa?

- Jak pan sobie życzy - odparł uprzejmie Janski. - Ale byłaby to tylko strata pańskiego cennego czasu.

- Nie spodziewałem się innej odpowiedzi. - Naczelnik nacisnął przycisk, powiedział szybko kilka słów do mikrofonu i z powrotem odchylił się w fotelu. - Zapewne słyszeliście o Pawłowie, radzieckim fizjologu?

- Święty patron AVO - mruknął Jansci.

- Filozofia marksistowska, której Pawłow sam, niestety, nie akceptował, nie uznaje świętych. Ale sam sens pana wypowiedzi jest słuszny. Prymitywny pionier, w wielu wypadkach partacz, ale mimo to człowiek. któremu my, ci najbardziej zaawansowani w nowoczesnej technice przesłuchań, wiele zawdzięczamy.

- Wiemy wszystko o Pawłowie, jego psach, bodźcach i odruchach - wtrącił gniewnie Reynolds. - To więzienie Szarhazy, a nie budapeszteński uniwersytet. Niech żę: pan nam oszczędzi wykładu o historii prania mózgow.

Po raz pierwszy od początku rozmowy wystudiowany spokój naczelnika przysł i rumieniec dotknął jego policzków. Męczyzna szybko się jednak opanował.

- Ma pan oczywiście rację, kapitanie Reynolds - rzekł. - Należy umieć zdobyć się na filozoficzną bezstronność, że tak powiem, aby móc w pełni docenić to wszystko, co... Ale znów zaczynam się rozwodzić. Chciałem tylko powiedzieć

panom, jak niewiarygodne wyniki daje połączenie rozwiniętych przez nas fizjologicznych metod Pawłowa z pewnymi... no, powiedzmy, psychicznymi działaniami, z którymi wkrótce się zapoznacie. -Chłodny entuzjazm?, z jakim opowiadał o swojej pracy. miał w sobie coś przerażającego. mrozącego krew w żyłach. - Możemy- złamać każdego człowieka. dosłownie każdego człowieka na ziemi. nie pozostawiając na nim żadnych widocznych śladów. Jeśli nie liczyć chorych psychicznie, których złamała sama natura, nie ma żadnych wyjątków. Męstwo i upór nie zdają się na nic, prędzej czy później każdy musi ulec; próby czynione przez Amerykanów, żeby wyszkolić żołnierzy tak, by mogli przetrzymać to. co Zachód prostacko nazywa praniem mózgow, a co w rzeczywistości jest kontrolowanym rozpadem i scalaniem osobowości, były naiwne i beznadziejne. Kardynała Blindszentyego złamaliśmy w ciągu czterdziestu ośmiu godzin; powtarzam, potrafimy złamać każdego.

Urwał, bo do pokoju weszło trzech mężczyzn w białych kitlach niosąc termos, dwie filiżanki i niewielkie metalowe pudełko; z termos wiali do filiżanek płyn z wyglądu nie różniący się od kawy.

- To moi asystenci, panowie. Proszę wybaczyć te białe kitle; to tani chwyt psychologiczny, niezwykle jednak skuteczny w wypadku większości naszych... hm... pacjentów. Kawa, panowie. Proszę wypić.

- Ani mi się śni - oznajmił zimno Reynolds.

- W takim razie założymy panu kłamrę na nos i wlejemy kawę na siłę, przez gumową rurkę - powiedział spokojnie naczelnik. - Niech pan nie będzie dzieckiem i oszczędzi sobie tej niewygody.

Reynolds wypił kawę, Jansci również. Smakowała jak zwykła kawa, może tylko była trochę mocniejsza i bardziej gorzka.

- Prawdziwa kawa. - Naczelnik uśmiechnął się. - Ale zawiera także związek chemiczny zwany actedronem. Niech panów nie zwiedzie jego działanie. Przez pierwszych kilka minut będziecie się czuli pobudzeni i jeszcze bardziej niż dotąd zdecydowani opierać się przesłuchaniu; potem pojawią się ostre bóle głowy, zawroty, mdłości, straszliwe napięcie i stan umysłowej dezorientacji; dawka. oczywiście, będzie powtarzana.

Wskazał na jednego z asystentów, który teraz trzymał w ręce napełnioną strzykawkę.

- Meskalina - rzekł. - Środek ten wywołuje stan podobny do schizofrenii. Doszły mnie słuchy, że cieszy się rosnącą popularnością wśród zachodnich pisarzy i artystów; mam nadzieję, że nie biorą go razem z actedronem.

Reynolds popatrzył na naczelnika i z najwyższym trudem opanował dreszcz. W sposobie, w jaki z nimi rozmawiał, to pouczając ich, to niemal usiłując rozbawić, było coś okrutnego, coś bardzo chorego, wręcz nieludzkiego. tym bardziej że cała ta pozorna dobroduszość

wynikała po prostu z krańcowej, lodowatej obojętności człowieka totalnie ogarniętego manią prowadzenia swoich szalonych badań, człowieka zupełnie nie liczącego się z cierpieniem innych... Naczelnik znów zabrał głos.

- Później wstrzyknę panom inny środek, który wynalazłem osobiście. Jest to nowy preparat; jeszcze nie wiem, jak go nazwę. Może Szarhazyń? Czy to zbyt humorystyczna nazwa. Mogę panów zapewnić, że gdybyśmy dysponowali tym środkiem przed kilku laty, miły kardynał nie wytrzymałby nawet dwudziestu czterech godzin, a co dopiero czterdziestu ośmiu. Połączone działanie tych trzech środków, których dawka zostanie później powtórzona, doprowadzi wasze umysły do stanu wyczerpania i totalnego rozpadu. Wtedy siłą rzeczy powiecie nam prawdę. a potem my wam powiemy co nieco i od tej chwili to również będzie dla was prawdą.

- Dlaczego pan nam to wszystko opowiada?

- A dlaczego nie? Tym wypadku uprzedzony nie znaczy ubezpieczony; nastąpi proces chemiczny, którego nie można powstrzymać.

Mówił tak spokojnie, głosem tak pewnym siebie, że nie mogli wątpić w prawdziwość jego słów. Po chwili dał znak asystentom w bieli, żeby opuścili gabinet i ponownie nacisnął przycisk na biurku.

- A teraz, panowie, czas zaprowadzić was do waszego nowego lokum.

Niemal natychmiast do gabinetu znów wpadli strażnicy; kolejno uwalniali więźniom przykute do krzeseł ręce i nogi. po czym spinali je razem, działając tak szybko i z taką wprawą, że myśl o ucieczce była niedorzeczna. Kiedy Jansci i Reynolds stali już na nogach, naczelnik pierwszy wyszedł z pomieszczenia; każdy z więźniów siedł między dwoma strażnikami, a trzeci strażnik, z bronią w ręku, postępował z tyłu. Zachowywano wszelkie środki ostrożności.

Naczelnik poprowadził ich przez pokryty ubitym śniegiem dziedziniec i strzeżoną bramę do budynku o grubych ścianach i zakratowanych oknach; znaleźli się w wąskim, słabo oświetlonym korytarzu z drzwiami po obu stronach. mniej więcej w połowie korytarza, obok kamiennych schodów prowadzących do podziemnych lochów, naczelnik zatrzymał się przy jednych z drzwi, skinął na strażnika i zwrócił się do więźniów.

- Chwila oddechu, panowie, zanim sprowadzimy was do lochów, gdzie spędzicie swoje ostatnie godziny w tej postaci. w jakiej dotąd żyliście - rzekł.

Klucz zazgrzytał w zamku; naczelnik pchnął nogą drzwi na oścież.

- Wy pierwsi.

Reynolds i Jansci weszli do środka potykając się o kajdany. które krępowały im ruchy; pewnie by upadli, gdyby nie złapali się poręczy staromodnego żelaznego łóżka. Jakiś mężczyzna leżał na łóżku, na brudnym materacu, i drzemał. Reynolds nie zdziwił się. kiedy rozpoznał Jenningsa, albowiem gdy tylko naczelnik zatrzymał się pod drzwiami celi, spodziewał się, że w środku ujrzy właśnie profesora. Zmizerowany, wynędzniały, Jennings wyglądał znacznie starzej niż przed trzema dniami, zbudził się jednak natychmiast, a wówczas Reynolds stwierdził z zadowoleniem, że bez względu na to, co mu się w tym czasie przydarzyło. nie stracił nic ze swojego charakteru: w jego wyblakłych oczach, gdy usiadł na pościeli, płonął dawny ogień.

- Co to, u licha, za rwetes? - zawołał.

mówił po angielsku. gdyż nie znał żadnego innego języka, lecz Reynolds widział, że naczelnik wszystko rozumie.

- Nie dość, łajdaki, że zawracaliście mi głowę przez cały weekend, to jeszcze teraz... -

Urwał poznawszy Reynoldsa i utkwiał w nim wzrok. - Więc te diabły pana też dopadły?

- To było nieuniknione - powiedział po angielsku naczelnik, starannie wymawiając każde

słowo, po czym zwrócił się do Reynoldsa. - Przyjechał pan specjalnie z Anglii, żeby zobaczyć profesora. Zobaczył go pan. A teraz może się pan z nim pożegnać. Dziś po południu, dokładnie za trzy godziny, profesor wyjedzie z powrotem do Związku Radzieckiego. - Spojrzał na Jenningsa. - Warunki drogowe są wyjątkowo podłe, więc wyślemy pana pociągiem. Specjalny wagon zostanie dołączony do składu jadącego do Peczu. Powinno się panu podróżować całkiem wygodnie.

- Do Peczu? - Jennings popatrzył na niego gniewnie. Gdzie to jest, u licha?

- Sto kilometrów na południe stąd, drogi panie. Lotnisko w Budapeszcie jest chwilowo zamknięte z uwagi na mróz i znaczne opady śniegu, ale otrzymaliśmy wiadomość, że lotnisko w Peczu jest nadal czynne. Zostanie tam skierowany specjalny samolot po pana i... hm, kilka innych szczególnych przypadków..

Jennings odwrócił się od niego ostentacyjnie i wbił wzrok w Reynoldsa.

- Domyślam się, że mój syn uciekł na Zachód? Reynolds skinął w milczeniu głową.

- A ja wciąż jestem tutaj? świetnie się pan spisał, młody człowieku, nie ma co. Bóg raczy wiedzieć, co teraz będzie.

- Strasznie mi przykro. Po prostu brak mi słów. - Reynolds zawahał się i w końcu podjął decyzję. - Muszę panu coś powiedzieć. Nie powinienem, mój zwierzchnik by nie pochwalał, ale do diabła z nim. Pańska żona... Operacja pańskiej żony udała się znakomicie; pani Jennings już prawie całkiem powróciła do zdrowia.

- Co? Co takiego? -Jennings złapał Reynoldsa za kłapy. i choć był dwadzieścia kilo lżejszy od młodszego mężczyzny. zaczął nim potrząsać. - Kłamię pan, wiem, że kłamię! Przecież sam pan mówił, że chirurg...

- Mówiłem to, co mi kazano mówić - przerwał mu szybko Reynolds. - Wiem, że to niewybaczalne, ale chodziło o to, żeby pan wrócił do Anglii; każda forma nacisku była

dopuszczalna. Ale teraz nie ma to już żadnego znaczenia. Chcę, żeby znał pan prawdę.

- O Boże! O Boże!

Jednakże reakcji, której Reynolds się spodziewał wiedząc jaki profesor ma choleryczny charakter- czyli wybuchu szalonego gniewu, że go tak podstępnie okłamano-nie było.

Zamiast tego starzec usiadł z powrotem na łóżku, jakby nagle ciężar jego ciała stał się zbyt wielki i nogi nie mogły go dłużej utrzymywać w pionowej pozycji, i uśmiechnął się radośnie, choć łzy ciekły mu z oczu.

- To wspaniale. doprawdy wspaniale, aż nie wiem co powiedzieć! I pomyśleć, że jeszcze kilka godzin temu dałbym sobie rękę uciąć, że już nigdy nie będę szczęśliwy!

- Bardzo ciekawe, bardzo ciekawe - mruknął naczelnik. - I Zachód ma czelność oskarżać nas o nieludzkość!

- Fakt, Fakt-wtrącił Jansci.-Ale przynajmniej Zachód nie wmusza w swoje ofiary actedronu i meskaliny.

- Co? Co takiego? - Jennings podniósł głowę. - W kogo wmuszono...

- W nas - odparł cicho Jansci. - Z czasem odbędzie się nasz proces, a potem zostaniemy rozstrzelani: najpierw jednak będziemy poddani współczesnej wersji łamania kołem.

Jennings popatrzył na Jansciego, potem skierował wzrok na Reynoldsa; powoli wyraz zdumienia na jego twarzy ustąpił miejsca przerażeniu. Poderwał się z łóżka i spojrzał na naczelnika.

- Czy to prawda? Czy to prawda? Naczelnik wzruszył ramionami.

- Oczywiście trochę przesadza, ale...

- Więc to prawda- szepnął Jennings. - Panie Reynolds, dobrze, że powiedział mi pan o żonie: żadne formy nacisku nie są już potrzebne, aby skłonić mnie do wyjazdu. Szkoda, że już na to za późno i szkoda, że dopiero teraz dostrzegam pewne rzeczy; szkoda też, że nigdy

nie zobaczę tych, których pragnę ujrzeć.

- Żony - powiedział Jansci; nie było to pytanie, lecz stwierdzenie faktu.

- Żony. -Jennings skinął głową. - I syna.

- Zobaczy ich pan-oznajmił cicho Jansci. W jego głosie brzmiała taka pewność, tak niezachwiane przekonanie, że wszyscy utkwili w nim wzrok. po części myśląc, że wie coś, czego im nie wiadomo, a po części, że oszalał. - Obiecuję to panu, profesorze Jennings.

Jennings wciąż popatrzył na niego, ale w jego oczach nie było nadziei.

- Dziękuję, przyjacielu. Religia jest...

- Zobaczy pan ich na tym świecie - przerwał mu Jansci. -Już niedługo.

- Zabierzcie go - rozkazał ostro naczelnik. - Środek zaczął działać.

Michael Reynolds tracił zmysły powoli, lecz nieuchronnie, a najstraszniejsze było to, że zdawał sobie z tego sprawę. Od chwili gdy przymocowano ich do specjalnych Foteli w więziennych lochach i zrobiono ostatni zastrzyk, nie potrafił stawić oporu wzmagającym się atakom szaleństwa: im mocniej się opierał, im bardziej walczył z objawami, z bólem i koszmarnym napięciem, które ogarniało umysł i ciało, tym silniej je odczuwał, tym głębiej w jego umysł wpijały się diabelskie pazury chemicznych środków i rozrywały go na strzępy. Solidnie przywiązany do wysokiego fotela, opasany rzemieniami nie tylko wokół nadgarstków i kostek u nóg, ale także wokół ud i pasa. Reynolds oddałby wszystko, co kiedykolwiek posiadał lub miał posiadać. byleby tylko móc zerwać więzy, rzucić się na podłogę, na ścianę, móc się przekręcić, zgiąć, zwinąć, naprężyć i rozluźnić mięśnie. zrobić cokolwiek. żeby choć trochę zmniejszyć owo nieznośne wrażenie swędzenia i potwornego napięcia, wywołane przez dziesięć *tysięcy* rozedrganych nerwów w jego ciele. Czuł się tak, jakby poddawano go zwielokrotnionej sto razy starej chińskiej torturze łaskotania w pięty, z tą jednak różnicą, że zamiast ptasich piór dręczyły go niezliczone ilości chemicznych igieł

actedronu, drażniąc i pobudzając do niewyobrażalnego stopnia wrażliwości każdy oszalały, rozdygotany nerw, w który wbijały się raz po raz.

Co chwila nachodziły go mdłości. Miał wrażenie jakby gniazdo os rozpadło mu się w żołądku i tysiące par owadzich skrzydeł łaskotały go po wnętrznościach; oddychał z najwyższym trudem, coraz częściej gardło zaciskało mu się kurczowo, nagle i przeraźliwie, odcinając mu dopływ powietrza, i - zdjęty paniką - zaczynał się dusić, sapać, aż wreszcie, gdy był już bliski utraty przytomności, udawało mu się znów złapać dech i wciągnąć z sykiem powietrze w złąknione tleny płuca. Ale najgorsze było to, co działo się z jego głową, z jego umysłem. W głowie czuł ciemność i lepłą pustkę, umysł miał jakby wypełniony watą, a kontakt z rzeczywistością rwał się i strzępił mimo rozpaczliwych wysiłków jakie czynił, by nie pozwolić actedronowi i meskalinie owładnąć nim do reszty. Szczęki potężnego imadła miażdżyły mu czaszkę, a oczy bolały go tak straszliwie, że nic nie widział. Nagle zaczął słyszeć głosy, głosy nawołujące z oddali, i czując, jak resztki rozsądku opuszczają jego bezsilną, skołowaciałą głowę i uciekają gdzieś w mrok, ostatnim wysiłkiem myślowym pojął, że czarny całun szaleństwa otoczył go już szczelnie swoimi grubymi, duszącymi fałdami. Ale wciąż słyszał głosy - spowity głębokim mrokiem, nadal je słyszał. Coś mu jednak mówiło, że to nie są głosy, tylko jeden głos, który w przeciwieństwie do poprzednich nie szepcze gorączkowo gdzieś w zakamarkach jego umysłu, lecz krzyczy do niego, woła go przebijając się przez gruby całun szaleństwa, wzywa z desperacką, władcą natarczywością, jakiej nikt w kim jeszcze tli się iskra życia, nie może ignorować. Głos wołał i wołał, uparcie, natrętnie. coraz głośniejsz z każdą mijającą sekundą, aż wreszcie przedarł się przez mrok spowijający Reynoldsa, prześlizgnął pod skrajem całunu i dotarł do jego świadomości. Reynolds dobrze znał ten głos, ale nigdy dotąd nie słyszał go mówiącego w podobny sposób; powoli zdał sobie sprawę, że głos należy do Janskiego, który krzyczy kółko to samo, jakby

powtarzał jakąś wariacką litanie:

- Podnieś głowę! Na miłość boską, podnieś głowę! Podnieś, podnieś głowę!

Wolno, centymetr po centymetrze. z takim straszliwym wysiłkiem jakby podnosił niewyobrażalnie wielki ciężar, Reynolds zaczął dźwigać w górę głowę, która jakiś czas temu opadła mu na piersi; zaciskał oczy, natężał mięśnie, aż wreszcie poczuł, że tyłem głowy dotyka oparcia fotela. Przez dłuższą chwilę siedział sztywno wyprostowany, dysząc ciężko jak maratończyk po ukończeniu morderczego biegu, a potem głowa znów zaczęła mu opadać.

- Podnieś głowę! Mówiłem ci, podnieś głowę! -rozkazał ostro Jansci.

Nagle Reynolds zrozumiał, zrozumiał jasno i wyraźnie, że generał usiłuje mu przesłać, i w jakiś dziwny- sposób przesyła, cząstkę swojej niezłomnej siły woli, tej samej, która pozwoliła mu uciec z Kołomy, pokonać nie zbadane lodowe pustkowia Syberii.

- Podnieś głowę i trzymaj w górze! O właśnie, właśnie! A teraz oczy! Otwórz oczy i spójrz na mnie!

Reynolds otworzył oczy. Miał wrażenie, że zakrywają je grube zasłony z ołowiu, tak wiele wysiłku kosztowało go podniesienie powiek, ale w końcu otworzył oczy i powiódł nimi po mrocznym wnętrzu lochu. Początkowo nic nie mógł dostrzec, bał się, że oślepl, bo jedyne co widział to opary mgły; po chwili jednak pojął, że tak ma być, że to istotnie opar;, i przypomniał sobie, że całą kamienną posadzkę lochu pokrywa dziesięciocentymetrowa warstwa wody, a wzdłuż ścian biegną rury do kąpieli parowej - wilgotne powietrze, nagrzane silniej niż w jakiegokolwiek łaźni, potęgowało działanie specyfików zaaplikowanych im przez naczelnika.

A potem dostrzegł Janskiego, widział go jakby przez matową szybę, ale jednak widział.

Generał siedział dwa metry dalej, w dokładnie takim samym fotelu -głowa bezustannie mu się obracała to w jedną, to w drugą stronę. szczęki mu pracowały, a ręce, unieruchomione

rzemieniem oplatającym ciasno nadgarstki, zaciskały się w pięści, po czym znów rozluźniały.

Jansci starał się w ten sposób choć w części rozładować nieznośnie bolesne pobudzenie całego układu nerwowego.

- Michael, nie opuszczaj głowy!

Mimo że wciąż był półprzytomny. Reynolds zwrócił uwagę, że Jansci po raz pierwszy odezwał się do niego po imieniu, wymawiając je "Mikel", tak samo jak Julia.

- I na miłość boską, nie zamykaj oczu! Pamiętaj, nie poddawaj się, nie wolno się poddawać! Te świństwa chemiczne działają w ten sposób, że jeśli przetrzymasz szczytowy kryzys... NIE PODDAWAJ SIĘ! - krzyknął.

Poskutkowało; Reynolds znów otworzył oczy, tym razem z nieco mniejszym wysiłkiem.

- Dobrze, doskonale. Walcz! Przed chwilą ja też ledwo się trzymałem. Pamiętaj, jeśli poddasz się, jeśli ulegniesz tym środkom, skutki będą nieodwracalne. Musisz wytrzymać, chłopcze, musisz wytrzymać! Mnie już kryzys minął.

Reynolds coraz wyraźniej słyszał Janskiego i sam również czuł, że działanie środków chemicznych maleje. Wprawdzie nadal miał szaloną ochotę zerwać rzemienie, poruszyć mięśniami, ale w głowie już mu się przejaśniało i morderczy ból oczu ustępował. Jansci bez przerwy coś do niego mówił, dodawał mu sił i otuchy, starał się zająć jego uwagę czym innym, i wreszcie powoli napięcie w kończynach, w całym ciele Reynoldsa opadło, a wówczas - choć w lochach było gorąco jak w tropikalnej dżungli - zaczął dygotać z zimna. Po pewnym czasie dreszcze ustały; wtedy zaczął się nagle pocić i zrobiło mu się duszno od ciepła i wilgoci; temperatura pary tryskającej z rur zdawała się wzrastać z minuty na minutę.

Znów był na progu załamania - tym razem fizycznego. bo umysł miał już całkiem jasny i sprawny - kiedy drzwi otworzyły się i do środka wpadli rozbryzgując wodę strażnicy w gumowych butach. w ciągu kilku sekund oswobodzili więźniów, żeby wyprowadzić ich na

dziedziniec. Kiedy znaleźli się na korytarzu i Reynolds wciągnął w płuca czyste, mroźne powietrze wpadające z zewnątrz, uświadomił sobie, że wie dokładnie jak musi smakować pierwszy łyk wody człowiekowi, który jeszcze chwilę temu umierał z pragnienia na pustyni. Zobaczył, że Jansci zrzuca z siebie podtrzymujące go ręce strażników; choć czuł się osłabiony jak po długiej chorobie, uczynił to samo. Kiedy strażnicy puścili jego ramiona, z miejsca potknął się i o mało nie przewrócił. Zebrał się jednak w sobie i wyszedł za Janscim na pokryty śniegiem dziedziniec sztywno wyprostowany, z głową wysoko w górze. Naczelnik już na nich czekał; na ich widok oczy zwięziły mu się z niedowierzania. Przez chwilę nie wiedział co powiedzieć, bo słowa, które sobie przygotował. zupełnie nie pasowały do dobrej formy, w jakiej najwyraźniej byli obaj więźniowie. Opanował się jednak szybko i znów przybrał maskę przemądrzałego wykładowcy.

- Jeśli mam być szczery, panowie, to gdyby jakiś lekarz opowiedział mi o waszym przypadku, uznałbym, że kłamie. Nie uwierzyłbym. Mam nadzieję, że zaspokoicie moją ciekawość zawodową i zdradzicie, jak się czujecie?

- Mnie tam jest zimno-oznajmił Reynolds.-Zwłaszcza w nogi, są zupełnie mokre. Może zapomniał pan o tym, ale przez ostatnie dwie godziny siedzieliśmy po kostki w wodzie.

Mówiąc to, oparł się jakby od niechcienia o ścianę; w rzeczywistości bał się, że jeśli tego nie zrobi, to zwali się na śnieg z wyczerpania. Ale to nie ściana dodała mu nowych sił, lecz aprobujący błysk, jaki ujrzał w oczach Jansiego.

- Okresowe zmiany temperatury stanowią istotną część... no, powiedzmy, kuracji. Moje gratulacje, panowie. Ten przypadek zapowiada się niezwykle interesująco. Zwrócił się do jednego ze strażników. -Umieście im w celi zegar, tak żeby go dobrze widzieli. Teraz jest południe. następną dawkę actedronu wstrzykniemy punktualnie o drugiej. Nie ma potrzeby trzymać ich w napięciu.

Dziesięć minut później, z trudem łapiąc dech po przejściu z mroźnego dziedzińca do nagrzanego lochu, Reynolds zerknął na tykający zegar, potem na Janskiego.

- Wyrafinowany dodatek do tortur, jak najbardziej w stylu naczelnika - powiedział.

- Byłby oburzony, szczerze i autentycznie oburzony. gdyby usłyszał, że mówisz o torturach - rzekł Jansci.

Facet uważa się za naukowca, który przeprowadza pewne doświadczenie i jedynie chce uzyskać optymalne wyniki. Jest szalony, oczywiście, ślepy i szalony jak wszyscy fanatycy.

Chory człowiek.

- Chory człowiek? -- Reynolds prychnął ze złości. - To nieludzki oprawca, który nie ma w sobie nic z człowieka! Powiedz, Jansci, czy jego też gotów jesteś nazwać bratem? Czy nadal wierzysz w jednorodność ludzkiego gatunku?

- Masz rację, to rzeczywiście nieludzki oprawca. Ale pamiętaj, że nieludzkość i okrucieństwo nie mają żadnych granic, ani w czasie, ani w przestrzeni. A już na pewno nie są wyłącznie cechą Rosjan. Pomyśl, ilu Węgrów zostało straconych lub zamęczonych na śmierć przez innych Węgrów. Czeska SSB dorównywała NKWD, a polskie UB, złożone prawie w całości z Polaków, popełniało takie okrucieństwa, o jakich nawet Rosjanom się nie śniło.

- Gorsze niż to, co miało miejsce w Winnicy? Jansci patrzył na niego długo i jakby w zadumie.

- W Winnicy? - Skierował wzrok w ciemny kąt lochu. Dlaczego przypominasz mi o Winnicy, chłopcze?

- Przepraszam. Julia mówiła, że stało się tam coś strasznego, ale nie chciała mi powiedzieć co. Przepraszam. Zapomnij, że o tym wspomniałem.

- Nie masz co przepraszać. A ja nigdy nie zdołam zapomnieć Winnicy. - Na moment

umilkł. - Nigdy. Byłem z Niemcami w czterdziestym trzecim, kiedy zaczęli rozkopywać otoczony wysokim płotem sad obok siedziby NKWD. W sadzie znajdował się masowy grób; dziesięć tysięcy trupów. Wśród nich moja matka, siostra, starsza córka i jedyny syn. Córka i syn zostali zakopani żywcem: nietrudno poznać takie rzeczy.

Kiedy Reynolds to usłyszał, mroczne, gorące lochy Szarhazy, głęboko w skutej lodem ziemi, przestały dla niego istnieć. Zapomniał o środkach chemicznych, o uporczywie powracającej myśli, że proces, jaki mu wytoczą Węgrzy, wywoła skandal międzynarodowy, o naczelniku, który uparł się go złamać, nawet o tykaniu zegara. Myślał tylko o siedzącym spokojnie naprzeciwko niego człowieku i o historii, jakże prostej a zarazem przerażającej, którą mu przed chwilą opowiedział. Jakiż straszny musiał przeżyć szok, kiedy odkrył zwłoki swoich pomordowanych bliskich - cud, że nie postradał zmysłów, a jeszcze większy cud, że do nikogo nie żywił w sercu nienawiści. Utracić tyle najdroższych, najbliższych osób, prawie wszystkich, których kochało się w życiu i móc nazywać ich morderców braćmi... Reynolds popatrzył na tego mądrego, łagodnego człowieka i zrozumiał, że nigdy nie zdoła wyobrazić sobie wszystkiego, przez co on przeszedł.

- Łatwo zgadnąć o czym myślisz - powiedział łagodnie Jansci. - Straciłem tak wiele osób, które kochałem; przez dłuższy czas myślałem, że oszaleję. Hrabia - kiedyś opowiem ci jego historię - stracił jeszcze więcej. Ja przynajmniej mam Julię i, w co wierzę głęboko, moją żonę. On stracił wszystkich. Ale obaj rozumiemy, że nienawiść nie ma sensu. Nasi bliscy padli ofiarą rozlewu krwi i przemocy, ale choćbyśmy wylali całe morze krwi, nic ich nam nie przywróci. Zemsta dobra jest dla szaleńców i dzikusów. Z zemsty nigdy nie narodzi się świat wolny od przemocy i rozlewu krwi, w którym nikt nie będzie zabijał niczyich bliskich. Może można sobie wyobrazić jakiś inny świat, lepszy od tego, o który razem z Hrabią zabiegamy, lepszy od tego, który chcemy stworzyć, ale ja jestem prostym człowiekiem i nie potrafię tego

zrobić.-Zamilkł; po chwili uśmiechnął się. -Mówiliśmy o nieludzkości jako takiej; ale masz rację, o pewnych sprawach należy pamiętać, choćby o Winnicy.

- Nie, nie! - Reynolds potrząsnął gwałtownie głową. Trzeba zapamięć! Trzeba zapamięć o tym, co się tam stało!

- Tak właśnie mówi świat: zapomnijmy, nie roztrząsajmy tego, to zbyt okropne. Nie obciążajmy tym naszych serc, umysłów i sumień, bo wtedy dobro, które w nas tkwi, dobro, które tkwi w każdym człowieku, może nas pchnąć do działania. A przecież nie możemy nic zrobić, twierdzi świat, nie wiemy ani jak ani od czego zacząć. Z całą pokorą chcę jednak powiedzieć, że ja wiem, od czego należy zacząć: od zrozumienia, że nieludzkość i okrucieństwo nie są przypisane wyłącznie do pewnej części tego nieszczęsnego świata. Wspomniałem o Węgrzech, Polsce, Czechach. Mógłbym wymienić też Bułgarię i Rumunię, gdzie również popełniono niezliczone okrucieństwa, o których świat dotąd nie słyszał i może nie dowie się nigdy. Mógłbym wspomnieć o siedmiu milionach bezdomnych uchodźców w Korei. Pewnie odpowiedziałbyś mi, że to wszystko sprowadza się do jednego, że wszystkiemu winien jest komunizm. I miałbyś rację, mój chłopcze. A gdybym ci przypomniał o zbrodniach hiszpańskiej Falangi, o Buchenwaldzie i Belsen, o komorach gazowych Oświęcimia, o japońskich obozach dla jeńców, o pociągach śmierci? Znów miałbyś gotową odpowiedź: że za wszystkie okropności odpowiedzialne są reżimy totalitarne. Ale tak jak mówiłem wcześniej, nieludzkość nie ma granic w czasie. Cofnijmy się o jeden lub dwa wieki. Do czasów, kiedy dwa państwa, które dziś są największymi zwolennikami demokracji, nie były jeszcze tak dojrzałe. Cofnijmy się do czasów, kiedy Anglia tworzyła swoje imperium, do czasów najbardziej bezlitosnej kolonizacji w dziejach świata, do czasów, kiedy Anglicy wozili do Ameryki niewolników, upchanych w ładowniach statków ciasno jak sardynki, a Amerykanie robili wszystko, żeby zmieścić Indian z

powierzchni kontynentu. Co wtedy, mój chłopcze?

- Sam udzieliłeś sobie odpowiedzi: Anglia i Ameryka były wtedy młode.

- Związek Radziecki jest wciąż młody. Ale nawet dziś, w dwudziestym wieku, dzieją się rzeczy, których porządni ludzie na całym świecie powinni się wstydzić. Wiesz o Jałcie, wiesz o ustaleniach poczynionych przez Stalina i Roosevelta, dotyczących między innymi repatriacji tych, którzy uciekli ze Wschodu na Zachód?

- Wiem.

- Wiesz. Ale nie wiesz o tym, czego nie widziałeś, a czego Hrabia i ja byliśmy świadkami. Nigdy nie zapomnimy jak tysiące, niezliczone tysiące Rosjan, Estończyków, Łotyszów i Litwinów siłą zmuszano do repatriacji. A oni wiedzieli, że po powrocie do domu czeka ich tylko jedno śmierć. Nie widziałeś tego, co my, tych setek tysięcy ludzi oszalałych ze strachu, którzy wieszali się gdzie popadło, rozpruwali sobie brzuchy scyzorykami, rzucali się pod koła pociągów lub podrzynali sobie gardła zardzewiałymi żyletkami; wszystko było lepsze. nawet najbardziej bolesna śmierć z własnej ręki, niż powrót, obozy koncentracyjne tortury i śmierć z rąk oprawców. Widzieliśmy jak tysiące nieszczęśników, którzy nie popełnili samobójstwa, ładowano do ciężarówek i wagonów dla bydła, a popędzały ich nie baty, jakimi pędzi się bydło, lecz bagnety brytyjskich i amerykańskich żołnierzy... Nie zapomnij o tym nigdy, Michael; bagnety brytyjskich i amerykańskich żołnierzy... Niech ten, kto jest bez winy...

Jansci poruszył głową, żeby strząsnąć kropelki potu gromadzące mu się na czole; powietrze stawało się coraz bardziej wilgotne i gorące, z coraz większym wysiłkiem wciągali je w nozdrza, ale Jansci jeszcze nie skończył mówić.

- Mógłbym ci opowiadać bez końca mój chłopcze, o twojej ojczyźnie i o państwie, które uważa się obecnie za najwierniejszego strażnika demokracji - o Stanach Zjednoczonych. Jeśli

wy i Amerykanie nie jesteście największymi orędownikami demokracji, to na pewno jesteście najgłośniejszymi. Mógłbym opowiadać o zbrodniach i okrucieństwach towarzyszących integracji rasowej w Ameryce, o powstaniu Ku Klux Klanu w twojej ojczystej Anglii, która tak zdecydowanie, choć błędnie wierzy w swoją wyższość nad Ameryką, jeśli chodzi o sprawy tolerancji. Ale nie miałoby to żadnego sensu: Anglia i Stany Zjednoczone są tak potężne, tak stabilne wewnętrznie, że mogłyby uporać się z wszelkimi przejawami rasizmu na swoim terenie, a przynajmniej nie muszą ukrywać ich przed resztą świata. Próbuję ci tylko uzmysłowić, że nikt ani ani żaden naród, ani wyznawcy jakiejś określonej filozofii-nie ma monopolu na okrucieństwo, nienawiść i brak tolerancji. Te zjawiska towarzyszą nam od początku dziejów, występują na całym świecie, pod każdą szerokością geograficzną. Zwyrondniaców i sadystów możemy znaleźć równie łatwo w Londynie i Nowym Jorku jak i Moskwie, ale demokratyczne państwa Zachodu strzegą wolności obywateli tak samo pilnie, jak orzeł strzeże swoich młodych, i dlatego szumowiny nie dochodzą do najwyższych urzędów:

natomiast w ustroju, który utrzymuje się tylko poprzez stosowanie represji, musi istnieć służba bezpieczeństwa o władzy absolutnej, powstała legalnie, lecz od początku nie przestrzegająca żadnych praw. samowolna i despotyczna. Taka służba bezpieczeństwa to magnes dla wszystkich szumowin, które najpierw do niej wstępują, potem w niej dominują, a w końcu rządzą całym krajem. Nikt nie chce, żeby służba bezpieczeństwa była potworem, w momencie powoływania jej do życia, ale ponieważ do pracy w niej ciągną najgorsze elementy, jest nieuchronne, że potworem się staje; doktor Frankenstein, ojciec potwora, przeistacza się w jego niewolnika.

- Czyż nie można zlikwidować potwora?

- Nie, jest jak Hydra: niezniszczalny. Nie można też zniszczyć Frankensteina, który go

stworzył. Trzeba zniszczyć system wartości, w jaki wierzy Frankenstein, bo najlepszy sposób unicestwienia potwora, to zlikwidowanie powodów, dla których w ogóle zaistniał. Nie może egzystować w próżni. Powiedziałem ci już, dlaczego istnieje. Zresztą rozmawialiśmy o tym wcześniej. - Jansci uśmiechnął się kwaśno. - Kiedy to było? Trzy dni czy trzy lata temu?

- Niestety, w tej chwili ani mój umysł, ani pamięć nie funkcjonują najlepiej - odparł

Reynolds, patrząc w dół na krople potu skapujące mu z twarzy do wody na posadzce. Czyżby nasz przyjaciel pragnął stopić nas jak śnieżne bałwan .

- Na to wygląda. Słuchaj, zdarza mi się mówić za dużo i w nieodpowiednim czasie... Ale czy to, co powiedziałem, nie usposobiło cię choć odrobinę lepiej wobec zacnego naczelnika?

- Nie!

- Cóż, trudno. - Jansci westchnął z rezygnacją. - Rozumienie przyczyny lawiny śnieżnej

nie sprawia, że zasypany nią człowiek czuje się lepiej. - Urwał, gdy z korytarza dobiegł ich odgłos ciężkich kroków, i obrócił twarz w stronę drzwi. - Obawiam się - szepnął - że za chwilę znów zakłóca nam spokój.

Do celi weszli strażnicy. którzy - tak jak poprzednio sprawnie i w milczeniu przystąpili do działania: rozpięli rzemienie krępujące więźniów, po czym szarpiąc ich za ramiona pomogli im wstać, a następnie poprowadzili ich schodami na górę i przez dziedziniec.

Kiedy doszli do gabinetu naczelnika, dowódca strażników zapukał do drzwi; słysząc głośne "Wejść!", otworzył je szeroko i pchnął więźniów do środka. Naczelnik nie był sam; miał gościa, którego Reynolds od razu rozpoznał - był to pułkownik Josef Hidas, zastępca komendanta AVO. Na widok więźniów Hidas wstał z krzesła i zbliżył się do Reynoldsa, który bezskutecznie starał się opanować szczykanie zębów i dreszcze wstrząsające jego ciałem - nagle, pięćdziesięciostopniowe zmiany temperatury osłabiały go fizycznie i psychicznie bardziej od środków chemicznych. Pułkownik uśmiechnął się.

- A więc znów się spotykamy, kapitanie Reynolds, choć w jeszcze bardziej przykrych okolicznościach niż poprzednio. Co mi przypomina: na pewno ucieszy pana wiadomość, że pański przyjaciel Koko, mimo że wciąż mocno kuleje, wrócił już do zdrowia i normalnie pełni służbę.

- Wielka szkoda - powiedział krótko Reynolds. - Widocznie za słabo go uderzyłem.

Hidas uniósł jedną brew i spojrzał na naczelnika. - Byli już poddani zabiegowi?

- Tak jest, pułkowniku. Wykazują jednak znaczny opór. To dla mnie jako lekarza podniecające wyzwanie. Ale przed północą będą gotowi do składania zeznań.

- W porządku. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. - Hidas ponownie zwrócił się do Reynoldsa. - Pański proces odbędzie się w czwartek, w sądzie ludowym. Jutro ogłosimy odpowiedni komunikat. Wszyscy zachodni dziennikarze, którzy zechcą przyjechać, od ręki dostaną wizy-, a na miejscu zapewnimy im znakomity hotel.

- Jeden hotel nie wystarczy - mruknął Reynolds.

- Im więcej dziennikarzy przyjedzie. tym lepiej dla nas. Ale prawdę mówiąc. mnie osobiście znacznie bardziej interesuje proces. który odbędzie się nieco wcześniej i bez takiego rozgłosu. - Hidas podszedł do Janskiego. - Wreszcie osiągnąłem to, o czym od dawna marzyłem i co było moją największą ambicją życiową. Tak, szczerze przyznaję, że od lat pragnąłem zobaczyć właśnie w takich okolicznościach człowieka, który przysporzył mi więcej kłopotów i zmartwień i kosztował mnie więcej nieprzespanych nocy niż wszyscy inni wrogowie stanu razem wzięci. Tak, tak. Przez siedem lat co rusz stawał mi pan na drodze, chronił i przerzucał na Zachód setki zdrajców i wrogów komunizmu. przeszkadzał mi w pełnieniu obowiązków i bezustannie łamał prawo. W ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy pańska działalność, wspomagana przez genialnego majora Howartha, któremu na szczęście powinęła się noga, okrutnie dała mi się we znaki. Ale wszystko ma swój koniec. Nie mogę

się doczekać, kiedy wreszcie zaczniesz pan śpiewać. Jak się pan nazywa, przyjacielu?

- Jansci. Tak zwań mnie wszyscy. .

- Oczywiście! Nie spodziewałem się, że wyjawi mi pan... - Hidas urwał w połowie zdania; jego oczy rozszerzyły się, krew odpłynęła mu z twarzy. Cofnął się o krok, potem o drugi. - Jak? - zapytał niemal szeptem.

Reynolds patrzył na niego ze zdumieniem. - Jansci. Po prostu Jansci.

Przez dziesięć sekund trwała cisza jak makiem zasiał: wszyscy wpatrywali się w pułkownika AVO. Wreszcie Hidas oblizał wargi i powiedział ochryłym głosem do Janskiego:

- Odwrócić się!

Kiedy Jansci wykonał polecenie, Hidas wbił wzrok w jego spięte kajdanami dłonie.

Usłyszeli, że wciąga głęboko powietrze. Jansci ponownie obrócił się przodem.

- Przecież nie żyjesz! - zawołał Hidas tym samym ochryłym głosem: na jego twarzy malował się szok. -- Zabiłeś się dwa lata temu! Kiedy zabraliśmy twoją żonę...

- Nie zabiłem się, mój drogi Hidasie - przerwał mu generał. - Ktoś inny się zabił.

Tamtego tygodnia, gdy wasze brunatne budy krążyły bezustannie po mieście, dziesiątki osób popełniły samobójstwo. Wybraliśmy zwłoki człowieka mniej więcej mojej budowy.

Umieściliśmy go w moim mieszkaniu, przebraliśmy, a reszty dopełniła charakteryzacja;

blizny na rękach wyglądały tak przekonująco, że tylko lekarz zdołałby poznać, że nie są prawdziwe. :Major Howarth wykonał kawał znakomitej roboty.-Jansci wzruszył ramionami.

- Oczywiście, nie było to przyjemne, ale ten człowiek tak i tak nie żył. W przeciwieństwie do mojej żony. Myśleliśmy, że kiedy znajdziecie mnie martwego, to może ją zwolnicie, a przynajmniej jej nie zabijecie.

- No tak, teraz wszystko rozumiem. - Pułkownik Hidas zdążył ochłonąć, ale jego głos

wciąż drżał z podniecenia. Nic dziwnego, że tak pan nam się wymykał! Nic dziwnego, że nie byliśmy w stanie zniszczyć pańskiej organizacji. Gdybym znał prawdę, gdybym tylko znał prawdę! To zaszczyt dla mnie mieć pana za przeciwnika.

- Pułkownik Hidas, kim jest ten człowiek? - spytał niemal błagalnym tonem naczelnik.

- Kimś, kto nigdy, niestety, nie stanie przed sądem w Budapeszcie. może w Kijowie, może w Moskwie, ale nie w Budapeszcie. Naczelniku, pozwoli pan, że panu przedstawię generała brygady Oleksija Iljulina, zastępcę generała Własowa, dowódcy Ukraińskiej Powstańczej Armii.

- Iljulin, tutaj? - Naczelnik utkwiał wzrok w więźniu. Iljulin? Tu, w moim gabinecie? To niemożliwe!

- Tak, wiem. ale nikt inny nie ma takich rąk! Jeszcze nie zaczął mówić, prawda? Ale zacznie; musimy wydobyć z niego pełne zeznania, zanim go wyślemy do Związku Radzieckiego. - Hidas spojrział na zegarek. - Tyle do zrobienia, a tak mało czasu! Panie naczelniku, mój samochód, natychmiast! Proszę dobrze pilnować więźniów. Wrócę za trzy godziny. Iljulin! A niech mnie diabli. Iljulin!

Kiedy odprowadzono ich z powrotem do celi w lochach. Jansci i Reynolds nie byli w rozmownych nastrojach. Wyglądało na to, że nawet Janskiego opuścił wrodzony optymizm, choć twarz miał niezmiennie pogodną. Ale Reynolds wiedział, że ich koniec zbliża się wielkimi krokami, koniec Janskiego jeszcze prędzej niż jego, i że nic im nie pomoże. Patrząc na starszego mężczyznę, który siedział spokojnie naprzeciw niego, pomyślał sobie, iż ma on w sobie coś tragicznego; opanowany, odważny, był olbrzymem na chwilę przed swoim ostatecznym upadkiem.

Niemal cieszył się, że sam również umrze, świadom jednak był tej gorzkiej prawdy, że jego własna odwaga wynika z tchórzostwa i strachu: po śmierci Janskiego nie potrafiłby

spojrzeć Julii w twarz. Niepokoiła go też inna myśl, znacznie gorsza: co się stanie z dziewczyną, kiedy nie będzie ani jej ojca, ani Hrabiego, ani jego, ale szybko. bezlitośnie, odepchnął ją jak najdalej od siebie. W takiej chwili jak ta nie mógł pozwolić sobie na najmniejszą słabość, a rozmyślanie o śmiechu Julii i o smutku tak często goszczącym na jej ruchliwej, delikatnej twarzy, która natychmiast stanęła mu przed oczami, mogło go tylko doprowadzić do rozpacz...

Para z sykiem wydobywała się z rur. w pomieszczeniu robiło się coraz wilgotniej, temperatura stale rosła: pięćdziesiąt stopni. pięćdziesiąt pięć, sześćdziesiąt... Pot ciekł strumieniami po ciałach mężczyzn, zalewał im oczy, powietrze wciągane w płuca paliło ich jak ogień. Reynolds trzy razy tracił przytomność i gdyby nie rzemienie, które trzymały go w fotelu, zapewne spadłby na posadzkę i utopił się w zalegającej ją wodzie.

Akurat gdy ponownie odzyskiwał przytomność, zdał sobie sprawę. że czyjeś ręce odpinają mu rzemienie: zanim do końca pojął, co się dzieje, strażnicy uwolnili ich obu i po raz trzeci wyprowadzili na zimny dziedziniec. Reynolds zataczał się jak pijany i kręciło mu się w głowie, widział, że Jansci też ledwo idzie o własnych siłach. Nagle, jak przez mgłę. przypomniał sobie coś i zerknął na zegarek. Była punkt druga. Zobaczył, że Jansci patrzy w jego kierunku i ponuro kiwa głową. Druga godzina: pora, jaką wyznaczył naczelnik. Będzie na nich czekał, gotów do dalszych doświadczeń; znów otrzymają kawę i zastrzyki, actedron i meskalinę - środki, które pchną ich w przepaść szaleństwa.

Naczelnik istotnie czekał, lecz nie był sam. Najpierw Reynolds ujrzał umundurowanego funkcjonariusza AVO, potem drugiego, a wreszcie olbrzymą Koko, na którego pokancerowanej, prymitywnej twarzy pojawił się na widok Anglika szeroki, mściwy uśmiech. Na końcu zobaczył plecy mężczyzny. który stał oparty niedbale o parapet i palił czarnego rosyjskiego papierosa w długiej cygarniczce; kiedy mężczyzna obrócił się do nich

twarzą, Reynolds poznał Hrabiego.

Rozdział dziewiąty

Reynolds był pewien, że to zwid. Wiedział, że przełożeni wysłali Hrabiego gdzieś w teren, i na pewno ani na moment nie spuszczają go z oka. Wiedział również, że ostatnie półtorej godziny w zaparowanych lochach odebrało mu jasność myślenia; był więc święcie przekonany, że jego pomieszane od gorąca zmysły podsuwają mu fałszywy obraz. Ale kiedy mężczyzna przy oknie leniwym ruchem oderwał się od ściany i dumnym krokiem przemaszerował przez gabinet w jednej ręce trzymając cygarniczkę, a w drugiej grube, skórzane rękawice, nagle wszystkie wątpliwości znikły: tak, to był Hrabia! Żywy, zdrowy i wymuskany jak zwykle. Reynolds ze zdumienia wybałuszył oczy i otworzył usta. a po chwili jego blada, wymizerowana twarz zaczęła się wolno układać w uśmiech.

- Jak u diabła...

Nie dokończył; uderzony w twarz grubymi rękawicami zatoczył się i poleciał do tyłu na ścianę. Poczul w ustach krew- świeżo zagojone rany na wargach otworzyły się znów po niespodziewanym ciosie. Wstrząs i ból sprawiły, że jeszcze silniej zakręciło mu się w głowie; widział Hrabiego jakby poprzez mgłę.

- Lekcja numer jeden, mój mały-powiedział spokojnie Hrabia, z niesmakiem spoglądając na drobiny- krwi na rękawicach. - Nigdy. nie odzywaj się bez pozwolenia.

Przeniósł wzrok z rękawic na więźniów; niesmak w jego spojrzeniu jeszcze się pogłębił.

- Czy ci dwaj wpadli do rzeki, czy co, towarzyszu naczelniku?

- Nie nie. nic podobnego. - Naczelnik był wyraźnie zdenerwowany. - Po prostu byli poddawani kąpeli parowej. To naprawdę bardzo mi nie na rękę. kapitanie Zsolt. bardzo nie na rękę; zakłóci cały cykl.

- Nie ma czym się przejmować, towarzyszu naczelniku -rzekł uspokajająco Hrabia.- Mówię

wam to nieoficjalnie, więc w razie czego proszę się na mnie nie powoływać, ale jeszcze dziś późnym wieczorem, a najpóźniej jutro rano zostaną przywiezieni z powrotem. Komendant Furmint wielce sobie ceni stosowane przez was... metody psychologiczne.

- Naprawdę, kapitanie? - ucieszył się naczelnik. - Jesteście pewni?

- Absolutnie. - Hrabia zerknął na zegarek. - Nie możemy dłużej zwlekać, naczelniku.

Pośpiech jest niezbędny. A zresztą, im szybciej ich zabierzemy, tym szybciej dostarczymy z powrotem- dokończył z uśmiechem.

- A więc nie będę was zatrzymywał. - Naczelnik stał się wręcz przesadnie uprzejmy. -

Pogodziłem się z tym, że musicie ich zabrać. Będę jednak niecierpliwie oczekiwał ich powrotu; bardzo mi zależy na doprowadzeniu do końca moich badań, zwłaszcza na kimś tak sławnym jak generał Iljurin.

- Fakt taka okazja może się nie powtórzyć - stwierdził Hrabia, po czym zwrócił się do towarzyszących mu avoków. - A teraz szybko, wyprowadzić ich do ciężarówki. Koko. mój maleńki. długo się będziesz z nimi cackał? Myślisz, że są ze szkła, czy co?

Koko wyszczerzył zęby. wdzięczny za przyzwolenie. Otwartą dłonią pchnął Reynoldsa w twarz tak mocno, że Anglik znów poleciał na ścianę: dwaj pozostali avocy chwycili pod pachy Janskiego i brutalnie wyciągnęli z gabinetu. Wstrząśnięty naczelnik podniósł do góry rękę.

- Kapitanie Zsolt. czy takie traktowanie... Chodzi mi o to, że chciałbym ich mieć z powrotem w dobrym stanie, bo...

- Niech was o to głowa nie boli, towarzyszu. - Hrabia uśmiechnął się szeroko. - My też, na swój prosty. sposób jesteśmy specjalistami. Wyjaśnicie pułkownikowi Hidasowi, kiedy wróci, że zabrałem więźniów i powiecie. żeby zadzwonił do komendanta, tak? Proszę go przeprosić w moim imieniu, że nie zczekałem na niego, ale polecono mi się spieszyć.

Dziękuję serdecznie, towarzyszu naczelniku, i do rychłego zobaczenia.

Dygocząc z zimna w przemoczonych ubraniach. Jansci i Reynolds zostali poprowadzeni przez dziedziniec do czekającej ciężarówki AVO i ulokowani w jej skrzyni. Jeden z avoków usiadł w szoferce obok kierowcy, a Hrabia, Koko i pozostały avok usiedli razem z więźniami.

Koko i avok trzymali na kolanach broń gotową do strzału. Kierowca zapalił silnik i

ciężarówka ruszyła w drogę; strażnik stojący w bramie zasalutował, kiedy go mijali.

Chwilę później Hrabia wyciągnął z kieszeni mapę, popatrzył na nią, po czym ją schował.

Po kilku minutach wstał, minął obojętnie Janskiego i Reynoldsa i podszedł do okienka między szoferką a skrzynią.

- Za pół kilometra będzie droga w lewo - rzekł do kierowcy. - Skręć w nią i jedź prosto, dopóki nie powiem. żebyś się zatrzymał.

Wkrótce ciężarówka zwolniła, po czym trzęsąc się i kołysząc na wybojach skręciła z szosy w wąską polną drogę. Droga była tak nierówna, zamarznięte koleiny miejscami tak wysokie, że ciężarówką co rusz zarzucało to w jedną, to w drugą stronę; kierowca jechał bardzo wolno, żeby nie wylądować w rowie. Po dziesięciu minutach Hrabia poszedł na tył, otworzył drzwi i wychylił się, jakby szukał znajomego punktu orientacyjnego. Wreszcie go wypatrzył. Poleciał kierowcy się zatrzymać i wyskoczył ze skrzyni na ośnieżoną drogę: Koko i drugi avok uczynili to samo, po czym bez słowa wymierzyli automaty w Janskiego i Reynoldsa, dając im znak, żeby również wysiedli.

Droga biegła przez gęsty las, jednakże w tym miejscu po jednej stronie była niewielka polana. Hrabia poleciał kierowcy zjechać na polanę i zawrócić ciężarówkę. Koła ślizgały się na zeschniętej, oblodzonej trawie: dopiero kiedy podłożyli pod nie kilka gałęzi i zaczęli pchać. kierowcy udało się wykonać manewr. Zgasił silnik i wysiadł z szoferki, ale Hrabia kazał mu go z powrotem włączyć; powiedział, że jest kilkanaście stopni poniżej zera, więc nie

zamierza ryzykować, że później nie uruchomią wozu.

Faktycznie było przeraźliwie zimno. Jansci i Reynolds wciąż mieli na sobie mokre ubrania i dygotali jak w febrze: ich brody, uszy i nosy najpierw zrobiły się czerwone, a potem zupełnie sine. Kłęby pary, które wszystkim przy każdym oddechu unosiły się z ust, były gęste jak dym i równie powoli jak dym rozchodziły się w bezwietrznym, mroźnym powietrzu.

- Szybciej, szybciej! - popędzał podwładnych Hrabia. Nie chcecie chyba zamarznąć na śmierć, co Koko, zostaniesz tu i popilnujesz więźniów. Mogę na tobie polegać, prawda?

- Tak jest, towarzyszu kapitanie! - Koko uśmiechnął się drapieżnie. - Jeden ruch, a zatłukę obu.

- Nie wątpię. - Hrabia spojrzał na niego z zadumą. - Ilu ludzi zabiłeś, Koko?

- Już dawno straciłem rachubę, towarzyszu kapitanie odparł szczerze olbrzym.

Patrząc na jego potężną sylwetkę, Reynolds nie miał wątpliwości, że wielkolud mówi prawdę.

- Któregoś pięknego dnia doczekasz się nagrody, na jaką zasługujesz - rzekł nieco enigmatycznie Hrabia. - A reszta brać łopaty. Trochę ruchu zaraz was rozgrzeje.

Jeden z avoków zamrugał zdumiony oczami. - Łopaty? Mamy kopać grób dla więźniów?

Hrabia zmierzył go gniewnym wzrokiem.

- A co, myślicie, że chcę zakładać ogródek? - zapytał.

- Nie, nie. towarzyszu kapitanie, ale mówiliście naczelnikowi więzienia... Myślałem, że jedziemy do Budapesztu... - Avok umilkł speszony.

- Nie wy tu jesteście od myślenia - zganił go Hrabia. Chyba zdajecie sobie z tego sprawę, co? I nikt tego od was nie oczekuje. No już, szybciej, bo skostniejemy z zimna Zresztą, nie martwcie się, nie każę wam kopać ziemi; jest tak zamrznięta, że nie dalibyście rady.

Zasypany śniegiem dół czy rów wystarczy w zupełności. Przynajmniej Koko rozumie, o co

mi chodzi.

- O tak. - Uśmiechnięty Koko oblizwał wargi. - Gdyby towarzysz kapitan zechciał pozwolić właśnie mnie...

- Położyć kres ich cierpieniu? - spytał domyślnie Hrabia, po czym wzruszył ramionami. - Czemu nie? Co znaczą dwa trupy więcej, skoro i tak straciłeś rachubę?

Znikł pośród drzew za polaną wraz z dwoma avokami i kierowcą; ich głosy stawały się coraz bardziej przytłumione, aż w końcu całkiem ucichły. W mroźnej ciszy, takiej jak ta, która panowała wokół, dźwięki zawsze niosą się daleko: widocznie Hrabia prowadził podwładnych głęboko w las. Tymczasem Koko wpatrywał się w więźniów swoimi małymi, złymi oczkami, ani na moment nie odrywając od nich wzroku. Jansci i Reynolds świetnie zdawali sobie sprawę, że czeka na jakikolwiek pretekst, żeby pociągnąć za spust automatu, który jego potężnych łapskach wyglądał jak dziecięca zabawka, więc choć trzęśli się z zimna jak osiki, nie ruszali się z miejsca, żeby go tylko nie prowokować.

Po pięciu minutach Hrabia wyłonił się z lasu, otrzepując rękawicą śnieg z wysokich butów i długiego płaszcza. - Kopia - oznajmił. - Wkrótce do nich pójdziemy. Jak tam więźniowie, Koko? Dobrze się sprawowali?

- Tak., towarzyszu kapitanie. -- W głosie Koko wyraźnie słyhać było zawód.

- Trudno, przyjacielu powiedział pocieszająco Hrabia. Chodził tam i z powrotem za olbrzymem, wymachując ramionami, żeby się rozgrzać.

- Już niedługo. Ale na razie nie spuszczaaj ich z oczu. Powiedz... bardzo cię jeszcze boli? - spytał z troską w głosie.

- Niestety tak. - Koko spojrzał gniewnie na Reynoldsa i zaklął pod nosem. - Jestem cały posiniaczony!

- Biedny Koko, ostatnio co rusz spotyka cię jakaś przykrość - powiedział współczująco

Hrabia, po czym kolbą rewolweru z taką siłą uderzył go tuż za uchem, że odgłos ciosu zabrzmiał w ciszy jak wystrzał.

Koko zachwiał się. wypuszczając z rąk automat, oczy uciekły mu w tył głowy, po czym zwałił się na ziemię niczym ścięte drzewo; Hrabia z respektu dla ogromnej masy olbrzyma przezornie usunął się na bok.

Dwadzieścia sekund później byli już w drodze za najbliższym zakrętem polana znikła im z oczu. Przez kilka minut nie odzywali się do siebie słowem: jedynym dźwiękiem wypełniającym szoferkę był warkot potężnego silnika dieslowskiego. Sto pytań cisnęło się Jansciemu i Reynoldsowi na usta, lecz po pierwsze nie wiedzieli od czego zacząć, a po drugie koszmar, z którego cudem zostali wyratowani, był tak świeży w ich pamięci, że wciąż ku niemu obracały się ich myśli. Wtem Hrabia zwolnił, zatrzymał ciężarówkę i z uśmiechem; który rzadko gościł na jego szczupłej, arystokratycznej twarzy, sięgnął do przepastnej kieszeni, skąd wydobyl metalową piersiówkę.

- Śliwowica, przyjaciele.- Głos lekko mu drżał. - Śliwowica. Bóg mi świadkiem, że wszyscy trzej zasłużyliśmy dziś na nią. Ja, dlatego że ze sto razy mało nie umarłem; ostatni raz, kiedy nasz tu obecny przyjaciel chciał mnie wsypać w gabinecie naczelnika, a wy, ponieważ jesteście przemoczeni, dygoczenie z zimna i inaczej nabawicie się grypy.

Podejrzewam też, że nie traktowano was zbyt uprzejmie. Mam rację?

- Masz - odpowiedział Jansci, gdyż Reynolds rozkaszał się i nie mógł wydobyć z siebie głosu; rozgrzewający trunek, którego z wdzięcznością pociągnął spory haust, palił go w przełyk. - Te same środki chemiczne, które zwykle stosują, oraz jeszcze nowy, dopiero niedawno wynaleziony; a do tego, jak wiesz, kąpiel parowa.

Hrabia skinął głową.

- Nietrudno się było tego domyślić. Nie mieliście zbyt wesołych min, kiedy was

przyprawiono. Prawdę mówiąc, zdziwiło mnie, że w ogóle możecie jeszcze chodzić; pewnie jedyna rzecz, jaka podtrzymywała was na duchu, to świadomość, że zjawię się lada moment.

- Jasne - rzekł z uśmiechem Jansci, pociągając łyk śliwowicy; łyzy zakręciły mu się w oczach i zaczął łapać ustami powietrze. Trucizna, czysta trucizna, ale nigdy nie piłem nic równie dobrego!

- Są chwile, kiedy nic nie jest w stanie zastąpić dobrego trunku - rzekł Hrabia, przechylając piersiówkę.

Kiedy odjął ją od ust, nawet się nie skrzywił, zupełnie jakby pił nie śliwowicę, lecz wodę.

- No, postój był nam potrzebny, ale teraz musimy jechać: czas działa na naszą niekorzyść.

Schował piersiówkę do kieszeni, zwolnił sprzęgło i wolno ruszył z miejsca na pierwszym biegu. Reynolds, który chciał się sprzeciwić, musiał podnieść głos, żeby było go słychać ponad wzmożonym warkotem silnika.

- Jeszcze nie; musi pan nam opowiedzieć...

- To was nie ominie rzekł Hrabia.-Ale pozwólcie, że opowiem wam w drodze. Później zrozumiecie, dlaczego się tak spieszę. Co się tyczy wydarzeń dzisiejszego dnia... chyba zacznę od tego, że zakończyłem pracę w AVO. Z wielką przykrością, oczywiście.

- Oczywiście - powtórzył Jansci. - Czy ktoś już o tym wie?

- Furmint chyba się domyśla. - Hrabia nie spuszczał oczu z wąskiej drogi, pilnując się, żeby nie stracić panowania nad ciężarówką, która ślizgała się po oblodzeniach. Nie złożyłem pisemnego wymówienia, co prawda, ale ponieważ zostawiłem go związanego i zakneblowanego w jego własnym gabinecie, zapewne nie ma wątpliwości, że nie zamierzam pokazać się więcej w pracy.

Reynoldsa i Janskiego dosłownie zatkało; nie odzywali się tak długo, że w końcu Hrabia

spojrzał na nich, rozciągając w uśmiechu cienkie wargi.

- Związałeś Furmintę? - spytał wreszcie Jansci z podziwem w głosie. - Furmintę, swojego szefa?

Mojego byłego szefa - poprawił go Hrabia. - A jakże! Ale zacznę od samego początku.

Przekazałem wam wiadomość przez Kozaka; czy on i opel dotarli bezpiecznie?

- Tak.

- To istny cud; zważywszy na to, jak ruszał. Powiedziałem mu, że wysyłają mnie z kontrolą do Godólló; podobno mieli tam poważne problemy z różnymi elementami antysocjalistycznymi. myślałem, że Hidas osobiście się tym zajmie, ale wyjaśnił mi, że ma ważną sprawę w Gyór. Więc pojechaliśmy do Gódóllti; ośmiu szeregowych funkcjonariuszy, ja i kapitan Kalman Zsolt gość umie młócić gumową pałką, ale innych talentów mu brak. W drodze byłem trochę niespokojny, bo zanim wyruszyliśmy z Andrassy szef jakoś tak krzywo na mnie spojrzał. Niby nic w tym dziwnego, facet jest podejrzliwy jak cholera, nie ufa nawet własnej żonie, ale mimo wszystko trochę się zaniepokoiłem, bo zaledwie tydzień temu chwalił mnie, że jestem najlepszym oficerem AVO w całym Budapeszcie.

- Jesteś niezrównany! - powiedział Jansci.

- dziękuję. W każdym razie kiedy zbliżaliśmy się do Gidólló, Zsolt nagle zdradził mi pewną ciekawostkę. Wspomniał mimochodem, że rozmawiał rano z szoferem Hidas, od którego dowiedział się, że pułkownik wybiera się do więzienia Szarhazy; dziwił się, po co Hidas jedzie do tej trupiarni. Mówił coś tam jeszcze, nawet nie pamiętam co, ale na szczęście nie patrzył na mnie, bo moja mina zdziwiłaby go jeszcze bardziej. O mało nie palnąłem się w czoło, bo nareszcie wszystko zaczęło mi się układać w całość. Zrozumiałem po co wysłano mnie do Gtidóllti, to podejrzliwe spojrzenie szefa, kłamstwo Hidas, zrozumiałem dlaczego tak łatwo odkryłem miejsce pobytu profesora i dlaczego bez najmniejszych problemów udało

mi się zakraść do gabinetu Furminta po dokumenty i pieczęcie. Gotów byłem zafundować sobie ze złości tęgiego kopniaka. zwłaszcza, kiedy przypominałem sobie, że Furmint tylko po to zajrzał do mnie wychodząc, żeby powiedzieć, że właśnie wybiera się na spotkanie z jakimiś oficerami; chciał, żebym wiedział, że jego gabinet stoi przede mną otworem. zwłaszcza, że było to w porze obiadowej, kiedy jego sekretarka również wychodzi... Jak się połapali, że prowadzę podwójną grę, nie dowiem się nigdy. Przysięgam, jeszcze dwa dni temu uważali mnie za najbardziej godnego zaufania oficera w całym Budapeszcie. Ale mniejsza. Musiałem działać szybko i zdecydowanie: wiedziałem, że wszystkie mosty mam już popalone i nie mam nic do stracenia. Założyłem, że tylko Furmint i Hidas o mnie wiedzą, i że nie wtajemniczyli Zsolta - to taki osioł, że strach go w cokolwiek wtajemniczać, a poza tym obaj są tacy nieufni, że jeśli mogą, nikomu nic nie mówią. - Uśmiechnął się szeroko. A zresztą, skoro się okazało, że najlepszy oficer ich zdradza, skąd mogli wiedzieć, czy inni też tego nie robią?

- Fakt-przyznał Jansci.

- Właśnie. Kiedy przyjechaliśmy do Gódólló, od razu udaliśmy się do ratusza - a nie do lokalnego biura AVO, bo ich też mieliśmy skontrolować - wyrzuciliśmy burmistrza na zbity pysk i rozlokowaliśmy się w jego gabinecie. Potem zostawiłem Zsolta na górze, a sam zszedłem do naszych ludzi: poleciłem im włączyć się do piątej po kawiarniach i barach, narzekać na swoją robotę, robić co tylko w ich mocy, żeby sprowokować ludzi do wywrotowej rozmowy. Uwielbiają takie zajęcia. Dałem im tyle forsy, że do wieczora będą chlać po knajpach. Następnie wróciłem wielce podniecony do gabinetu burmistrza i powiedziałem Zsoltowi, że odkryłem coś niezmiernie ważnego. Nie spytał nawet co, tylko z błyskiem w oku pognął ze mną, pewnie z góry ciesząc się na awans. - Hrabia zakasłał. - Pozwolicie, że pominę te bardziej przykre partie. W każdym razie kapitan Zsolt został

zamknięty w piwnicy w podziemiach ratusza. Nie jest związany, nie jest ranny, ale bez palnika do przecięcia drzwi nie dadzą rady go oswobodzić.

Hrabia umilkł, zatrzymał ciężarówkę i wysiadł, żeby przetrzeć szybę. Od kilku minut padał gęsty śnieg, lecz Jansci i Reynolds byli tak pochłonięci opowieścią, że nawet tego nie zauważyli.

- Zabrałem biedakowi dokumenty - ciągnął dalej Hrabia: siedział z powrotem w szoferce i prowadził ciężarówkę. - Czterdzieści pięć minut później, po jednym krótkim postoju na kupno sznura do bielizny, dotarłem do głównej siedziby AVO, i po chwili byłem już w gabinecie Furminta. To że udało mi się tam dotrzeć, w pełni potwierdzało moje podejrzenia, że Furmint i Hidas nie podzielili się z nikim swoimi domysłami. Wszystko było wręcz dziecinnie proste. Nie miałem nic do stracenia, dotąd nikt mnie oficjalnie nie oskarżył, a nie daje tak dobrych rezultatów jak tupet i bezczelność. Na mój widok Furmintowi dosłownie opadła szczeka; nim zdołał zamknąć usta, wpakowałem mu między zęby lufę rewolweru. Ma wokół siebie do diabła i trochę różnych przycisków, żeby w razie czego wezwać kogoś na pomoc, lecz w tej sytuacji nie zdały się na nic. Zakneblowałem go i zmusiłem, żeby pod moje dyktando napisał list. Facet jest odważny, opierał się, ale lufa rewolweru wciskająca mu się w ucho szybko go przekonała, żeby złamał swoje zasady. List był adresowany do naczelnika Szarhazy, który zna pismo Furminta prawie równie dobrze jak własne, a dotyczyło wydania was obu mnie, czyli kapitanowi Zsoltowi. Furmint podpisał list, przystawił kolejno wszystkie pieczęcie jakie tylko miał w gabinecie, po czym włożył do koperty. na której przybił jeszcze jedną pieczętkę swoją osobistą, znaną zaledwie garstce ludzi w całych Węgrzech; chociaż o tym nie wiedział, ja, na szczęście, również się do nich zaliczałem. Miałem dwadzieścia metrów sznura i kiedy skończyłem wiązać Furminta, przypominał baleron. Mógł ruszać tylko oczami i brwiami i bardzo energicznie zaczął nimi ruszać, kiedy sięgnąłem po telefon. Ten od

gorącej linii między jego gabinetem i więzieniem Szarhazy, i odbyłem rozmowę z naczelnikiem, naśladowując do perfekcji głos związanego komendanta. Chyba w tym momencie domyślił się powodu wielu dziwnych rzeczy, które działy się w ciągu ostatniego roku. W każdym razie, powiedziałem naczelnikowi, że wysyłam po więźniów kapitana Zsolta i że daję mu pisemne upoważnienie. sporządzone własnoręcznie i z moją osobistą pieczęcią na kopercie, żeby nie było żadnych wątpliwości.

- A co gdyby Hidas nadal był w Szarhazy? - spytał Reynolds. - Wyszedł zapewne chwilę przed pańskim telefonem.

- Nic by się nie stało. - Hrabia machnął lekceważąco dłonią po czym natychmiast znów chwycił kierownicę. gdyż ciężarówka skręciła nagle w stronę rowu. -Rozkazałbym mu was zabrać, po czym napadłbym na niego po drodze... Rozmawiając z naczelnikiem, zakasłałem i kichnąłem parę razy; starałem się mówić tak, jakbym miał lekką chrypkę. Wspomniałem mu, że łapie mnie przeziębienie. Miałem swoje powody. Po tej rozmowie połączyłem się z sekretarką Furmintą, i oświadczyłem, że nie wolno mi przeszkadzać przez najbliższe trzy godziny, nawet gdyby dzwonił sam minister. Brzmiałem tak groźnie, że wystraszyła się: wiedziałem, że nie odważy się zlekceważyć mojego polecenia. Furnint o mało nie dostał apopleksji. Potem. wciąż udając komendanta, zadzwoniłem do dyspozytora i poleciłem, żeby natychmiast podstawiono pod bramę ciężarówkę dla majora Howartha i przydzielono mu kierowcę oraz trzech ludzi; oczywiście wcale ich nie chciałem, ale potrzebni byli dla większego realizmu. Wepchnąłem Fitrmintę do szafy na akta i zamknąłem ją na klucz, wyszedłem z gabinetu, przekręciłem klucz w zamku i zabrałem z sobą. No i pojechałem do Szarhazy... Ciekawe, o czym myślą teraz Furmint i Zsolt? I czy ci avocy, których pozostawiłem w Gódólló są jeszcze trzeźwi? Wyobrażacie sobie minę Hidasę i naczelnika, kiedy zorientują się, co się stało? Hrabia uśmiechnął się marzycielsko. - Cały dzień mógł-

bym myśleć tylko o tym .

Przez następne kilka minut jechali w milczeniu. Śnieg stawał się coraz gęstszy, coraz bardziej zasłaniał widoczność, więc Hrabia skupił całą uwagę na prowadzeniu pojazdu. Pod wpływem ciepła w szoferce bijącego z obudowy silnika oraz kolejnych łęków śliwowicy, Reynolds i Jansci czuli jak ich przemarznięte ciała powoli się rozgrzewają; dreszcze były coraz rzadsze, aż w końcu ustały, a w skostniałe ręce i nogi kłuły ich tysiące cieniutkich szpileczek znak, że krążenie wraca. W milczeniu wysłuchali opowieści Hrabiego i teraz nadal siedzieli w ciszy: Reynolds nie wiedział co powiedzieć, brakowało mu słów, żeby wyrazić podziw dla tego niezwykłego człowieka oraz wdzięczność za to, że ich ocalił. Podejrzewał zresztą, że gdyby zaczął mu dziękować, Hrabia wyśmiałby go i obrócił wszystko w fart.

- Czy widzieliście wóz, którym Hidas przyjechał? - spytał nagle Hrabia.

- Ja widziałem - odparł Reynolds. - Czarny zis, wielki jak stodoła.

- Dobra, już wiem. Specjalna stalowa karoseria i kuloodporne szyby. - Hrabia zwolnił i skręcił na pobocze w• stronę kępy drzew. - Mało prawdopodobne, żeby Hidas nie rozpoznał służbowej ciężarówki i nie zainteresował się, dokąd jedzie. Zobaczymy, jak się rzeczy mają. Zatrzymał ciężarówkę za drzewami i wyskoczył z szoferki; Reynolds i Jansci również wysiedli. Pięćdziesiąt metrów dalej droga łączyła się z szosą, którą pokrywała zupełnie gładka warstwa świeżego śniegu, bez żadnych śladów opon.

- Od kiedy pada, nic tędy nie przejeżdżało - powiedział Jansci.

- Właśnie - rzekł Hrabia• spoglądając na zegarek. Minęły trzy godziny, niemal co do minuty, odkąd Hidas wyjechał z Szarhazy, a mówił, że wróci za trzy godziny. Wkrótce powinien się tu pojawić.

- Może warto zastawić szosę ciężarówką i go zatrzymać? -wtrącił Reynolds. To by opóźniło obławę o kilka godzin. Hrabia z żalem pokręcił głową.

- Nie. Też o tym myślałem. Ale po pierwsze ci cztery, których zostawiliśmy w lesie, w ciągu godziny, a najdalej półtorej, i tak dojdą do Szarhazy. Poza tym żeby dostać się do tego pancernego zisa, potrzebny byłby dynamit, albo przynajmniej tom; ale nie to jest najważniejsze. Problem polega na tym, że przy takiej pogodzie kierowca zisa nie dojrzy zawczasu ciężarówki i wpadnie na nią, a ten zis waży ze trzy tony. Rozwali ciężarówkę, a musimy ją mieć do dalszej ucieczki.

- Może przejechał tędy wkrótce po tym gdy skręciliśmy, zanim śnieg zaczął padać - powiedział Jansci.

- Niewykluczone-rzekł Hrabia. Ale poczekajmy jeszcze kilka...

Urwał i nadstawił uszu; w tym samym momencie Reynolds też usłyszał cichy, choć raptownie wzmagający się warkot potężnego wozu.

Ledwo zdążyli zejść z szosy i schować się za kępą drzew. Nadjeżdżający samochód, niewątpliwie czarny zis Hidasa. przemknął obok, szerokimi, przeciwśnieżnymi oponami wzbijając tumany śniegu, i błyskawicznie znikł im z oczu. Reynolds dojrzał z przodu kierowcę, a z tyłu Hidasa i chyba jeszcze jakąś drobną, przygarbioną sylwetkę, lecz nie był tego pewien. Wsiedli pędem do ciężarówki i wjechali na szosę: czas uciekał, obława mogła ruszyć w każdej chwili. Hrabia ledwo wrzucił czwórkę, a znów zaczął redukować biegi, i zatrzymał ciężarówkę przy niewielkim lesie nad drzewami biegły ukosem druty telegraficzne. Niema natychmiast z lasu wybiegło dwóch mężczyzn, każdy niosąc pod pachą jakieś pudło; od stóp do głów przyprószeni śniegiem, wyglądali jak pędzące bałwany.

Widząc przez szybę Janskiego i Reynoldsa, pomachali do nich. uśmiechając się szeroko; byli to Sandor i Kozak, którzy tak ucieszyli się na widok przyjaciół, jakby już dawno pogrzebali ich w myślach. Wdrapali się do skrzyni ciężarówki całkiem sprawnie, zważywszy na to, że byli zupełnie skostniali z zimna; po piętnastu sekundach pojazd znów był w drodze.

Otworzywszy okienko między szoferką a skrzynią, Sandor z Kozakiem zaczęli zasypywać ich pytaniami i gratulować Jansciemu i Reynoldsowi ucieczki z Szarhazy. Potem Hrabia podał do tyłu swoją piersiówkę i Jansci, korzystając z chwilowej przerwy w rozmowie, spytał:

- Co jest w tych pudłach, które nieśli?

- W mniejszym zestaw do podłączania się do linii telefonicznej - wyjaśnił Hrabia. -

Standardowe wyposażenie wozów AVO. Po drodze wstąpiłem do karczmy w Petoli i dałem pudło Sandorowi; kazałem mu pójść do lasu w pobliżu Szarhazy, wspiąć się na słup i podłączyć do gorącej linii telefonicznej między więzieniem a gabinetem Furmint. Gdyby naczelnik coś podejrzewał i chciał zadzwonić do komendanta AVO, Sandor udałby Furmint; uprzedziłem go, żeby mówił przez chustkę do nosa, udając przeziębionego; naczelnik wiedział z rozmowy ze mną, że Furmint ma chrypę.

- Boże! - Reynolds nie krył swojego podziwu. - Pomyślał pan o wszystkim!

- Chyba rzeczywiście tak-oświadczył skromnie Hrabia. - W każdym razie, to

zabezpieczenie okazało się zbędne: naczelnik, jak sami widzieliście, dał się kompletnie nabrać. Jedyne, czego się naprawdę bałem, to że ci durni avocy, których zabrałem z sobą, będą mnie nazywać majorem Howarthem, a nie kapitanem Zsoltem, tak jak im przykazałem.

Ostrzegłem ich zawczasu, że jeśli się pomylą, Furmint osobiście wytłumaczy im, dlaczego to było tak niezmiernie istotne, żebym występował pod innym nazwiskiem i osobiście w-lepi im odpowiednią karę... W drugim pudle są cywilne ubrania dla was, które Sandor zdobył w Petoli. Za chwilę zatrzymam się, więc będziecie mogli przejść do tyłu i zrzucić te mundury.

No, panowie, polowanie albo już się rozpoczęło, albo rozpocznie lada moment; na pewno porządnie wezmą się do dzieła. Wszystkie drogi wiodące na zachód, od szos po ścieżki rowerowe, zostaną zablokowane. Niech się pan nie czuje niedowartościowany. panie

Reynolds, ale generał Iljurin to największa ryba, na jaką kiedykolwiek zastawiali sieci.

Będziemy mieli szczęście, jeśli zdołamy ująć z życiem obławie; nie daję nam zbyt wielkich szans. Więc co robimy dalej?

Nikt nie miał gotowej propozycji. Jansci siedział patrząc prosto przed siebie. Jego pomarszczona twarz pod szopą siwych włosów była zupełnie spokojna: Reynoldsowi zdawało się nawet, że generał się lekko uśmiecha. Jemu samemu zaś jeszcze nigdy w życiu nie było tak daleko do śmiechu; spoglądając na ciągnące się w nieskończoność śnieżne pustkowiec za oknami ciężarówka, przeprowadzał w duchu rachunek sukcesów i porażek, jakie odniósł od chwili przybycia na Węgry. Nie miał żadnych powodów do radości i dumy. Po stronie aktywów mógł wymienić nawiązanie kontaktu z Janscim i jego ludźmi, a następnie z profesorem, ale nawet tych sukcesów nie zawdzięczał sobie, tylko Hrabiemu. Kiedy przeszedł do pasywów, aż się skrzywił w myślach, bo lista była nieprzyjemnie długa: dał się schwytać zaraz po przybyciu na Węgry; nie wykrył podsłuchu i spał całą robotę, a w dodatku zrobił avokon piękny prezent w postaci taśmy z nagraniem rozmową; wszedł prosto w pułapkę zastawioną przez Hidasę i Jansci ze swoimi ludźmi musiał go odbijać; uległ środkom chemicznym w Szarhazy i Jansci znów go ratował: o mało nie pogrążył przyjaciół i siebie, kiedy zareagował tak żywo na widok Hrabiego w gabinecie naczelnika więzienia. Rozmyślając o tym wszystkim, aż skręcał się ze wstydu. To przez niego profesora odsyłano ciupasem do Rosji, to przez niego profesor miał nie zobaczyć więcej żony i syna to przez niego Hrabia musiał się zdemaskować i zrezygnować z podwójnej gry, której organizacja Janskiego zawdzięczała sprawne funkcjonowanie; to przez niego Jansci o mało nie stracił życia, co z pewnością bardzo nieprzychylnie nastawi do niego córkę generała, kiedy się dowie o tych przejściach. Po raz pierwszy Reynolds przyznał sam przed sobą, że stosunek Julii do niego nie jest mu obojętny. Przez dłuższą chwilę i rozmyślał tylko o tym, a potem

niemal z fizycznym wysiłkiem odsunął od siebie wszelkie myśli związane z dziewczyną.

Kiedy się odezwał, decyzję już miał podjętą.

- Jest coś, co muszę zrobić, i muszę to zrobić sam - rzekł powoli. - Chcę znaleźć pociąg.

Pociąg, którym...

- My też. - Hrabia uśmiechając się radośnie od ucha do ucha, wyrznął pięścią w

kierownicę z taką siłą, że o mało jej nie złamał. - My też chcemy, chłopcze. Proszę spojrzeć na Janskiego od dziesięciu minut nie myśli o niczym innym.

Reynolds spojrział szybko na hrabiego, a potem przeniósł wolno wzrok na generała.

Zobaczył, że nie mylił się wcześniej, kiedy wydało mu się, że Jansci lekko się uśmiecha; teraz dosłownie szczerzy) zęby.

- Znam ten teren jak własną kieszeń - powiedział niemal przepaszając generała. - Jakieś pięć kilometrów wstecz zorientowałem się, że Hrabia skręca na południe. A ponieważ nie wyobrażam sobie, żeby w Jugosławii przyjęto nas ciepło...

- Nie, nie zgadzam się. - Reynolds gwałtownie potrząsnął głową. - Muszę to zrobić sam.

Wszystko, czego się tylko dotknąłem, poszło źle; cud, że wszyscy jeszcze nie wylądowaliście przeze mnie w obozie koncentracyjnym. Następnym razem nie zjawi się Hrabia z ciężarówką. Którym pociągiem jedzie profesor?

- Chcesz to zrobić sam? - spytał Jansci. - Tak. Muszę.

- Oszalał! - stwierdził Hrabia.

- Nie mogę ci na to pozwolić. - Jansci potrząsną białą grzywą. - Postaw się w mojej sytuacji. Moje pobudki są egoistyczne, przyznaję. Ale wyrzuty sumienia nie pozwoliłyby mi spać spokojnie, gdyby coś ci się stało. - Skierował wzrok na szybę. - A co gorsza, moja córka nigdy by mi tego nie wybaczyła.

- Nie rozumiem...

- No jasne, że pan nie rozumie wtrącił jowialnie Hrabia. Pańskie całkowite oddanie się misji może być godne pochwały - choć ja, szczerze mówiąc wcale tak nie uważam lecz czyni pana zupełnie ślepym na sprawy, które dla nas, starszych i bardziej doświadczonych, są oczywiste. Zresztą, nie traćmy czasu na spory. Podejrzewam, że pułkownik Hidas odwiedził już zacnego naczelnika i wpadł w istny szal. Jansci?

Reynolds domyślił się, że Hrabia pyta generała o decyzję. - Wiesz wszystko co trzeba? - upewnił się Jansci.

- Naturalnie - odparł Hrabia urażonym tonem. - Przez trzy, cztery minuty rozmawiałem z naczelnikiem, zanim was przyprowadzono. Nie zmarnowałem tych minut.

- A więc tak, Michael. Albo zgodzisz się na naszą pomoc, albo nie przekazemy ci informacji.

- W takim razie nie mam wyboru - powiedział z goryczą Reynolds.

- Człowiek inteligentny zawsze wie, kiedy ustąpić mruknął z zadowoleniem Hrabia.

Nacisnął na hamulec i wy dobył z kieszeni mapę. Rozłożył ją tak, żeby Sandor i Kozak widzieli ją przez okienko, po czym wskazał palcem jakiś punkt.

- Właśnie tutaj zamierzali wsadzić profesora do pociągu i pewnie już to zrobili. Miał jechać wagonem doczepionym na końcu składu.

- Naczelnik wspominał coś o tym - rzekł Jansci. - Mówił, że profesorowi będzie się jechało całkiem wygodnie. - Wygodnie? Ładne mi wygodnie! Przede mną naczelnik niczego nie owijał w bawełnę; mieli załadować profesora do wagonu, jakim zwykle wozi się więźniów, czyli dokładnie takiego samego, jakim transportuje się bydło. Powiódł palcem po linii torów aż do miejsca, w którym przecinały> szosę wiodącą z Budapesztu na południe: znajdowała się tam miejscowość o nazwie Szekszard, położona sześćdziesiąt kilometrów na północ od jugosłowiańskiej granicy. -Pociąg zatrzymuje się tutaj. Dalej

tory biegną na południe równolegle do szosy aż po Bataszek, gdzie pociąg nie staje, po czym skręcają na zachód w stronę Peczu i oddalają się od szosy. Akcję trzeba przeprowadzić między Szekszardem a Peczem, panowie. Problem w tym, że jest to zwykły pociąg **pasażerski**. Choć z zasady nie mam nic przeciwko wysadzaniu pociągów, nie chciałbym ryzykować Tycia kilkuset moich przybranych rodaków.

- Czy mogę zobaczyć mapę? - poprosił Reynolds.

Była to mapa drogowa sporządzona w dużej skali, z zaznaczonym fizycznym układem terenu, rzekami, górami... Wpatrując się w nią z rosnącym podnieceniem, Reynolds cofnął się pamięcią czternaście lat. do czasów, kiedy był najmłodszym wiekiem oficerem w komandosach. Miał wtedy pewien szalony pomysł, który teraz można było powtórzyć... Wskazał na mapie punkt położony nieco na północ od Peczu: w tym miejscu szosa w idąca z Szekszardu. która przez czterdzieści kilometrów biegła daleko od torów, znów się do nich zbliżyła. Spojrzał na Hrabiego.

- Damy radę dojechać tu przed pociągiem?

- Jeśli dopisze nam szczęście, jeśli nie natrafimy na blokadę i jeśli Sandor obieca wyciągnąć ciężarówkę z rowu, gdybym wpadł w poślizg, to nie widzę problemu.

- Świetnie. W takim razie mam plan. - Szybko i zwięźle wyłuszczył im swój projekt. - Co wy na to?

Jansci pokręcił wolno głową. Hrabia uczynił to samo.

- Nierealne - oznajmił z przekonaniem. - Niewykonalne.

- Już raz to zrobiono. W Wogezach, w czterdziestym czwartym. Dzięki temu udało się wysadzić skład amunicji. Wiem o tym, bo tam byłem. Macie lepszy pomysł?

Nikt nic nie powiedział, więc po chwili Reynolds znów zabrał głos.

- Sami widzicie. Tak jak zauważył Hrabia, inteligentny człowiek zawsze wie, kiedy

ustąpić. Tracimy tylko czas.

- To prawda. - Jansci podjął decyzję. - Musimy spróbować.

Hrabia skinął głową.

- Zgoda - rzekł. - Idźcie szybko się przebrać i zaraz ruszamy. Pociąg dojeżdża do Szekszardu za dwadzieścia minut; ja dojadę w piętnaście.

- Oby tylko avocy nie dojechali w dziesięć - rzekł ponuro Reynolds.

Hrabia niemal wbrew sobie obejrzał się przez ramię - Niemożliwe. Jeszcze nie widać powracającego Hidasę.

- Są przecież telefony.

- Były.- Sandor, który od dłuższego czasu milczał, podał Reynoldsowi przez okienko kombinerki. - Sześć kabli, sześć cięć. Szarhazy jest całkowicie odcięte od świata.

- Staram się myśleć o wszystkim - oświadczył skromnie Hrabia.

Rozdział dziesiąty

Wiekowy pociąg pędził po wytartych szynach, trzęsąc się i niepokojąco kołysząc; ilekroć silniejszy podmuch wiatru ze śniegiem, wiejącego z południowego wschodu, uderzał go prostopadle w bok, cały skład wyraźnie się przechylał i - podczas gdy podróżnym serca podchodziły do gardła - zdawał się balansować na jednej szynie. Koła podskakiwały na nierównych łączach szyn z przeraźliwym, metalicznym zgrzytem, od którego pasażerów przechodziły ciarki; zawieszenie wagonów, porządnie nadgryzione zębem czasu, w najmniejszym stopniu nie niwelowało wibracji. Wiatr ze śniegiem wpadał z gwizdem przez dziesiątki szpar w źle dopasowanych drzwiach i oknach, ścianki wagonów jęczały niczym kadłub ciskanego przez fale żagłowca, drewniane siedzenia trzeszczały, lecz wiekowy pociąg nieustannie posuwał się naprzód przez gęsty śnieg, bez przerwy sypiący z nieba tego popołudnia, choć czasami zwalniał niespodziewanie na zupełnie prostych odcinkach lub

nagle przyspieszał na ostrych, niebezpiecznych zakrętach; maszynista, który co rusz pociągał za gwizdek, gdyż jego dźwięk - stłumiony przez śnieg - niósł się nie dalej niż na sto metrów, najwyraźniej miał pełne zaufanie zarówno do pociągu, jak i do swoich umiejętności oraz znajomości trasy.

Reynolds, zataczając się raz w lewo, raz w prawo, kiedy szedł szaleńczo kołyszącym się korytarzem, bynajmniej tego zaufania nie podzielał, lecz co innego zaprzętało w tej chwili jego myśli: zastanawiał się czy• uda mu się wywiązać z zadania, którego się podjął. Kiedy wyłuszczał pozostałym swój plan, miał przed oczami pogodną, letnią noc, niebo rozświetlone gwiazdami i starą ciuchcię posuwającą się wolno między ,zalesionymi wzgórzami Wogezów; teraz. dziesięć minut po tym, jak on i Jansci kupili w Szekszardzie bilety i nie zatrzymywani przez nikogo wsiedli do pociągu, wiedział już, że to, co ma zrobić, zrobić, jest po prostu niewykonalnym koszmarem

W teorii zadanie było całkiem proste. Miał uwolnić profesora; żeby to uczynić, musiał odłączyć ostatni wagon od reszty składu. W tym celu należało zatrzymać pociąg, bo inaczej nie dałby rady wyciągnąć czopu z cięgła łączącego ostatni wagon z wagonem służbowym, w którym jechali konwojenci. A zatem musiał dotrzeć do lokomotywy, co samo w sobie wydawało mu się w tej chwili zadaniem ponad siły, po czym wpłynąć na maszynistę i palacza, żeby w odpowiednim momencie zatrzymali pociąg. Pomyślał smętnie, że nie bardzo wie, jak ma na nich wpłynąć, jeśli okażą się przyjaźnie nastawieni, może uda mu się ich po prostu przekonać. może też próbować ich nastraszyć; wiedział jednak, że do niczego nie będzie w stanie ich zmusić. Jeśli odmówią wykonania jego poleceń, nie poradzi sobie.

Wnętrze lokomotywy stanowiło dla niego zagadkę, a poza tym nawet dla ratowania profesora nie mógł zastrzelić lub choćby pozbawić przytomności maszynisty oraz palacza, gdyż tym samym kilkuset niewinnym pasażerom groziłoby kalectwo albo śmierć. Głowiąc się nad tym,

poczuł, że zalewa go fala przygnębienia, która skuła mu lodem mózg; z największym wysiłkiem odepchnął od siebie ponure myśli. Wszystko po kolei: będzie się zastanawiał, co dalej, kiedy znajdzie się w lokomotywie. Na razie musi do niej dotrzeć.

Skręcił właśnie na tylny pomost wagonu, chwyciwszy się jedną ręką poręczy- drugą miał w kieszeni, podtrzymywał nią młotek i latarkę, które wypychały mu płaszcz kiedy nagle wpadł na Janskiego. Generał mruknął coś przepraszająco, jakby potrącił kogoś obcego, po czym zrobił krok do przodu, żeby sprawdzić, czy korytarz, którym nadszedł Reynolds, jest pusty, a następnie cofnął się i sprawdził, czy nikogo nie ma w toalecie; dopiero wtedy odezwał się cicho.

W porządku?

Nie bardzo - odparł Reynolds. - Interesują się mną.

Kto

- Dwaj faceci. Ubrani po cywilnemu, w ściągniętych pasami prochowcach, głowy gołe.

Szli za mną w jedną i w drugą stronę. Bardzo dyskretnie. Gdybym się bacznie nie rozglądał, nic bym nie zauważył.

- Stań na korytarzu. Daj mi znać... - Właśnie idą - szepnął Reynolds.

Jansci wszedł szybko do toalety i przytknął drzwi, zostawiając tylko wąską szparkę.

Dwaj mężczyźni, zataczając się, zbliżyli się do Reynoldsa; kiedy go mijali, wyższy z nich o wyjątkowo bladej twarzy i ciemnych oczach, popatrzył obojętnie na Anglika; drugi w ogóle na niego nie spojrzał.

- Fakt, interesują się tobą. - Jansci wyłonił się z toalety dopiero kiedy obaj mężczyźni

znikli im z oczu. - Co gorsza. skapowali się, że o tym wiesz. Powinniśmy byli przewidzieć, że w czasie trwania konferencji wszystkie pociągi. zarówno te przyjeżdżające do Budapesztu, jak i odjeżdżające, będą skrupulatnie obserwowane.

- Myślisz, że to avocy?

- Niestety, tak. Ten blady to jeden ze zbirów Hidas, niebezpieczny jak zmija. Drugiego nie znam.

- Pewnie też go Hidas tu wydelegował. Kiedy dotarł do Szarhazy...

- Nie, ci dwaj jeszcze nic nie wiedzą o ucieczce. Ale od dwóch dni wszyscy avocy na Węgrzech mają twój rysopis. - A ,więc to tak. - Reynolds pokiwał wolno głową. -

Oczywiście... A ty czego się dowiedziałeś?

- W wagonie służbowym jedzie trzech konwojentów: nigdy nie jeżdżą w jednym wagonie z więźniami. Siedzą razem z kierownikiem pociągu przy rozpalonym piecu i popijają wino z butelki.

- Poradzisz sobie z nimi? - Tak sędzę. Ale jak...

- Schowaj się! - szepnął Reynolds.

Stał oparty o okno, z obiema rękami w kieszeniach. kiedy zbliżyli się do niego ci sami dwaj mężczyźni co przedtem. Spojrzał na nich obojętnie, unosząc lekko jedną brew, po czym spuścił oczy; podniósł je dopiero wtedy, gdy już go minęli i odprowadził ich wzrokiem aż na początek wagonu; wreszcie znikli.

- Wojna psychologiczna - rzekł Jansci. - Mamy problem.

- I to nie jeden. Nie mogę się dostać do trzech pierwszych wagonów.

Jansci popatrzył na niego pytająco.

- Wojsko - wyjaśnił Reynolds. - W trzech pierwszych wagonach jadą żołnierze. Wartownik powiedział mi, że nikogo nie wolno mu wpuszczać. Kiedy nie patrzył, spróbowałem otworzyć drzwi, ale są zamknięte na klucz.

- Od zewnątrz. -Jansci pokiwał głową. - Wiozą poborowych i nie chcą, żeby któryś za wcześnie wrócił do życia w cywilu. Więc co robimy, Michael? Ciągniemy za hamulec?

- Ba! Sprawdziłem wszystkie wagony; nigdzie nie ma hamulców. Coś wymyślę. Muszę.

Gdzie siedzisz?

- W trzecim wagonie od końca.

- Uprzedzę cię dziesięć minut przed przystąpieniem do akcji. No, muszę już iść. Ci dwaj wrócą lada moment.

- Dobrze. Za pięć minut przejeżdżamy przez Bataszek. Jeśli pociąg się zatrzyma, to znaczy, że Hidas domyślił się naszych planów i zadzwonił na stację. Wtedy wyskakuj na tory i zmykaj.

- Wracają - szepnął Reynolds.

Odsunął się od okna i ruszył do przodu naprzeciw avokom. Tym razem obaj popatrzyli na niego; ich oczy pozbawione były wszelkiego wyrazu. Zastanawiał się, ile czasu upłynie, zanim wreszcie się na niego rzucą. Zataczając się lekko, przeszedł szybko przez dwa kolejne wagony i wszedł do toalety. Znajdował się teraz na końcu czwartego wagonu. Wyjął z kieszeni młotek, latarkę, schował je do trójkątnej szafki pod popękaną, żelazną umywalką, po czym przerzucił broń do prawej kieszeni i zacisnął dłoń na kolbie. Nie był to jego belgijski pistolet z tłumikiem - ten został mu odebrany przez Hidasę - lecz rewolwer Hrabiego. Miał nadzieję, że nie będzie musiał się nim posłużyć. Ale wszystko zależało od następnego kroku śledzących go avoków: użycie broni mogło okazać się konieczne.

Byli już na przedmieściach Bataszku i nagle Reynolds: zdał sobie sprawę, że pociąg jedzie znacznie wolniej; w następnej chwili musiał się przytrzymać ściany, żeby nie polecieć do przodu, gdyż maszynista rozpoczął hamowanie. Zaciskając mocno palec na kolbie, wyszedł z toalety i stanął na środku pomostu, niepewny z której strony ukaże się peron. Sprawdziwszy, czy broń jest odbezpieczona, czekał w napięciu, czując jak serce wali mu młotem. Pociąg wciąż zwalniał; nagle wagonem szarpnęło gwałtownie przetaczali

się przez zwrotnicę. Całe szczęście, że Reynolds złapał się poręczy, bo po chwili syk hamulców ucichł. rozległ się ostry gwizd i pociąg zaczął raptownie przyspieszać; rząd zamazanych świateł na stacji Bataszek mignął za oknem, po czym znów wszystko skryła białą szarą kurtyną padającego śniegu.

Reynolds rozluźnił zaciśnięte palce. Choć na pomoście było przeraźliwie zimno, czuł, że kołnierz koszuli ma mokry od potu. Prawą dłoń, w której trzymał rewolwer, też miał zupełnie mokrą. Podchodząc do drzwi po lewej stronie wagonu, wydobyl ją z kieszeni i wytarł o płaszcz.

Szarpnął za uchwyt i otworzył okno w drzwiach, szybko I jednak zasunął je z powrotem i cofnął się, żeby przetrzeć oczy; przez chwilę nic nie widział, był tak oślepiiony śniegiem, który wiatr z gwizdem wmiótł do środka i cisnął mu prosto w twarz. Oparł się o ścianę i zapalił papierosa; ręce mu drżały.

Sytuacja była beznadziejna, całkiem beznadziejna. Wiatr dochodził do siedemdziesięciu, osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, a pociąg poruszał się z mniej więcej taką samą prędkością, prostopadle do kierunku wiatru, co składało się na iście sztormowe warunki - niemal pozioma ściana śniegu z wyciem tłukła o szybę. Skoro stojąc bezpiecznie w wagonie Reynolds nie wytrzymał naporu zawiei na twarz dłużej niż przez ułamek sekundy, to jak mógłby przez kilka długich minut wytrzymać warunki na zewnątrz, kiedy to, czy przeżyje, zależałoby od każdego ruchu, jaki wykona?

Bezlitośnie odsunął te myśli na bok. Przeszedł szybko przez harmonijkę między wagonami i wyrzwał na korytarz. Avoków ani śladu. Wrócił na pomost, podszedł do drzwi po przeciwnej stronie niż uprzednio i uchylił je ostrożnie, żeby ciśnienie próżniowe nie wysało go na zewnątrz, sprawdził wielkość otworu, w który wchodzi zasuwa, zatrzasnął drzwi, upewnił się, czy okno dobrze się otwiera i ponownie zamknął się w toalecie. Z drzwiczek

szafki pod umywalką odciął nożem sprężynowym kawałek drewna i pośpiesznie wystrugał z niego kołek, odrobinę szerszy od otworu na zasuwę, i czym prędzej opuścił toaletę. Zależało mu na tym, żeby jego dwa cienie znów go zobaczyły; bał się, że jeśli od czasu do czasu nie będą go widywać, to wzniesą alarm i zaczną go szukać po całym pociągu, biorąc do pomocy żołnierzy, których w przednich wagonach mogło jechać ze stu albo i dwustu.

O mało nie wpadł na avoków zamykając drzwi toalety. Szli szybko, prawie biegli; na widok Reynoldsa na twarzy mniejszego odmalowała się wyraźna ulga. Twarz wyższego nie zmieniła wyrazu, ale zwolnił tak raptownie, że jego kompan wpadł na niego. Zatrzymali się kilka kroków od Reynoldsa. Anglik pozostał na miejscu, jedynie wparł się plecami w róg pomostu, żeby nie stracić równowagi przy kolejnych wstrząsach i mieć obie ręce wolne do działania. gdyby zaszła potrzeba. Błady avok zauważył to od razu; jego ciemne oczy zwięziły się lekko, po czym wydobyl z kieszeni paczkę papierosów i rozciągając wargi w fałszywym uśmiechu, zwrócił się do Reynoldsa:

- Macie moje zapalaki, towarzyszu?

- Tak. Proszę bardzo.

Reynolds lewą ręką wyjął zapalaki i wyciągnął je w stronę avoka na długość ramienia.

Równocześnie poruszył prawą dłońią którą trzymał w kieszeni, tak żeby otwór lufy rewolweru odcisnął się wyraźnie na cienkim materiale gabardynowego płaszcza. Błady avok dostrzegł drobny ruch i zerknął w dół, Reynolds natomiast ani na moment nie oderwał wzroku od jego twarzy. Po chwili avok podniósł oczy, przez moment patrzył na Reynoldsa bez zmrużenia powiek nad zapaloną zapaląką przytkniętą do papierosa, po czym oddał zapalaki, podziękował skinieniem głowy i oddalił się wraz ze swoim partnerem. Niepożądana lecz nieunikniona konfrontacja, pomyślał Rejnolds; ciche wyzwanie, próba sprawdzenia, czy jest uzbrojony; gdyby nie pokazał im, że ma broń, na pewno staraliby się go obezwładnić

Po raz dziesiąty spojrzął na zegarek. Jeszcze trzy, góra cztery minuty. Czuł, że pociąg zwalnia, rozpoczynając wjazd na łagodne wzniesienie, a poza tym gotów był przysiąc, że za oknem mignęła mu szosa biegnąca równoległe do torów. Miał nadzieję, że Hrabiemu i pozostałym udało się zdążyć na czas, że w ogóle im się udało. Słyszał wiatr. wyraźnie słyszał jego wycie nad chrzęstem kół pociągu, za oknem zaś widział niemal litą ścianę bieli, która ograniczała widoczność do metra. Potrząsnął głową; w taką arktyczną pogodę jadący po szynach pociąg miał znaczną przewagę nad ciężarówką. Wyobraził sobie napiętą twarz Hrabiego jak stara się dojrzeć drogę przez szybę, z której wycieraczki nie nadążają usunąć grud śniegu.

Nie miał wyjścia; musiał wierzyć w to, że Hrabia dotrze na czas. Musiał w to wierzyć, choć szansa była znikoma. Spojrzął po raz ostatni na zegarek, jeszcze raz wszedł do toalety, napełnił wodą stojący w niej dzbanek i schował do szafki, wziął przygotowany wcześniej kołek i wrócił na pomost. Otworzył drzwi po prawej, wetknął kołek w otwór zamka, po czym wbił go głębiej kolbą rewolweru i zamknął z powrotem drzwi; choć zasowa nie dawała się teraz zasunąć, dociśnięte do kołka drzwi trzymały się solidnie. Potrzebny był nacisk rzędu piętnastu-dwudziestu kilo, żeby je otworzyć.

Szybkim krokiem skierował się na koniec pociągu. w następnym wagonie dwaj avocy wyłonili się z cienia i ruszyli za nim bez słowa, ale nie zwracał na nich uwagi. Wiedział, że nie będą nic próbować na korytarzu, na oczach pasażerów siedzących w przedziałach; dopiero kiedy dotarł do przejścia między wagonami, zaczął biec. W końcu znalazł się w trzecim wagonie od końca; szedł wolno. z głową prosto w górze, by zmylić podążających za nim avoków, lecz kątem oka sprawdzał mijane przedziały.

Jansci siedział w trzecim. Reynolds zatrzymał się nagle. dezorientując avoków, usunął się na bok, żeby mogli go minąć, poczekał, aż oddalą się trzy metry, po czym skinął głową

Jansciemu i biegiem rzucił się z powrotem, modląc się o to, żeby na nikogo nie wpaść; gdyby na drodze stanął mu jakiś grubas i zablokował korytarz, wszystko mogłoby się źle skończyć. Słyszając za sobą dudnienie kroków, gwałtownie przyspieszył, co o mało nie skończyło się tragicznie: poślizgnął się na mokrym kawałku podłogi, uderzył głową w ramę okna i upadł. Mimo że od bólu pociemniało mu w oczach, zebrał się w sobie, podniósł na nogi i pognął dalej. Dwa wagony, trzy wagony, cztery; wreszcie był we właściwym; wpadł na pomost, wskoczył do toalety, zatrzaskał z łoskotem drzwi, żeby ścigający go avocy nie mieli wątpliwości. gdzie się schronił, i szybko przesunął zasuwę.

Kiedy już był w środku, nie tracił ani chwili. Chwycił dzban z wodą, wepchnął do niego brudny ręcznik znad umywalki, żeby cała woda nie wylała się od razu, po czym cofnął się i z rozmachem cisnął dzbanek w okno: szyba z ogłuszającym hukiem rozbryzgała się na kawałki. Brzęk tłukącego się szkła jeszcze dzwonił mu w uszach, kiedy Reynolds wyciągnął z kieszeni rewolwer i ujął go za lufę, po czym zgasił światło, odblokował cicho drzwi i wyszedł na pomost.

Tak jak się tego spodziewał, avocy - przekonani, że wyskoczył z pociągu - otworzyli okno w drzwiach i popychając się nawzajem, wychylali się przez nie niemal do połowy, usiłując cokolwiek zobaczyć. Nie zwalniając kroku, Reynolds odbił się od podłogi i skoczył nogami na plecy bliższego; drzwi otworzyły się na oścież i uderzony avok wyleciał w szary zaśnieżony krajobraz nie zdążywszy nawet krzyknąć. Drugi, ten o bladym obliczu, cudem zdołał się przekręcić i złapać ręką za framugę drzwi; z twarzą wykrzywioną z wściekłości i strachu walczył jak ryś, żeby nie spaść. Ale jego zmagania trwały zaledwie kilka sekund: Reynolds nie miał litości: zamierzył się rewolwerem w wykrzywioną twarz, po czym w ostatniej chwili, kiedy mężczyzna podniósł wolną rękę, żeby się zasłonić, zmienił kierunek ciosu. Kolba rewolweru z taką siłą spadła na wczepione we framugę palce, że Reynolds aż

poczuł w łokciu mrowienie. Kiedy znów spojrzął przed siebie, zobaczył tylko szary kwadrat otwartych drzwi; awoka jakby zdmuchnęło. Jeszcze przez moment słyszał jego przeraźliwy krzyk, a potem zagłuszyło go dudnienie kół i żałobne zawrodozenie wicheru.

Szybko wyciągnął z otworu obłuzowany kołek i zamknął solidnie drzwi. Schował broń do kieszeni, wszedł do toalety po młotek i latarkę i ruszył do drzwi po przeciwnej stronie pomostu.

Tu poniósł pierwszą klęskę, która o mało nie przekreśliła jego dalszych planów. Pociąg kierował się na południowy zachód w stronę Peczu, zaś wiatr wiejący z południowego wschodu był tak potężny, że kiedy mężczyzna usiłował otworzyć drzwi, miał wrażenie, jakby ktoś znacznie silniejszy od niego dociskał je do framugi. Choć napierał na nie całym ciałem, nie udało mu się otworzyć ich szerzej niż na centymetr.

Zostało mu już niewiele czasu - góra siedem, osiem minut. Chwycił za metalowy uchwyt u góry okna i otworzył je jednym mocnym szarpnięciem, pochylając się nisko, żeby wiatr ze śniegiem wdzierający się ze świstem do wewnątrz nie cisnął go na drugą stronę pomostu. Był to prawdziwy koszmar, gorszy niż sobie wyobrażał; dopiero teraz zrozumiał, że maszynista zwolnił nie dlatego, że jadą pod górę, ale z obawy, że zawieja zepchnie pociąg z szyn. Przez chwilę miał ochotę zrezygnować ze swojego samobójczego pomysłu. Ale potem pomyślał o profesorze siedzącym samotnie w ostatnim wagonie, o Janscim i pozostałych, którzy na niego liczyli, o dziewczynie, która obróciła się plecami, kiedy chciał się z nią pożegnać.

Wyprostował się gwałtownie i tylko lekko się skrzywił, kiedy rozpedzone drobiny śniegu zaczęły go siec po twarzy, a wicher wysysać z piersi dech. Natężył mięśnie i ponownie naparł na drzwi, nie zważając na to, że gdyby wiatr nagle ucichł, najprawdopodobniej wyleciałby na zewnątrz; za czwartym podejściem otworzył je na tyle, żeby wsunąć w szparę but. Potem wsunął rękę, ramię, wreszcie połowę ciała, i wciąż napierając mocno plecami na drzwi,

powoli zaczął opuszczać nogę. Kiedy wymacał butem oblodzony stopień, przesunął stronę szpary lewy but. Kieszeń wypchana latarką i młotkiem zahaczyła jednak o framugę, nie pozwalając mu precyzyjnie się przez otwór; przez pełną minutę, która zdawała się trwać całą wieczność, stał unieruchomiony z jedną nogą w środku a drugą na zewnątrz. Szarpał się i wyginał próbując się oswobodzić, przerażony, że lada moment ktoś może nadejść, by sprawdzić dlaczego wiatr hula po korytarzu. Nagle rozległ się trzask odpadających guzików, darcie materiału i drzwi puściły: wyleciał na zewnątrz, prawa noga ześlizgnęła mu się ze stopnia i przez moment wisiał w powietrzu, lewą ręką trzymając się framugi. Lewa stopa wciąż tkwiła zaklinowana w szparze, prawą dłońią nie miał się za co złapać, lecz mimo to powoli, z wysiłkiem, podciągnął się jakoś do góry i postawił prawą nogę z powrotem na stopniu. Przez chwilę stał tak, żeby uspokoić rozedrgane mięśnie, po czym wyciągnął ze szpary lewą rękę i chwycił się nią za brzeg otwartego okna, a następnie wyszarpnął lewy but. Drzwi zatrzęsły się z łoskotem; Reynolds stał już całkowicie na zewnątrz, grabieżącymi palcami lewej dłoni przytrzymując się okna, lecz wiatr był teraz jego sprzymierzeńcem i dociskał go do wagonu.

Mimo że zapadał zmierzch, wciąż było w miarę jasno, jednakże Reynolds poruszał się po omacku, bo śnieg zalepiał mu oczy. Wiedział, że znajduje się na samym końcu wagonu, ale choć wyciągał prawą rękę za jego zaokrąglony róg, nie potrafił wymacać nic, czego mógłby się uchwycić. Wreszcie wychylił się maksymalnie do przodu, wciąż trzymając się okna lewą dłońią, i zaczął szukać oparcia dla prawej stopy; trafił na wąską poprzeczną stalową listwę nad buforami, ale kąt był zbyt ostry, aby na niej stanąć; samego bufora zaś nie mógł znaleźć. Lewa ręka, na której zwisał całym ciężarem, powoli mu cierpła, a palce miał tak skostniałe, że nie wiedział, czy jeszcze zaciskają się na ramie, czy się z niej zsuwają. Cofnął się do okna, żeby zmienić ręce, gdy nagle przypomniał sobie o latarce i ogarnęła go

wściekłość; ponownie zmienił ręce i jeszcze raz wychylił się, kierując mocny blask latarki na koniec wagonu. Kiedy światło rozproszyło szarość, zobaczył to, o co mu chodziło i zanotował sobie w pamięci wzajemne położenie podłużnej stalowej listwy, harmonijkowatej osłony przejścia między wagonami oraz stalowego bufora, który tańczył z boku na bok, przy każdym szarpnięciu pociągu zmieniając gwałtownie położenie wobec bufora następnego wagonu. Szybko podciągnął się do okna, schował latarkę do kieszeni. po czym bez dalszej zwłoki przystąpił do działania; choć nie chciał się do tego przyznać, podświadomie zdawał sobie sprawę, że jeśli zacznie zastanawiać się i analizować szanse powodzenia, dojdzie do wniosku, że prawdopodobieństwo tego, iż się poślizgnie, obsunie i wpadnie pod koła jest tak wielkie, że ze strachu nie uczyni kroku. Przesunął obie nogi na krawędź stopnia, oderwał lewą dłoń od okna i stał tak, przytrzymywany siłą wiatru, po czym maksymalnie wychylając się w lewo, uniósł do góry prawą nogę i zrobił nią krok na oślep. Przez moment wisiał w powietrzu, jedynie czubkiem buta dotykając oblodzonego stopnia, po czym nagle, kiedy but zaczął mu się ześlizgiwać, poczuł na plecach gwałtowne pchnięcie wiatru.

Wylądował lewym kolaniem na stalowej listwie, jednocześnie uderzając się boleśnie golem prawej o bufor: rozpostartymi ramionami usiłował przytrzymać się sztywnej, pofałdowanej powierzchni harmonijki, którą ugiwała się pod jego naporem. Impet upadku sprawił, że lewe kolano zsunęło mu się z listwy, a prawa noga zaczęła ześlizgiwać z oblodzonego bufora; widząc, że oba kolana ma skierowane niemal pionowo w dół, w stronę przelatujących pod kołami torów, rozpaczliwie napiął mięśnie podbicia prawej stopy i zahaczył butem o najcieńszą część bufora. Przez kilka sekund wisiał w tej pozycji. Nie zważając na okropny ból w prawej nodze, rwący jak przy złamanej kości, myślał tylko o tym, żeby się lepiej chwycić harmonijki; z rosnącą paniką czuł jednak, że jego palce zsuwają się po jej gładkiej, oblodzonej powierzchni. Rozpaczliwie wyciągnął w bok rękę, uderzając się

mocno o skraj wagonu, i zaczął przesuwając ją do przodu; wreszcie poczuł, jak rozpostarte palce trafiają na szparę między wagonem a osłoną przejścia. Chwycił się kurczowo za brzeg grubego, impregnowanego brezentu i po kilku sekundach - jedną ręką wciąż wczepiony w brezent - stał już obiema stopami na podłużnej listwie, dygocząc niepoohamowanie po straszliwym wysiłku.

Śnieg był jedynym powodem jego dygotania. Reynolds, który jeszcze przed chwilą bał się tak jak jeszcze nigdy w życiu, przekroczył niewidzialną granicę między lękiem a totalną obojętnością na wszelkie niebezpieczeństwo. Prawą ręką wydobyl nóż, otworzył, po czym wbił go w brezent na wysokości pasa: nawet jeśli dziesięć osób przechodziło akurat między wagonami, było mu wszystko jedno. kilka szybkich ruchów ostrym jak brzytwa nożem i już miał odpowiedni otwór, żeby wsunąć w niego czubek buta; mniej więcej na wysokości głowy wyciął następny. Wpychając but w pierwszy otwór, a lewą dłonią chwytając się drugiego, podciągnął się do góry, po czym wbił nóż aż po rękojeść w wierzch harmonijki. Jeszcze jeden silny ruch i już był na czubku, trzymając się rozpaczliwie noża, żeby hulający nad pociągiem wichry nie zdmuchnął go z rozkołysanego przejścia.

Pokonanie pierwszego wagonu - czyli czwartego, licząc od lokomotywy- okazało się stosunkowo proste. Środkiem dachu, wzdłuż całej jego długości, biegła wąska blaszana nadbudowa kryjąca szczeliny wentylacyjne; położywszy się po jej prawej stronie, żeby osłonić twarz od siekającej .zamięci, zaczął się czołgać wzdłuż nadbudowy, trzymając się jej rękami, i w niespełna pół minuty dotarł na początek wagonu. Przez całą drogę nogi zwisały mu nad krawędzią dachu. ale nic na to nie mógł poradzić; wąska rynna, o którą mógłby zaczepić czubki butów, była wypełniona lodem.

Zaczął się ostrożnie przemieszczać na pofałdowany wierzch harmonijki, ale gdy tylko puścił się blaszanej nadbudowy, zdał sobie sprawę, że to był duży błąd: powinien był skoczyć

szczupakiem od razu na dach następnego wagonu zamiast czołgać się po rozedrganym brezencie. Wicher stał się jeszcze bardziej niebezpieczny, to dał z taką siłą, że Reynolds zapierał się, żeby nie spaść, to cichł tak nagle, że Anglik tracił równowagę. Ale przywierając całym ciałem do brezentu i chwytając się kurczowo rękami za kolejne fałdy, wreszcie dotarł na skraj trzeciego wagonu.

Pokonanie go nie nastąpiło specjalnych trudności. Kiedy dotarł do następnego przejścia, usiadł na dachu. spuścił nogi na harmonijkę, po czym skoczył do przodu; huknął kolanem w krawędź dachu, ale na szczęście uchwycił się mocno osłony otworów wentylacyjnych.

Zdawało mu się, że minęło zaledwie parę sekund, a już był na przodzie wagonu: znów usiadł, żeby spuścić nogi i właśnie w tym momencie, niespełna dwieście metrów dalej, dojrzał biegnącą równoległe do torów szosę, a na niej światła samochodu, które to nikły w wirującym śniegu, to się pojawiały. Reynoldsa ogarnęła taka radość, że zapomniał o zmęczeniu, o zimnie, o zgrabiących dłoniach, które z najwyższym trudem zaciskał na blaszanej osłonie; mógł to, oczywiście, być jakiś inny samochód pędzący przez śnieżną zawieję. ale Anglik był pewien, że to ciężarówka Hrabiego. Przygarbił się, odbił stopami od brezentu i skoczył na dach pierwszego wagonu. Dopiero gdy na nim wylądował i ślizgał się bezradnie na brzuchu, zorientował się, że w przeciwieństwie do poprzednich, ten nie ma na szczycie nadbudowy osłaniającej otwory wentylacyjne.

Wpadł w panikę; rozpaczliwie suwając rękami i stopami po gładkiej, oblodzonej powierzchni, szukał jakiegoś otworu, o który mógłby się zaczepić. Po chwili jednak wziął się w garść, świadom że gwałtowne ruchy mogą zniwelować minimalny współczynnik tarcia między jego ciałem a dachem, sprawić, że zsunie się bezsilnie z wagonu i spadnie pod koła. Przecież muszą być jakieś wentylatory, powtarzał sobie w myślach, i nagle je dostrzegł: na dachu sterczały w równych odstępach cztery niewielkie kominy z nasadkami w kształcie

kapeluszy. W tym samym momencie zobaczył, że pociąg wchodzi w ostry zakręt; w wyniku siły odśrodkowej mężczyzna powoli, lecz nieuchronnie, zaczął się przemieszczać ku krawędzi wagonu.

Zsuwał się na brzuchu, stopami w dół, przebierając wściekle nogami w nadziei, że uda mu się skruszyć zamarznięty śnieg w rynience biegnącej wzdłuż wagonu i wetknąć w nią czubki butów. Lecz zamarznięty śnieg był twardy jak lód i wysiłki Reynoldsa okazały się daremne; zdał sobie z tego sprawę, kiedy uderzył się boleśnie goleniem o brzeg dachu. A pociąg nadal skręcał po długim łuku...

Kolana balansowały mu na skraju wagonu; wygiętymi w szpony palcami drapał oblodzoną powierzchnię dachu, łamiąc sobie paznokcie, ale wszystko bez skutku. Wiedział, że już nic nie jest w stanie go uratować, gdy wtem jakiś niepojęty instynkt - a musiał to być instynkt, bo w momencie zbliżającej się śmierci jego umysł praktycznie przestał funkcjonować - kazał mu wyciągnąć z kieszeni nóż, wyzwolić ostrze i wbić je w dach wagonu; gdyby tego nie uczynił, w następnej sekundzie jego biodra zsunęłyby się przez krawędź i byłoby po nim.

Nie miał pojęcia, jak długo leżał rozplaszczony na dachu trzymając się kurczowo noża. Może tylko kilka sekund. W końcu jednak zdał sobie sprawę, że zakręt się skończył i szyny znów biegną prosto, że siła odśrodkowa przestała go spychać, i że może się poruszać, choć musi zachować bezgraniczną ostrożność. Wolno, centymetr po centymetrze, wsunął nogi z powrotem na dach, po czym wyciągnął nóż, wbił go nieco dalej i podciągnął się do góry. Po chwili, znów używając noża, dotarł do pierwszego okrągłego wentylatora; chwycił się go mocno, jakby już nigdy nie zamierzał go puścić. Ale czas naglił; zostało już nie więcej niż dwie, trzy minuty. Musiał dotrzeć do następnego wentylatora. Wyciągnął rękę z nożem i uderzył z całej siły w dach, trafił jednak w stalową śrubę, bo nóż tylko się odbił; kiedy zbliżył

go do oczu przekonał się, że ostrze ułamało się przy samej rękojeści. Cisnął ją w bok, po czym zaparł się nogami o wentylator i odepchnął od niego; wpadł z impetem na następny, odległy o dwa metry. Wkrótce, przemieszczając się w ten sposób, był już przy trzecim wentylatorze, potem przy czwartym. I nagle sobie uświadomił, że nie wie, jak długi jest wagon, ile ma wentylatorów na dachu, czy jeśli znów się odbije, to nie przeleci przez krawędź i nie spadnie pod koła. Postanowił zaryzykować: oparł stopy o wentylator i już miał się odepchnąć, kiedy przyszło mu do głowy, że gdyby się trochę podniósł, może w świetle wydobywającym się z budki maszynisty zdołałby ujrzeć koniec wagonu, tym bardziej że śnieg nieco zelżał.

Ukląkł, ściskając wentylator między udami i wtem serce skoczyło mu do gardła, bo zaledwie metr dalej zobaczył brzeg wagonu zarysowany wyraźnie na tle czerwonej poświaty bijącej z paleniska lokomotywy. Poprzez coraz rzadziej prószący śnieg dojrzał w lokomotywie dwie postaci, maszynistę oraz palacza, który co rusz odwracał się i pochylał, żeby nabrać łopata węgiel z tendra i wrzucić do paleniska. Spostrzegł też kogoś, kogo zupełnie się nie spodziewał: uzbrojonego w automat żołnierza, który kucnął dla rozgrzewki przy rozdziawionym czerwonym pysku pieca. **Powinni** byli wziąć pod uwagę i taką ewentualność.

Reynolds sięgnął po rewolwer, ale ręce miał tak zgrabiłe, że nie potrafił nawet wsunąć palca w osłonę spustu. Wepchnął broń z powrotem do kieszeni i wstał, przytrzymując się nogami wentylatora, żeby nie dać się zdmuchnąć wiatrowi. Teraz albo nigdy. Zrobił krok do przodu, potem drugi i odbijając się prawą stopą od skraju wagonu, skoczył do przodu; przez moment unosił się w powietrzu, a potem zaczął zjeżdżać po osypujących się w dół pod jego ciężarem bryłach węgla, które znajdowały się w tendrze. Wylądował na boku i przez chwilę leżał tak, bez tchu, na podłodze budki maszynisty.

Wszyscy trzej, maszynista, palacz i żołnierz, obrócili się i ze zdumienia dosłownie opadły im szczęki. Minęło pięć sekund, pięć cennych sekund - dość czasu, aby Reynolds częściowo złapał oddech - zanim żołnierz wreszcie się ocknął; ściągnął automat z pleców i zamachnął się nim, mierząc kolbą w leżącego. Reynolds chwycił bryłę węgla, jedyne, co było pod ręką, i cisnął ją rozpaczliwym gestem w żołnierza, palce jednak miał tak zgrabiałe, że rzut mu nie wyszedł. Żołnierz schylił lekko głowę i bryła śmignęła nad nim. Na szczęście palacz nie chybił - uderzony łopata w tył głowy, żołnierz upadł jak długi.

Reynolds zerwał się z podłogi. W porwanym ubraniu, z okrwawionymi, zbielełymi od mrozu rękami i z twarzą czarną od węgla, stanowił dość niezwykły widok, choć w tym momencie nie zdawał sobie z tego sprawy. Popatrzył na palacza, potężnego młodzieńca o kręconych włosach, który miał na sobie koszulę z podwiniętymi rękawami zupełnie jakby nie czuł zimna, a potem na żołnierza leżącego u jego stóp.

- Strasznie tu gorąco. - Palacz uśmiechnął się. - Biedak zasłabł.

- Ale dlaczego...

- Słuchaj, przyjacielu, nie wiem, kim jesteś, ale wiem, kogo nie lubię. - Oparł się o łopatę.

- Możemy ci jakoś pomóc?

- Pewnie! - zawołał Reynolds i szybko wyjaśnił, o co chodzi.

Mężczyźni spojrzeli po sobie. Starszy, maszynista, wyraźnie się wahał.

- Musimy myśleć o sobie...

- Zobaczcie! - Reynolds rozchylił poły płaszcza. - Widzicie ten sznur? Weźcie go, dobrze, bo mam zbyt zgrabiałe palce. i zwiążcie sobie ręce. Jak...

- Jasne! - Palacz uśmiechnął się szeroko, a maszynista już sięgał po drążek hamulca. -

Napadnięto nas. Co najmniej z sześciu facetów. Powodzenia, przyjacielu!

Reynolds ledwo miał czas podziękować tym ludziom, którzy pomogli mu tak chętnie i

bez zbędnych pytań. Jadący pod górę pociąg zwalniał Reynolds wiedział, że musi dotrzeć szybko do ostatniego wagonu, zanim pociąg się całkiem zatrzyma, bo ponieważ stanie na pochyłości, siła bezwładności wagonu wywrze tak duży nacisk na złącze, że nie zdołałby go odczepić. Skoczył na ziemię z najniższego stopnia lokomotywy, wywinął koziółka. po czym poderwał się na nogi i biegiem ruszył na koniec składu. Pociąg wyraźnie stawał; powoli przetoczył się obok Reynoldsa wagon służbowy: widok Janskiego z bronią w dłoni otwierającego drzwi dodał mu otuchy.

Po chwili bufory zaczęły zderzać się ze zgrzytem i trzeć o siebie; lokomotywa zatrzymała się. Reynolds, świecąc sobie latarką, rozłączył za pomocą młotka hak cięglowy i sprzęg hamulcowy. Rozejrzał się szukając sprzęgu parowego, ale go nie znalazł - najwyraźniej wagon więzienny nie był ogrzewany. Już nic go nie łączyło z resztą składu. Janski, z kluczami w jednej ręce a bronią w drugiej, ukazał się w drzwiach wagonu służbowego i przeszedł na otwarty pomost więźniarki. Reynolds złapał za poręcz i też tam wszedł, kiedy nagle rozległ się chrzęst i wszystkie wagony - w wyniku rozprężania się ściśniętych sprężyn buforów zaczęły przesuwać się do tyłu; przedostatni wagon uderzył w ostatni z taką siłą, że ten z miejsca potoczył się w dół po długim, łagodnym zboczu.

Wielkie koło hamulca znajdowało się na zewnątrz więźniarki. Kiedy byli mniej więcej półtora kilometra od pociągu. Reynolds zaczął je obracać. Janski, który zmagał się z kluczami, wreszcie trafił na właściwy, przekręcił go w zamku, po czym kopniakiem otworzył drzwi i zaświecił do środka. Przejechali jeszcze z kilometr, zanim Reynolds dokręcił do końca koło i zatrzymał łagodnie wagon. Janski z profesorem stali obok niego, obaj uśmiechnięci - profesor, który w pierwszej chwili był tak oszołomiony, że w ogóle nie zareagował na ich widok, teraz cieszył się jak dziecko. Ledwo zeskoczyli na ziemię i ruszyli

w stronę szosy, zobaczyli jakąś postać biegnącą przez głęboki śnieg. Był to Hrabia, którego arystokratyczna powściągliwość zupełnie prysła; wrzeszczał, skakał i machał do nich jak szaleniec.

Rozdział jedenasty

Dojechali do kwatery głównej Janskiego, wiejskiej chaty znajdującej się około piętnastu kilometrów od austriackiej granicy, o wpół do siódmej nazajutrz rano. Dotarli tam po czternastu godzinach nieprzerwanej jazdy po oblodzonych zasypanych śniegiem drogach, po których posuwali się ze średnią prędkością niespełna trzydziestu kilometrów na godzinę: było to czternaście najzimniejszych, najprzykrzejszych i najbardziej wyczerpujących godzin, jakie Reynolds kiedykolwiek spędził w podróży. Jednakże choć zziębnięci, głodni, znużeni i senni, przybyli na miejsce w znakomitych humorach, w swoim uniesieniu zapominając o wszelkich niedogodnościach; jedynie Hrabia, po pierwszym wybuchu radości, kiedy zobaczył ich całych i zdrowych, w trakcie długiej nocnej podróży znów przeistoczył się w dawnego siebie, w człowieka, który patrzy na wszystko z dystansem i dozą cynizmu. W sumie pokonali tej nocy czterysta kilometrów; Hrabia prowadził przez całą drogę, robiąc tylko dwie krótkie przerwy na tankowanie - musiał oczywiście budzić pompowych, którzy byli tak zaspani, że gdyby nie groźny mundur AVO i jeszcze groźniejszy ton głosu Hrabiego, nie wystawiliby nosa na zewnątrz. Co jakiś czas, widząc coraz wyraźniejsze ślady zmęczenia na szczupłej twarzy Hrabiego, Reynolds miał ochotę zaproponować, że go zastąpi, lecz za każdym razem rozsądek nakazywał mu milczeć. Już podczas pierwszej wspólnej jazdy, wtedy gdy pędzili czarnym mercedesem, przekonał się, że Hrabia jako kierowca przewyższa wszystkich o kilka klas: na zradliwych, oblodzonych drogach on jeden gwarantował bezpieczne dotarcie do celu, a to było najważniejsze. Przez większość nocy Reynolds siedział obok niego, czasem drzemiąc, czasem go obserwując, podobnie jak Kozak; umieszczono ich

w szoferce, gdzie było cieplej niż w skrzyni. żeby odtajali. Kozak był jeszcze bardziej przemarznięty od Reynoldsa, i nic dziwnego, albowiem cały odcinek między Szekszardem a Peczem, odcinek liczący trzydzieści kilometrów, spędził na zewnątrz ciężarówki, na przednim zderzaku: trzymając się maski wycierał szybę ze śniegu, żeby Hrabia mógł jechać w zawiei. właśnie z tego zderzaka obserwował samobójczą wędrówkę Reynoldsa po dachach wagonów; teraz, kiedy patrzył na Anglika, na jego twarzy nie było już niechęci, a tylko bezgraniczny podziw.

Gdyby jechali bezpośrednio z Peczu do kwatery głównej Janskiego, mieliby do pokonania o połowę krótszą drogę, ale zarówno Jansci jak i Hrabia byli przekonani, że ta trasa doprowadziłaby

ich

tylko

do

jednego

celu-do

obożu

koncentracyjnego.

Osiemdziesięciokilometrowej długości jezioro Balaton blokowało na zachodzie dojazd do granicy austriackiej, a obaj mężczyźni nie mieli wątpliwości, że wszelkie, nawet najmniejsze drogi pomiędzy południowym końcem jeziora a Jugosławią są obstawione. Pozostałe trasy na zachód, między północnym końcem Balatonu i Budapesztem, mogły nie być pod ścisłą kontrolą, woleli jednak nie ryzykować. Dlatego zoczyli dwieście kilometrów na północ i objechali Budapeszt od północy, a potem skręcili w główną szosę wiodącą ze stolicy do Austrii i zjechali z niej na południowy zachód przed Góry.

Właśnie z tego powodu podróż zajęła im aż czternaście godzin, w czasie których pokonali czterysta kilometrów, docierając do celu zziębnięci, głodni i wyczerpani. Gdy jednak weszli do chaty, znużenie spadło im z ramion niczym płaszcz; Jansci i Kozak rozpalili w piecu ogień, Sandor zaczął przyrządzać jakąś wspaniale pachnącą potrawę, a Hrabia wydobyl butelkę palinki ze swoich zapasów w chacie; ulga, że wrócili bezpiecznie i radość, że udało im się wyprowadzić AVO w pole, sprawiły, że rozmowom i śmiechom nie było końca. Kiedy się posilili, a następnie rozgrzali ciała i ożywili umysły trunkiem, zapomnieli o zmęczeniu i senności. Spać mogli później, nawet i cały dzień, gdyż Jansci przed północą nie zamierzał przekraczać granicy.

Nastąpiła ósma; przez wielkie, nowoczesne radio, które Jansci niedawno wstawił do chaty, nadano dziennik i prognozę pogody. Na temat ucieczki z Szarhazy i uwolnienia profesora nie padło ani słowo, ale to ich nie zdziwiło: publiczne przyznawanie się do porażki nie leżało w naturze komunistów. według prognozy pogody w całym kraju miały trwać znaczne opady śniegu; wspomniano także, iż południowo-zachodnia część kraju, na wschód od Balatonu po Szeged przy jugosłowiańskiej granicy, została sparaliżowana przez największą śnieżycę od czasu wojny; wszystkie drogi i tory kolejowe były zasypane, lotniska zamknięte. mężczyźni popatrzyli po sobie z ulgą; gdyby przystąpili do działania dwanaście godzin później, ani uwolnienie profesora, ani ich ucieczka nie byłyby możliwe.

Nadeszła dziewiąta; choć za oknami znów padał gęsty śnieg, powoli zaczynało się przejaśniać. Minęła kolejna godzina, potem następna. Hrabia puścił w ruch nową butelkę palinki i zaczęli sobie opowiadać o swoich przejściach i przygodach. Jansci zdał sprawozdanie z pobytu w Szarhazy, Hrabia - który sam jeden wypił już pół butelki ubawił zebranych opisując spotkanie z Furmintem, a Reynolds ponownie, na prośbę wszystkich, zrelacjonował swoją niebezpieczną wędrówkę po dachach wagonów. Najbardziej gorliwym

słuchaczem okazał się stary profesor, którego podejście do komunistów - co Jansci i Reynolds zaobserwowali wcześniej, w trakcie spotkania z nim w Szarhazy - przeszło gwałtowną i radykalną metamorfozę. Zaczęło się od tego, jak powiedział, że odmówił wystąpienia na konferencji, dopóki nie dowie się, co jest z jego synem, a kiedy usłyszał, że Brian uciekł, postanowił i tak nie brać udziału; Rosjanie byli bezsilni. Ten bunt, oczywiście, pociągnął za sobą zmianę w ich stosunku do niego; najpierw wtrącono go do Szarhazy, co tylko rozwścieczyło profesora jeszcze bardziej, a potem w lodowatym wagonie towarowym, w jakim wozi się bydło, wysłano do Peczu. Ta zniewaga dopełniła miary i profesor szczerze zniechęcił swoich niedawnych gospodarzy. Kiedy w dodatku dowiedział się o torturach, jakim poddano Janskiego i Reynoldsa, jego oburzenie sięgnęło zenitu.

- Jeszcze zobaczą. - odgrażał się. - Do diabła, niech tylko wrócę do domu! Rząd brytyjski i jego cholerne rakiety mogą sobie poczekać; najpierw wezmę się za ważniejsze sprawy!

- Za jakie? - spytał spokojnie Jansci.

- Wezmę się za komunizm! - ryknął Jennings, opróżniwszy kolejny kieliszek palinki. - Nie chcę się chwalić, ale każda gazeta w Anglii chętnie użyje mi swoich łamów. `Wysłuchają mnie; zwłaszcza, kiedy przypomną sobie te bzdury, które wygadywałem wcześniej.

Zdemaskuję cały ten zgniły komunistyczny system, a kiedy skończę...

- Za późno - przerwał mu ironicznym tonem Hrabia. - Co znaczy za późno? - spytał gniewnie Jennings.

- Hrabia uważa, że komunizm już dawno został zdemaskowany - powiedział łagodnie Jansci. - I to przez ludzi, proszę się nie obrazić za to, co powiem, profesorze, którzy przecierpieli w tym systemie wiele lat. a nie tylko jeden weekend, jak pan.

- Jak to sobie wyobrażacie? Mam wrócić do Londynu i palcem nie kiwnąć? Do licha, przecież obowiązkiem każdego człowieka jest demaskować... - Umilkł na chwilę, a kiedy

znów się odezwał, był znacznie spokojniejszy. - Dobrze, rozumiem, może nieco późno przejrzałem na oczy, ale nawet jeśli nie ma co demaskować, to przynajmniej obowiązkiem każdego porządnego człowieka jest powstrzymanie tej zarazy, żeby się nie szerzyła, żeby...

- Za późno -przerwał mu sucho Hrabia.

- Hrabia chce przez to powiedzieć, że komunizm poza Rosją nigdzie nie odnosi sukcesów

- wyjaśnił Jansci. Więc skoro się nie szerzy, nie ma co powstrzymywać, profesorze Jennings.

Gdziekolwiek odnosi pewne drobne sukcesy, ale to wyłącznie wśród prostych ludów, jak mongolski, który daje się nabrać na piękne słówka i jeszcze piękniejsze obietnice, ale nie wśród nas, nie wśród Węgrów, Czechów, Polaków i innych nacji, nie w krajach, których obywatele są politycznie bardziej światli od Rosjan. Niech pan weźmie na przykład Węgrów; jaki odłam społeczeństwa. pana zdaniem, był najgłębiej przesiąknięty doktryną komunizmu?

- Zapewne młodzież - odparł profesor, z trudem powściągając zniecierpliwienie. -

Młodzież zawsze najprędzej ulega różnym ideologiom.

- Młodzież Jansci skinął głową. A także rozpieszczane pupile komunizmu: pisarze, intelektualiści i wyróżniani robotnicy przemysłu ciężkiego. A kto stanął na czele powstania przeciwko Rosjanom? Właśnie te same grupy: młodzież, intelektualiści i robotnicy. To, że uważam powstanie za zryw daremny i całkiem nie w porę, nie ma z tym nic wspólnego.

Powstanie udowodniło, że komunizm poniósł porażkę nawet wśród tych, na których względy mógł liczyć najbardziej, jeśli na czyjekolwiek mógł liczyć w ogóle.

- Powinien pan zobaczyć kościoły w moim kraju - wtrącił cicho Hrabia. -Co niedziela na każdej mszy są tłumy, w większości młodzieży. Gdyby pan to widział, nie martwiłby się pan tak bardzo szerzeniem się komunizmu, profesorze. W Polsce i na Węgrzech

komunizm poniósł totalną klęskę; jego zdumiewające powodzenie w takich krajach jak

Włochy czy Francja tłumaczy jedynie to, że dotąd nikt tam nie widział czegoś takiego. - Z

wyraźnym niesmakiem wskazał na mundur, który wciąż miał na sobie, po czym smutno pokiwał głową. - Natura ludzka to zaiste coś wspaniałego.

- Więc co, u licha, mam robić? - spytał gniewnie Jennings. - Po prostu zapomnieć o wszystkim?

- Nie. - Jansci potrząsnął głową, jakby ze znużeniem. To ostatnia rzecz, do jakiej namawiałbym pana lub kogokolwiek, profesorze; osobiście nie znam większej zbrodni, większego grzechu, niż obojętność. Nie, profesorze; chciałbym żeby po powrocie do domu powiedział pan wszystkim, że każdy z nas, tu, w Europie Wschodniej, ma tylko jedno życie, a czas ucieka. Że my też, zanim nastanie nasz koniec. chcielibyśmy choć raz poczuć słodki smak wolności. Niech pan powie, że czekamy już siedemnaście długich lat; trudno dłużej żyć nadzieją. Niech pan powie, że nie chcemy, aby nasze dzieci, i ich dzieci, musiały wiecznie kroczyć ponurą drogą niewoli, nie widząc na końcu żadnego światła. Niech pan powie, że nie chcemy wiele; trochę spokoju. zielonych pól, dzwonów kościelnych i dzieci bawiących się beztrąsko na słońcu, bez strachu, bez niedostatków, bez zastanawiania się, jakie ciemne chmury nadciągną nazajutrz.

Jansci pochylił się do przodu, zapominając o trzymanym w ręce kieliszku; jego zmęczona, pomarszczona twarz pod szopą siwych włosów była rumiana w blasku tańczących płomieni. Reynolds jeszcze nie widział go tak skupionego i mówiącego z takim przekonaniem.

- Niech pan powie swoim rodakom, że nasze życie i życie wielu przyszłych pokoleń leży w ich rękach. Niech pan im powie, że tylko jedno jest naprawdę istotne; żeby na ziemi zapanował pokój. Niech pan powie, że ziemia jest maleńka i że w dodatku kurczy się z każdym rokiem, ale jest naszym wspólnym domem: żyjemy i będziemy żyć na niej razem.

- Chodzi panu o pokojowe współistnienie spytał profesor, unosząc jedną brew.

- Tak jest, o pokojowe współistnienie. Wiem, że dla wielu jest to pomysł nie do

zaakceptowania, boją się go jak ognia, ale jakie jest wyjście, jeśli chcemy uniknąć okropności wojny atomowej, która byłaby niczym innym jak mszą żałobną za utracone nadzieje ludzkości? Pokojowe współistnienie musi nastąpić, jeśli ludzkość ma przetrwać. ale świat bez podziału na sfery wpływów, marzenie Cordella Hulla, wielkiego Amerykanina, nigdy nie stanie się realny dopóki narwani szaleńcy, których i u was jest pełno. profesorze, będą domagać się natychmiastowych, spektakularnych wyników. Nie stanie się realny tak długo, dopóki górę na Zachodzie będą brali zwolennicy polityki spadochronowych zrzutów, czyli pomagania nam dopiero wtedy. gdy coś robimy sami... Na miłość boską! Nigdy nie widzieli w akcji choć jednej mongolskiej dywizji, bo inaczej nie wygadywaliby takich aroganckich bredni! Nie stanie się też realny, dopóki ludzie na Zachodzie będą powtarzać niebezpieczne bzdury, że lud rosyjski jest w- rzeczywistości ich tajnym sprzymierzeńcem, dopóki będą głosić hasła typu "Poderwijmy lud rosyjski", lub niepotrzebnie słuchać rad osób, które wiele lat temu uciekły z tych naszych nieszczęsnych krajów i nie mają żadnego pojęcia o tym, jak myślimy i co czujemy dzisiaj. A przede wszystkim, nic się nie zmieni, jeśli nasi przywódcy i nasze rządy-, nasze gazety i spece od propagandy będą nam bez przerwy powtarzać. że mamy nienawidzić inne narody, gardzić nimi i lękać się ich, choć przecież dzielą z nami tę samą maleńką ziemię. Nacjonalizm tych, którzy krzyczą "My jesteśmy najwspanialszym narodem", szowinistyczna odmiana patriotyzmu

_ -to właśnie są największe bolączki naszego współczesnego świata, przeszkody na drodze do pokoju, których nikt nie umie pokonać. Czy możemy mieć nadzieję na lepszy świat. jeśli w taki właśnie ograniczony i przestarzały sposób będziemy rozumieć swoją powinność wobec własnego kraju! Nikomu i niczemu nie jesteśmy nic winni, profesorze, przynajmniej tu na ziemi. - Jansci uśmiechnął się. - Powiada się, że Chrystus przybył, aby zbawić ludzkość: może w wypadku Rosjan uczynił wyjątek.

- Jansci się stara panu powiedzieć, profesorze- wtrącił Hrabia - że wystarczy, aby cały Zachód rzeczywiście nawrócił się na chrześcijaństwo, a wówczas wszystko będzie dobrze.

- Niezupełnie. - Jansci potrząsnął głową. - To, co mówię, odnosi się bardziej do Związku Radzieckiego niż do Zachodu, lecz uważam, że właśnie Zachód powinien uczynić pierwszy krok. Jest dojrzalszy, bardziej świątły politycznie, a poza tym ludzie Zachodu nawet w części nie boją się Rosjan tak bardzo, jak Rosjanie ich.

- Słowa. -W tonie Jenningsa nie było już złości, nie było nawet ironii, a jedynie zaduma. - Słowa, słowa i tylko słowa. Słowa nie wystarczą, żeby nastał złoty wiek. Potrzeba czynów. Wspomniał pan o pierwszym kroku. Na czym ma polegać?

- Bóg jeden wie. -Jansci potrząsnął głową. - Gdybym ja wiedział, żadne imię w historii nie byłoby wymieniane z taką czcią jak moje. Jedyne, co człowiek może robić, to wysuwać pewne sugestie.

Nikt się nie odezwał; po chwili Jansci ciągnął dalej.

- Najważniejsze, jak sądzę, to przekonać wszystkich o potrzebie pokoju, o potrzebie rozbrojenia, a potem przekonać Związek Radziecki o pokojowych zamiarach Zachodu. Tak, o pokojowych zamiarach! - Roześmiał się smutno.-A tymczasem Anglicy i Amerykanie zapełniają zbrojownie państw- Europy Zachodniej bombami wodorowymi; ładny mi sposób przekonywania Rosjan o pokojowych intencjach! To raczej sposób na to, aby Związek Radziecki nie wypuścił ze swoich szponów państw satelickich, których w rzeczywistości wcale już nie chce, sposób, żeby popchnąć ludzi z Kremla - a wierzcie mi, to są ludzie wystraszeni do wystrzelenia pierwszej rakiety międzykontynentalnej; nie chcą tego, ale mogą to zrobić ze strachu, jeśli poczują się zaszczuci i przyciśnięci do muru: nie chcą, bo wiedzą lepiej niż ktokolwiek inny, że jeśli nawet schowają się w bunkrach głęboko pod Moskwą i jeśli nawet przetrwają nieunikniony atak odwetowy, nie ominie ich zemsta oszalałych

niedobitków piekła, które ogarnie ich kraj. Zbroić Europę to prowokować Rosjan do granic wytrzymałości; bez względu na to, co się robi, należy unikać prowokacji, zawsze zostawiać otwarte drzwi do rozmów, do negocjacji, nigdy ich nie zatrząskiwac, choćby druga strona odtrącała pokojowe awanse.

- Ja tam uważam, że trzeba baczyć na nich pilnie jak jastrząb-wtrącił Reynolds.

- A już myślałem, że trochę przejrzał na oczy- mruknął Hrabia. - Chyba nie uda się nam go zmienić.

- Może nie powiedział Jansci. Ale w tym wypadku ma rację. W jednej ręce potężna strzelba, w drugiej gałązka oliwna. Broń musi być jednak cały czas zabezpieczona, ręka pokoju trochę bardziej wysunięta do przodu. a ponadto trzeba uzbroić się w niezwykłą cierpliwość; ponaganie, pośpiech mogą doprowadzić świat do katastrofy. Cierpliwość, bezgraniczna cierpliwość. Czymże jest nasza duma w porównaniu z pokojem na świecie? Należy wychodzić Rosjanom naprzeciw we wszystkich możliwych dziedzinach kulturze, sporcie, literaturze, turystyce; wszystko, wszystko co prowadzi do bezpośrednich kontaktów i ukazuje bezsens szowinizmu, jest ważne, lecz największe możliwości leżą w handlu. Niech zasiądą z wami do jednego stołu;

nieważne na jakie będziecie musieli pójść ustępstwa, to i tak niewielka cena za rozproszenie podejrzeń drugiej strony, początek dobrej woli we wzajemnych stosunkach. I postarajcie się, żeby pomógł wam Kościół, tak jak to się dzieje tu czy w Polsce. Kardynał Wyszyński, idący ramię w ramię z Gomułą, wie znacznie więcej o tym, jak dążyć do pokoju światowego, który wreszcie musi nastać; niż ja kiedykolwiek będę wiedział. W całej Polsce ludzie mogą się dziś swobodnie poruszać, mówić co chcą, chodzić do kościoła, a kto wie, co jeszcze osiągną w ciągu najbliższych pięciu lat, wszystko dlatego, że ludzie o krańcowo różnych poglądach zdecydowali się wykazać dobrą wolę, postanowili rozmawiać i współdziałać ze

sobą, bez względu na koszty. Jakie każdy musiał ponieść, i na dumę własną. I to właśnie, uważam, jest najlepsza odpowiedź; nie proponowanie jakichś działań, jak chciał tego profesor Jennings, ale tworzenie klimatu dobrej woli, w którym czyny mogą kiełkować same i przynosić owoce. Zapytajcie rządy największych państw, które powinny wieść nasz chory świat do lepszego jutra, czego najbardziej im w tej chwili potrzeba, a odpowiedzą, że naukowców i jeszcze raz naukowców, tych nieszczęsnych, genialnych istot, które zrezygnowały ze swojej przyrodzonej niezależności, pogrzebały sumienia, sprzedały się rządowi i pracują bez wytchnienia, aż wreszcie stworzą ostateczną broń zagłady.

Janski urwał i ze znużeniem potrząsnął głową.

Rządy wielu państw może nie są szalone, lecz są ślepe, a ich ślepotą jest bliska szaleństwa - kontynuował po chwili. - Najbardziej pilnym i nagłym zadaniem przed jakim świat stoi, zadaniem nie mającym precedensu w historii, jest skupienie wszystkich wysiłków. Żeby poznać inne narody zamieszkujące ziemię, żeby poznać je tak dobrze jak znamy samych siebie: dopiero wówczas przekonamy się, że ci inni niczym się od nas nie różnią, a my sami bynajmniej nie mamy monopolu na prawość, sprawiedliwość i prawdę. Musimy nauczyć się myśleć o innych narodach nie tak, jak nam jest wygodnie, jako o jednej szarej, bezimiennej masie, lecz zacząć postrzegać, że te inne narody składają się z milionów małych ludzi takich jak my, więc mówienie o winie, grzechu i nikczemności całego narodu jest niesprawiedliwe i niechrześcijańskie; świadczy tylko o tym, że ktoś z premedytacją nie dostrzegą prawdy.

Czasem istotnie jakiś naród błądzi, zachowuje się nie tak jak powinien, ale nigdy nie postępuje w ten sposób z wyboru; przeciwnie, wynika to z jego niewiedzy, z nieświadomości, z tego że coś w przeszłości tego narodu lub w jego położeniu geograficznym nieuchronnie tak go właśnie ukształtowało, podobnie jak jakieś zapomniane wydarzenia lub wpływy, których obecnie ani nie pamiętamy, ani nie rozumiemy, uczyniły nas takimi, jakimi jesteśmy

obecnie. Za zrozumieniem i wiedzą przyjdzie miłosierdzie, a żadna siła nie jest w stanie konkurować z tym uczuciem; miłosierdzie, które sprawia, że społeczność żydowska apeluje do świata o pieniądze na pomoc dla ich zaprzysięgłych, lecz obecnie głodujących wrogów, arabskich uchodźców; miłosierdzie, które skłoniło radzieckiego żołnierza do oddania swojego karabinu Sandorowi: miłosierdzie - miłosierdzie zrodzone ze zrozumienia - które sprawiło, że niemal wszystkie wojska radzieckie stacjonujące w Budapeszcie odmówiły walki z Węgrami, których zdążyli przecież dobrze poznać. Miłosierdzie zatryumfuje, musi zatryumfować, lecz ludzie na całym świecie muszą tego pragnąć. Nie ma żadnej gwarancji, że stanie się to za naszych czasów. musimy próbować, bez względu na to jak słabe mamy szanse i liczyć na łut szczęścia; lepiej, żeby na łut szczęścia liczyli ludzie tacy jak my, powodowani nadzieją, iż powodowani desperacją ludzie u władzy zmuszeni do wystrzelenia pierwszej rakiety międzykontynentalnej. Żeby jednak nasze próby mogły przynieść sukces. najpierw potrzebne jest zrozumienie; zrozumienie, że barierami odgradzającymi od siebie ludzi są nie góry i rzeki, że przeszkody tkwią nie w geografii, lecz w umysłach. ignorancja i wynikający z niej brak tolerancji, niechęć do poznawania prawdy o innych, to właśnie jest ostatnia granica, jaka istnieje na ziemi.

Biedy Jansci skończył mówić, przez dłuższy czas jedynym dźwiękiem, jaki rozlegał się w pokoju, był trzask sosnowych szczap w kominku i łagodne syczenie wody, która gotowała się w czajniku. Siedzieli wpatrzeni w ogień, niemal zahipnotyzowani jego blaskiem, jakby pragnęli w płomieniach ujrzeć obraz przyszłości świata, o jakim marzył d Jansci. Ale to nie blask ognia ich tak zahipnotyzował, lecz cichy, uporczywy głos Janskiego który wciąż mieli w uszach. Z profesora dawno uleciał wszelki gniew, a Reynolds uśmiechał się do siebie, bo gdyby pułkownik Mackintosh wiedział, jakie myśli krążą teraz po głowie jego agenta, natychmiast wywaliłby go z pracy. Po pewnym czasie Hrabia wstał z miejsca i bez słowa

obszedł pozostałych. ` dolewając im palinki, po czym znów usiadł. Nikt nawet na niego nie spojrzał, nikt nie chciał pierwszy przerwać ciszy, a może nie chciał, żeby w ogóle ją przerwano. Siedzieli tak, zadumani, pogrążeni we własnych myślach. Reynoldsowi przypomniały się słowa dawno zmarłego angielskiego poety, który przed wiekami powiedział niemal dokładnie to samo co Jansci. I nagle ostry sygnał telefonu zakłócił ciszę - dźwięk ten tak dziwnie się wpasował w to, o czym Reynolds myślał, że w-chwili, w której usłyszał dzwonięcie, w chwili, o której wiedział, że nigdy jej nie zapomni, zapytał sam siebie: komu bije ten dzwon? Na odpowiedź nie musiał długo czekać: bił Jansciemu.

Jansci ocknął się z zadumy, wyprostował się, przeniósł szklanekę do prawej ręki, lewą zaś podniósł słuchawkę, przerywając natarczywy sygnał. Ledwo to uczynił, z drugiego końca linii doleciał wszystkich rozdzierający, przeciągły krzyk pełen bólu i cierpienia, który z chwilą gdy Jansci przyłożył słuchawkę do ucha przeszedł w cienki, koszmarny szept. potem padło kilka pojedynczych, jakby wyszczekanych słów, a następnie odezwał się piskliwy, szlochający głos. Tego, co mówił, zebrani w pokoju mężczyźni nie potrafili odgadnąć; docierały do nich tylko niewyraźne, przytłumione dźwięki. Jansci tak mocno przyciskał słuchawkę do ucha, że aż mu zbiegały kłykcie. Obserwowali w milczeniu jego twarz - stopniowo przybierała coraz bardziej kamienny, nieruchomy wyraz, a z policzków odpływała krew; wkrótce prawie nie różniła się kolorem od śnieżnobiałych włosów generała. Minęło dwadzieścia, może trzydzieści sekund, w czasie których Jansci nie wypowiedział ani słowa, gdy wtem rozległ się brzęk tłuczonego szkła: kieliszek, który trzymał w dłoni. pękł i spadł na posadzkę rozbijając się na setki drobnych kawałeczków; z pokrytej bliznami, zdeformowanej ręki trysnęła krew i kropla po kropli zaczęła kapać na roztrzaskane naczynie. Jansci nawet nie tego zauważył; cała jego uwaga i wszystkie myśli skupione były na tym, co się działo na drugim końcu linii. Wreszcie powiedział "Zadzwoń do pana", przez chwilę milczał, po

czym niskim, zdławionym głosem szepnął "Nie, nie" i to był koniec rozmowy. Obecni w pokoju mężczyźni ponownie usłyszeli ten sam potworny krzyk bólu co wcześniej, który nagle się urwał, jakby przecięty gilotyną, w momencie gdy Jansci cisnął słuchawkę na widelki.

Generał odezwał się pierwszy; głos miał ochrypły, pozbawiony życia.

- Ale jestem niezdarny Popatrzył na rozciętą rękę, po czym wyjął chusteczkę i przyłożył do rany. - Szkoda tak pysznej palinki. Przepraszam. Wołodia.

Nigdy dotąd w towarzystwie innych nie zwracał się do Hrabiego po imieniu.

- Na Boga, co to wszystko miało znaczyć? Co to było? szepnął drżącym z przejęcia głosem profesor. Ręce tak bardzo mu się trzęsły, że wylał na podłogę zawartość kieliszka.

- Odpowiedź na wiele niewiadomych - odparł Jansci. Owinął chustką dłoń, zacisnął ją w pięść, żeby utrzymać opatrunek na miejscu i wbił wzrok w żar paleniska. Wyjaśniło się dlaczego Imre znikł i dlaczego zaczęto podejrzewać Hrabiego. Po prostu złapali chłopaka, zabrali go na ulicę Stalina i zanim go wykończyli, wpierw ucięli sobie z nim pogawędkę.

- Imre nie żyje? - szepnął Hrabia. - Boże, wybac. A ja myślałem, że stchórzył i nas porzucił. - Nie do końca pewien o co chodzi, spojrzął na telefon. - Czy to jego...

- Nie. On zmarł wczoraj. Biedny chłopak, taki zagubiony i samotny. To była Julia. Przed śmiercią wydusili z niego gdzie się ukrywa, pojechali na wieś i zgarnęli ją, akurat gdy się do nas wybierała. Z niej z kolei wydobyli informacje o miejscu naszego pobytu.

Reynolds poderwał się na nogi tak gwałtownie, że krzesło na którym siedział, przewróciło się z hukiem na podłogę. Zęby miał obnażone niczym wściekłe zwierzę.

- To był krzyk Julii - powiedział zduszonym, zmienionym nie do poznania głosem. -

Torturowali ją! Torturowali Julię.

- Rozmawiałem z Julią; Hidas dał jej słuchawkę, żeby przekonała nas, że on mówi prawdę. -

-Jansci ukrył twarz w dłoniach; kiedy mówił dalej, ledwo go było słychać. - Ale nie torturowali jej. Torturowali Katię i dlatego Julia powiedziała im, gdzie jesteśmy.

Reynolds popatrzył na generała nie rozumiejącym wzrokiem, Jennings z zakłopotaniem i lękiem, Hrabia zaś zaczął przeklinać, wyrzucając z siebie nie kończący się stek bezsensownych obelg. Z nas trzech on jeden wie, co się stało, pomyślał Reynolds, a gdy Jansci zaczął mamrotać coś do siebie, nagle sam również pojął o co chodzi i zrobiło mu się słabo; nogi się pod nim ugięły, podniósł więc krzesło i czym prędzej usiadł.

- Wiedziałem, że nie umarła. Zawsze wierzyłem, że żyje. Nigdy nie straciłem nadziei, prawda, Wołodia? Wiedziałem, że żyje... O Boże, dlaczego nie pozwoliłeś jej umrzeć? Dlaczego nie zesłałeś na nią śmierci

A więc jednak żona Janskiego żyła. Julia sądziła, że matka umarła, że serce przestało jej bić wkrótce po tym, jak ją zabrali avocy, ale ona żyła. Ta sama nadzieja i wiara, która nie pozwoliła Janskiemu zwątpić i która dawała mu siłę do nieustannych poszukiwań, ta sama wiara i nadzieja, że kiedyś znów będą razem, podtrzymała w Katii iskierkę Tycia. Ale teraz mieli ją w swoich rękach! Hidas dlatego wyjechał z Szarhazy w takim pośpiechu, bo wiedział gdzie ją znaleźć, tak, ci dranie z AVO mieli ją w swoich rękach... i mieli też Julię, co było jeszcze gorsze, tysiąc razy gorsze. Różne wspomnienia - same, nie proszone - zaczęły się cisnąć Reynoldsowi do głowy; przypomniał sobie figlarny uśmiech dziewczyny, wtedy gdy po pobycie na Wyspie Małgorzaty pocałowała go na pożegnanie, głęboką troskę na jej twarzy, gdy zobaczyła co mu zrobił Koko, sposób, w jaki na niego patrzyła, kiedy zbudził się ze snu, przygnębienie i smutek w jej oczach, kiedy tknęło ją złowrogie przeczucie... Nagle, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, znów poderwał się z krzesła.

- Jansci, skąd Hidas dzwonił? -Mimo dzikiej wściekłości, jaka go dławiała, głos miał spokojny.

- Z Andrassy. Co za różnica, Michael?

- Uwolnimy je, twoją żonę i Julię. Pojedziemy tam we dwóch, Hrabia i ja, i uwolnimy je.

- Jeśli komukolwiek mogłoby się to udać, to tylko wam – odparł generał. - Ale obawiam się, że nawet wy nie dacie rady. - Blady, ledwo dostrzegalny uśmiech wypełził powoli na jego usta. - Zadanie, tylko powierzone zadanie, nic więcej się nie liczy. To twoje credo, Michael, twoje motto życiowe. A przecież swoje zadanie już wykonałeś. Co by o tobie pomyślał pułkownik Mackintosh, gdyby cię teraz usłyszał?

- Nie wiem. Nie mam zielonego pojęcia i prawdę mówiąc, niewiele mnie to obchodzi. Skończyłem z tą robotą raz na zawsze. Skończyłem z pracą dla pułkownika Mackintosha i dla wywiadu, więc jeśli nie masz nic przeciwko temu, Hrabia i ja...

- Chwileczkę. - Jansci podniósł rękę. - Nie powiedziałem wam wszystkiego, sprawa jest znacznie bardziej skomplikowana niż wam się wydaje... Pan coś mówił, profesorze?

- Katia - szepnął starzec. - Co za dziwny zbieg okoliczności. Moja żona ma na imię Catherine, czyli po waszemu właśnie Katia.

- Obawiam się, że łączy nas więcej niż to jedno. - Przez kilka długich chwil generał siedział wpatrując się tępo w ogień, potem przeniósł wzrok na Jenningsa. - Anglicy posłużyli się pańską żoną, żeby zmusić pana do powrotu, a teraz Hidas...

Ależ tak, oczywiście - szepnął profesor. Ręce już mu się nie trzęsły, a na jego twarzy nie było śladu strachu. Przecież to jasne, inaczej by nie dzwonił. Jestem gotów do drogi.

- Do drogi? - zdziwił się Reynolds. - O co mu chodzi?

- Gdyby znał pan Hidasę tak dobrze jak ja - rzekł Hrabia - nie musiałby pan pytać. Prosta wymiana, prawda, Jansci? Katia i Julia w zamian za profesora Jenningsa?

- Tak powiedział. Że oddadzą mi żonę i córkę, jeśli zwrócę im profesora. - Generał potrząsnął głową, wolno i zdecydowanie. - Oczywiście, to wykluczone. Nie pozwolę na to.

Nie zgadzam się, profesorze. Bóg raczej wie, co z panem zrobią, kiedy znajdzie się pan w ich rękach.

- Musi się pan zgodzić. Nie mogę tu zostać. - Jennings wstał i popatrzył z góry na Janskiego. - Nie wyrządzą mi żadnej krzywdy, za bardzo mnie potrzebują. Patsską żonę, Jansci, pańska córka... Czym jest moja wolność w porównaniu z ich życiem? Nie ma wyjścia. Muszę jechać.

- Jeśli ja odzyskam moją rodzinę, pan już nigdy nie zobaczy swojej. Czy zdaje pan sobie z tego sprawę?

- Tak-odparł profesor, cicho, lecz z niezłomną stanowczością. - Jestem tego świadom. Ale rozłąka z bliskimi, choć przykra, jest jednak do wytrzymania. Jeżeli wrócę do Budapesztu, obie nasze rodziny będą żyły i kto wie, może kiedyś los znów- się do mnie uśmiechnie. Jeżeli nie wrócę, pańska żona i córka zginą. Chyba nie ma pan co do tego wątpliwości?

Jansci pokiwał smutno głową. Mimo niepokoju, jaki w nim narastał, mimo bezsilnej złości, Reynolds z całego serca współczuł generałowi, współczułby każdemu, kto musiałby stanąć przed tak okrutnym, nieludzkim wyborem: w tym wypadku sytuacja była o tyle bardziej trudna i nieprzyjemna, że wyboru musiał dokonać człowiek, który zaledwie kilka minut temu głosił, że komunistów trzeba się starać zrozumieć, pomóc im, pojednać się z nimi. Po chwili Jansci chrząknął przecyszczone gardło i zanim jeszcze się odezwał, Reynolds wiedział co usłyszy.

- Nawet pan nie wie, profesorze, jak bardzo się cieszę, że na swój skromny sposób mogłem przyczynić się do tego. by pana uratować. Jest pan odważnym i dobrym człowiekiem i nie pozwolę, żeby umierał pan ani za mnie, ani za moich bliskich.

Powiem pułkownikowi Hidasowi...

- Nie. Ja powiem - przerwał mu Hrabia. Podszedł do aparatu, pokręcił korbką i podał telefonistce numer. Pułkownik uwielbia przyjmować raporty od niższych rangą oficerów...

Nie, Jansci zostaw to mnie. Zawsze mi dotąd ufałeś, więc zaufaj i tym razem.

Nagle zamilkł, wyprostował plecy, po czym rozluźnił się i uśmiechnął.

- Pułkownik Hidas? Mówi były major Howarth... Zdrowie i samopoczucie? Doskonałe...

Tak, zastanowiliśmy się nad pańską propozycją i z kolei ja mam panu coś do zaproponowania. Wiem; jak bardzo musi panu mnie brakować, bądź co bądź byłem najlepszym oficerem AVO i jeśli pan pamięta, powiedział to nie byle kto, bo pan we własnej osobie.

Więc chciałbym jakoś temu zaradzić. Jeśli zagwarantuję panu, że po przyjeździe na Zachód Jennings będzie trzymał język za zębami czy zgodzi się pan przyjąć mnie, który - nie przeczę

- jestem tylko marną namiastką profesora, w zamian za uwolnienie żony i córki generała Iljurina? ...Dobrze, poczekam. Ale proszę się pospieszyć.

Odwrócił się, jedną ręką zasłonił mikrofon, a drugą podniósł do góry uciszając okrzyki sprzeciwu Janskiego i profesora, który w dodatku usiłował wyrwać mu słuchawkę.

- Uspokójcie się, panowie, i nie martwcie się o mnie. Szlachetny zwyczaj składania się w ofierze nie bardzo mi odpowiada, a jeśli chodzi o ścisłość, nie odpowiada mi w ogóle... A, pułkownik Hidas... No tak, tego się niestety obawiałem.. Uraził pan moją dumę,

pułkowniku, ale cóż, rzeczywiście jestem tylko drobną płotką... Czyli albo profesor albo...

Nie, sam wręcz na to nalega... Tak, ale wymiana na pewno nie odbędzie się w Budapeszcie.

Uważa nas pan za głupców, pułkowniku? Jeśli pojedziemy do stolicy, będziecie mieli całą trójkę, obie kobiety i profesora... Skoro upiera się pan przy Budapeszcie, to dziś w nocy profesor Jennings przekroczy granicę węgierską i ani pan, ani nikt inny nie zdoła temu przeszkodzić... Zdaje pan sobie sprawę co to... aha, widzę, że poszedł pan po rozum do głowy, zawsze był pan człowiekiem trzeźwo myślącym.. Proszę uważnie słuchać. Mniej

więcej trzy kilometry na północ stąd - gdybyście mieli kłopoty ze znalezieniem tego miejsca, córka generała wam pomoże - od głównej szosy odchodzi w lewo boczna droga; ciągnie się osiem kilometrów aż do niewielkiej rzeczki, która wpada do Raby. Tam, przy promie, będziecie na nas czekać. Trzy kilometry dalej na północ znajduje się drewniany most. My się udamy tamtędy, przejedziemy mostem na drugi brzeg. potem wysadzimy most w powietrze, żeby uniemożliwić wam pościg, a następnie ruszymy na południe. Spotkamy się po dwóch stronach rzeki na wysokości domku przewoźnika i tam dokonamy wymiany więźniów.

Przeprowią się przez rzekę promem; jest to niewielka, łatwa w obsłudze łódź umocowana do liny, za którą się samemu ciągnie. Czy wszystko jasne?

Przez dłuższą chwilę Hrabia milczał; w ciszy, jaka panowała w pokoju, słychać było jedynie niewyraźny, nieco metaliczny pomruk dochodzący z drugiego końca linii. Po pewnym czasie Hrabia znów się odezwał:

- Chwileczkę. - Zasłonił ręką mikrofon i zwrócił się do Janskiego: - Hidas chce nam udzielić odpowiedzi dopiero za godzinę; twierdzi, że musi mieć zgodę rządu. To całkiem możliwe. ale równie możliwe, a nawet bardziej prawdopodobne jest to, że ściągnie w tym czasie wojsko, które nas otoczy albo poleci lotnictwu, żeby zbombardowało chatę.

- ryło z tego nie wyjdzie. - Jansci pokręcił głową. Najbliższe jednostki wojskowe stacjonują w Kaposar na południe od Balatonu, a z komunikatów-radiowych wynika, że ten teren jest zupełnie odcięty od świata.

- A najbliższe bazy lotnicze znajdują się przy czeskiej granicy. - Hrabia popatrzył na szarość za oknem i śnieg, który wciąż prószył. - Nawet jeśli lotniska są jeszcze czynne, to przy takiej pogodzie nie odnajdzie nas żaden samolot. To co, ryzykujemy.

- - Ryzykujemy.

Hrabia zdjął rękę ze słuchawki.

- Zgoda, pułkownika. Dajemy panu godzinę. Jeśli zadzwoni pan choć o minutę

Później, już nas pan nie zastanie. I jeszcze jedno. Kiedy ruszy pan z Budapesztu, pojedzie pan trasą przez Wyłok. Nie życzę sobie, żeby odcinał nam pan inne drogi ucieczki...

Dobrze pan wie, jak liczną organizacją kieruje generał Iljurin i zapewniam pana, że wszystkie szosy na południe od Szombathely będą obserwowane. Jeżeli tylko na którejś pojawi się samochód czy ciężarówka, to nasze spotkanie nie dojdzie do skutku. A więc do zobaczenia, pułkownika... Mniej więcej za trzy godziny, tak? Au revoir.

Odłożył słuchawkę.

- Widzicie, panowie, jaki jestem cwany zwrócił się do Janskiego, Reynoldsa i Jenningsa. -

Nie narażając się na żadne niebezpieczeństwo zdobyłem sobie opinię rycerskiego człowieka, który gotów jest bezinteresownie poświęcić się dla sprawy. Ale rakiety są ważniejsze od zemsty: Hidasowi bardziej zależy na profesorze. mamy trzy godziny czasu.

Jedna już prawie minęła. Powinni ją byli przeznaczyć na sen, wszyscy bowiem padali ze zmęczenia i dawno nie mieli okazji odpocząć, ale jakoś nikomu nie przyszło to do głowy. Nie przyszło do głowy Janskiemu, który spacerował przed chatą, oszołomiony i szczęśliwy, że wkrótce ujrzy swoją Katię, a zarazem zatroskany, gnębiony wyrzutami sumienia, z silnym postanowieniem w sercu, że nie puści profesora na śmierć. Na pomysł snu nie wpadł również profesor: nie zamierzał spędzić w łóżku ostatnich kilku godzin, jakie pozostały mu na wolności. Kozak, który szykując się do stoczenia chwalebnej walki ze znenawidzonymi awokami, jak zwykle ćwiczył różne sztuczki z biczem, też oczywiście nie myślał o odpoczynku. Podobnie jak Sandor, który nie zważając na siarczasty mróz chodził krok w krok za Janskim nie chcąc, żeby w takiej chwili generał był sam. . Hrabia zaś pił, dużo i właściwie bez przerwy, zupełnie jakby już nigdy więcej miał nie zobaczyć butelki palinki. Z dwóch poprzednich sam jeden opróżnił ponad połowę, a teraz otwierał trzecią. Reynolds

przyglądał mu się z niemym podziwem. Mimo ogromnej ilości pochłoniętego alkoholu,

Hrabia sprawiał takie wrażenie jakby pił czystą wodę.

- Uważa pan, że za dużo piję? - Hrabia uśmiechnął się. - Łatwo to wyczytać z pańskiej twarzy.

-Nie. Ma pan prawo robić co się panu podoba. - Słusznie..Lubię palinkę.

Ale... - Co, przyjacielu?

Reynolds wzruszył ramionami. - Ale nie dlatego pan pije.

- Nie? - Hrabia uniósł pytająco brew. - A dlaczego? Żeby utopić w kieliszku zmartwienia?

- Może. Lecz chyba nie swoje, a Janskiego - odparł z namysłem Reynolds. I nagle miał przebłysk świadomości. -.tuż wiem. Nie umiem odgadnąć skąd w panu ta pewność, ale jest pan święcie przekonany, że wkrótce będą razem, Jansci, Katia i Julia. Z Janskiego smutek wyparował, w panu pozostał. Niedawno mieliście jednakowo zasępione oblicza, a teraz w pojedynkę dźwiga pan brzemień smutku i odczuwa go z podwójną siłą.

- Jansci coś panu mówił? - Nie. Nic.

- No dobrze. - Hrabia spojrzał na niego z zadumą. Wierzę panu. W ciągu tych kilku dni przybyło panu dziesięć lat, przyjacielu. Już nigdy nie będzie pan taki jak dawniej.

Rzeczywiście zamierza się pan wycofać ze służby wywiadowczej?

- Tak. To było moje ostatnie zadanie. - I chce się pan ożenić z piękną Julią?

- Mój Boże! Czy to... czy to aż tak widoczne?

- Wszyscy wiedzieliśmy, że pan ją kocha, zanim jeszcze pan to sobie uświadomił.

Reynolds, zdumiony, zmarszczył czoło.

- No więc tak. Pragnę ją poślubić. Tylko nie wiem, czy mnie zechce. ,

- Niech pana o to głowa nie boli. Znam się na kobietach. - Hrabia złączył ręce. -Widać,

że wpadł jej pan w oko. - Mam nadzieję. - Nagle umilkł, zawahał się i popatrzył

Hrabiemu w oczy. - Bardzo sprytnie zmienił pan temat.

- Tak. Przepraszam. To są pana sprawy osobiste, nie powinienem był tak obcesowo pytać o pańskie zamiary. Czasami pycha to prawdziwe przekleństwo. - Napełnił szklankę palinką, pociągnął łyk, po czym sięgnął po paczkę rosyjskich papierosów, mimo że przed chwilą skończył palić. - Jansci szukał swojej żony, a ja swojego synka-oznajmił ni stąd ni zowąd. - Za miesiąc skończyłby dwadzieścia lat, zresztą nie wiem, może skończy. może żyje.

- To było pana jedyne dziecko?

- Nie, jedno z pięciu; dzieci miały matkę, dziadka, wujków. o pozostałe dzieci i resztę rodziny się jednak nie martwię. Ich już nic złego nie spotka.

Reynolds nie odezwał się, bo co mógł powiedzieć? Z tego co mówił Jansci wiedział, że Hrabia stracił wszystko, co posiadał i wszystkich, których kochał. Dotąd nie znał historii jego synka.

- Zabrali mnie, kiedy mały miał trzy latka. Wciąż go widzę przed oczami jak stoi na śniegu i patrzy zdziwiony, nie rozumiejąc co się dzieje. Nie ma dnia, żebym o nim nie myślał. Czy żyje? Czy ktoś się nim zaopiekował? Czy ma się zimą w co ubrać? Czy dobrze się odżywia? A może chodzi chudy, wygłodzony? A co jeśli nikt go nie przygarnął? Chociaż nie, każdy ulitowałby się nad takim malcem. Często się zastanawiam jak wyglądał i jak teraz wygląda. Właściwie myślę o tym bez przerwy. Jaki ma uśmiech, czy lubi się śmiać, czy jako chłopiec lubił biegać, bawić się... Cały czas marzyłem o tym, żebyśmy mogli być razem, żebym mógł go widywać codziennie, przeżywać te wszystkie cudowne chwile, jakie przeżywają rodzice, kiedy ich dziecko dorasta, ale niestety nie było mi to dane, te najwspanialsze lata jego dzieciństwa dawno minęły i teraz jest już za późno. Czas mija

bezpownotnie. To dziecko trzymało mnie przy życiu, ale kiedyś nadchodzi wreszcie taki moment, kiedy człowiek uświadamia sobie prawdę. Ja ją sobie uświadomiłem dziś rano. Już nigdy nie zobaczę syna. Niech Bóg go ma w opiece.

- Przykro mi, że spytałem pana o powód picia - szepnął Reynolds. - Przepraszam. -

Zamilkł, a po chwili dodał nie wiem, dlaczego to powiedziałem. Bo wcale nie jest mi przykro. Przeciwnie, cieszę się.

- O dziwo, ja też. - Hrabia opróżnił do końca kieliszek. po czym ponownie go napełnił i spojrzał na zegarek. Kiedy po chwili się odezwał, znów był dawnym sobą, drwiącym, energicznym, pewnym siebie człowiekiem. - Palinka ma tę właściwość, że wywołuje rzewny nastrój, ale i go rozwiewa. Pora na nas, przyjacielu. Minęła godzina. Nie możemy siedzieć tu bez końca. Tylko szaleniec ufałby Hidasowi.

- Czy Jennings musi...

- Musi. Jeśli go nie dostaną, wtedy Katia i Julia... - Zginą? Tak?

- Niestety.

-- Rosjanom strasznie musi zależeć na profesorze.

- Nawet pan sobie nie wyobraża jak bardzo. Już sama ucieczka Jenningsa na Zachód byłaby dla nich ciosem, po którym długo nie mogliby się pozbierać, a gdyby w dodatku profesor zaczął opowiadać o tym, co się tu działo, ponieśli by niepowetowane straty.

Śmiertelnie się tego boją. Dlatego zadzwoniłem do Hidasu i zaproponowałem mu siebie: wiem jak bardzo chce mnie dostać w swoje ręce. Skoro nie zgodził się, to znaczy, że na profesorze zależy im sto razy więcej.

- Ale dlaczego? - spytał z napięciem Reynolds.

- Już nigdy nie będzie dla nich pracował - odparł Hrabia, nie dając odpowiedzi wprost.

- I oni dobrze o tym wiedzą.

- Czyli...

- Czyli chcą zapewnić sobie jego milczenie -dokończył szorstko. -Jest na to tylko jeden sposób.

- Wielki Boże! Nie możemy go puścić, nie możemy mu pozwolić iść na śmierć, nie...

- Zapomina pan o Julii - przypomniał delikatnie Hrabia.

Reynolds ukrył twarz w dłoniach; był zbyt skołowany, zbyt roztrzęsiony, żeby jasno myśleć. Stał tak może z pół . minuty, może minutę i nagle podskoczył na dźwięk telefonu, którego ostry, natarczywy terkot zakłócił panującą w chacie ciszę. Hrabia błyskawicznie sięgnął po słuchawkę. - Tu Howarth. To pan, pułkowniku Hidas?

Jansci z Sandorem pośpiesznie wrócili do pokoju i nie strzepując śniegu z głów i ramion zbliżyli się do stołu, ale tak jak poprzednio jedyne, co było słyhać, to niewyraźny metaliczny pomruk dochodzący z drugiego końca linii.

Wszyscy z napięciem patrzyli na Hrabiego, który oparł się niedbale o ścianę i powoli, bez celu, wodził wzrokiem po pokoju. Nagle wyprostował się i zmarszczył brwi: głęboka bruzda przecięła mu czoło.

- Wykluczone. Dałem panu godzinę, pułkowniku. Nie mniemy dłużej czekać. Myśli pan, że jesteśmy tacy głupi, żeby siedzieć tu dopó...

Urwał w pół słowa i przez chwilę słuchał jak Hidas coś zawzięcie peroruje, po czym nagle rozległo się ciche pyknięcie; Hrabia spojrział na słuchawkę, w której buczał ciągły sygnał, i powoli odłożył ją na widełki. Odwrócił się przygryzając dolną wargę i pocierając kciukiem o palec wskazujący.

- Coś mi tu nie pasuje - powiedział wreszcie. Ten sam niepokój, który malował się na jego twarzy, był wyczuwalny w jego głosie. - Coś mi się nie podoba. Hidas twierdzi, że minister, który władny jest podjąć decyzję, przebywa akurat na wsi, a ponieważ linie telefoniczne są

tam zerwane, musieli wysłać po niego samochód. Może minąć jeszcze pół godziny, albo i więcej, zanim... Kretyn! Idiota!

- Kto? Co? - spytał Jansci.

- Jak to kto? Ja! - Wątpliwości, które jeszcze przed chwilą go dręczyły, znikły bez śladu; choć starał się zachować spokój, z jego głosu przebijał nerwowy pośpiech. Sandor, leć i włącz silnik! Bierzemy granaty, dynamit do wysadzenia mostu i telefon połowy. Ruszać się! Na Boga, szybciej!

Nikt o nic nie pytał. Zanim minęło dziesięć sekund, wszyscy stali na zewnątrz, w śnieżycy, i ładowali sprzęt do ciężarówki, a niecałą minutę później jechali nierówną, wyboistą drogą w stronę szosy.

Jansci marszcząc w zamyśleniu czoło, spojrzali pytająco na Hrabiego.

- Dzwonił z budki telefonicznej - wyjaśnił cicho Hrabia. - To karygodne niedbalstwo z mojej strony, że od razu na to nie wpadłem. Jak myślisz, dlaczego pułkownik Hidas, oficer AVO, korzysta z budki? Dlatego, że wyjechał już z Budapesztu. Założę się, że poprzedni telefon też nie był z Budapesztu, tylko z jednostki w Góry. A kiedy ja dzwoniłem na Andrassy, pewnie mnie przełączyli. Skurczybyk jest już w drodze i ucieka się do różnych chytrych wybiegów, byleby tylko zatrzymać nas jak najdłużej na miejscu. Minister na wsi, zerwane druty telefoniczne, oficjalne pozwolenie. to wszystko lipa, bujda na resorach! I pomyśleć, że daliśmy się nabrać! Budapeszt, cholera! Wyruszył z Budapesztu kilka godzin temu! Pewnie jest już jakieś dziesięć kilometrów stąd. A my- siedzieliśmy jak grzeczne myszki czekając cierpliwie na pojawienie się kota. Jeszcze kwadrans i byłoby po nas!

Rozdział dwunasty

Dygocząc z zimna czekali przy słupie telefonicznym na skraju lasu, wypatrując wroga poprzez chwilowo rzednący śnieg. Niedostatek snu, nadmierne zmęczenie oraz zdradliwe

ciepło, które ogarnęło ich po wypiciu palinki i teraz szybko się ulatniało, wszystko to sprawiło, że byli słabo przygotowani do choćby krótkiego czuwania na mrozie.

Na bazie nie czekali długo. Upłynęło zaledwie piętnaście minut odkąd opuścili chatę; najpierw dojechali polną drogą do hakowatego, murowanego mostu, potem skręcili w główną szosę wiodącą na zachód i po dwustu metrach dotarli do skraju lasu: tam zaparkowali wśród drzew ciężarówkę. Hrabia i Sandor wysiedli wcześniej, żeby podłożyć na moście ładunki wybuchowe. Reynolds z profesorem wzięli szybko po kilka gałęzi, zrobili z nich prowizoryczne miotły i pobiegli na most pomóc Hrabiemu i Sandorowi zatrzeć ślady po kołach, a następnie przysypać śniegiem przewody, które przeciągnęli od ładunku do lasu, gdzie Sandor pozostał w ukryciu, z ręką na uchwycie detonatora. Zanim Hrabia, Reynolds i profesor wrócili do ciężarówki, Jansci z Kozakiem, który z małpią zwinnością potrafił wspiąć się na każde drzewo i słup, zdążyli już podłączyć aparat polowy do drutów telefonicznych wiodących do chaty.

Minęło dziesięć minut, dwadzieścia, pół godziny, śnieg wciąż prószył niezbyt obficie, mróz przenikał ich do szpiku kości, a wroga jak nie było tak nie było. Jansci i Hrabia, coraz bardziej zaniepokojeni nieobecnością Hidas, zaczęli wietrzyć podstęp. Spóźnianie się, zwłaszcza kiedy szło o tak wysoką stawkę, nie leżało w stylu AVO, a pułkownik Hidas - jak oświadczył Hrabia - nigdy się nie spóźniał. Może utknęli na zaśnieżonej, nieprzejezdnej drodze, może Hidas zignorował instrukcje, może właśnie w tej chwili jego ludzie blokowali wszystkie drogi prowadzące do granicy i próbowali zająć ich od tyłu? Hrabiemu jednak wydawało się to mało prawdopodobne; wiedział, że Hidas jest święcie przekonany, iż Jansci kieruje wielką i dobrze zorganizowaną grupą oporu, a to że generał mógł nie przedsięwziąć tak oczywistych środków ostrożności jak wystawienie posterunków na drodze, zapewne w ogóle nie przyszło mu do głowy. Lecz nie ulegało wątpliwości, że pułkownik coś knuje, a był

to niezwykle groźny przeciwnik, o czym przekonało się wielu opozycjonistów dogorywających obecnie w obozach koncentracyjnych, którzy w swoim czasie nie docenili przebiegłości i uporu tego chudego, zgorzkniałego Żyda. Tak, Hidas wyraźnie coś szykował. Te podejrzania potwierdziły się, gdy tylko jego siły pojawiły się w polu widzenia. Nadjechał ze wschodu ogromną, krytą zieloną ciężarówką, która jak wyjaśnił Hrabia - stanowiła ruchomą kwaterę główną Hidas: mieściła biuro, kuchnię i miejsce do spania; towarzyszyła jej druga ciężarówka, mniejsza, brązowa, prawdopodobnie pełna morderców z AVO. Tego się akurat Hrabia z Janscim spodziewali. Nie spodziewali się jednak trzeciego pojazdu, przez który zapewne wynikło całe opóźnienie: był to wielki, opancerzony transporter na półgąsienicach, wyposażony w groźnie wyglądające szybkostrzelne działo przeciwpancerne, równe prawie połowie długości samego wozu. mężczyźni zebrani przy słupie na skraju lasu wymienili zdumione spojrzenia, nie potrafiąc zrozumieć czemu ma służyć ten pokaz siły. Odpowiedź dostali już wkrótce.

Hidas dokładnie wiedział co ma robić-przypuszczalnie wydobył od Julii informację, że boczne szczytowe ściany chaty Janskiego są bez okien - bo nie marnował ani chwili na rekonesans, tylko natychmiast przystąpił do działania; jego znakomicie wyszkoleni ludzie przeprowadzili całą akcję gładko i niezwykle sprawnie. Kiedy dzieliło je około pięciuset metrów od drogi prowadzącej bezpośrednio do chaty, obie ciężarówki przyspieszyły, zostawiając w tyle transporter; przez chwilę pędziły równo obok siebie, potem przyhamowały, skręciły z drogi na most, z piskiem opon zajechały pod chatę, gdzie rozdzieliły się i stanęły dokładnie naprzeciw ścian bez okien, każda w odległości kilku metrów. Ledwo się zatrzymały, ze środka wyskoczyli uzbrojeni agenci, którzy szybko zajęli pozycje za pojazdami, za niedużymi zabudowaniami gospodarczymi i za drzewami na tyłach chaty.

Zanim ostatni z avoków zdążył dobiec na miejsce, ogromny transporter skręcił z drogi, a potem z lufą działa groteskowo wymierzoną w niebo wcisnął się na wąski most, dosłownie ocierając się bokami o jego poręcze, przetoczył się na drugą stronę i zatrzymał mniej więcej pięćdziesiąt metrów przed chatą. Minęła jedna sekunda, druga. Po czym rozległ się krótki, ostry świst wylatującego z działa pocisku, a następnie potężny huk, gdy pocisk trafił w ścianę, tuż pod oknami na parterze. Tynk i kawałki cegły posypały się na wszystkie strony, a powietrze zrobiło się gęste od dymu. Upłynęło kilka sekund, pyt wzniecony pierwszym wybuchem nie miał nawet czasu opaść, kiedy drugi pocisk ugodził w chatę, może metr dalej od pierwszego, a potem trzeci, czwarty i piąty; wkrótce trzymetrowej długości dziura ziała we frontowej ścianie chaty.

- Wredny, podstępny skurwysyn - mruknął pod nosem Hrabia. Twarz miał pozbawioną wyrazu. - Wiedziałem, że nie można mu ufać, ale nie wiedziałem, że aż do tego stopnia. - Urwał, czekając, aż ucichnie niosący się echem huk kolejnego wystrzału. - Oglądałem to setki razy. To technika, którą Niemcy opracowali do perfekcji w Warszawie. Jeśli chce się zburzyć dom nie blokując ulicy, wystarczy podziurawić parter i budynek zawali się do środka. Dodatkową zaletą tej metody jest to, że wszyscy ukrywający się w nim giną na miejscu, przysypani gruzami.

- Chcą nas... Myślą, że jesteśmy w środku? - spytał drżącym głosem profesor Jennings: na jego bladej twarzy malowało się przerażenie.

- A pan uważa, że odbywają niewinne ćwiczenia strzelnicze? - zirytował się Hrabia. - Oczywiście, że myślą, że tam jesteśmy! I na wszelki wypadek, gdyby szczury próbowały wybiec z nory, Hidas porozstawiał wkoło swoje terie ry.

-- Rozumiem. - Głos Jenningsa był nieco bardziej opanowany. - Wygląda na to, że się pomyliłem. Moje usługi są dla Rosjan znacznie mniej warte niż mi się wydawało.

- Nie ma pan racji - skłamał Hrabia. - Zależy im na panu, i to bardzo, ale podejrzewam, że jeszcze bardziej zależy im na śmierci generała Iljurina i mojej. Jansci to wróg numer jeden komunistycznych Węgier i Hidas po prostu zdaje sobie sprawę, że taka szansa może się już więcej nie powtórzyć. Musiał ją wykorzystać, nawet kosztem pańskiego życia.

Reynolds czuł, jak powoli narasta w nim dziwne uczucie: podziw zmieszany ze złością.

Był zły na Hrabiego, że ukryła prawdę przed Jenningsem i pozwala mu wierzyć, że nic mu nie grozi, że wymiana wciąż jest możliwa, a zarazem był pełen podziwu dla niego za to, że na oczekaniu potrafi wymyślić tak wiarygodne wytłumaczenie.

- Dranie, bydlaki, kanalie - powtarzał Jennings, nie mogąc wyjść ze zdumienia.

- Istotnie trudno myśleć o nich inaczej niż w tych kategoriach - powiedział Jansci wzdychając ciężko. - Czy któryś... czy któryś z was je widział?

Nie musiał wyjaśniać o kogo mu chodzi; zrozumieli jego pytanie i w milczeniu potrząsnęli głowami. - Nie? To chyba trzeba zadzwonić do naszego przyjaciela. Złącze telefoniczne mieści się pod szczytem. Pewnie jeszcze go nie zniszczyli.

I faktycznie. Kiedy strzały na moment ucichły i Jansci pokręcił korbką aparatu polowego, w czystym, mroźnym powietrzu wyraźnie usłyszeli odgłos dzwoniącego w chacie telefonu, wyraźnie też usłyszeli rozkaz wstrzymania ognia i zobaczyli mężczyznę, który wybiegł z za rogu machając do strzelców w opancerzonym wozie. Prawie natychmiast skierowano działo w bok. Kolejny rozkaz i przycupnięci wkoło żołnierze pospiesznie wyszli z ukrycia: część ruszyła na tyły chaty, część w stronę frontu. Ci z przodu budynku, nisko pochyleni, skradali się ostrożnie wzdłuż zburzonej ściany, co jakiś czas prostując się energicznie i dotykając lufy automatów w rozbite szyby. Dwóch kopnęło drzwi, zrywając je z mocno nadwyrężonych zawiasów, i weszło do środka. Nawet z tej odległości grupa na skraju lasu z łatwością rozpoznała pierwszego z nich, albowiem nie sposób było pomylić potężną, gorylowatą

sylwetkę Koko z kimkolwiek innym.

- Teraz rozumiecie, dlaczego nasz zacny pułkownik tak długo cieszy się życiem? - spytał

Hrabia. - Zawsze stara się ograniczyć ryzyko do minimum.

Wkrótce kolos, wraz z drugim avokiem, ukazał się ponownie w wejściu i powiedział coś agentom pilnującym okien na zewnątrz; wyraźnie odprężyli się, a jeden pobiegł szybko za róg. Wrócił dosłownie po chwili. Towarzyszył mu mężczyzna, który skierował swoje kroki prosto do chaty. O tym, że był to pułkownik Hidas, zebrani na skraju lasu przekonali się kilka sekund później, kiedy w nakładanych na głowę słuchawkach polowego telefonu rozległ się jego metaliczny głos. Brzmiał całkiem donośnie, gdyż Jansci tylko jedną słuchawkę przyłożył do ucha, drugą trzymając tak, żeby wszyscy słyszeli rozmowę.

- Generał Iljurin, jak się domyślam? - Głos Hidas był spokojny, opanowany, lecz Hrabia zbyt dobrze go znał, by nie wyczuć w nim nuty złości.

- Owszem. Czy to w ten sposób dżentelmeni z AVO dotrzymują słowa, pułkowniku?

- Nie bawmy się w dziecinne pretensje, generale. Jeśli wolno spytać, skąd pan dzwoni?

- To całkiem bez znaczenia - rzekł Jansci. - Czy przywiózł pan z sobą moją żonę i córkę?

w aparacie zaległa cisza; dopiero po dłuższej przerwie pułkownik przemówił znów.

- Naturalnie. Przecież obiecałem. - Chciałbym je zobaczyć.

- Nie ufa mi pan?

- Zbędne pytanie. Powtarzam: chciałbym je zobaczyć. - muszę się chwilę zastanowić-

odparł Hidas; w słuchawkach znów zaległa cisza.

- Wcale się nie zastanawia - powiedział pośpiesznie Hrabia. - Cwaniak nie potrzebuje się zastanawiać. Chce zyskać na czasie. Wie, że skoro go widzimy, on też powinien móc nas dojrzeć. Ta pierwsza pauza była właśnie po to; mówił swoim ludziom żeby...

Okrzyk, który doleciał z chaty, potwierdził słowa Hrabiego, zanim ten zdążył je do końca

wypowiedzieć; moment później z budynku wyłonił się człowiek, który pobiegł ile sił w nogach do transportera.

- Zobaczyli nas - oznajmił cicho Hrabia. - Albo nas, albo ciężarówkę. Wiecie, co teraz zrobią?

- Nietrudno zgadnąć. - Jansci rzucił na ziemię aparat polowy. - Kryjcie się! Nie wiadomo tylko, czy będą strzelać stamtąd, czy podjadą bliżej.

- Podjadą. - Reynolds nie miał cienia wątpliwości. Woła, żeby drzewa nie blokowały pocisków.

I nie mylił się. Zanim skończył mówić, wielki dieslowski silnik zawarczał i transporter wolno wtoczył się na polanę przed chatą, zatrzymał się i zaczął wykręcać.

- Tak. - Jansci skinął głową. - Nie ruszaliby się z miejsca, gdyby chcieli strzelać stamtąd. Działo obraca się o trzysta sześćdziesiąt stopni.

Wyszedł zza drzewa, przeskoczył przez zaśnieżony rów, stanął na drodze i uniósł ręce wysoko nad głowę, stykając je z sobą: był to umówiony znak dla czekającego w ukryciu Sandora, żeby nacisnął detonator.

Nikt się nie spodziewał tego, co nastąpiło, nawet Hrabia, który nie podejrzewał, że Hidasa aż tak rozsierdził ich fortel. Z leżących na ziemi słuchawek doleciał go rozkaz "Ognia!" i zanim Hrabia zdolał ostrzec swoich towarzyszy, zgromadzeni przed chatą avocy zaczęli strzelać. Mężczyźni na skraju lasu czym prędzej skoczyli za drzewa, kryjąc się przed gradem kul lecących ze świstem w ich stronę; jedne wbijały się z głuchym łoskotem w najbliższe pnie, inne rykoszetowały i ze złowrogim gwizdem pędziły głębiej w las, by tam - już z mniejszą siłą - ugrzęznąć w korze drzew, jeszcze inne łamały pokryte śniegiem gałęzie strącając z nich biały puch, który łagodnie opadał ku ziemi. Jeden Jansci nie miał ani czasu, ani możliwości się skryć; zachwiał się, zatoczył i runął bezwładnie na

szosę niczym zrąbane przez drwala drzewo. Reynolds wyskoczył zza osłony, gotów rzucić się Jansciemu na pomoc, gdy raptem ktoś chwycił go za ramię i brutalnie wciągnął z powrotem za pień.

- Chce pan zginąć? - Głos Hrabiego drżał z wściekłości, lecz nie była ona wymierzona w Reynoldsa.-Jansci chyba jeszcze żyje. Porusza nogą.

- Nie możemy go tak zostawić! - oburzył się Reynolds; chciał skorzystać z tego, że terkot automatów ustał równie niespodziewanie jak się zaczął.-Zaraz znów będą strzelać!

Podziurawią go jak sito!

- A więc tym bardziej nie powinien się pan tam pchać. - Ale Sandor czeka na znak! Na pewno nie zdążył zobaczyć...

- Sandor nie jest głupcem. I bez znaku wie, co ma robić. - Hrabia wyjrzał ostrożnie zza drzewa i zobaczył opancerzony transporter, który podskakiwał na polnej drodze. tocząc się w stronę mostu. - Jeśli teraz wysadziłby most w powietrze, to cholerne działo wykosiłoby nas z odległości. Albo, co gorsza, transporter wykręciłby, a potem na wstecznym biegu przejechał przez strumyk na naszą stronę. Sandor dobrze o tym wie. Niech pan patrzy!

Reynolds spojrział we wskazanym kierunku. Transporter wolno zbliżał się do celu. Jeszcze dziesięć metrów. jeszcze pięć i wtoczywszy się na mostek, zaczął się wspinać po jego wybrzuszeniu. Na co ten Sandor czeka, zaraz będzie za późno, pomyślał z niepokojem Reynolds, gdy nagle błysnęło i rozległ się niski, przytłumiony huk, cichszy niż Anglik oczekiwał. W następnej chwili rozległ się łoskot walącego się mostu, po nim rozdierający, metaliczny chrzęst zakończony łąpieniem, które wstrząsnęło ziemią nie mniej niż sam wybuch: pojazd wpadł do wody, uderzając długą lufą działa we wspornik po drugiej stronie strumyka; pękła i wygięła się do góry pod przedziwnym kątem. zupełnie jak wykonana z tektury.

- Nasz przyjaciel ma idealne. wycucie czasu - stwierdził Hrabia z zadowoleniem, które dziwnie kontrastowało z gniewnym grymasem jego ust. Ledwo tłumiąc wściekłość. podniósł telefon polowy i z furią pokręcił korbką.

- Hidas? Tu Howarth - wycedził. - Ty głupcze! Ty durniu! Wiesz, kogoście postrzelili?

- Skąd mam wiedzieć? I dlaczego miałoby mnie to obchodzić? - Lekkość i swada znikły z głosu pułkownika: najwyraźniej przejął się utratą transportera.

- Zaraz wyjaśnię dlaczego. - Hrabia był już całkiem opanowany, jego głos brzmiał miękko, niemal atlasowo. Lecz wyczuwało się w nim groźbę.- Postrzeliliście Janskiego. Jeśli nie żyje, radzę panu przyłączyć się do nas, kiedy w nocy będziemy przekraczać granicę z Austrią.

- Idiota! Oszalał pan, czy co?

- Niech pan najpierw mnie wysłucha. a potem sam oceni. Jeżeli Jansci nie żyje, nie zależy nam ani na jego żonie, ani córce. Możecie z nimi zrobić, co wam się podoba. Jeśli Jansci nie żyje, o północy będziemy już poza granicami Węgier i w ciągu dwudziestu czterech godzin wszystkie gazety w Europie Zachodniej i Ameryce, wszystkie gazety w wolnym świecie, zamieszczą na pierwszych stronach wielkie, opatrzone tłustym nagłówkiem artykuły opisujące historię profesora Jenningsa. Pańscy mocodawcy, zarówno ci w Moskwie, jak i w Budapeszcie, wpadną w istną furję. Osobiście dopilnuję, żeby prasa zachodnia dokładnie opisała naszą ucieczkę oraz rolę, jaką pan, pułkowniku, odegrał w całej sprawie. Przy odrobinie szczęścia czeka pana zsyłka na Syberię albo na budowę Kanału Czarnomorskiego, ale bardziej prawdopodobne jest, że po prostu pan zniknie. Tak, jeśli Jansci nie żyje, pan też już długo nie pocieszy się życiem. Dobrze pan o tym wie. pułkowniku.

Po kilku sekundach milczenia Hidas wreszcie przemówił.

- Może on jednak żyje, majorze wymamrotał ochryple. - W tym cała pańska nadzieja.

Zaraz pójdę to sprawdzić. Jeśli miłe jest panu życie, niech pan przywoła do porządku te

swoje wściekle psy.

- Natychmiast wydam rozkaz, żeby nie strzelali. Hrabia odłożył telefon i napotkał wzrok Reynoldsa.

- Pan nie żartował? Naprawdę zostawiłby pan Julię i jej matkę na pastwę...

- Mój Boże! Za kogo mnie pan uważa?! Przepraszam. nie chciałem na pana naskoczyć.

Ale z tego wniossek, że brzmiałem przekonująco, hm? Jasne, że blefowałem, ale Hidas o tym nie wie; zresztą nawet gdyby zamiast się przerazić, domyślił się, że blefuję, i tak wolałby nie ryzykować. Mamy go w garści. A teraz chodźmy, pewnie już przywołał do nogi te swoje ogary.

Wbiegli razem na szosę i pochylili się nad Janscim. Leżał na wznak, nieruchomo, z wyrzuconymi na boki rękami i nogami, ale oddech miał spokojny, równomierny. Od razu dostrzegli gdzie został trafiony - krew, która sączyła się z długiej rany sięgającej od skroni po ucho, jaskrawo odcinała się od śnieżnobiałych włosów. Kucnąwszy koło przyjaciela, Hrabia zmierzył mu puls, po czym wyprostował się.

- Jeśli ktoś myśli, że Janskiego tak łatwo zabić, to się grubo myli - oznajmił z szerokim uśmiechem ulgi. - Na szczęście kula go tylko drasnęła; może doznał lekkiego wstrząsu mózgu, ale czaszkę ma całą. Za jakieś dwie, trzy godziny dojdzie do siebie. Na razie przenieśmy go...

- Ja go przeniosę - powiedział Sandor, który niepostrzeżenie wyłonił się z lasu. Delikatnie odepchnął obu mężczyzn, jedną rękę wsunął pod nogi Janskiego, drugą pod jego tors i podniósł go z taką łatwością jakby podnosił kilkuletnie dziecko. -Czy bardzo z nim źle?

- Nie, jest tylko draśnięty... Świetnie się spisałeś tam przy moście. No, do roboty. Zanieś Janskiego do ciężarówki i ułóż wygodnie. Ty, Kozak, bierz kombinerki, włącz na słup i czekaj na mój sygnał. A pan, panie Reynolds, proszę uprzejmie włączyć silnik. Niech się chwilę

nagrzeje.

Wydawszy polecenia, sięgnął po telefon i uśmiechnął się cierpko słysząc w słuchawce niespokojny oddech Hidasasa.

- Ma pan szczęście, pułkowniku. Jansci jest poważnie ranny, kula trafiła go w głowę, ale będzie żył. A teraz niech pan słucha uważnie. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że nie można panu ufać, choć to oczywiście nie jest dla mnie żadnym odkryciem. Dokonanie wymiany tu i teraz absolutnie nie wchodzi w grę; nie mamy gwarancji, że dotrzyma pan słowa, raczej istnieje duża szansa, że znów pan będzie starał się nas przechytrzyć. Zrobimy tak: pojedzie pan prosto wzdłuż pola; wiem, że zwały śniegu utrudnią wam jazdę, ale dzięki temu my zyskamy na czasie; a pan mając tylu ludzi do dyspozycji jakoś sobie poradzi.

Pięćset metrów dalej jest drewniany pomost, którym możecie przejechać przez strumyk; wiedzie od niego droga, która prowadzi do szosy. Szosą dotrzecie prawie do samego promu.

Czy wszystko jasne?

- Tak- odparł Hidas; sądząc po jego głosie, odzyskał dawną pewność siebie. - Będziemy tam najszybciej jak się da.

- Będziecie za godzinę. Ani minuty później. Nie zamierzam ryzykować, że wyśle pan kogoś po dodatkowe posiłki i odetnie nam wszystkie drogi ucieczki na Zachód. Aha, i niech pan nie traci swojego cennego czasu na to, żeby wzywać pomoc telefonicznie. Kiedy skończymy rozmowę, każę przeciąć druty. Tutaj, jak również pięć kilometrów dalej na północ.

- Za godzinę? - W głosie Hidasasa słychać było przerażenie. - Przecież zanim odgarniemy śnieg... i diabli wiedzą, w jakim stanie jest ta droga, o której pan mówi. Jeżeli nie zdążymy w ciągu godziny...

- To nas nie zastaniecie.

Hrabia rozłączył się, skinął na Kozaka, żeby przeciął druty, po czym zajrzał do skrzyni ciężarówki sprawdzić, czy Jansci leży w wygodnej pozycji, a następnie szybko zajął miejsce za kierownicą. Silnik, uruchomiony przez Peynoldsa, pracował miarowo; już po chwili, podskakując na nierównościach terenu, wyjechali z lasu na główną szosę i ruszyli w kierunku północno-wschodnim, gdzie pierwsze ciemne smugi zapadającego zmierzchu zaczęły otulać pokryte śniegiem góry rysujące się na tle szarego, ołowianego nieba.

I Było już prawie całkiem ciemno, znów prószył gęsty śnieg i nie zanosilo się na to. Aby miał przestać padać. Nagle Hrabia zjechał z szosy, która ciągnęła się wzdłuż rzeki, skręcił w wąską, wyboistą drogę i mniej więcej po dwustu metrach zatrzymał ciężarówkę na dnie małego, opustoszałego kamieniołomu. Reynolds ocknął się z zadumy i popatrzył zdziwiony.

- Nie jedziemy do promu? - spytał.

- Jest trzysta metrów stąd. Gdybym zostawił ciężarówkę na widoku, mogłaby okazać się dla Hidasas zbytnią pokusą.

Reynolds skinął głową i nic nie odpowiedział - w ogóle bardzo mało mówił, odkąd opuścili chatę Janskiego: podczas jazdy nie zamienił z Hrabią ani słowa, z Sandorem zaś tylko kilka krótkich zdań, kiedy zatrzymali się, żeby wysadził drewniany most, którym przejechali na drugi brzeg rzeki. Nie potrafił się uporać z własnymi myślami: targały nim sprzeczne uczucia i dręczyła straszliwa obawa o Julię; jeszcze nigdy w życiu o nikogo tak się nie lękał. Najgorsze było to, że stary Jennings gadał jak najęty i robił co mógł, żeby podnieść swoich towarzyszy na duchu; Reynolds po raz pierwszy widział go w takim nastroju, podejrzewał jednak, nie mając ku temu właściwie żadnych podstaw, że profesor mimo tego co mówił Hrabia - wie, że zginie wkrótce. Nie mógł pogodzić się z tą myślą, było dla niego wprost nie do przyjęcia, że dzielny Staruszek ma iść na pewną śmierć. Ale jeśli nie odda się

w ręce Hidasa, zginie Julia. Siedział w ogarniającym szoferkę mroku zaciskając aż do bólu pięści. choć nie dopuszczał tego do swojej świadomości, w głębi serca wiedział, że istnieje tylko jedno wyjście z sytuacji.

Hrabia uchylił okienko dzielące szoferkę od skrzyni ciężarówki.

- Co z Janscim? - spytał.

- Rusza się - odparł łagodnym, niskim głosem Sandor. I coś mamrocze pod nosem.

- Świetnie. Głupi strzał w głowę nie wystarczy, żeby zabić Jansciego.-Na moment Hrabia zamyślił się, po czym ciągnął dalej: - Nie możemy go tak zostawić. Zimno tu jak w psiarni, a poza tym kiedy odzyska przytomność, nie będzie wiedział gdzie się znajduje, ani gdzie myśmy się podzieli. Musimy...

- Zaniosę go do domku przewoźnika.

Po pięciu minutach doszli na miejsce. Biały, murowany budynek usytuowany był w połowie drogi między- szosą a stromą, kamienistą skarpią. Rzeka miała w tym miejscu około piętnastu metrów; szerokości, płynęła leniwie, ospale i nawet w ciemności widać było, że jest dość głęboka. Zostawiwszy innych przed drzwiami budynku, który stał frontem do rzeki, Hrabia z Reynoldsem zeskoczyli ze skarpy na żwirowaty brzeg i podeszli do samej wody. Prom czekał przy brzegu-była to blisko czterometrowej długości łódź bez silnika i bez wiosła, którą przeprawiano się przez rzekę dzięki mocno napiętej linie rozciągniętej pomiędzy wbitymi w ziemię na obu brzegach żelaznymi słupami. Lina przechodziła przez trzy krążki, z których dwa znajdowały się na końcach łodzi, a jeden umocowany był do drążka sterczącego z ławy pośrodku; pasażerowie po prostu przeciągali się wraz z łodzią wzdłuż liny. Reynolds nigdy dotąd nie spotkał się z podobnym urządzeniem, ale musiał przyznać, że trudno było sobie wyobrazić lepsze, skoro miały się nim przeprawić samotnie dwie kobiety. prawdopodobnie niewiele wiedzące o łodziach. Hrabia zdawał się podzielać

jego zdanie.

- Nadaje się idealnie. Układ terenu po drugiej stronie też mi bardzo odpowiada.

Wskazał ręką na przeciwny brzeg, na drzewa rosnące w oddali i otaczające półkolem pustą, zaśnieżoną polanę, której środkiem wiodła droga biegnąca od szosy; dochodziła do samej rzeki.

- Wprost wymarzone miejsce. Powinno skutecznie zniechęcić do podstępnych knoń naszego przyjaciela, który niewątpliwie w tej właśnie chwili rozkoszuje się w myślach wizją swoich ludzi pochowanych w krzakach tuż nad brzegiem wody i prujących do nas bezkarnie z automatów. Z całą skromnością twierdzę, że trudno byłoby o lepsze miejsce do dokonania wymiany... No, pora złożyć wizytę przewoźnikowi; czeka go niespodziewana i jakże rzadka okazja do zażycia ruchu.

Drzwi otworzyły się, akurat gdy Hrabia podnosił rękę, żeby w nie zastukać. Mężczyzna najpierw spojrzał na czapkę intruza, potem na legitymację, którą ten trzymał w dłoni: oblizał spierzchnięte wargi. Na Węgrzech nie było trzeba mieć nic na sumieniu, żeby drzeć na widok ludzi z AVO. - Sami tu mieszkacie? - zapytał Hrabia.

- Tak, nikogo... nikogo więcej tu nie ma. Czy coś się stało? - Mężczyzna wyraźnie usiłował wziąć się w garść. Ja nic złego nie zrobiłem! Przysięgam, towarzyszu!

- Wszyscy tak mówią - odparł chłodno Hrabia. - Idźcie po palto, czapkę i wracajcie natychmiast.

Po kilku sekundach przewoźnik stał z powrotem w drzwiach wciągając na głowę futrzaną czapę. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Hrabia go powstrzymał.

- Potrzebujemy na krótko waszego domu. Ta sprawa was nie dotyczy. Wy sami też nas nie interesujecie. Wskazał drogę wiodącą na południe. - Idźcie sobie na spacer. Tylko nie wracajcie wcześniej niż za godzinę. Nas już wtedy nie będzie.

Mężczyzna popatrzył na niego z niedowierzaniem i rozejrzał się nerwowo wietrząc jakiś podstęp; nie dostrzegł jednak nic podejrzanego, więc bez słowa popędził w kierunku drogi.

Po niecałej minucie, gnając ile sił w nogach, dotarł do zakrętu i znikł z pola widzenia.

- W miarę upływu czasu terroryzowanie ludzi i straszenie ich śmiercią staje się coraz bardziej uciążliwym i nieprzyjemnym zajęciem - rzekł cicho Hrabia. - Muszę wreszcie z tym skończyć. Sandor, wnieś Janskiego do środka.

Sam ruszył przodem, minął niewielką sień i stanął w drzwiach do pokoju. Wciągnął powietrze w płuca, wypuścił je głośno i odwrócił się.

- Albo nie; lepiej połóż go w sieni, bo tu gorąco jak w piecu. Jeszcze znów straci przytomność.

Przyjrzał się uważnie Janskiemu, którego Sandor ulokował w rogu, na paltach i na poduszkach przyniesionych z pokoju.

- Oczy już otwiera, ale nadal jest oszołomiony. Zostań z nim, Sandor, niech dojdzie do siebie... Co się dzieje, chłopcze? - spytał unosząc brwi na widok Kozaka, który wpadł do sieni. - Co cię tak zaniepokoiło?

- Pułkownik Hidas i jego ludzie. - wydusił młodzieniec. - Już są! Dwie ciężarówki zatrzymały się nad wodą!

- Bardzo dobrze. - Hrabia wsunął jeden ze swoich ulubionych rosyjskich papierosów do cygarniczki, przypalił go i cisnął zapałkę przez ciemny prostokąt otwartych drzwi. - Są punktualni co **do minuty**. Chodźmy się z nimi

przywitać. ,

Rozdział trzynasty

Hrabia ruszył przez sień i nagle zatrzymał się w drzwiach, zagradzając ręką wyjście.

- Proszę tu zostać, profesorze.

- Jak to? Ja. - zdziwił się Jennings. - Ależ, przyjacielu. jestem jedyną osobą w tym towarzystwie, która powinna wyjść.

- Zgadza się. Ale na razie proszę nie opuszczać budynku. Sandor, przypilnuj profesora.

Obrócił się na pięcie i nie czekając na odpowiedź Jenningsa znikł szybko za drzwiami.

Reynolds podążył za nim i dopiero gdy oddalili się od domu, spytał cicho, głosem przepełnionym goryczą:

- Boi się pan, że wystarczy jeden celny strzał prosto w serce profesora? Że wtedy pułkownik Hidas zgarnie wszystkich do ciężarówka i uda się, zadowolony, na zasłużony odpoczynek?

- Owszem, przemknęło mi to przez myśl-przyznał Hrabia.

Doszedł do łodzi po chrzęszczącym żwirze, przystanął i rozejrzał się uważnie po leniwie płynącej, zimnej, mrocznej rzece. Zarówno ciężarówka, jak i ludzie Hidas byli dobrze widoczni na tle śniegu, ale ponieważ robiło się coraz ciemniej, nie sposób było rozpoznać kogokolwiek po mundurze czy rysach twarzy. Spośród czarnych sylwetek tylko Koko wyróżniał się dzięki swojej olbrzymiej posturze. Ale jeden człowiek stał znacznie bliżej od innych, tuż przy krawędzi wody; do niego przemówił Hrabia.

- Pułkownik Hidas?

- Tak jest, majorze Howarth.

- Doskonale, a więc nie traćmy czasu. Proponuję jak najszybciej dokonać wymiany.

Zapada noc, a skoro jest pan tak podstępny za dnia, Bóg raczy wiedzieć czego można się po panu spodziewać po zmierzchu. Wolę nie czekać, aż się całkiem ściemni. żeby się o tym przekonać.

- Słowo honoru, że dotrzymam obietnicy.

- Nie powinien pan używać słów, których nie rozumie. Niech pan każe kierowcom

wycofać pojazdy pod sam las. Pan i reszta pańskich ludzi również się tam udacie. Z odległości dwustu metrów nie będziecie w stanie nikogo z nas odróżnić. I jeszcze jedno, czasem zdarza się, że ktoś niechcący naciska spust; przypilnuje pan, żeby dziś to nie miało miejsca.

- Będzie tak jak pan sobie życzy - odparł Hidas.

Wydał kilka poleceń i odczekawszy, aż obie ciężarówki oraz rozproszeni po terenie ludzie oddalą się od rzeki, ponownie zwrócił się do Hrabiego.

- Co dalej, majorze?

- Kiedy zawołam, uwolni pan córkę i żonę generała i każe im iść prosto w kierunku promu. W tym samym czasie profesor Jennings wsiądzie do łódki i przepłynie na drugą stronę. Gdy dobije do brzegu, poczeka aż kobiety podejną bliżej; kiedy zaczną schodzić nad wodę, minie je i wolnym krokiem ruszy w waszą stronę. Zanim do was dojdzie, żona i córka generała powinny już bezpiecznie przepłynąć przez rzekę, a wówczas będzie za ciemno, aby ktokolwiek z nas osiągnął coś bezładną strzelaniną. Uważam, że mój plan jest niezawodny.

- Będzie tak jak pan sobie życzy - powtórzył Hidas. Odwrócił się, wbiegł na górę po stromej skarpie i oddalił się w kierunku ciemnej linii drzew. Hrabia odprowadził go wzrokiem, drapiąc się z namysłem po brodzie.

- Jest coś za bardzo uległy - mruknął pod nosem. - Zbyt gorliwy, trochę za bardzo...eh!

Zdaje się, że cierpię na chorobliwą podejrzliwość! Co on teraz może? No, do dzieła. -

Podniósł głos. - Sandor! Kozak!

Wyszli z budynku i po chwili stali już obok.

- Jak się czuje Jansci? - spytał Hrabia Sandora.

- Zdołał już usiąść, ale wciąż jest półprzytomny i boli go głowa.

- Nic dziwnego. - Hrabia zwrócił się do Reynoldsa. Chciałbym zamienić kilka słów z Jenningsem. Tylko w obecności Janskiego. mam nadzieję, że pan rozumie. Obiecuję, że to długo nie potrwa.

- Cóż to za różnica-odparł ponuro Reynolds.-Mnie się nigdzie nie śpieszy.

- Wiem, wiem. - Hrabia zawahał się moment, jakby chciał coś dodać, ale najwyraźniej rozmyślił się, bo jedynie poprosił, żeby zepchnęli łódź na wodę.

Reynolds skinął głową; patrzył za odchodzącym mężczyzną, dopóki ten nie znikł w drzwiach domu, po czym schylił się, żeby pomóc Sandorowi i Kozakowi z łodzią. Głośno szorowała dnem o żwir, kiedy we trzech ciągnęli ją w stronę rzeki: mimo że była sporo cięższa niż oczekiwali, dzięki potężnej sile Sandora już po kilku sekundach kołysała się łagodnie na wodzie, szarpana leniwym prądem. Zrobiwszy to, co do nich należało, Sandor z Kozakiem wspięli się z powrotem na skarpę, zostawiając Reynoldsa przy łodzi. Przez moment stał bez ruchu, potem wyciągnął rewolwer. sprawdził, czy jest zabezpieczony i schował go z powrotem do kieszeni płaszcza, lecz rękę wciąż trzymał zaciśniętą na kolbie. Zdawało mu się, że minęło zaledwie kilka chwil odkąd Hrabia wszedł do domu, kiedy nagle w drzwiach pojawił się Jennings. Powiedział coś, czego Reynolds nie usłyszał: ciszę, jaka nastąpiła po jego słowach, przerwał głos niewidocznego Hrabiego.

- Wybacz pan. profesorze. że... że nie odprowadzę pana. - Po raz pierwszy odkąd Reynolds go poznał. Hrabia brzmiał tak jakby zabrakło mu pewności siebie. -Chodzi o to że... po prostu wolałbym...

- Rozumiem. -Jennings był spokojny. bardzo opanowany. - Niech się pan o mnie nie martwi, przyjacielu. I dziękuję za wszystko. co pan dla mnie uczynił.

Powiedziawszy to, odwrócił się i przytrzymując się Sandora, żeby nie stracić równowagi, ruszył niezdarnie w dół po stromej, kamienistej skarpie - drobna, przygarbiona postać dopiero

teraz Reynolds uświadomił sobie, jak bardzo staruszek się garbi), z wysoko podniesionym kołnierzem dla osłony przed dojmującym wieczornym mrozem. Ubrana w cienki płaszcz, którego poły powiewały żałośnie przy każdym kroku. Reynolds myślał, że serce mu pęknie na widok tego starego, bezbronnego człowieka tak dzielnie idącego na śmierć.

- Koniec drogi, mój chłopcze. - Głos Jenningsa był nadal spokojny, lecz nieco ochryply. -

Przykro mi, naprawdę mi przykro, że sprawiłem ci tyle kłopotów. Byłeś tak bliski celu, tak bliski, a teraz... To musi być dla ciebie straszny cios.

Reynolds milczał, gdyż bał się, że słowa mogą zdradzić jego zamiary-powolnym ruchem wysunął z kieszeni pistolet.

- Zapomniałem powiedzieć coś Jansciemu. Powtórz mu ode mnie: do widzenia. Tylko ten jeden zwrot. On zrozumie.

- Ale ja nie rozumiem. Zresztą to nieważne.

Jennings zbliżył się do łodzi i nagle stanął jak wryty czując przytkniętą do piersi lufę rewolweru, który Reynolds trzymał w sztywno wyciągniętej dłoni.

- Nigdzie pan nie pójdzie, profesorze. Sam pan może powiedzieć generałowi to, co chce pan, żebym mu powtórzył.

- O co chodzi, chłopcze? Nie pojmuję...

- Nie szkodzi. Po prostu nie wpuszczę pana do łodzi. - Ale... Ale w takim razie... Julia...

- Wiem.

- Hrabia mówił, że macie się pobrać! Reynolds skinął w milczeniu głową.

- I mimo to... to znaczy gotów jesteś ją poświęcić...

- Są rzeczy ważniejsze od miłości. - Wypowiedział te słowa tak cicho, że starzec musiał pochylić się, żeby je usłyszeć.

- Jesteś absolutnie pewien? - Tak.

- Bardzo się cieszę - szepnął profesor. - To mi w zupełności wystarczy.

Odwrócił się, jakby zamierzał ruszyć w stronę domu, a kiedy Reynolds cofnął dłoń, żeby schować broń do kieszeni, pchnął go z całej siły. młodszy mężczyzna zachwiał się. poślizgnął na zdradliwym żwirze i runął jak długi na ziemię, uderzając głową o kamień. Przez moment leżał ogłuszony-. Zanim ocknął się i poderwał na nogi. Jennings zaklął coś na całe gardło dopiero znacznie później Reynolds uświadomił sobie. że wołał do Hidasa, by uwolnił kobiety, wskoczył do łodzi i był już w połowie rzeki.

- Wracaj, wracaj, ty szalony głupcze! - wrzasnął Reynolds ochrypłym z wściekłości głosem.

Nie zdając sobie sprawy z tego. jak daremny to wysiłek. zaczął z furią szarpać linę rozpostartą nad wodą, aż wreszcie jak przez mgłę przypomniał sobie, że lina jest solidnie umocowana do słupów po obu brzegach rzeki i że ciągnięcie za nią nic nie da. Jennings nie reagował na jego rozpaczliwe wołanie, nawet nie obejrzał się. Kiedy dno łodzi szorowało o kamienie po drugiej stronie rzeki, Reynolds nagle usłyszał Janskiego, który stał w drzwiach domu i wołał do niego niskim, ochrypłym głosem.

- Co jest? Co się dzieje?

- Nic - odparł ponuro. - Wszystko idzie zgodnie z planem. - Z trudem, jakby nogi miał z ołowiu, wspiął się na skarpe i popatrzył na generała, na jego siwe włosy i twarz, z jednej strony od skroni po brodę pokrytą zaschlą krwią. - Lepiej niech się pan umyje. Pańska żona i córka będą tu lada chwila; już je widać na polanie.

- Nie rozumiem. - Jansci przyłożył rękę do głowy.

- Nie szkodzi. - Reynolds wygrzebał z kieszeni papierosa i zapalił. - Dotrzyliśmy umowy. Jennings przepłynął się przez rzekę. - Spojrzał na ognik. który osłaniał dłonią. i znów podniósł oczy na generała. - Byłbym zapomniał. Prosił, żeby przekazać panu dwa

słowa: do widzenia

- Do widzenia? - Jansci, który ze zdumieniem oglądał ślady krwi na swoich palcach, popatrzył dziwnie na Reynoldsa. - Tak powiedział.

- Tak. Twierdził, że pan zrozumie. Co to znaczy?

- To polski odpowiednik niemieckiego Attf Wiedersehen.

- O Boże. O mój Boże! - szepnął Reynolds.

Cisnął papierosa w mrok nocy. odwrócił się i wolnym krokiem wszedł do środka. Kanapa stała przy kominku, w rogu pokoju; na niej leżał bez płaszcza i bez kapelusza stary Jennings. Potrząsając głową, usiłował się podnieść. Reynolds szybko przemierzył pokój, Jansci tuż za nim, i objąwszy starca ramieniem pomógł mu usiąść.

- Co się stało? - spytał łagodnie. - Czy Hrabia...

- Był tu przed chwilą. - Jennings potarł dłonią obolałą szczękę. - Wyjął z torby dwa granaty, położył je na stole i kiedy spytałem po co mu one, odparł: "Jeżeli myślą, że wrócą ciężarówkami do Budapesztu, to się grubo. mylą". Potem podszedł do mnie, uścisnął mi rękę... i nic więcej nie pamiętam.

- Bo to już koniec, profesorze. Proszę tu na nas zaczekać, Jansci i ja niedługo wrócimy. A za dwa dni ujrzy pan żonę i syna.

- Hrabia-powiedział cicho Jansci, kiedy znaleźli się w sieni. W jego głosie wyczuwało się szacunek graniczący z uwielbieniem. - Zginie tak jak żył, myśląc tylko o innych. nigdy o sobie. Granaty uniemożliwią Hidasowi przeszkodzenie nam w dotarciu do granicy.

- Dotarciu do granicy?! - Reynolds poczuł jak gdzieś głęboko wzbiera w nim głuchy gniew, dziwna złość, jakiej nigdy dotąd nie doświadczył. - W takiej chwili mówi pan o dotarciu do granicy? Zdawało mi się, że Hrabia to pański przyjaciel!

- Ze świecą nie znalazłbyś, chłopcze, lepszego - odparł z przekonaniem generał. - Tacy

przyjaciele są na wagę złota, i ponieważ tak bardzo cenię jego przyjaźń, nie śmiałym go powstrzymać, nawet gdybym mógł. Hrabia pragnął umrzeć, marzył o śmierci odkąd go poznałem, ale póki mógł odwlekał ten moment, bo chciał dać możliwie jak największej liczbie osób to, czego im tak bardzo brakowało, chciał im dać szczęście i wolność. Dlatego nie bał się ryzyka i, choć mało kto się tego domyślał, codziennie igrał ze śmiercią. Zawsze wiedziałem, że kiedy nadarzy się okazja, żeby z honorem zejść z tego świata, skwapliwie z niej skorzysta. - Pokiwał zakrwawioną głową i w świetle padającym z pokoju Reynolds zauważył, że szare wyblakłe oczy Janskiego zaszkliły się łzami. - Jesteś jeszcze młody. Michael: nawet nie potrafisz sobie wyobrazić tego potwornego znużenia, tego poczucia bezsensu i ponurej pustki, jaka dzień w dzień towarzyszy człowiekowi, który stracił wszelką ochotę do życia. Jak wszyscy ludzie. ja też jestem egoistą, ale nie do tego stopnia, aby własne szczęście okupić szczęściem przyjaciela. Kochałem Hrabiego. Niechaj śnieg mu dzisiaj lekki będzie.

- Przykro mi, Jansci - powiedział ze szczerym żalem Reynolds i głęboko w duszy było mu autentycznie przykro, ale nie wiedział kogo najbardziej w tej chwili żałuje; wiedział tylko, że płomień gniewu, który płonął w jego sercu, , bucha coraz żywiej i jaskrawiej.

Stali w drzwiach sieni. Reynolds wyteżył wzrok i popatrzył na ośnieżoną polanę po drugiej stronie rzeki. Z miejsca zauważył Julię i jej matkę idące wolno ku wodzie, lecz nigdzie nie widział śladu Hrabiego. Odkąd jednak wyszedł z jasno oświetlonego pokoju, źrenice stopniowo mu się rozszerzały i gdy tylko jego oczy przywykły do mroku, spostrzegł również i trzecią sylwetkę: niewyraźną, zamazaną plamę na tle ciemnych drzew w oddali, która - jak sobie nagle uświadomił - była już niemal u celu, podczas gdy kobiety znajdowały się zaledwie w pół drogi do łodzi.

- O Boże! Niech pan spojrzy! - Chwycił Janskiego za ramiona. - Hrabia niemal jest już

przy ciężarówkach, a Julia i pańska żona jeszcze nie doszły do rzeki! Na miłość boską, co się z nimi dzieje? Złapią je, zastrzelą jeśli... Co to było, co diabła?

Rzucił się pędem nad rzekę zaskoczony głośnym pluskiem, który w nocnej ciszy zabrzmiał głośno jak piorun. Niewidoczne w ciemności ręce z furią rozgarniały wodę, burząc gładką, czarną powierzchnię. To Sandor, który pierwszy zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa grożącego kobietom, ściągnąwszy płaszcz i marynarkę, rzucił się w wodę i jak torpeda płynął na drugi brzeg, przebierając potężnymi ramionami.

- Fatalnie to wygląda, Michael. - Jansci również zbiegł na plażę; głos miał spięty, zdenerwowany. - Jedna z nich, chyba Katia ledwo trzyma się na nogach. Spójrz, z jakim trudem człapie. Biedna Julia nie ma dość siły, żeby...

Sandor dopłynął do brzegu, wyskoczył z wody i pędząc po żwirze błyskawicznie wspiął się na skarpe. Nie zatrzymując się, biegł dalej przed siebie, gdy wtem spomiędzy drzew na skraju polany doleciał ich głośny huk, niewątpliwie spowodowany wybuchem granatu: po chwili - zanim grzmiące po lesie echo zamarło - usłyszeli kolejny wybuch, a tuż po nim ostry terkot automatów; potem nastąpiła cisza.

Reynolds poczuł jak mu ciarki wędrują po plecach. Zerknął na Janskiego, lecz było za ciemno, żeby mógł dojrzeć wyraz jego twarzy. Słyszał, że generał mamrocze coś pod nosem, ale musiały to być jakieś ukraińskie słowa, bo nic z nich nie rozumiało nic jednak nie pytał, świadom, że może w tej właśnie sekundzie pułkownik Hidas pochyla się nad ciałem człowieka, którego wziął za profesora Jenningsa...

Sandor dotarł do Julii i jej matki, otoczył każdą z nich ramieniem i ruszył z powrotem nad rzekę; tak szybko pędził po zamrożonym śniegu, że patrząc na niego miało się wrażenie, iż obejmuje dwie szybko nogi biegaczki, a nie prawie niesie dwie utrudzone kobiety. Reynolds odwrócił się i natknął na stojącego za nim Kozaka.

- Będą kłopoty - powiedział. - Wróć do budynku i stań w oknie z automatem. Kiedy

Sandor dotrze do rzeki... - Nie dokończył, bo Kozak gnał już na górę i tylko żwir chrzęścił mu pod nogami.

Reynolds znów skierował wzrok na drugą stronę rzeki; nerwowo zaciskając dłonie, patrzył z niepokojem, przerażony bezradnością obu kobiet. Jeszcze trzydzieści metrów. jeszcze dwadzieścia pięć, dwadzieścia... Wciąż panowała dziwnie podejrzana cisza: z lasu nie dochodziły żadne odgłosy. nie widać było żadnego ruchu i powoli w Reynoldsie ożyła nadzieja, że może jednak wszystko się uda, kiedy nagle rozległy się podniecone krzyki, potem krótki, jakby wyszczekany rozkaz, a potem jazgot automatu; pierwsze kule przeleciały dosłownie kilka centymetrów nad głową Reynoldsa. Rzucił się plackiem na ziemię, pociągając za sobą Jansiego. Gdy tak leżał, w bezsilnej złości bijąc dłonią w żwir, i słuchał świstu kul niegroźnie przelatujących mu nad uchem, zaczął się zastanawiać dlaczego tylko jeden człowiek strzelał; znając Hidasę można się było spodziewać, że wykorzysta cały dostępny mu arsenał.

I wtem, mimo że gruba warstwa śniegu tłumiła odgłos kroków, usłyszał głośnie dudnienie, a po chwili zobaczył Sandora, który pędząc jak rozwścieczony byk i wzbijając wokół siebie tumany śniegu wykonał trzymetrowy skok ze skarpy, nie wypuszczając z rąk kobiet, i wylądował z chrzęstem na mokrych kamyczkach przy wodzie. Jeszcze nie odzyskał równowagi, jeszcze się zataczał, kiedy do terkotu, który dochodził z lasu, dołączył drugi terkot o nieco innej częstotliwości: Kozak nie marnował ani sekundy. Było mało prawdopodobne, aby mógł kogokolwiek dojrzeć na tle ciemnych drzew, ale widocznie jaskrawy ogień wydobywający się z lufy po drugiej stronie rzeki zdradził mu pozycję wroga, bo niemal natychmiast strzały w lesie ucichły.

Sandor był już przy promie. Szybko wniósł żonę generała, po chwili pomógł wsiąść Julii i

jednym silnym pchnięciem zsunął obciążoną łódź do rzeki. Tak energicznie przebieierał rękami ciągnąc linę łączącą oba brzegi, że woda przy dziobie pieniała się i bulgotała, połyskując w ciemnościach nocy.

Jansci i Reynolds poderwali się z ziemi i kiedy tak stali gotowi złapać dziób łodzi i wydobyć ją z wody na brzeg. nagle usłyszeli przeciągły syk, po którym nastąpił cichy wybuch i w górze, trzydzieści metrów nad ich głowami, rozbłysło białe, oślepiające światło. Niemal natychmiast rozległ się ponowny terkot automatu oraz pojedynczo wystrzały; dochodziły zza drzew, ale nie tych na wprost, tylko rosnących bardziej na południe, bliżej wody.

- Zestrzel racę! - krzyknął Reynolds do Kozaka. - Nie celuj do avoków! Wal w górę!

Oślepiony potężnym blaskiem wskoczył dowody w tym samym czasie co Jansci i od razu wyrznął boleśnie kolaniem o burtę: zaklął cicho pod nosem, po czym chwycił za dziób i z całej siły szarpnął łódź w stronę zwirowatego brzegu. O mato nie przewrócił się, kiedy jedna z pasażerek. która wstała nieopatrznie, straciła równowagę i poleciała na niego całym ciężarem, ale zdołał się utrzymać na nogach, a ją chwycić w ramiona i uchronić przed upadkiem.

Światło na niebie zgasło równie nagle jak rozbłysło. Kozak spisywał się na medal. Ale zza drzew na drugim brzegu nadal padały seriami i pojedyncze strzały; choć avocy celowali z pamięci, kule świstały niebezpiecznie blisko.

Reynolds nie miał najmniejszej wątpliwości kogo trzyma w ramionach: kobieta była za drobna, za lekka, aby mógł ją wziąć za Julię. Badając nogą pochyłość terenu teraz, gdy zgasł olśniewający blask, wszystko tonęło w nieprzeniknionym mroku - uczynił krok do przodu i niemal runął jak długi pod wpływem koszmarne bólu, który przeszył mu kolano. Uwolnił jedną rękę i uchwycił się naprężonej liny, żeby nie stracić równowagi. Tuż obok usłyszał

głuchy łomot, jakby ktoś zwałił się ciężko na ziemię, a po chwili poczuł jak ktoś inny mija go i wbiega pod górę. Zaciskając zęby z bólu. zaczął pospiesznie kuśtykać po kamienistym wzniesieniu. W pewnym momencie przelatująca kula otarła się o rękaw jego płaszcza. Gdy tak szedł, niosąc na rękach kobietę i powłócząc obolałą nogą, stroma skarpa, na którą musiał się wspiąć, jawiła mu się jako przeszkoda nie do pokonania, nagle jednak poczuł na plecach pchające go w górę potężne dłonie i zanim zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje, stał już na równym, płaskim terenie.

Niecałe trzy metry przed sobą ujrzał bladawy prostokąt światła - otwarte drzwi do domku przewoźnika. Mimo że kule waliły w ściany budynku i świszczą w powietrzu. Jansci, który pierwszy dobiegł do domu, wyszedł na próg nie zważając na to, że stanowi wprost idealny cel dla strzelców. Reynolds chciał krzyknąć, ostrzec generała, ale zmienił zdanie - wiedział, że jeśli wróg go namierzył. Jansci i tak nie zdąży uskoczyć. Ruszył naprzód. Nagle kobieta, którą niósł, powiedziała coś i choć nie zrozumiał ani słowa. instynktownie domyślił się o co jej chodzi i delikatnie postawił ją na ziemi. Uczyniła dwa lub trzy niepewne kroki, po czym szepecząc: "Oleksij! Oleksij! Oleksij!" rzuciła się w wyciągnięte ramiona mężczyzny czekającego w drzwiach. Raptem zadrżała i opadła na niego bezwładnie. jakby trafiona kulą w plecy; więcej Reynolds nie widział, bo Sandor wepchnął ich wszystkich do sieni i zatrzasnął drzwi.

Julia na wpół siedziała na wpół leżała na końcu korytarza wsparta o zaniepokojonego profesora Jenningsa. Reynolds znalazł się przy niej w dwóch susach i uklęknął na podłodze. Dziewczyna miała zamknięte oczy, twarz trupio bladą, na czole zakwitał jej siniak, Ale najważniejsze było. że oddychała - płytko, lecz miarowo.

- Co się stało - spytał z napięciem. - Czy... czy ją...

- Nic jej nie będzie - pocieszył go swoim dudniącym głosem Sandor. Schylił się, wziął

dziewczynę na ręce i skierował się w stronę pokoju. - Upadła wysiadając z łodzi i pewnie stuknęła głową o kamień. Położę ją na kanapie.

Reynolds odprowadził wzrokiem olbrzyma, który w przemokniętym, wciąż ociekającym wodą ubraniu niósł Julię z taką łatwością jakby była małym dzieckiem. Kiedy oboje znikli mu z oczu, wstał z klęczek i niemal zderzył się z Kozakiem. Twarz młodzieńca promieniała tryumfem.

- Powinieneś być przy oknie - powiedział cicho Reynolds.

- Tam się nic nie dzieje. - Chłopak uśmiechnął się od ucha do ucha. - Przestali strzelać i wrócili do wozów. Słysząc ich głosy w lesie. Trafiłem dwóch, panie Reynolds!

Załatwiłem dwóch drani! Zanim kazał mi pan zestrzelić racę, widziałem jak padają.

- - Z racą też sobie świetnie poradziłeś - pochwalił go Reynolds i pomyślał, że pewnie z powodu tych dwóch trupów wróg wolał nie ryzykować wystrzelenia kolejnej racy; była to obosieczna broń, która przyniosła więcej strat niż pożytku ludziom Hidasu. -

Wszystkich nas dziś uratowałeś.

Poklepał po ramieniu pęczniejącego z dumy młodzieńca, po czym odwrócił się do Janskiego i aż znieruchomiał. Generał klęczał na szorstkiej, drewnianej podłodze tuż przy sobie żonę. Pierwsza rzecz, jaka rzuciła się Reynoldsowi w oczy, to okrągła, czerwona po brzegach dziura w płaszczu kobiety, na wysokości lewej łopatki. Dziura była niewielka, krwi też było niewiele i plama na ubraniu się nie powiększała. Wolnym krokiem Reynolds zbliżył się do małżonków i kucnął przy Janskim. Generał podniósł siwą, zakrwawioną głowę: spojrzenie miał nieobecne.

- Nie żyje? - spytał szeptem Reynolds. Janski przytaknął bez słowa.

- Mój Boże! - Na twarzy Reynoldsa odmalował się szok. - Teraz? Umrzeć właśnie teraz?

- Bóg jest miłosierny. Michael, i znacznie bardziej wyrozumiały niż na to zasłużyłem.

Jeszcze dziś rano pytałem Go, dlaczego nie pozwolił Katii umrzeć, dlaczego nie zesłał na nią śmierci. On jednak wybaczył mi moją pychę. Jest o wiele mądrzejszy ode mnie. Katia była umierająca, Michael, umarłaby nawet, gdyby nie dosięgła jej kula. - Pokręcił głową ze zdumieniem, jak człowiek, który nie może wyjść z podziwu. - Czyż może być coś wspanialszego niż zejście z tego świata bez bólu, w chwili największej radości? Spójrz. Michael. Popatrz na jej twarz. Widzisz, jak się uśmiecha?

Reynolds skinął w milczeniu głową. Nie odezwał się, bo nie wiedział co powiedzieć, nic mu nie przychodziło na myśl; jego umysł znajdował się w stanie odrętwienia.

- Bóg okazał się dla nas miłosierny-ciągnął dalej Jansci, właściwie mówiąc sam do siebie. Rozluźnił uścisk ramion, żeby lepiej widzieć twarz żony: jego głos stał się ciepły i czuły pod wpływem wspomnień. - Czas łaskawie się z nią obchodził, Michael, kocham ją prawie tak bardzo jak ja. Dwadzieścia... nie, dwadzieścia pięć lat temu, kiedy letnią nocą płynęliśmy po Dnieprze... Wiesz, ona nic się nie zmieniła od tamtej pory. Jest dokładnie taka sama jak wtedy. - Mruknął coś cicho pod nosem, czego Reynolds nie usłyszał, po czym spytał nieco wyraźniej: - Pamiętasz, Michael, tę fotografię? Tę, na której mylnie rozpoznałeś Julię i powiedziałaś, że wyszła tak pięknie? Teraz widzisz, że to mogła być tylko Katia.

- Tak, Jansci, to mogła być tylko Katia - rzekł cicho Reynolds.

Przypomniał sobie zdjęcie ślicznej roześmianej dziewczyny i popatrzył w° dół na kobietę, którą Jansci tulił w ramionach, na jej rzadkie, siwe włosy oraz szarą, martwą twarz, nieludzko zmizerowaną i wynędzniałą, twarz przedwcześnie postarzałą, na której niewyobrażalne wprost

cierpienia-wyżłobiły piętno w postaci głębokich bruzd. Łzy napłynęły mu do oczu.

- To mogła być tylko ona - powtórzył. - Jest znacznie piękniejsza niż na zdjęciu.

- To samo jej mówiłem, ciągle jej to mówiłem - szepnął Jansci i pochylił się nisko nad

żoną.

Reynolds zrozumiał, że generał pragnie pozostać z nią sam. Niezdarnie, nic nie widząc przez załzawione oczy, podniósł się z kolan i przytrzymując się ściany, żeby nie upaść, ruszył wolno do pokoju. Powoli budził się z odrętwienia: zaczęły targać nim różne uczucia, różne myśli zaczęły kotłować mu w głowie, a potem wszystko się uspokoiło, przycichło i zapadła ostateczna decyzja - wiedział, co ma zrobić. Płomień złości, który tlił się w nim przez cały wieczór, wybuchł teraz z pełną siłą i zawładnął nim do reszty. Ale kiedy zwrócił się cicho do Sandora, w jego głosie nie było ani śladu dzikiej furii, która go rozsadzała.

- Czy mógłbyś przyprowadzić ciężarówkę pod dom?

- Już idę odparł Sandor. Wskazał na dziewczynę leżącą na kanapie. - Dochodzi do siebie.

Trzeba się śpieszyć. - Zaraz wyjedziemy. - Reynolds odwrócił się i spojrzał

na Kozaka. - Zostawiam cię na straży, Kozak. Niedługo wrócę.

Wyszedł na korytarz, minął Janskiego i Katię nie patrząc na nich, chwycił automat, który stał oparty o ścianę znikł na zewnątrz, cichutko zamykając za sobą drzwi.

Rozdział czternasty

Ciemna, leniwie płynąca rzeka była lodowato zimna, ale Reynolds nawet tego nie zauważył i choć zadrżał od stóp do głów, kiedy wślizgnął się dowody, jego umysł nie zarejestrował wrażenia chłodu. Nie było w nim miejsca na żadne doznania, uczucia czy myśli, dręczyło go tylko jedno stare jak świat pragnienie, które potrafi przeobrazić cywilizowanego człowieka w dziką, pozbawioną rozumu bestię - pragnienie zemsty. Zemsta czy morderstwo - Reynoldsowi nie robiło to różnicy: w tej chwili nie dbał o takie subtelności, liczyło się co innego. Wszyscy nie żyli: ten przerażony chłopak, który zginął w Budapeszcie, żona Janskiego, niezrównany Hrabia. Nie żyli głównie dlatego, że on, Reynolds, przyjechał na Węgry, ale to nie on ich zabił: winę za śmierć tych trojga ponosił wyłącznie Hidas,

geniusz zła. Hidas, który żył stanowczo za długo.

Z automatem uniesionym wysoko nad głową, płynął przez rzekę napierając piersią na cienką, kruchą taflę lodu, która utworzyła się na wodzie. Gdy tylko poczuł grunt pod nogami, szybko wdrapał się na brzeg, rozłożył na ziemi chustkę do nosa, wsypał do niej garść kamyków i piachu, związał jej rogi i nie tracąc czasu na to, by wyżyć ociekającą lodowatą wodą ubranie, czym prędzej ruszył przed siebie.

Ponieważ po wyjściu z domu przewoźnika pobiegł dwieście metrów w dół rzeki i dopiero tam przeprawił się na drugą stronę, znajdował się nieco na południowy wschód od drogi, na której stały zaparkowane ciężarówki. wiedział, że drzewa uginające się pod białym puchem kryją go przed wzrokiem nieprzyjaciela, a zamrznięta warstwa śniegu na ziemi pod nimi jest tak cienka, że odgłos jego kroków niesie się nie dalej niż trzy metry. Z obciążoną chustką w dłoni i automatem zarzuconym na ramię, po cichu skradał się od pnia do pnia.

Mimo że starał się zachować maksimum ostrożności, szybko, bo zaledwie w trzy minuty, pokonał odległość dzielącą go od pojazdów. ukryty za drzewem wysunął głowę, żeby rozejrzeć się po okolicy: nie dostrzegł żadnych oznak życia, tylne drzwi wozów były pozamykane, panowała cisza, spokój. Cofnął głowę i już się szykował, żeby jednym susem dopaść ciężarówki Hidas, kiedy nagle przywarł plecami do pnia i znieruchomiał. Jakiś człowiek wyłonił się zza wozu i szedł w jego stronę.

Był pewien, że mężczyzna go widział, po chwili jednak odprężył się. Avok idący naprzeciw uzbrojonego wroga nie trzymałby broni pod pachą i nie palił papierosa.

Pozostawiony na warcie żołnierz niczego nie podejrzewał, po prostu spacerował, żeby nie zamrznąć na kość. Kiedy znalazł się dwa metry od kryjówki Reynoldsa, ten błyskawicznie przystąpił do akcji. Wysunął się zza drzewa i z całej siły walnął w kark avoka obciążoną kamykami chustką, akurat w momencie kiedy żołnierz zaczynał odwracać się z ustami

otwartymi do krzyku. Złapał ogłuszonego mężczyznę i jego broń, zanim uderzyła o ziemię - i położył go cicho na śniegu.

Trzymając automat w pogotowiu, przebiegł kilka metrów i na chwilę stanął przy brązowej ciężarówce, której jak zauważył - wybuch granatu zerwał maskę i uszkodził silnik, po czym stąpając na palcach ruszył w stronę wozu Hidas. Tak intensywnie wpatrywał się w tylne drzwi pojazdu, że niemal przewrócił się o wyciągniętą na ziemi postać. Pochylił się nad nią i chociaż wiedział kogo zobaczy, chociaż wiedział do kogo należy martwe ciało, to kiedy jego obawy się potwierdziły. doznał szoku i z taką siłą zacisnął ręce na lufie automatu jakby chciał ją zmiażdżyć.

Hrabia leżał na wznak. Jego szczupła, arystokratyczna twarz o kształtnych, jakby wykutych z granitu rysach wydawała się jeszcze bardziej surowa i nieprzenikniona po śmierci niż była za życia. Nietrudno się było domyślić jak zginął - seria z pistoletu maszynowego wyrwała mu prawie pół klatki piersiowej. Zastrzelili go jak psa i jak psa zostawili na mrozie w ciemności nocy. Łagodnie padający śnieg powoli okrywał jego zimną, martwą twarz. Kierowany dziwnym impulsem Reynolds wyciągnął z kieszeni leżącego mężczyzny poplamioną jego własną krwią chustkę i zasłonił mu twarz. Uczyniwszy to, wstał i ruszył do pojazdu Hidas.

Cztery drewniane schodki prowadziły do drzwi; wszedł po nich cicho, skradając się bezszelestnie jak kot, i uklęknął przytykając oko do dziurki od klucza. W ciągu sekundy zorientował się w układzie w wnętrzu: po lewej stronie stało krzesło, po prawej pościelone łóżko na wprost stół z jakimś przymocowanym do blatu urządzeniem, które wyglądało jak odbiornik radiowy. Hidas, zwrócony plecami do drzwi, właśnie zasiadał przy stole. Kiedy jedną ręką podniósł słuchawkę, a drugą pokręcił korbką, Reynolds nagle uświadomił sobie, że urządzenie na stole to wcale nie odbiornik, lecz radiotelefon. Że też o tym nie pomyśleli!

Hidas nie należał do ludzi, którzy wyruszają w teren bez możliwości natychmiastowego porozumienia się z centralą. Teraz, gdy niebo się przejaśniało, przypuszczalnie zamierzał zażądać pomocy wojskowego lotnictwa, podjąć ostatnią, rozpaczliwą próbę zatrzymania uciekinierów. Ale to już nie miało znaczenia. Było za późno i niczego nie zmieniało - ani dla tych, których ścigał, ani dla niego samego.

Reynolds po omacku znalazł klamkę i wślizgnął się do środka cicho jak cień; drzwi były tak dobrze naoliwione, że nawet nie skrzypnęły, kiedy je przymykał. Prócz dźwięku korbki, którą nieustannie kręcił, Hidas nic nie słyszał. Z dłońmi zaciśniętymi na lufie i kolbą uniesioną wysoko nad głową Reynolds postąpił naprzód. Gdy tylko pułkownik odezwał się do słuchawki, wziął potężny zamach i roztrzaskał aparat na części.

Hidasa замуrowało; przez chwilę siedział bez ruchu, zupełnie zdezorientowany, a kiedy wreszcie się odwrócił, jedyna szansa jaką miał, żeby rzucić się na wroga, minęła bezpowrotnie. Reynolds bowiem zdążył się odsunąć, przekręcić broń i wycelować ją w serce pułkownika. Twarz Hidasa zastygła w osłupieniu, tylko usta poruszyły się, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Reynolds cofnął się jeszcze o krok, podniósł z łóżka klucz, który wcześniej tam zauważył, wymacał dziurkę pod klamką i nie spuszczać oczu z nieprzyjaciela przekręcił klucz w zamku. Następnie znów zbliżył się do stołu; ręka mu nawet nie drgnęła, kiedy stanął z wyciągniętą bronią naprzeciw siedzącego na krześle mężczyzny, którego niewiele ponad pół metra dzieliło od wylotu lufy.

- Widzę, że zaskoczyłem pana, pułkowniku - powiedział. - Kto jak kto, ale właśnie pan powinien był przewidzieć taki koniec. Kto mieczem wojuje, od miecza ginie. Dziś wybiła pańska godzina.

- Przyszedł mnie pan zamordować. Było to stwierdzenie, a nie pytanie. Hidas zbyt często stał z boku, przypatrując się śmierci innych, by nie wiedzieć, co go teraz czeka, gdy sam

znalazł się w jej obliczu. Wyraz osłupienia powoli znikł mu z twarzy, ale strach jeszcze na niej nie zawitał.

- Zamordować? Raczej wykonać na panu wyrok. Morderstwem jest to, czego pan się dopuścił zabijając majora Howartha. On nawet nie miał przy sobie broni. Dlaczego nie miałbym pana zastrzelić w ten sam sposób, z zimną krwią?

- Howarth był wrogiem państwa, wrogiem ludu. - Niech się pan nie usprawiedliwia!

- To, co zrobiłem, nie wymaga żadnego usprawiedliwienia, kapitanie Reynolds.

Spełniłem swój obowiązek. Reynolds przyjrzał mu się uważnie.

- Nie rozumiem. Próbuje pan zrzucić z siebie odpowiedzialność, czy błaga pan o litość?

- Nigdy o nic nie błagam. - W jego głosie nie było ani dumy, ani pychy, jedynie godność.

- Imre, ten chłopak w Budapeszcie... umierał powoli.

- Nie chciał ujawnić istotnych informacji. Ważne było, żebyśmy je szybko zdobyli.

- Żona generała Iljurina - rzekł pośpiesznie Reynolds, starając się przezwyciężyć obezwładniające go poczucie nierzeczywistości. - Dlaczego ją pan zabił?

Po raz pierwszy od początku rozmowy na szczupłej inteligentnej twarzy Hidasza pojawiło się jakieś ludzkie uczucie, ale po chwili znikło.

- Nie wiedziałem, że nie żyje. - Opuścił głowę. - Nie wojuję z kobietami. Szczerze żałuję, że moi ludzie ją zastrzelili, choć prawdę mówiąc i tak była umierająca.

Pan odpowiada za czyny tych bandytów.

- Jeśli przez bandytów rozumie pan moich ludzi, to tak. Są mi podlegli.

- Zabili ją, a skoro pan jest za nich odpowiedzialny, to znaczy, że pan ponosi winę za jej śmierć.

- W pewnym sensie tak.

- Gdyby nie pan, oni wszyscy, Hrabia, Imre i żona generała by żyli.

- Co do żony generała to nie wiem. Ale tamci dwaj z pewnością tak.

- Pytam więc po raz ostatni, czy istnieje jakikolwiek powód dla którego miałbym pana nie zabić?

Przez dłuższą chwilę pułkownik przyglądał mu się bez słowa, po czym ledwo dostrzegalny uśmiech pojawił mu się na ustach. Reynolds mógłby przysiąc, że zabarwiony jest smutkiem.

- Powodów jest mnóstwo, kapitanie, żaden jednak nie przekona wrogiego agenta z Zachodu.

Dopiero znacznie później Reynolds uświadomił sobie, że właśnie słowo, "Zachód", sprawiło, że oprzytomniał. Bo w tym momencie poczuł jedynie, że puszcza jakaś wewnętrzna tama zalewając go dziesiątkami obrazów i wspomnień z przeszłości widział przed oczami generała w jego budapeszteńskim mieszkaniu, widział go potwornie umęczonego w celi tortur więzienia Szarhazy, widział go siedzącego przy kominku w wiejskiej chacie, przypomniał sobie też wszystko co Jansci mówił, wszystko co powtarzał z takim uporem, a ponieważ zawsze mówił z głębokim przekonaniem, jego słowa wydarły na Reynoldsie dużo większe wrażenie niż się spodziewał. Pamiętał, co Jansci głosił na temat... Nie! Z całą świadomością, brutalnie wyparł te myśli i obrazy z głowy. Zbliżył broń do piersi Hidas.

- Proszę wstać!

Hidas podniósł się z miejsca i stanął do niego twarzą, z rękami spuszczoneymi luźno wzdłuż ciała. Patrzył w dół na wycelowaną w siebie lufę.

- Woli pan szybką, lekką śmierć. co pułkowniku?

- To od pana zależy. - Przeniósł wzrok z zaciskającego się na spuście palca i spojrzał w twarz wroga. - Nie będę prosił o coś, czego odmawiałem swoim ofiarom.

Reynolds nacisnął odrobinę mocniej na spust, po czym . nagle. jakby coś w nim pękło, odprężył się i cofnął o krok. Wciąż płonął w nim ogień gniewu, płonął równie intensywnie co

przedtem, ale ostatnie słowa Hidas, słowa człowieka, który nie boi się umrzeć, sprawiły, że gorycz porażki wezbrała w jego sercu i podeszła mu aż do gardła. Kiedy się odezwał, głos miał tak ochryply i napięty, że ledwo sam go rozpoznał.

. - Niech się pan odwróci!

- Dziękuję, ale nie. Wolę umrzeć stojąc przodem.

- Albo się odwrócisz - powiedział z wściekłością Reynolds - albo przestrzelę ci kolana i sam cię odwrócę. Hidas popatrzył mu w oczy: ujrzał w nich taką nieugiętość i determinację, że wzruszył ramionami i świadom, iż nic nie wskóra, wolno obrócił się, po czym runął jak długi na stół, uderzony kolbą w głowę. Przez chwilę Reynolds spoglądał na bezwładne ciało, następnie ze złością wymierzoną nie w pułkownika, lecz w samego siebie, zaklął pod nosem i ruszył do wyjścia.

Kiedy schodził po schodach, ogarnęło go uczucie pustki i bezsilności. Już nie zważał na to, czy ktoś go usłyszy czy nie: nagromadzona w nim furia nie znalazła ujścia, i chociaż nigdy by się do tego nie przyznał, nawet sam przed sobą, najchętniej rozwaliliby tych uzbrojonych po zęby avoków, którzy siedzieli w drugiej ciężarówce: gdyby ukazali się w drzwiach pojazdu, ciemne sylwetki na tle padającego z głębi światła. zabiłby ich bez najmniejszych skrupułów, tak jak oni zabili żonę Janskiego, kiedy zbliżyła się do oświetlonego domku przewoźnika. Nagle stanął w pół kroku. całkiem bez ruchu, i wyteżył słuch: do jego świadomości dotarło coś, na co już wcześniej zwróciłby uwagę, gdyby tak bardzo nie zaprzętał sobie głowy porachunkami z Hidasem. Z brązowej ciężarówki nie dochodziły żadne odgłosy, było w niej wręcz podejrzenie cicho.

Dobiegł do niej w kilku susach i przyłożył ucho do bocznej ściany. Nie słyszał nic, choćby najłżejszego szmeru. Skoczył do tylnych drzwi, otworzył je i zajrzał do środka. Było za ciemno, żeby cokolwiek widzieć, ale głucha, niczym nie zmacona cisza, jaka panowała

wewnątrz, uzmysłowiła mu, że nikogo tam nie ma.

I naraz wszystko zrozumiał: myśl o tym, co się stało, uderzyła go z tak brutalną siłą, że przez moment stał jak sparaliżowany, niezdolny do wykonania najmniejszego ruchu, do podjęcia jakiegokolwiek decyzji, przerażony ogromem własnej głupoty, sprytem wroga i łatwością, z jaką sam dał się zwieść. Powinien był wiedzieć, powinien był się domyślić - przecież Hrabia od początku nie dowierzał Hidasowi - że pułkownik nie pogodzi się z porażką, że nie podda się, a już na pewno nie tak potulnie. Hrabia nigdy nie pozwoliłby wystrychnąć się na dudka. Zapewne wtedy gdy wystrzelono racę, ludzie Hidasu zaczęli skradać się do rzeki od strony południowej, podczas gdy on z Kozakiem naiwnie sądzili, że odgłosy w lesie oznaczają, iż wróg się wycofuje do ciężarówek. Przypuszczalnie avocy byli już na miejscu, tak, musieli już dotrzeć na drugi brzeg, i teraz kiedy przyjaciele potrzebowali go bardziej niż kiedykolwiek, nie mógł im pomóc. A w dodatku, jakby nie dość że sam ich opuścił, to jeszcze kazał Sandorowi iść po ciężarówkę - jedyemu, który może zdołałby cokolwiek zrobić. Jansciemu został do pomocy tylko młody Kozak i stary profesor Jennings - oraz Julia. Na myśl o dziewczynie i o odrażającej, obleśnej twarzy potężnego Koko, coś w nim pękło uwalniając go z paraliżującego transu, w jaki popadł.

Odległość od brzegu wynosiła dwieście metrów, dwieście metrów pokrytych grubą warstwą zamrożonego śniegu: mimo że był wyczerpany brakiem snu i trudami ostatnich kilku dni, mimo że miał na sobie ciężkie mokre buty i mokre ubranie, Reynolds pokonał ten dystans w rekordowym czasie. To nie złość, choć nadal ją czuł, sprawiła, że pędził jak na skrzydłach, przy każdym kroku wzbijając wysoko w górę tumany śniegu. nie, to nie złość, lecz strach tak ogromny, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie doświadczył.

Jednakże nie był to strach, który obezwładnia, odbiera wolę działania; przeciwnie, strach, który go ogarnął, w niezwykłym wprost stopniu pobudził jego umysł i wyostrzył mu zmysły.

Zbliżywszy się do stromej skarpy. Reynolds ostro zahamował wyrzucając w bok ramiona, po czym zeskoczył bezgłośnie na kamienistą plażę. Cicho, na palcach, przebiegł po żwirze i nie czyniąc najmniejszego hałasu zanurzył się w lodowatej wodzie. Trzymając automat nad głową, silnie przebierał nogami posuwając się gładko naprzód: był już na środku rzeki, kiedy z domku przewoźnika doleciał go pierwszy strzał, a po nim następny i jeszcze następny.

Zaniechał wszelkiej ostrożności - może w ogóle niepotrzebnie starał się ją zachować - i młóćąc rękami energicznie wodę w ciągu kilku sekund dopłynął do drugiego brzegu, dotknął nogami dna. po czym ślizgając się niezdarnie po osuwających się kamykach pędem wdrapał się na skarpe, przestawił automat z ognia ciągłego na ogień pojedynczy (strzelanie seriami było nie tylko nieprzydatne, a wręcz niebezpieczne w sytuacji, gdy i wróg i swoi znajdowali się wspólnie w zamkniętym pomieszczeniu) i pochyłony wbiegł przez jasny prostokąt drzwi do budynku. Minęło zaledwie dziesięć minut, odkąd opuścił to miejsce.

Żona Janskiego .nie leżała już w sieni, lecz sień bynajmniej nie była pusta. Znajdował się w niej uzbrojony avok, który ledwo co wszedł tu z pokoju: właśnie zamykał za sobą drzwi. Mogło to oznaczać tylko jedno -że walka, jeśli takowa się rozegrała, jeśli avocy nie wpadli po prostu do środka i nie zmasakrowali wszystkich, już się zakończyła. Na widok Reynoldsa avok usiłował podnieść broń do strzału, nie zdążył jednak ani strzelić ani nawet ostrzec swoich kompanów: otwierał usta do krzyku, kiedy Anglik zdzielił go mocno kolbą w głowę. Reynolds obrócił automat lufą naprzód i ostrożnie uchylił nogą drzwi. Jeden szybki rzut oka na pokój pozwolił mu ogarnąć sytuację: walka istotnie się skończyła. Z sześciu znajdujących się tam avoków, dwóch nie żyło: jeden leżał przy samych drzwiach w dziwnie zgiętej, a zarazem rozluźnionej pozycji, jaką tylko martwe ciało może przyjąć, drugi natomiast przy ścianie na prawo od wejścia, nie opodal .Jenningsa. który siedział na podłodze, z nisko opuszczoną głową, kręcąc nią z boku na bok. Z pozostałych czterech ludzi

Hidasa jeden stał w-rogu z bronią wycelowaną w Janskiego, drugi przywiązywał rękę generała do krzesła, a trzeci leżał na Kozaku wymierzając mu krótkie, silne ciosy w głowę. Młodzieniec miotał się na boki, żeby uniknąć razów, a jednocześnie z całej siły ciągnął za trzonek bicia, którego pięciometrowy rzemień owinięty był wokół szyi napastnika. Avok dusił się, powoli i nieubłagane: jego twarz przybierała coraz bardziej siny odcień. Na środku pokoju stał Koko. potężnym ramieniem obejmując Julię; nie zwracając najmniejszej uwagi na daremną szamotaninę dziewczyny, z drapieżnym uśmiechem na twarzy obserwował swojego kompana na podłodze, który nagle przestał okładać Kozaka. sięgnął za siebie ręką i z pochwy zawieszanej przy pasie wyciągnął nóż.

Reynolds umiał zabijać, i to zabijać z zimną krwią; przeszedł dobrą szkołę pod kierunkiem profesjonalistów z doświadczeniem wojennym, którzy wielokrotnie znajdowali się w podobnych sytuacjach i wychodzili z nich zwycięsko, bo nigdy nie żądali, aby wróg się poddał i nigdy nie tracili czasu na to, by oznajmić mu o swoim przybyciu. Ci, którzy kopniakiem otwierali drzwi, po czym mówili: "Dobry wieczór, panowie", ginęli na miejscu. Drzwi jeszcze kołysały się lekko na zawiasach, a Reynolds zdążył już oddać trzy pojedyncze, idealnie wymierzone strzały. Siła pierwszego cisnęła mężczyznę, który-walczył z Kozakiem w kąt pod ścianę; nóż wypadł z uniesionej w górę ręki i brzęknął o podłogę. Drugim strzałem Reynolds powalił avoka, który trzymał na muszce Janskiego, a trzecim gościa wiążącego generałowi rękę. Powoli, z nieludzkim wręcz spokojem, szykował się do czwartego strzału mierząc prosto w głowę Koko -olbrzym zasłonił się dziewczyną - kiedy nagle ktoś walnął go kolbą w lewe ramię wytracając mu z ręki broń. Automat grzmotnął o podłogę. Okazało się, że jeszcze jeden avok stał niewidoczny za drzwiami; zapewne dopóki nie usłyszał strzałów był przekonany, że do pokoju wrócił jego kompan, ten który pół minuty temu wyszedł na korytarz.

- Nie strzelaj. Nie zabijaj go.

Wydany ochryplym głosem rozkaz pochodził od Koko. Niedbałym ruchem olbrzym odepchnął od siebie dziewczynę, która przeleciała przez cały pokój, zanim wylądowała na kanapie, i stanął w rozkroku, z rękami na biodrach. Na jego okrutnej twarzy widać było, że dwa sprzeczne z sobą uczucia walczą o prym: wściekłość z powodu tego, co się przed chwilą wydarzyło, i radość, że ma przed sobą bezbronnego Reynoldsa. Wewnętrzna walka jednak nie trwała długo: życie, nawet życie własnych towarzyszy, niewiele dla Koko znaczyło.

Wyszczerył usta w radosnym, pełnym oczekiwania uśmiechu.

- Sprawdź, czy nasz przyjaciel nie ma gdzieś zapasowej broni - rozkazał kompanowi i przy drzwiach.

Avok wykonał polecenie: pospiesznie obmacał ubranie Reynoldsa i potrząsnął głową.

- Świetnie. łap. - Koko rzucił mu swój automat i wolno uniósł przed siebie sztywno wyprostowane dłonie. - Mamy z sobą porachunki, kapitanie. Chyba pan nie zapomniał, co?

Reynolds świadom był, że Koko chce go zabić, że ślina cieknie olbrzymowi na myśl o tym, iż za chwilę wykończy go gołymi rękami. On sam zaś miał całkiem bezużyteczną lewą rękę i zdawał sobie sprawę, że przez jakiś czas nie zdoła wykonać nią najmniejszego ruchu, bolała go bowiem tak bardzo, że podejrzewał, iż pękła mu kość. W głębi duszy wiedział, że nie ma żadnej szansy, że kiedy walka się zacznie, nie da rady się bronić dłużej niż kilka sekund, więc jeżeli chce przeżyć, musi coś zrobić teraz, od razu, musi wykorzystać okazję i zaskoczyć przeciwnika, zanim ten zaatakuje... Ledwo to pomyślał, skoczył naprzód. odbił się od podłogi i obiema nogami huknął wroga w pierś, prawie choć nie całkiem-osiągając zamierzony efekt. Koko, który w chwili uderzenia cofał się, jęknął z bólu i zachwiał się, lecz udało mu się grzotnąć Reynoldsa w głowę z taką siłą, że ten niemal przekoziółkował w powietrzu i upadł obok kanapy, tak silnie waląc plecami w ścianę, że aż zaparło mu dech.

Przez moment leżał bez ruchu; sapiąc ciężko, cały obolały, w końcu dźwignął się na nogi i ruszył na olbrzyma. gdyż wiedział, że jeżeli Koko dopadnie go na podłodze, to już nigdy nie zdoła się podnieść. Zdobywając się na heroiczny wysiłek, zamachnął się pięścią w szyderczo uśmiechniętą twarz i trafił olbrzyma w szczękę, lecz w następnej chwili charcząc zgiął się wpół, gdyż Koko - pogardliwie lekceważąc otrzymany cios - z niebywałą siłą huknął go w brzuch.

Jeszcze nigdy w życiu nikt go tak mocno nie uderzył, nigdy dotąd nie sądził, że ktoś jest w ogóle zdolny wymierzyć tak potężny cios. Facet był silny jak byk. Mimo że Reynolds przeszywał ostry ból, mimo że kolana się pod nim ugięły, mimo że co rusz zalewały go fale mdłości. zdołał utrzymać się na nogach, ale głównie dlatego, że szeroko rozwartymi dłońmi oparł się o ścianę, na którą poleciał po ciosie Koko. Zdawało mu się, że Julia woła jego imię, ale nie był pewien, miał takie uczucie jakby nagle ogłuchł. Ze wzrokiem też mu się stało coś dziwnego, widział niewyraźnie, jak przez mgłę, ledwo potrafi rozpoznać Janskiego, który zmagął się rozpaczliwie ze sznurem usiłując rozwiązać ręce. I nagle zobaczy, że Koko szykuje się do kolejnego ataku. Zdesperowany, bez większej nadziei na sukces, wykonał ostatnią, daremną próbę pokonania wroga: rzucił się na niego głową naprzód, lecz Koko ze śmiechem usunął mu się z drogi, po czym położył mu rękę na plecach i pchnął go z całej siły; Reynolds przeleciał przez pokój, wyrznął w futrynę drzwi i wolno osunął się na podłogę. Przez kilka sekund leżał zupełnie ogłuszony; wreszcie ocknął się i potrząsnął głową; świat zawirował mu przed oczami. Koko stał na środku pokoju, z rękami na biodrach. z wyrazem tryumfu na pokrytej bruzdami, prymitywnej twarzy. z zębami wyszczerzonymi w drapieźnym uśmiechu - katowanie wroga wyraźnie sprawiało mu przyjemność. I wtem Reynolds zrozumiał do czego olbrzym zmierza: chce. abym umierał długo i powoli, pomyślał. Jeśli tak dalej pójdzie już wkrótce będzie po wszystkim. Nie miał siły walczyć, czuł, że nogi majak z

waty, każdy oddech był dla niego męczarnią.

Słaby, otumaniony, jakoś się jednak dźwignął z podłogi. Stał chwiejąc się niepewnie, świadom jedynie tego, że świat wiruje mu przed oczami, że ból trawi całe jego ciało, że na ustach czuje słony smak krwi i że niezniszczalny Koko wciąż stoi naprzeciw niego i śmieje mu się w nos. Spróbuję jeszcze raz. pomyślał, nic gorszego nie może mnie już spotkać.

Ledwo trzymając się na nogach, uniósł prawą rękę, szykując się do ponownego natarcia, kiedy nagle dostrzegł zmianę na twarzy przeciwnika. Czyjeś potężne ramię odsunęło Anglika w bok i na środek pokoju wolnym krokiem wyszedł Sandor.

Reynolds wiedział, że do końca życia nie zapomni tego widoku: Sandor wyglądał jak przybysz z innego świata, jak lodowy olbrzym z podań skandynawskich. Odkąd wskoczył do przeraźliwie zimnej rzeki minęło piętnaście, może dwadzieścia minut, które prawie w całości spędził na zewnątrz, gdzie temperatura wynosiła kilkanaście stopni poniżej zera.

Ociekające wodą ubranie zamarzło, śnieg, który na niego prószył, także; zakuwając Sandora w sztywny, skrzypiący przy każdym ruchu pancerz połyskujący srebrzyście w blasku lampy naftowej, która paliła się w pokoju. Wyglądał obco i groźnie, jak przybysz z innej planety.

Avok, który stał przy drzwiach dzierżąc dwa automaty, swój i Koko, przez chwilę z rozdziawionymi ustami wpatrywał się Sandora, po czym nagle ocknął się, rzucił jeden automat na podłogę, a drugi usiłował wycelować w Sandora. Nie zdążył. Lewą ręką Sandor chwycił za lufę, wrywając przeciwnikowi broń z taką łatwością jakby zabierał dziecku kijek, a prawą pchnął go na ścianę. Avok zaklął, wziął krótki rozpęd i skoczył na Sandora, szczerząc gniewnie zęby; ten złapał go w locie, okręcił się na pięcie i cisnął go przez pokój z tak niesamowitą siłą, że nieszczęśnik wyrznął w ścianę wysoko nad podłogą i przez kilka sekund wisiał tam rozplaszczony, jakby podtrzymywany przez nie-

widoczne dłonie; kiedy wreszcie spadł. wyglądał jak zmięta. połamana lalka.

W tym samym czasie gdy avok pędził na Sandora, Julia poderwała się z kanapy i skoczyła Koko na plecy, starając się opleść olbrzyma rękami i choć o chwilę opóźnić jego reakcję na to, co się działo. Koko miał jednak tak potężną klatkę piersiową, że nawet nie zdołała go objąć, on zaś z łatwością oderwał ręce dziewczyny, jakby trzymały go nie mocniej od waty, po czym nie patrząc za siebie odepchnął Julię na bok i rzucił się na Sandora zanim ten odzyskał równowagę. Na głowę Sandora spadł grad tak potężnych, tak dotkliwych ciosów, że mężczyzna osunął się ciężko na podłogę; w następnej sekundzie Koko już był na nim, zaciskając mu na gardle swoje wielkie łapska. Nie uśmiechał się teraz, jego małe czarne oczka już nie lśniły radością: wiedział, że tu idzie również o życie.

Przez moment Sandor leżał bez ruchu, podczas gdy potężne paluchy olbrzyma nieubłaganie zaciskały się coraz mocniej wokół jego szyi, a masywne ramiona z wysiłku aż wyginały się w kabłąk. Nagle jednak drgnął, podniósł ręce i chwycił Koko za nadgarstki. Reynolds wciąż był tak słaby, że ledwo trzymał się na nogach, lecz z zafascynowaniem przyglądał się walce. Julia stała obok ściskając go za rękę. Choć całe jego ciało zdawało się być jedną otwartą raną, przypominał sobie o straszliwy był ból, który poczuł, kiedy Sandor ścisnął . nadgarstki, a przecież wówczas nie wbijał mu zgiętych palców głęboko w ścięgna, tak jak to czynił teraz w wypadku Koko.

Najpierw na twarzy olbrzymiego avoka pojawiło się zdumienie i niedowierzanie, potem ból i wreszcie strach, kiedy pod wpływem miażdżącej siły Sandora musiał rozluźnić dłonie, które dotąd trzymał zaciśnięte na jego szył. Wciąż wczepiony w nadgarstki wroga, Sandor zepchnął go z siebie, po czym poderwał się z podłogi i szybko podciągnął olbrzyma do góry; nagle puścił jego ręce i zanim Koko zorientował się co robi, oplótł jego klatkę piersiową mocno ramionami. W pierwszej chwili Reynolds myślał, że zamierza podnieść avoka i rzucić nim o

ścianę: sądząc po uldze, jaka odmalowała się w jego oczach, podobne wrażenie odniósł również Koko. Jeśli istotnie tego oczekiwał, srodze się zawiodł; wkrótce miejsce ulgi ponownie zajął strach i ból. Sandor z całej siły wcisnął swoją głowę w pierś olbrzyma, napiął ramiona i gniótł go w morderczym uścisku. Już po kilku sekundach widać było, że Koko nie ma żadnych wątpliwości, że ten ucisk nigdy nie zelżeje: strach w jego oczach przeszedł w śmiertelne przerażenie, twarz wykrzywiła mu się i przybrała niebiesko siną barwę, z głębi gardła zaczął wydobywać się charkot; pozbawione tlenu płuca rozpaczliwie domagały się powietrza. Avok z szaleńczą furią okładał pięściami Sandora po plecach, po ramionach, ale skutek był taki jakby walił w litą skałę. Jednakże to co na zawsze zapadło Reynoldsowi w pamięć, to nie zacięta walka o życie, jaką toczył Koko, nie jego wykrzywiona bólem, siniejąca twarz, nawet nie łagodne spojrzenie na nieruchomym obliczu Sandora, lecz odgłos lodu, który pękał, gdy Sandor coraz mocniej, coraz bardziej bezlitośnie zwierał ramiona oraz obłądne przerażenie na twarzy Julii, którą on. Reynolds tulił do siebie i której zasłaniał uszy starając się, aby nie słyszała potwornego, ochryplego krzyku. Jaki rozdzierał powietrze; po pewnym czasie krzyk przycichł i wreszcie całkiem ustał.

Rozdział piętnasty

Było kilka minut po czwartej nad ranem, kiedy Jansci zatrzymał się i odwrócił, by poczekać na resztę towarzystwa. Szli gęsiego-Julia. Reynolds. Kozak oraz Jennings z Sandorem, który częściowo podtrzymywał profesora, częściowo niósł go przez zamrażające bagna; wszyscy, prócz Sandora, szli z nisko zwieszonymi głowami, niepewnym, posuwistym krokiem ludzi będących na skraju wyczerpania.

Mieli powód, a nawet prawo czuć się zmęczeni. Od miejsca, gdzie porzucili ciężarówkę, dzieliło ich pięć kilometrów drogi i dwie godziny marszu, dwie ciągnące się bez końca godziny przedzierania się przez pokryte szronem trzciny, które trzeszczały i pękały przy

najbliższym dotyku, dwie godziny brnięcia po kruchej, skrzypiącej tafli lodu pokrywającej bagna. lodu zbyt cienkiego, aby mógł utrzymać ich ciężar, lecz na tyle grubego, aby utrudniał im marsz. Zapadali się po kolana w zimnym błocie i musieli wysoko unosić nogi, żeby je oswobodzić, po czym znów lód się pod nimi łamał i tak na okrągło. Z drugiej jednak strony lód był dla nich zbawieniem: w takich warunkach, jakie panowały tej nocy, psy używane przez straż graniczną na niewiele mogłyby się zdać, biegałyby zupełnie zdezorientowane. Nie żeby słyszeli jakiegokolwiek ujadanie: podczas całej pięciokilometrowej wędrówki nie widzieli ani strażników, ani psów. Nawet fanatyczni avocy ze straży granicznej zamiast stać na mrozie woleli grzać się przy piecu w wartowniach i nie zawracać sobie głowy tym, co się dzieje na zewnątrz.

Była identyczna noc jak ta, kiedy Reynolds przekraczał granicę, żeby dostać się na Węgry: gwiazdy lśniły jaskrawo na pustym, zimnym niebie, mroźny wiatr szumiał cicho pośród łagodnie szeleszczących trzciny, ostrymi szponami smagając wędrowców po policzkach i rozwiewając białe kłęby pary, które tworzyły się przy każdym oddechu. Reynolds na chwilę pogrążył się we wspomnieniach tamtej pierwszej nocy, kiedy leżał w śniegu dzwoniąc zębami, jeszcze bardziej zziębnięty niż teraz: wtedy też czuł na twarzy lodowaty powiew wiatru i widział świecące na niebie gwiazdy. Niemal z fizycznym wysiłkiem odsunął od siebie te wspomnienia i przeniósł się myślami do baraku, do którego zabrała go milicja i w którym pojawił się Hrabia; kiedy pomyślał sobie, że Hrabia już nigdy więcej nigdzie się nie pojawi, bezbrzeżny smutek kamieniem legł mu na sercu.

- Nie pora na rozmyślania, Michael-powiedział łagodnie Jansci, potrząsając głową, którą obandażowano mu na prędcie przed wyruszeniem w drogę, a następnie schylił się i rozsunął otaczające ich wysokie trzciny.

Oczom Reynoldsa ukazała się tafli lodu szerokości mniej więcej trzech metrów, która

ciągnęła się w obie strony od miejsca, gdzie stali. Spojrzał pytająco na generała.

- Strumień?

- Nie, mały kanał osuszający. Ale najważniejszy w całej Europie. Po drugiej stronie leży Austria.-Jansci uśmiechnął się. - Pięć metrów, Michael; od wolności i szczęśliwego zakończenia misji dzieli cię tylko te pięć metrów. Już nic ci nie przeszkodzi...

- Tak, już nic mi nie przeszkodzi - powtórzył Reynolds płaskim, bezbarwnym głosem.

Tak bardzo upragniona wolność niewiele go teraz obchodziła, powodzenie misji jeszcze mniej: cała wyprawa na Wschód stała mu kością w gardle, cena sukcesu była okrutnie wysoka. Najgorsze jednak miało dopiero nastąpić i wiedział, z bolesną pewnością, co za moment usłyszy.

- Brr, robi się coraz mroźniej. Dojmujący ziąb wstrząsnął jego ciałem. -Jansci, czy to przejście jest bezpieczne? Nie ma w pobliżu straży?

- Całkiem bezpieczne.

- To ruszajmy. Nie ma co dłużej zwlekać. Generał potrząsnął głową.

- Wy idźcie. Ty, profesor i Julia. Ja zostanę tutaj.

Reynolds pokiwał ze smutkiem głową i nic nie odpowiedział. Decyzja Janskiego nie była dla niego zaskoczeniem; zdawał sobie również sprawę, że dalsza dyskusja na ten temat nic nie zmieni. Odwrócił się, nie wiedząc jak zareagować, lecz wtem Julia chwyciła ojca za klapy palta.

- Coś ty powiedział. Jansci? Co powiedziałeś?

- Proszę cię, Julio. Nie ma innego wyjścia; wiesz, że nie ma innego wyjścia. Muszę zostać.

- Jansci! Och, Jansci! - Trzymała go za klapy, potrząsając nim z rozpaczą. - Nie wiesz, nie wolno ci, zwłaszcza po tym wszystkim, co się stało.

- Mylisz się. Właśnie dlatego nie mogę wyjechać. - Objął córkę ramieniem i przytulił do

siebie. - Zrozum, mam tu wiele do zrobienia, czeka mnie praca, którą zacząłem i którą muszę dokończyć. Gdybym teraz przerwał, Hrabia nigdy by mi nie wybaczył. - Pokiereszowaną, oszpeconą dłonią pogłaskał ją po jasnych włosach. - Julio, córeczko. nie umiałbym się cieszyć wolnością wiedząc, że zostawiam tu setki biednych ludzi, którzy beze mnie, bez mojej pomocy, nigdy nie poznają co to znaczy żyć w wolnym kraju. Dobrze wiesz, że tylko ja im mogę pomóc. Czy szczęście zdobyte kosztem cudzego szczęścia może dawać zadowolenie? Czy myślisz, że mógłbym spokojnie siedzieć na Zachodzie, podczas gdy tu młodych mężczyzn wysyła się na roboty przy budowie Kanału Czarnomorskiego, a stare, umierające kobiety zmusza do pracy na mrozie przy wykopywaniu buraków? Czy tak niskie masz o mnie mniemanie?

Julia wtuliła twarz w palto ojca.

- Jansci. - Głos miała stłumiony. - Jansci, nie mogę zostawić cię samego.

- Możesz. I musisz. Przedtem nikt o tobie nie wiedział. ale to się zmieniło. Tu, na Węgrzech, nie będziesz bezpieczna. A o mnie się nie martw; póki mam Sandora, nic mi się nie stanie. Na Kozaka też zawsze mogę liczyć.

Młodzieniec wyprostował się w mroku, częściowo tylko rozjaśnionym przez światło gwiazd, i dumnie wypiął pierś. - Opuścisz mnie? Kazesz mi odejść?

- Nie jestem ci już potrzebny. moja mała. Przez te wszystkie lata tkwiłaś przy moim boku, bo myślałaś, że cię potrzebuję; teraz Michael się tobą zajmie. Przecież wiesz o tym.

- Tak-odparła jeszcze bardziej zduszonym głosem. - To ładnie z jego strony.

Jansci położył ręce na ramionach dziewczyny, odsunął ją od siebie i popatrzył jej w twarz.

- Jak na córkę generała Iljurina, jesteś bardzo głupiutkim stworzeniem. Czy nie zdajesz sobie sprawy z tego. że gdyby nie ty, Michael nie wracałby na Zachód?

Podniosła głowę i spojrzała na Reynoldsa: jej wezbrane łzami oczy zalśniły w blasku gwiazd.

- Czy to prawda? - spytała.

- Tak - odparł uśmiechając się łagodnie. - Toczyliśmy spór i przegrałem. Jansci nie chce mnie tu za żadną cenę. - Przepraszam. Nie wiedziałam. - mówiła tak, jakby zgasła w niej ostatnia iskra życia. - A więc to koniec.

- Nie, dziecko. To dopiero początek.

Generał ponownie przytulił do siebie córkę i trzymał ją mocno w objęciach, gdy suchy, zduszony szloch wstrząsał jej ciałem. Po chwili zerknął przez ramię i skinął na Reynoldsa i Sandora. Reynolds dał znak głową, że zrozumiał, w milczeniu uściśnął pokrytą bliznami, zdeformowaną dłoń, pożegnał się cicho z Kozakiem, rozsunął wysokie trzciny i ruszył w stronę kanału. Trzymając koniec bicia, którego trzonek dzierżył w ręce Sandor, ostrożnie wszedł na lód. Kiedy wykonał kolejny krok, tafla pękła pod jego ciężarem i jego stopy dotknęły ciemnego, mulistego dna; zanurzony po uda w lodowatej wodzie, nie zwracał uwagi na przeraźliwy ziąb, tylko brnął przed siebie rozłupując lód. Wkrótce stał już na drugim brzegu. Austria, powiedział sam do siebie; Austria, powtórzył, ale to słowo nic dla niego nie znaczyło.

Nagle usłyszał za plecami plusk i obejrzawszy się zobaczył Sandora, który z wysoko uniesionymi rękami przeprowadzał się jego śladem przez kanał niosąc profesora Jenningsa. Gdy tylko Reynolds pomógł starcowi wspiąć się na brzeg, Sandor zawrócił na stronę węgierską, delikatnie odciągnął dziewczynę od Janskiego i ponownie zanurzył się w lodowatej wodzie.

Przez chwilę Julia trzymała się go kurczowo, jakby ucieleśniał dla niej to wszystko. co zostawiała za sobą, a potem Reynolds pochylił się, przejął ją od Sandora i postawił bezpiecznie na ziemi.

- Niech pan nie zapomni co panu mówiłem, profesorze - zawołał cicho Jansci, wraz z Kozakiem przeciskając się przez trzciny i podchodząc do samej krawędzi kanału. Nasza droga jest długa i ciemna, ale nie chcemy nią iść w nieskończoność.

- Nie zapomnę - odparł Jennings dygocząc z zimna. Nigdy nie zapomnę.

- To dobrze. - Generał skinął obandażowaną głową w ledwo widocznym geście pożegnania. - Bóg z wami. Do widzenia - dodał po polsku.

- Do widzenia - powtórzył za nim Reynolds, po czym odwrócił się, wziął Julię i Jenningsa pod rękę i zaczął wspinać się z nimi. z trzęsącym się z zimna starcem i cichutko pochlipującą dziewczyną, na niewielki pagórek. za którym ciągnęło się pole i rozpoczynał wolny świat. Na szczycie zatrzymał się i popatrzył w dół na trzech oddalających się bez pośpiechu mężczyzn: szli przez węgierskie bagna. ani razu nie oglądając się za siebie, i gdy w końcu znikli pośród trzciny, wiedział, że już nigdy ich nie zobaczy.